

31 lipiec 14. st. v.

*W. Szwedberg
Instytut
Fizyki i Stodolnic
w Warszawie*

LUBONIE

POWIEŚĆ Z X WIEKU

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego

WIEJSKA 884-3
1244
TOM I.

NICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE



884-311.6

Fanu

Bronisławowi Zaleskiemu

w Paryżu.

Przypominasz sobie może, kochany Bronisławie, rozmowę naszą o powieściach historycznych, któremi w roku przeszłym będąc w myślach zajęty, spowiadałem Ci się z trwogi zapału, jaki one we mnie obudzały. Naówczas był to porysł tylko jeszcze, który teraz, jak umiałem i mogę, przytaczam do skutku. Byłeś jedynym z pierwszych, z którymi, przejęty cały zadaniem tem, mówiłem; myśl sama zdała się i dobrą i ponętną, przyjmijże jeden z pierwszych jej owoców. Czasy, które się tu malują, szare okrywają mroki, ścieżki im cokolwiek życia, starać się je z niemnogich wskazówek i pomników odgadnąć,—zaprawdę trudnym było. Nie chlebiać sobie, abym to dokonał tak, jak to należało, ale przynajmniej pobożnem ku przeszłości sercem, jakem zdołał i umiał. Wymaluję ci maluczką ofiarę chętnie i pobożnie.

Twój wierny

J. J. Kraszewski.

29 marca 1876.
Drezno.



I.

Wieczór był skwarne go dnia letniego, słońce zachodzić miało za lasy. Co żyło, ukryte w cieniach i zaroślach, czekało, by powiał wiatr wieczorny, spadła rosa ożywcza i palące promienie dopieścić przestały. Milczało wszystko... stada w zaroślach się chroniły, ludzie — po lasach, rzadko ptak przeleciał w powietrzu, które ziało ogniem. Noc miała przynieść ochłodę i wypoczynek po dniu, który zważył rośliny i wyssał z ziemi ostatki wilgoci po niedawnej pozostałe burzy.

Dnia tego pod wieczór nawet nie zmniejszył się upał i na niebie chmurki żadnej widać nie było: wypogodzone, rozpalone, bezbarwne, zwiastować się zdawało posuchę, bo tarcza, sklecona ponad lasami, okryła się barwą krwi, i purpurowa, bezpromienna, dziwna i straszna, zwolna kłoniła się ku czarnemu pasowi puszczy dalekich.

W powietrzu unosiły się słupy muszek, podnoszące się wysoko, wirujące obrotami jakimiś mimosolnemi, jakby je powiew jaki, którego czuć nie było, to w górę, to na bok odnosił, to przyciskał ku ziemi. Chmurą leciały muszki skrzydlate to nad łąki, to nad pola, zdając się bawić i swawolić w rozpaczach ziemi wyziewach.

Na polach cicho było i pusto...

Wyschłe rzeczulki ciekły skryte głęboko, uciekając daleko od spieki, co je wypijała... Czasem w dąbnowie, który nie dochodził tu i czuć się nie dawał, na piaszczystych rozlogach chwycił kurzu tumany i do góry je gdzieś unosił.

Na Krasnejgórze nad Wartą, we dworze Lubonów tak pusto było jak wszędzie dnia tego,—ludzie się od spieki gdzieś pochowali.

Obyczajem starym wszystko stało otworem... dom, zagroda, wrota,—nie strzegł ich nikt, bo się nikogo nie lękano. Dwór stary wznosił się na pagórku nad rzeką, otoczony wysokim lasem z jednej strony, z drugiej do pola i łąk przytykający.

Jak wszystkie naówczas, była to budowa drewniana, ale rozległa i krzepko z bierwion ogromnych wzniesiona. Wysoki dach z dymnikami, okopcony i czarny, panował nad nią. Dokoła opasywało ją podniesienie na słupach rzezanych. Podwórze było rozległe i czyste, budynki wkoło proste, ale nowe i schludne. Z rozmiarów dworu wnosić było można o wielkiej zamożności rodu, co tu zamieszkiwał; ze stajen i szop o trzodach i gospodarstwie; z ładu około domu o pilności pana.

Już czas był, ażeby i ludzie i bydło pod dach wracało, bo choć upał się nie zmniejszał, słońce przynajmniej straciło siłę; patrzyło groźnie krwawym okiem, ale nie piekło. Ale koło dworu panował jeszcze spokój i cisza.

Od strony lasu w cieniu leżały psy stróże, na chłodniejszej ziemi powyciągane i jak martwe. Dwór stał otworem... drzwi i okna z poodsuwanymi okiennicami wpuszczały powietrze, lecz ono ziało jeszcze gorącem. Ognisko w świetlicy było wygasłe i zarzucone popiołem, komory na rozcież poodmykane... nikogo nigdzie, żywej duszy... W podwórku kilka kur chodziło, dziubiąc porozsypywane ziarna.

Wszystkie izby domostwa przejść tak było można, nie znalazłszy nikogo. Na tyle tylko od lasu na ogromnym kamieniu, który leżał pod strzechą,

siedziała bardzo stara niewiasta, zgarbiona wiekiem, włosy siwemi, które z pod chust się wysuwały; siedziała i, jakby napół drzemiąc, przędła.

Twarz jej opaloną, z pomarszczoną i posieczoną skórą, żółtą, pargaminową, mech starości pokrywał, na policzkach i brodzie; oczu, głęboko zapadłych, ostrzedz prawie nie było można z pod nawisłych powiek i brwi zarosłych bujno. Trzymała kądziel, wagała nic bezmyślnie, zwolna, i zatopiona w duchach jakichś, przędła, nie przestając. Niekiedy palce przykładła do ust, aby je zwilżyć i znowu nic wagała cienką, równą, gładką, choć bezsilne palce wspierać się pracy zdawały. Czasem wśród tego snu, zatrzymała się nagle, jakby jej sił nie stało, potem, przypomniawszy sobie kądziel, z pośpiechem znowu do niej powracała.

Ubogo ubrana była starucha, nie mając na sobie nic oprócz płótna, lipowych kurpi nowych na nogach, które je opasywały. Zapaska wełniana była ciemnej barwy, na szyi nawet żadnego sznurka i ozdoby widać nie było. Niewiasta długie już lata na świecie przeżyć musiała, jednak trzymała się jeszcze i nasłuchiwanie najmniejszego szelestu przekonywało, że ucho miała czule.

Wśród ciszy, psy, co nieopodal od staruszki leżały, podnosiły głowy, i jeden z nich, rozpatrując się, niespokojnie zamruczał, jakby drugim dawał hasło. Wnet i reszta pozrywała się na nogi, wietrzyć poczęły, lecz stały niepewne... nic słysząc i nic widać nie było. Pokładły się znowu, ale głowy podniesione czyhały na szelest najmniejszy. Stara też od kądzieli na swych towarzyszów oczy zwróciła, jakby ich pytała o niepokój przyczynę. Ten, który pierwszy zamruczał, odzywał się jeszcze kiedy niekiedy, ale niebardzo śnać pewien siebie.

I długo tak nic słysząc nie było.

Słońce czerwone stoczyło się na lasy, a wnet i srok szybko nadchodzić zaczął. Na północnej niebios stronie pokazała się pierwsza gwiazda biała.

ku zachodowi, jak złoty sierp, stał wązki księżyc na młodziku.

W dali coś tętnić się zdawało...

Staruszka wstała, zabrała kądziel i ruszyła się powoli ku dworowi, a idąc obyczajem starych, mruzczała coś sama do siebie.

Tuż i życie budzić się z zachodem zaczęło. W powietrzu przelatywały dźwięki, bydło i owce biegly z pola. Klaskały pastuchów batogi, ryczały krowy i rżały konie, coraz bliżej słyhać je było.

Starucha, stanąwszy u płota, wypatrywała w dali i potrząsała głową, jakby panią była i gniewała się na niedbałe sługi.

Wtem śmiechy i śpiewy tuż blisko doszły ucha staruszki i lice się jej poruszyło, głowa podniosła, oczy skierowały ku dworowi. Głosy to były niewieście, wesole, młode... Uśmiechnęły się też mimowoli usta starej przadki i niespokojnie rozglądać się zaczęła, wypatrując nadchodzących.

Psy, które leżały spokojnie, skowycząc i podskakując, zerwały się, jakby i ich uradowały te ludzkie głosy po długiej ciszy.

A wtem z lasu ukazała się cała gromadka dziewcząt w bieli. Przodem szła najpiękniejsza, wysokiego wzrostu, smukła, ze śmiejącami się oczyma, z ciemnym włosom, w kosy zaplecionym, z podniesioną rążnie główką, na której, oprócz rucianego wianuszka, niosła całą wiązanke świeżych leśnych kwiatów, aż na ramiona spadających. W białej koszuli i zapaskach, ze sznurami bursztynów i krasnych kamyków na szyi, przepasana czerwonym pasem, którego końce u boku spadały, szła tak i leśna panna, królując widocznie tym, co za nią biegały i w oczy jej patrzyły. Przed sobą w spódnice podwiniętej miała pełno uzbieranych ziół i różnej leśnej zdobyczy.

Dziewczęta idące za nią niosły też kobiałki i plecach, koszyki w rękach i postrojone były w kwi

, jak ona, a lica im się wszystkim młodością śmiały i weselem.

Szły ku dworowi i śpiewały; ostatnia zwrotka piosenki skończyła się śmiechem, bo też i psy, lając się, ku dziewczętom przypadły.

Z drugiej strony, becząca i wrzawliwie odzywająca się, cisnęła do wrót trzoda. Cisza przed chwilą wielką zmienila się w gwar życia pełny. Starucha patrzyła na dziewczynę z uśmiechem, a ta ku niej dążyła, potrząsając uwieńczoną główką.

— O! udało się w lesie, udało, — zawołała; — całyśmy dzień prześpiewały w chłodzie, za grzybami chodząc i jagodami. Wszystkiego pełno... choć garściami garnąć... posucha w cieniu nic nie zwarzyła... Ptaszki nam śpiewały, a my im... i dzionek, babusi, szedł jak błyskawica.

— A jam tu go ledwie do końca doprzedła — zekła złamanym z zaskłęgo gardła głosem stara.

— A ojciec?... — zapytało dziewczę — niema ojca?

— Ojciec do knezia jechać musiał... ale na noc powróci z Poznania... Niewielka to droga, a nocować tam niema poco... tylko go nie widać!...

Gdy tak gwarzyły i mówiąc zwracały się do dworu, dziewczęta z kobiałkami wyprzedzały ją zaczęły, śmiejąc się a swawoląc, do drzwi pędzić. Z drugiej strony od podwórza szli, ku nim poglądając, parobcy, którzy z pola powracali, lecz zoczywszy ich, całe to dziewcząt stadko pobiegło się ukryć po komorach i głosy tylko młode słyhać było.

Staruchę prowadziła zwolna dziewczyna, przymiając się do niej, a ta ją po twarzy ręką zmarszczoną gładziła.

U studni po środku podwórka ruch był wielki i wiadrom nie dawano spoczynku, czerpiąc chłodną wodę czystą, napawając się nią z rozkoszą.

Bydło tymczasem samo szło do swoich szop otwartych na spoczynek, a pastuszki i parobcy, około koryta stojąc, głośno śmieli się tak, jak to zwykło się wesoło rozkoszować, gdy pana w domu niema.

Ale na dr odze tętent się dał słyszeć i wielka uwrzawa zaraz przycichła, a psy biegły ku wrotom.

Zdała na polu widać było jadący do dworu cały orszak konnych i zbrojnych ludzi, dosyć pokaźny. Przodem na dobrym koniu jechał dorodny, niemłody już mężczyzna, pięknej postawy wojackiej, z ręką w bok, w krótkim płaszczu, a raczej sukni, zdjętej z rękawów dla gorąca i tylko na ramiona rzuconej. Miecz miał u pasa, nóż w pochwie za pasem, a u siędzenia na koniu młot wisiał, nabijany gwoźdźmi żelaznymi i wyrabiany misternie, w skórzanej objęty pchewce. Za nim jechało kilku młodych, jednakoż odzianych i zbrojnych; dobrze wyglądali wszyscy jakby z boju albo na bój się wybrali.

Poznać było łatwo, że do domu dążyli i obcym tu nie byli; konie ich rżały niespokojnie i oni oczy zwracali ku dworowi. Twarz jednak tego, co przodem jechał, nie rozjaśniła się na widok jego; poważny jechał i zamyślony.

Parobcy, z pola przybywszy, postrzegłszy zbliżających się, podbiegli ku wrotom na ich przyjęcie. We drzwiach pod słupkami stało piękne dziewczę, tak jak z lasu przybyło, uśmiechając się, a starucha, rękę położywszy na jej ramieniu, drugą trzymając jeszcze swą kądziel, nie ruszyła się od jej boku.

Zdała już przybywający witał swe niewiasty, a one jego. Matka to była i córka, bo żony nie miał dawno.

Zsiadł u progu gospodarz, konia zdając na parobka i, pozdrowiwszy matkę, pogłaskawszy córkę, jak stał, do świetlicy poszedł. I one ciągnęły za nim. A gdy na ławie za stołem siadł, kołpak zdejmując i czoło ocierając, stara z komory kubełek pełny napoju wyniosła.

— Pij, synu — rzekła, — na upał to jedyne... kwas brzozowy naj lepiej gasi pragnienie... Słońce na nas jakby się gnęło, a piekło cały dzień bez litości.

I patrzyły, czy stara i młoda, jakby myślały, że on siedział posepny.

Badać go nie śmiała matka, dziewczę było odważniejsze.

— Coś bo niewesoło od knezia Mieszka wracacie! — odezwiała się. — Czyżby się co złego niesło?

— Co tam ma być! — rzekł Luboń. — Niema nic... Mieszek wojny patrzy i tęskni, gdy jej niema... Doma mu nudno...

Westchnął i popatrzył na córkę, która, nie wiedząc dlaczego, pod tem wejrzeniem ojcowskiem spłonęła. Zaciężył jej wianek leśny, zdjęła go ze skroni i poszła z nim do komory. Dopiero po odejściu jej starucha się do syna zbliżyła i w oczy mu badając spojrzała.

— Licho nadało! — zamruczał pocichu. — Zawsze mu się nasza dziewczka śni... ma żon sześć, a bez siódmej ani żyć... niechże jej szuka kędy chce, bo ja mojej nie dam... to darmo...

Pięścią o stół uderzył. Starucha w ręce plasnęła.

— Jeszczeby też! — zawołała. — Jedyne oko w głowie, kneziowi dać na zabawkę... A co jej po tem... Tam szczęścia nie zazna, gdzie ich tyle... Dziewczyne co rychlej trzeba komu dać, aby mu ta chętką odpadła...

— Tak — dodał Luboń — matko droga... Gdyby ich u mnie dwie albo trzy było i synów ze dwu do datku, łatwo by dziewczynę zaswatać, ale ona u mnie córką i synem, a kto ją weźmie, ten mi dzieckiem być musi i następcą... Luboń ojcowizny nie spuściłada komu...

Głową potrząsnął.

— Oj syna, syna mi żal! — westchnął.

— Serca sobie nie psuj — odezwiała się baba, iść ocierając rękawem, — oplakaliśmy go... i pogrzebali...

— A gdybym ja go martwego widział i na stole — mówił Luboń, — nie tyleby mnie serce boleło, jak myśleć, że on tam gdzieś niewolnikiem się obcym wysługuje z głową postrzyżoną... że Niemcowi wodę nosi i drwa rąbie...

Zamkli oje; obojgu lzy się potoczyły, a słów nie stał.

— Szczęśna to godzina i dzień, kiedym ja go, dzieciorbą, na nalegania i prośby z sobą na wyprawę. Chciało mu się wojennej sprawy próbować... Masu... Gdybyż padł od strzały... ale mi go z oczów Niemcy chwycili... Jeszcze słyszę jego imię, jeszcze widzę go, ręce wyciągające ku mnie... a jam ranny, odcinając się od trzem, w pomoc mu nie mógł pośpieszyć... i znikł mi z oczów na zawsze...

Ręką uderzył po stole i sparł się na niej Luboń, a stara go po głowie glaskać poczęła, płacząc.

Nie pierwszy to raz, ale setny może tak oplakiwali dziecko stracone, choć lat upłynęło wiele, jak o niem słyhu nie było. W sercu ojca gniew i pragnienie zemsty rosły i gromadziły się z latami, a ile razy kneź Mieszko ciągnął na Niemców, prosił mu się Luboń, aby tej krwi się napić, która mu jego krew zabrała.

Słał on za Odrę i Elbę do Niemców z okupem, szukając jedynaka, a no już wszelka nadzieja była stracona, bo o dziecku wieści najmniejszej nie dostał, a lat kilkanaście od tego czasu upłynęło.

W milczeniu odstąpiła stara od syna, bo czas było myśleć, by sposobić wieczerzę, i choć dziewczęta już ją pewnie musiały nagotować, spojrzeć chciała stara gospodyni, co się tam działo. Luboń został tak sam z łałem swoim, na rękę podparty.

Wtem psy u wrót ujadać zaczęły i jeden z pacholków wszedł na próg.

— Co tam z psami? — zapytał pan.

— Podróżny, o gościnę prosząc, u wrót na koniu stoi... — rzekł pacholek.

— Co za jeden?

— Nieznajomy człek...

— A z wielu koni?

— Sam jedzie.

— Skądże się opowiada?

— Z nad czeskiej granicy.

— Prowadźcie go — odezwał się Luboń — wstając — nie juści go od wrót odesłamy...

I pochyliwszy się w okno otwarte,...

Podróżny, niepozornie odziany, z... zeznane go drogą konia zsiadał właśnie. Człek był młody, twarzy bladej, jakby przelekły i nieśmiały. Broni przy nim żadnej widać nie było. Z odzieży trudno osądzić przyszło człowieka, bo się niczem nie odznaczał. Ciemną suknią był okryty, takiego kroju, jaką po niektórych ziemiach noszono, włos miał przystrzyżony krótko, czapkę lekką, bez pióra.

Wyglądał ubogo, lecz wpatrzywszy mu się w lice, widać na nim było, że pod niem dusza mieszkała nieleniwa. Oczy patrzyły mu rozumnie, młode czoło świeciło jakimś myśłami, a gdy do progu szedł, powagę miał jakąś i bezpieczeństwo dziwne, choć obcym tu był i nie wiedział, jak go przyjmą. I trwoga i wesele jakieś i pomieszanie razem na twarzy się malowały.

Na próg wszedłszy, ujrzawszy naprzeciw siebie Lubonia, jakby mowy zapomniał.

— Szczęście i błogosławieństwo progom waszym, panie mój! — odezwał się. — Podróżny jestem... do knezia jadę... do Poznania, w tę stronę, noc mię zaskoczyła... o gościnę proszę.

Mówił, jakając się i nieśmiało, a wciąż na starego spoglądając.

Luboń też wpatrywał się w niego bystro, sam nie wiedząc, z kim miał do czynienia, bo do wojaka przybyły podobien nie był, i mowę miał choć swojską, ale skażoną.

— Przyjmuję was z ochotą — odparł stary, — siadajcie i odpoczywajcie.

Wskazał na ławę, ale młody gość stał w progu, nie wchodził dopiero pod oknem zdala skromne zajął.

— Skądże się i co was tu prowadzi? — zapytał

gospodarz, chleb podając do rozłamania na znamię przyjęcia.

— Zdaleka jestem, ojcie—głosem cichym poczwolna, ciekawie się rozglądając podróżny, — zdaka... z za gór, z za rzek wielu, bom wędrował dużo. Choć mi się język zepsuł, tutejszy jestem...

— Tutejszy?—podechwycił Luboń—skąd?

Podróżny popatrzał się nań i zawahał się z odpowiedzią.

— Od Poznania jestem — wyjąknął głosem prawie drżącym, — alem tu kilkanaście lat nie bywał... i urwał...

Te słowa dziwnie jakoś w uszach zabrzmiały Lubonowi; siedział na ławie zdala; usłyszawszy je, powstał i zbliżył się ku gościowi, wpatrując w niego pilnie.

Przybylec siedział w cieniu, okienniczka była pół zasunięta, Luboń ją otworzył, ale światła mu nie weszło wiele, bo na dworze mrok się robił. Klasnął w ręce o łuczywo na ludzi.

— Cóż to się z wami działo, żeście tu nie bywali tak długo, po obcych się włócząc ziemiach—zapytał.

— Długoby to mówić było — wahając się jakoś zaczął gość. — Małem dzieckiem na wojnie porwał mnie Niemcy od ojca...

Ledwie słów tych dokończył, gdy gospodarz skończył, oburącz go porywając za ramiona i głosem który dwór przeraził jak piorunem, krzyknął:

— Włast! tyś Włast!

Gość padł na kolana, za nogi go obejmował i płakał...

Gdy dziewczyna weszła z łuczywem i postrężona, przestraszona, rzuciła ogień i wybiegła, choć nie wiedziała, co ją przeraziło.

W tej chwili na krzyk Lubonia nadbiegła stara matka córka... obie drżące i o Lubonia strwożone. Przyszły nieznajomego, który jeszcze klęcząc—nogi go seiskał, a on głowę jego obejmował, okrywając pocałunkami, osłupiały.

— Włast—zawołała stara. I podbiegła ku niemu.

Jakże tu opisać to powitanie odnalezionego po latach dwunastu... i tę radość osieroconego ogniska, u którego nagle zjawilo się dziecko stracone i oplakane oddawna.

Luboń stary szalał prawie... staruszka drżała, a siostra nieśmiało przypatrywała się z ciekawością temu młodemu mężczyźnie, który miał być jej bratem.

Sądzo go więc na ławie, a trzeba było napić go i orzeźwić, bo i jemu wzruszenie siły odebrało.

Słaby też i blady był, jakby znękany długą niewolą—a tu się pytania sypały, co się z nim działo jak przebył te lata.

Ojciec nastawał szczególnie—a odpowiedzi syna iemne jakieś były, niewyraźne i popłątane. I nieychło, jakby uspokoiwszy się i myśli zebrawszy, odpowiadać zaczął o sobie, jako w niewolę od ojca wzięty, przez Niemca zrazu do najtwardszych robót używany, jak później go słabym uznawszy, dano niewolcyerskiemu panu jakiemuś za pacholę.

Z tym nowym panem dostał się Włast, któremu, jak mówił, imię zmieniono na Matję—na dwór niemieckiego cesarza... potem do innych ludzi, którzy tylko Bogu służyli... a ci, co go nowych rzeczy nauczyli i z sobą zabrali do innej ziemi, na południe, kędy zimy nie było nigdy, i gdzie stał największy gród panujących wszystkim krajom na zachodzie. Tam na usługach różnych i w spokoju bezoreźnie życie prowadził... i nie mówił, by mu ono bardzo ciążyło, tylko za domem i rodziną tęsknił zawsze.

Opowiadał Włast ojcu i swoim, co się cisnęło, co go widzieć, z obawą jakąś, wiele rzeczy połycać, o których śnać wspominać im nie chciał, bo obawiał się marszczyły. I nie mógł z niego dobać o wiele więcej nad to, że wojaczki całe zapominał, obyczaju domowego zabył, języka się prawie oduczył i że swoim stał się niemal obcym.

Smutno opowiadał to Włast, a smutniej jeszcze wuchać było ojcu, który, choć się cieszył z odzyska-

nia syna, widział, iż z niego będzie musiał nowe uczynić człowieka, aby do siebie przystać mogli.

Gdy niejasne to, tęskne opowiadanie się skończyło, a wszyscy milczeli — Luboń schwycił go za głowę raz jeszcze i ucałowawszy, rzekł:

— Dosyć, że cię mam — resztę sobie przypominasz, gdy będziesz z nami. Zasmakujesz w orężu i w dawnym życiu, a ja cię od boku mojego nie puszcze już więcej. I krew się w tobie odezwała.

Włast nie mówił nic, głowę z pokorą skłonił i zmilczał. A tu się sypały pytania, jak na tamtym świecie innym ludzie, miasta, wsie, wojna i pokój i potęgi obce wyglądały.

Włast potrosze opisywał, skąpy był jednak w odpowiedzi, jakby go co za język trzymało, łatwo dostrzedz było, że mu tam trochę serca zostało a ludzi, do których był nawykł, bo na obyczaj ich, wiarę i na życie z nimi nie narzekał, a wiele rzeczy, które były w ohydzie, chwalił. Potęgę zaś cesarzy i krzyżaków tamtejszych malował wielką i straszną.

Luboniowi słuchać było niemiło i tęskno, ale ust synowi zamknąć nie chciał. Wieczór tak zszedł przy luznych, wesoło wprowadzie i dla Lubonia szczerze, przecież nie tak, jakby był pragnął, bo syna znajdował z obcych rąk wróconego, niemal sobie obcym, i co chwila ojciec i on się nie rozumieli. Naówczas Włast z pokorą mówić przestawał i powodził się staremu cierpliwie.

Późną już nocą starucha przyszła oznajmić, że dla wnuka gotowe było na sianie w szopie posłanie, gdzie go Jarmierz, starszy przy Luboniu nad jego seciną, miał zaprowadzić... Rozstali się więc, jeszcze raz uściśnawszy, i siostra przeprowadziła brata do proga.

Luboń został naówczas sam, ale stanąwszy u podłogi, zadumał się, nie mogąc o nic pomyśleć.

Naraz z nim z jakimś strachem walczyła... I znowu czuł na powiekach... Włast to był, jedyne

dziecko, a nie ten i nie taki, jakim onby go mieć chciał. Cieszył się tem, że życie zmarłemu powróci, wolał takiego mieć, niż żadnego, ale stary wojak gryzł się, w synu wojennego nie widząc ducha.

Żołnierzem naówczas był ziemianin każdy, a kto nim być nie umiał, ten niemal mężem i człowiekiem być przestawał. Więc kłął w duchu tych ludzi, co na wzgardę dziecię bezsilne jakieś i kalekę oddali... Więcej niemal męstwa i ochoty bojowej było w pięknej dziewczynie, co się jego siostrą zwała.

Nie spał Luboń noc całą, a gdy świtać zaczęło, zmęczony wyszedł na rosę i powietrze, aby się orzeźwić.

Jarmierz, który z obowiązku o brzasku był na nogach, drogę mu zaszedł.

Był to jego ulubieniec, jak syna go nazywał.

Spotkali się u wrót, stary mu na ramieniu rękę położył.

— Cóż Włast?

Jarmierz zmilczał.

— Prawda — rzekł stary tęskno — Niemcy z niego babę zrobili — na moje dziecko nie wygląda.

Wojak jeszcze nie odpowiedział.

— Cóż robił wczora? mówiliście z nim?

— Mało — odparł Jarmierz. — Uściśkał mnie jeno, a sam zaraz na posłanie poszedł... Choć szopa ciemna, przypatrywałem się ciekawie, co pocznie. Nie wiem, czarnoksiężstwa chyba jakieś wyprawiał. Widziałem, że pokłękł przy pościeli, złożył ręce i niemi dotykał czoła i ramion, w piersi się bił, głową o ziemię uderzał, aż mnie ogarnął strach. I szeptał sam do siebie dziwnie, jakby jęczał i płakał, skarżył się i prosił.

Trwało to długo... długo. Wkońcu znowu poczał ręką czoła i ramion dotykać... i dopiero się udał na spoczynek.

Jarmierz opowiadał cicho i z obawą. Luboń słuchał zadumany, ale nie rzekł nic; potem dotknął ramienia swojego sotnika i szepnął mu:

— Milcz o tem... Zabobony to są niemieckie... ale my mu je z głowy wybijemy. Niech o tem nie wie nikt—prócz nas dwu w domu, rozumiesz?

Sklonił się Jarmierz.

— Stanie się po woli waszej — odpowiedział; — ale — źle jest.

— Źle—rzekł Luboń.—Przecie ja wolę o tem wiedzieć, tak mi łatwiej i lepiej będzie. I mi trzeba spocząć, niewolę niemiecką wydychać, do obyczaju swojego powrócić.

Wy mu towarzyszcie... Śmiechem i weselem dasz mu rozgrzejcie... młody jest, prowadźcie go, gdzie się młodzież zabawia. Oręż mu trzeba przysposobić, konia i zabawę wojenną... ja też nie zaśpię; ze starym trudniej się młody znajdzie, łatwiej z wami. Jarmierz — ja tobie ufam!

Sklonił się sotnik, ale westchnął; snać niebardzo sobie ufał...

Luboń podwórko przeszedł raz i drugi... Pod ścianą stała matka jego, którą też sen nie brał; stała zapatrzona gdzieś, nie widząc nic i smutna.

Gdy Luboń zbliżył się do niej, pochyliła mu się do ucha.

— Nie nasz on—rzekła ponuro—nie nasz! Wiesz, co jemu jest, wiem... Na swoją wiarę go nawrócił Niemcy, z oczów mu to patrzy...

Luboń sobie uszy zatknął rękami.

— Słyszeć nie chcę — wiedzieć nie chcę...

I nogą uderzył o ziemię...

— Nie! nie! — zawołał, brwi marszcząc.

Staruszka rękami powiała w powietrzu, spuściła głowę na piersi, założyła dłonie i sparsnęła się o ścianę. Nie mówiąc słowa, nie dając znaku życia, została tak martwą, jak słup... i nieruchomą.

II.

Radość i smutek razem przybyły z Włastem do domu;—cieszył się nim ojciec i niecierpliwił prawie, zniewieściałym go znajdując. On nie śmiał się odezwać otwarcie, bo słowo jego sprzeczało się z myśłami całej rodziny; wszystkiego swojego między obcymi zapomniał.

Z serca odzywały się chwilami odżywione wspomnienia, rumieniło lice, i wnet jakaś obawa, wylanie się z uczuciem i poddanie mu wstrzymywała.

Luboń chodził niespokojny, stara babka, podparta na dloni, mruczała, siostra nie śmiała przystąpić do brata, jakąś od niego odręczana obawą.

Chrześcijańska wiara już naówczas nie była obcą nad Wartą; weisnęła się do wielu rodzin z cichymi apostołami, co ją przynieśli, wielu było pochrzczonych i wyznających potajemnie Chrystusa, ale kryć się z tem musieli, gdyż tłum i lud, zamieszkały po lasach i w głębinach kraju, starej wiary uparcie się trzymał.

Podęjrzliwie patrzano na ochrzczone i tych, co się od świąt i obchodów bałwochwalskich wyłącza.

Neofitów też wielu, choć ukryte krzyżyki nosili pod koszulami na piersiach, z obawy prześladowania, szło razem z innymi do ofiar na uroczyska, do świątyń, i odbywali obrzędy zwykłe, mieszając z sobą dwie wiary, i zapominając z kolei to jednej, to drugiej.

Duchowieństwa nie było stałego, coby w wierze utwierdzać mogło, przychodzili kapłani z Morawii, z Czech, z nad Łaby, apostołując pocichu i obawiając się osiedlić tu stale.

Na dworze Mieszka panował obyczaj pogański, a obok kneziowskiego grodu stała świątynia... i w niej stanice z postaciami bogów opiekunów. Niejeden raz tam zaszła i wieść i apostołowanie nowej wiary.

Mieszko sam na sam słuchał ciekawie opowiadań o potęgde kneziów i panów, co się ochrzcił, ale czy się lękał, czy wzdygał surowości obyczaju chrześcijańskiego, — do nawrócenia jeszcze nie okazywał ochoty.

Ci, co się ochrzczili, uchodzili za zdrajców i niemieckich przyjaciół, a lud, nie dowierzając im, stronił od nich i czyhał tylko na zręczność pozbycia się jak wrogów. Niebezpiecznem było przyznać się do chrześcijaństwa i głośno mówić o niem, bo krzyż w pojęciach tłumu jednoczył się razem z niemieckiem panowaniem. Wszędzie też, gdzie on wprowadzony został, dawna swoboda pogańska ustępowała miejsca surowej karności i władzy kneziowskiej.

Duchowieństwo, przybywające z zachodu, niesło także ideę posłuszeństwa i władzy wyższej... Nawykli do rządzenia sami sobą, władcy i żupanowie opierali się tej surowości nowego prawa i znać go nie chcieli. Wszystka starszyzna wiejska i ci, co razem w ręku mieli kapłańską i patryarchalną władzę, wzdragali się z rąk jej wypuścić.

Nietyle żałowano starych bogów, co dawnego obyczaju...

Krażyły też dziwne pojęcia o bezlitosnej surowości wiary Chrystusa, które też od niej odstręczały. Zachowywanie postów, ściślejsze pilnowanie jednożeństwa, a nadewszystko ślepe posłuszeństwo starszyźnie duchownej napępniały trwogą.

Wreszcie stara wiara, z krwią oddawna w żyłach narodu płynąca, odzywała się we wszystkich najmniejszych życia czynnościach; wyrzec się jej zdawało się tak srogiem, jak zaprzec własnego żywota. Nieprzyjaciele wyznawali tę wiarę; — przyjęcie jej było pobratanie się z nimi, poddaniem się ich panowaniu.

Wiedzano w Słowiańszczyźnie, że wszyscy kneziowie i królowie pod jednym cesarzem zostawali, a wszyscy duchowni ich, pod najstarszym kapłanem,

siedzącym gdzieś daleko na stolicy, z której rozkazywał światu.

Do prawdziwych kłamliwie mieszały się wieści straszne, ciemnemu ludowi trudno było światło rzucić nowe, bo na nie gniewnie zamykał powieki.

Z pewnych cech wiedzano już, jak chrześcijan poznawać; znak krzyża i post zdradzały neofitów.

Stara Dobrogniewa, matka Lubonia, pierwszego wieczora miała przecucie, że Włast wracał nawrócony. Brak oręża, uboga szata, mowa, bojaźliwość, pokora zaniepokoiły ojca i babkę. Luboń wołał nie znać tego, nie wiedzieć o tem. Spodziewał się dziecko powrócić do starego zwyczaju; babka jątrzyła się, gniewała, a że w jej pojęciach z religią nową łączyło się czarnoksiężstwo i siła wielka, zarazem obawiała się wnuka.

Hoża, siostra Własta, patrzała nań z ciekawością niezmierną; nie widziała jeszcze nigdy takiego młodzieńca cichego i pokornego, tak niepodobnego do tych, co ją otaczali. Czuła po niewieściemu, że to nie była niemoc, ale jakaś siła skryta i w sobie skupiona. I ona coś się domyślała, a dziwy, jakie prawiono o wyznawcach Chrysta, nadzwyczajne w niej obudzały pragnienie i ciekawość.

Wszyscy zarówno czekali niecierpliwie, aby się Włast zbudził i wyszedł do nich.

Jarmierz w komorze ojcowskiej wybrawszy odzież nową najlepszą i najokazalszą, czatował na przebudzenie. Lecz drogą i bezsennością, wzruszeniem samem znużony, Włast spał długo, a gdy Jarmierz, podpatrując co chwila, wszedł później do szopki, znalazł go na kolanach, ze złożonemi rękami, modlącego się już znowu.

Włast, czy go spostrzegł, czy zatopiony w modlitwie, nie posłyszał, ale nie ruszył się i nie powstał, aż modlitwę dokończył i ziemię ucałowawszy, dopiero z pogodniejszą twarzą ku niemu się obrócił.

Jarmierz, który go sobie chciał pozyskać, udął, że znaczenia tego rannego obrzędu nie zrozumiał,

24
pokłonił się wesoło i zapowiedział, wskazując na odzież, którą we drzwiach trzymał chłopak, że życzeniem ojca było, aby się Włast odział inaczej.

Jarmierz był przebiegły chłop i rozumny, wojak zręczny, człek śmiały, serce miał dobre, ale życie swobodne, jakiego używał, najlepiej mu przypadało do smaku i wszelka odmiana była wstrętną. Kochał on swojego pana, Lubonia, jak ojca; — któż wie, pochlebił sobie nawet może, póki dziecko, cudownie odzyskane, nie powróciło, że on je kiedyś zastąpi, ożeniwszy się z Hożą. Patrzył na ładne dziewczę okiem gorącym, a staremu panu służył, krwi i potu nie żałując.

Pierwszy raz w życiu tej nocy goryczą i kwasem zapłonęło mu serce. Wszystkie jego nadzieje wniwecz się obróciły, wszystka służba wierna marnie poszła. — Syn powrócił.

Patrzył nań z zazdrością jakąś i żalem Jarmierz i nieledwie się ucieszył, gdy dostrzegł, że chłopak był nieśmiały, a do serca ojcu-wojakowi z trudnością mógł przypaść. Uczucia więc jego dla przybyśsza nie były bardzo życzliwe; — miał doń żal, a jednak ujmującego w sobie coś takiego miał Włast, że gdy się doń odwrócił i uśmiechnął, podając rękę na powitanie, Jarmierz uczuł, sam nie wiedział — litość czy poszanowanie, a zazdrość na chwilę w nim wystygła.

— Ojciec wasz, a pan mój, junoszo Właście — rzekł, pokazując na chłopaka, który odzież składał przed nim — życzy sobie, abyście suknie zmienili, aby się i pamiętać nie została dawnej biedy. Przyniosłem wam, co było najlepszego, będzie w tem lepiej, niż w starej, podróźnej siermiędze. A i bez miecza synowi pańskiemu być nie przystoi.

To mówiąc, śmiał się do niego. Włast stał, patrząc w ziemię zmieszany jakoś i smutny.

— Ja bo, ja... — rzekł — tak do tej sukni nawykłem...

— E! niema jej co żałować — śmiejąc się ciągle,

25
wesoło mówił Jarmierz. — Tu u nas zobaczycie obyczaj inny, swoboda zdrowa, życie wesołe! Koniom dla was nagotował jak ogień, łuk, procę i oszczepek.

Włast oczy nań podniósł bojaźliwie.

— Mój kochany Jarmierzu, ja się z tem obchodzić nie umiem! — odezwał się głosem drżącym.

— A cóżeście wy tam między Niemcami robili? Nie juściż w spódnicyście chodzili, junoszo Właście! E! toć trzeba tego pozbyć. Ja was pamiętam dawniej, bom mało co od was starszy, choć wy mnie może nie pamiętacie; — wyście dzieckiem rwali się do dźidy i młota, ledwie mogąc go dźwignąć. Jakże się to stało, żeście tak odmienić się mogli?

Włast zmilkł; spojrział na wesołego sotnika i uśmiechnął się smutnie.

— Kiedyś to zrozumiecie — rzekł po namyśle.

— A wy tymczasem przypomnijcie sobie młode czasy — zawołał Jarmierz. — Stary Luboń mi wam służyć kazał; zobaczycie, że wam dobrze służyć. Będziemy się na koniach pędzali po lesie ze psy i oszczepami, aż się dusza rozraduje! Hej! hej! może się tam i inna zwierzyna nadarzy, białe dziewczę w wianuszkach, co ze śpiewką błądzi po lesie. Bez tego bo wyżyć trudno.

Włast ręce zacisnął, załamał, zapłonął i cały powiódł przestraszonymi oczyma. Przed nim leżała odzież przyniesiona, patrzył na nią z trwogą.

— Czyż koniecznie mam zrzucić moje odzienie? — spytał — czyż koniecznie?

— Stary tak kazał, a on nieposłuszeństwa nie lubi — odezwał się Jarmierz ze złością. — Tak, tak, i miecz trzeba przypasać do boku!

Włast zamilkł, zamyślił się nieco i leniwo ściągać zaczął odzienie stare. Gdyby w szopce nie było tak ciemno, Jarmierz ciekawymi oczyma dojrzałby, jak leż na jego powiekach. Mały węzełek, który Włast wioził z sobą, przytroczone do konia, a który

leżał przy pościeli, z niepokojem jakimś obejrzał, jakby się o niego zatroszczył.

— Powiedzcie mi, gdzie ja to mogę złożyć bezpiecznie? — zapytał.

— Jako, bezpiecznie? — podchwycił Jarmierz zdziwiony. — Ja nie wiem, jak tam u Niemców jest, a no u nas drzwi wszystkie otworem, leży każda rzecz, gdzie chce, nikt jej nie ruszy. Jakem żyw, nie słyzałem, żeby sobie kto co przywłaszczył! Gdzie położycie rzeczy wasze, nikt ich nie będzie śmiał ruszyć.

Włast pomyślał chwilę.

— Prawda, tak i dawniej bywało! — odezwał się. — Ludzie u nas dobrzy.

— To wiemy, że u Niemców na klody zamykają drzwi, wrota i skrzynie. U nas tego nie było i niema — dodał Jarmierz. — A no — rzekł, widząc, że się Włast nie śpieszy — odziewajcie się, ojciec czeka.

— Dziś — mówił dalej — dzień jeszcze przejdzie spokojnie, jutro może jechać, a potem toć uroczyscie obchodzić musimy powrót wasz i sąsiady zaprosić, i z pańskiego dworu, z Poznania pewnie starczyzna się przysunie na stare miody.

Słuchającemu Włastowi twarz pobladła, wdziewał tymczasem podane suknie opieszale i jakby ze wstrętem. Były one z cienkiego sukna i bramowane, barwy jasnej, kroju pięknego i Włast też w nich wcale się wydawał inaczej. Jarmierz sam mu mieczyk przypasał.

— Ot! teraz — zawołał — toście do ludzi podobni. Na drogę, do przekradania się, dobra była sukmana ładajaka, a dla syna władyki Lubonia nie przystała.

Włast odziany był i mieli wychodzić; zakłopotał się jednak o swój węzelek znowu.

— Dajcie mi go, zaniosę Dobrogniewie do komory.

— Nie — nie, wezmę go sam — zawołał niespokojnie Włast, i z pewnem poszanowaniem ująwszy swój węzelek, wyszedł z Jarmierzem z szopki.

We drzwiach dworu pod słupkami stała Hoża w wianku; zobaczywszy brata idącego i niosącego ciężar na rękach, uśmiechnęła mu się wesoło, z ciekawością zaglądając w oczy.

— Dobry dzień! — zawołała — dziś wam lepiej w sukni nowej. Ale cóż niesiecie?

— A! nic — odparł Włast, — ot, różne podrózne moje rzeczy, które potrzeba w czystym gdzie miejsu złożyć bezpiecznie.

Dziewczę wyciągnęło białe ręce.

— Dawaj! — zawołała.

Zawahał się nieco Włast, lecz po chwili oddał je siostrze spokojny, a Hoża znikła z niemi.

Z za drzwi widać było Lubonia, ale jakoś zaszępionego. Syn mu do kolan przypadł. Popatrzał nań i lice się rozjaśniło trochę, wdzięcznie też okiem rzucił na Jarmierza.

Weszli wszyscy do izby.

Tu stara Dobrogniewa pilnowała dziewcząt, zastawiających obiad ranny na misach glinianych. Był to piątek właśnie, ale poganie dni nie rozeznawali inaczej, tylko je licząc po księżycu zmianach.

Gdy Włast na stół spojrzał, lice mu żywym zapłonęło rumieńcem. Wahać się zdawał czas jakiś, co pocznie, stał pomieszany, a ojciec, już siadłszy, ręką go do siebie i jadła wzywał.

Pierwszą próbę miał młody chrześcijanin do przebycia w domu. Był na nią przez siebie i przez duchownych przygotowanym, ale od niego samego zależało uznanie, jak sobie postąpić był powinien. Po namyśle zasiadł z westchnieniem i dla niepoznaki razem z ojcem i Jarmierzem jeść zaczął, ale skromnie i zwolna.

— Gniewaliby się na mnie sąsiedzi i mieliby prawdę po sobie, żebym im nie dał znać, iż mi syn wrócił z niewoli i jakby na nowo się narodził. Trzeba posłać po dworach z wesołą wieścią. Na ósmym dniu po nowiu niech się druhowie zjadą, aby objąć

ze mną Bogu złożyli. Jarmierz pośle parobków, a wie, kogo prosić.

Sotnik głową skinął.

— Na dwór ja do pana a knezia sam z nim pojedę—dodał Luboń,—albo dziś lub jutro.

Włast nie śmiał nic rzec.

— Ale spocząć i orzeźwiać się trzeba junoszy—wtrącił Jarmierz.

— Do łaźni go weźmijcie—dodał Luboń,—a potem się wyleży, wyśpi, i ta bladeść, którą na twarzy przyniósł, zejdzie z niego.

Mówili tak, gdy stara Dobrogniewa, u drzwi stojąc z założonemi rękami, milcząc, we wnuka się wpatrywała, jakby czekała, żeby go chwycić i sam na sam z nim rozmówić. Zaglądała i Hoża, do ojca i do niego się śmiejąc, bo jej—dotąd jedynaczce, wiele wolno było, jak hodowanej ptaszynie, co siada, kędy chce, i szczebioce piosnkę, nie pytając.

Wnet po strawie Jarmierz na konia chciał posadzić Włastę, który mu się wyprosił; ojciec jechał na łowy, bo na przyjęcie sąsiadów dzikiego mięsa było potrzeba—ale synowi pozwolił doma zostać.

Włastowi więc dano wolność, a gdy się rozeszli, i on na przybłę też powoli wysunął, poczuł za sobą idącą starą babkę.

— Włast — rzekła mu półgłosem, — chodź ty za mną.

I skinęła nań, wiodąc go w tę stronę domu ku kamieniowi, gdzie zwykle z kądzielą siedziała w cieniu. Hoża też chciała za nimi iść, lecz stara jej znacząco ukazała na drzwi i dziewczę znikło.

Kądziel wzięwszy z pod ściany, bo bez tej się nie ruszała, starucha powlokła się na swe zwykle siedzenie. Włast stanął nieopodal. Przysposabiając len i próbując wrzeciona, stara spoglądała na niego, namyślając się, co mówić. Twarz miała czegoś posępną i jakby gniewną.

— Dwanaście lat—odezwiała się,—dwanaście lat, to strasznie długi czas — poczęła zwolna wpół do

siebie, wpół do niego. — Jam się do reszty skurczyła i zlamala, a z ciebie te Niemcy krew wypili! O! nie może być — westchnęła — aby długiej niewoli u obcych nie zostało śladu, nie może być!

Popatrzała nań.

— Zarazić cię musieli swojemi czarami i zrobić z ciebie Niemca. Któż to nie wie, że ptak hodowany do leśnego niepodobny. Tak i ty. A cóż? a cóż? pewnie. Nie zapieraj się. Ja stara, mam już siwy włos, wiem wiele, przez oczy patrzę w człowieka.

Poczekawszy trochę, gdy Włast nic nie odpowiadał, ciągnęła dalej.

— Teraz to dopiero potrzeba zapomnieć, a co zapomniane, odnowić—rozumiesz, Włastek? Ja ciebie na rękach nosiła, ja cię chodzić uczyłam, ja cię mówić zmusiłam, ty nasz, ty krew nasza, trzeba, co tam było, zapomnieć.

Pokiwała głową starucha.

— Niby to my nie wiemy, co od Niemców ludzie wynoszą. Swoje u nich bogi zapominają, a my tu cudzych nie cierpimy. Wiesz, Włast, tam na Pomorzu przychodził jeden z nowym bogiem do nich, to go zabili... i dobrze zrobili, dobrze! Nasza ziemia do naszych bogów należy, a cudzy tu nie będą panowali, nigdy! Posyłają przodem swojego Boga, aby im ziemię zawojował, a z nas niewolniki uczynił? Tak! my to wiemy!

Zmilkła trochę i nic poczęła wyciągać długą, a potem kręcić na kolanach wrzecionem, głową tylko potrząsając! czekała snąć, aby Włast coś jej odpowiedział, ale wnuk milczał. Myśli mu różne chodziły po głowie, nie wiedział, od czego ma rozpoczynać.

Starą to utwierdziło w przekonaniu, iż winowajcę przed sobą miała, i znowu mruczając, zaczęła:

— Słuchaj, Włast, słuchaj!—ojciec na ciebie wczoraj patrząc, smęcił się, radując, boś ty nam odmieniony powrócił. Gdyś był dzieckiem, to cię z konia

zsadzić nie można było i do izby napędzić. Pamiętam sama, żeś tak ciskał oszczepem, że nim ptaki bieleś, a teraz ty to potrafisz?

— Nie — odezwał się Włast. — Nie, babo miła, teraz oszczepu w rękę nie trzymałem dawno, lecz, wierzcie mi, nauczyłem się wielu innych rzeczy, które się u nas przydadzą.

— Mówże, czego? — spytała Dobrogniewa.

— Patrzałem, jak tam około roli i ogrodów chodzą, jaki ład około domów, jakie budowania kamienne.

Starucha ręką z wrzecionem zaczęła wywijać w powietrzu.

— My nie rolnicy, to chłopska rzecz — odezwała się. — Władyki syn nie potrzebuje roli patrzeć. Jemu do tego nie! — na to są parobcy i bartnicy, chleba stanie. Wasza rzecz — koń, dzida i oszczep.

Włast zmilczał znowu.

Dobrogniewa poczęła mruczeć coś niewyraźnie, podniosła na niego zaczerwienione oczy, jakby krwią zasze i przędła.

Ze starą mówić nie było można; zmilczał wnuk, i widząc, że ona też rozmowy nie rozpoczyna na nowo, byłby odszedł, gdyby niewyraźne jej mruczenie znowu się w głośniejsze nie zmieniło.

— Zabili tego na Pomorzu! zabili! — mówiła do siebie niby. — Dobrze zrobili; zdrajcą był, na Niemców ich chciał nawracać, do niewoli. Włóczęgą mu piersi przebili. Kamieniem głowę roztrząskali, dobrze zrobili. Ciało wilkom rzucili, dobrze uczynili, dobrze.

Oczy starej zwróciły się ku miejscu, gdzie stał nieruchomy Włast; sądziła, że go ustraszy, ale na bladej twarzy wnuka nie widać było najmniejszego śladu obawy. Uśmiechał się łagodnie.

Milczeli potem oboje. Włast jeszcze się wstrzymywał i po długim wahaniu przybliżył się do starszki.

— Dziękuję wam za przestrożę — odezwał się —

serce ją macierzyńskie natchnęło, ale babuś kochana, gdy tu szedł po dobrej woli, wiedziałem, co mnie czekać może i że na gody nie idę, ale na trudne życie. Tęsknota mnie do was i miłość przyprowadziła i powinność... Więc jeszcze za przestrożę dziękuję!

Stara pogroziła mu palcem.

— My cię oplakali, myśmy cię kochali, ale Niemca z siebie zrzucić, bo choć nasza krew, my cudzego tu nie zniesiemy, nie! Taka ja, a ja co? wiedźma stara; — ale taki ojciec twój i tacy my wszyscy.

Domawiając tych słów, wrzecionem trzy razy uderzyła w ścianę, przy której siedziała. Na ten znak zaszaleciało coś i Hoża nadbiegła. Tej stara wskazała na Włast, jakby nakazując, aby go sobie wzięła, i siostra, skinąwszy nań, poprowadziła go na pierwsze podwórze.

Od wieczora ledwie słów parę przemówili do siebie. Hoża była ciekawą, skorzystała więc ze swobody i na ławie z nim usiadła na przedsieni, wpatrując się w brata z zajęciem wielkiem. Włast nieśmiało patrzył na nią.

— A Włastku ty mój — poczęła, zwolna się ośmielając, — co tu za tobą leż się wylało i przekleństw na Niemców poszło! Biedny ojciec, jak on nigdy zapomnieć nie mógł, że ranny obronić nie potrafił porwanego! A któż nawet pomyślał, że ty kiedy powrócić możesz do nas? Chyba mnie się to jednej czasem śniło. Ale mówże, mów, co się działo z tobą i gdzieś bywał i jak cię oni męczyli! a mów! Wczoraj słuchałam pode drzwami, gdy cię ojciec pytał, i małoś co mu powiedział. A przede mną możesz wszystko a wszystko.

Włast z uśmiechem dobrotliwym patrzył na nią.

— Powoli to się wszystko wypowie — począł, — odrazu trudno by się zrozumieć, Hoża moja. Było mi zrazu bardzo źle, bo mnie jak niewolnika postrzygli i do ciężkiej pracy wzięli. A żem zreczniej-
szy był, choć niebardzo silny, potemem w piecu

u pana palił i u stóp jego łóżka sypiał. Czasem mi tarczę i oszczep nosić dawał. A coś z rok to trwało. Aż się na zamku zrobiła wrzawa wielka, że cesarz z obcej ziemi przyciągnie na wiosnę.

— A któż to jest? — spytała Hoża.

— Jest to pan nad wszystkimi panami, kneziami i ich królami, i nad ziemiemi wszystkimi, które on jednym odbiera, drugim daje, jak chce. Na rozkazy jego stawia się wszyscy i służą mu. I mój też zaraz, ludzi zebrawszy, na święta ciągnął do cesarza, gdzie mnóstwo ludu już było z dalekich ziem. Dostało mi się z nim też pojechać do noszenia tarczy i włóczni, i ze dworem razem ciągnęliśmy do grodu, gdzie cesarzowi mieli kłaniać się i dary przynosić wszyscy. A żem w domu sokoła czasem nosił, który był bardzo piękny i mądry, przystroiwszy mnie, pan mój wraz z sokołem cesarzowi ofiarował.

Poszedłem tedy z niewoli mojego małego pana w niewolę wielkiego — a raczej w niewolę niewolników jego, ale tak chciał los mój. Tu krótko pobyważy, cesarz, obdarzywszy kneziów swych i margrafów i urzędników, nazad do południowej ziemi państwa swojego ciągnął, i ja z nim, z sokołem i ze dworem.

Gdy Włast mówił tak, a Hoża, sparsłszy twarz na rękach, z uwagą mu się przysłuchiwała — doszedłszy do tego miejsca, wstrzymał się nagle, jakby przypomniałszy, przed kim mówi. Pomilczawszy dopiero i myśli zebrawszy, dodał krócej, zbywając siostrę:

— Tamem w tym kraju przebywał długo, ale mnie cesarz dał innemu panu, który nad świątynią tego kraju pewno starszym był. Więcem i u niego i przy niej służył, zapatrując się na ich obyczaje.

A potem — dodał, zrywając się i spuszczać oczy — darowano mnie wolnością, bo starzec, u którego służył, dobry był i serca miłosiernego. Pozwolili mi iść, kędym chciałem, dawszy na drogę odzież i suknię i co było potrzeba, a polecając mnie ze dworu

do dworu dla bezpieczeństwa. I tak z panami jadącymi do Niemiec, to z jednym, to z drugim w ich orszakach, dobiełem się na Łabę; tęsknica mnie za wami wzięła i przebiełem się aż tutaj...

Umilkł Włast, a ona jeszcze słuchała.

— Jestże to inny kraj, niż nasz, ten, w którym byłeś tak długo? — spytała.

Włast się uśmiechnął i westchnął.

— Niema w nim zimy — rzekł. — Cały rok zieleń trwa i kwiaty tam kwitną, a jeśli czasem niebo się zachmurzy i z deszczem śnieżek poproszy, znika tak, że go chyba w powietrzu zobaczy. I dziwnie tam piękne niebo, i słodkie powietrze, i owoce smaczne.

— A ludzie?

— Ludzie — opowiadał Włast — czarni i opaleni i gwałtownego serca, ale rozumni i wspaniali zarazem.

— A wsie?

— Domy i grody, o jakich nam się nie śniło. — Po jakimś narodzie, co tam panował, olbrzymie mury zostały, i niema domostw, tylko kamienne a wysokie, kamieniem wykładane drogi, a rzeki górą płyną w korytach ze skał kutych.

Dziewczę niedowierzająco bratu w oczy spojrzało. Włastowi świeciły źrenice i usta się śmiały.

— A! — mówił — więcej tam daleko cudów jest, niż moje usta wypowiedzieć mogą, a twoje serce uwierzyć. W kamiennych tych domach skarby są zaczarowane, złoto i kamienie jasne, i ze złota a kruszcu lane i rzeżane postacie jak żywe. Jakież to język wypowie? A któż opisze tego cesarskiego dworu wielkość i potęgę, i tych wojaków w żelazo pookuwanych, całe zastępy, któreby mogły świat zawojować! I przepych ich sukni, ich wozów, koni, i mądrość ich kapłanów!

Nagle Włast zamilkł, a Hoża, milcząc, zawsze jeszcze słuchała.

— A! — zawołała pocichu. — Jakże się tobie, bracie, wydadzą teraz lasy nasze, i drewniane dwory

i puste kraje. Ty będziesz śnić i tęsknić za tamtymi! A nam, gdyby złote obiecywano góry i nie wiem jakie niebo, — ach, jabym nie mieniała kraju bez zimy na nasze smutne noce burzliwe!

— I jabym nie mieniał—przerwał Włast,—i nie zatęsknię ani za dworem, ani za złotem, — ale za jedną zatęsknię rzeczą...

Głos mu cichł, zwołna i ustał.

Siostra, uśmiechając się, patrzała, a myślała, jaka ta jedna rzecz być mogła, za którą brat jej miał tęsknić. Rumieniec okrył twarz, serce uderzyło — myślała w duchu.

— Wiem!

Ale powiedzieć nie śmiała i twarz ukryła w dłoniach.

Włast też jakby się domyślał czegoś, pokraśniał i zadrżał.

— Hoża moja rzekł,—za czem ja tęsknić będę, to ci kiedyś powiem, nie dzisiaj; ale to wiedz, że ani za człowiekiem, ani za stworzeniem żadnem, ani za bogactwem, ani za skarbem żadnym ja tęsknić nie będę, tylko za czemś, co nad wszystkich ludzi, nad skarby wszelkie, nad życie nawet jest droższem. Ale dziś to musi dla ciebie, siostro moja, tajemnicą pozostać.

Zamilkł Włast. Hoża zbladła i nie odezwała się. Sparta na rękę, zadumała się głęboko, któż zgadnie, o czem? o kraju bez zimy, o tem, co nad skarby droższe, o tajemnicy brata, o innych ludziach i światach?

Od kilku już chwil stojący nieco opodal Jarmierz, patrzył na nich okiem ciekawem i zazdrośnem, jakby ich chciał podsłuchać. Przy nim stały dwa konie pokryte sukniem i do jazdy gotowe. Jeden z nich zarżał i Włast drgnął mimowolnie, posłyszawszy głos jego.

Spojrzał, — Jarmierz dawał mu znaki; czas było po staremu na koni siąść i rękę do oszczepu wprawiać na nowo. Niechętnie wstał Włast, — ale musiał być posłusznym.

III.

Naznaczonego dnia na Krasnogórę zawczasu się zaczęli zjeżdżać sąsiedzi.

Na przyjęcie ich we dworze wszystko już było gotowem, lecz że się wielu spodziewano, a dwór, acz obszerny, nie starczył dla tylu gości, dzień się zaś obiecywał pogodny, bo od rana białe tylko chmurki przebiegały po niebie, a wiatr chłodnawy powiewał ze wschodu, w lasku za dworem poustawiane były w cieniu drzew starych długie stoły z tarcic, ręcznikami szytymi czerwono pokrywane.

Do przyjęcia gości niewiele naówczas było potrzeba, gdy wszyscy z jednej czerpali misy i z jednego krajali sobie mięsa nożami, które każdy miał u pasa. Proste kubki do napoju służyły, a z wytoczonej beczki nalewano do dzbanów, które po stole krążyły. Pańskie stoły tylko bogatszym kruszczem naczyni się różniły.

Zamiast w kuchni, u ognisk na podwórku piekły się całe kozły, barany i dziki.

Cała służba niewieścia od rana w wielkim była ruchu, a stara Dobrogniewa, choć nie rzuciła kądzieli, niespokojna często się wlokła zaglądać, co się z jej dziewczętami działo, zwłaszcza, gdy głośniejsze śmiechy od strony ognisk się rozległy. Naówczas stara wychodziła ze swego zakątka i rękę z wrzecionem, którego nigdy nie puszczała, podnosząc do góry, niemą tą groźbą zmuszała zbyt wesołą gawiedź do chwilowego milczenia.

Wkrótce jednak potem, gdy groźne widmo znikło z oczów, zaczynały się szept i rżenia, rosły, podnosiły się, śmiech ogarniał znowu i zwyciężał strach a rodził wrzawę.

Od rana Luboń w najpiękniejszym swym stroju z sukna cienkiego, sznurami szytym i taśmami, chodził, rozglądając się, dokoła domu.

Taką samą suknię, jak sobie, na znak następstwa,

kazał wdziac synowi, odzawszy go zupełnie jednako. Mieczyk mu dobrano podobny i wszystek przybór, a przykazanie było, aby się od boku ojcowskiego nie oddalał.

Jarmierz stał na czele pacholków i służby. Żłoby dla koni wcześniej pozasypywano owsem; siano świeże zapelniało drabiny; pomyślano wedle praw starej gościnności, aby i ludzie, i konie, i psy głodne nie były. Wielu bowiem, jadąc, psy z sobą zabierało, aby, przez pola i lasy jadąc, nie próżnować.

Już kilku bliższych sąsiadów w podwórku z gospodarzem rozmawiało, na syna spoglądając, a żałąc się nad nim, iż blado a mizernie powrócił do domu, gdy zatętniało i szybkim konia pędem wpadł na podwórze barczysty, zarosły, zasapany człek, wesołego oblicza, oczu wypukłych, rażny a butny, i z konia skoczył, mimo otyłości, jak młody chłopak, ale cugli jego z rąk nie puszczając, z nim razem podszedł do gospodarza.

Ten skinał, aby mu konia wzięto, ale przybyły oddać go nie chciał.

— Ja zaraz powracam — rzekł. — Słowo tylko. Szczęśliwy Luboniu, panie mój... dobrą wam zwiastuję nowinę... Mieszko, pan nasz miłościwy, zasłyszawszy, że u was goły, sposobi się też przybyć, choć nieproszony. Bałem się, abyście frasunku stąd nie mieli, gdyby niespodzianie was zaskoczył... Wziąwszy więc konia, na przelajem się puścił lasami... byście w gotowości byli na przyjęcie pana miłościwego...

Lubon pobladł trochę i czoło pocierał.

— Wielka to cześć dla domu mojego — rzekł — miłościwego pana gościć... anim wart...

— Miłuje bo was nad innych — odparł zasapany poseł.

Lubon głowę skłonił pacholcowi, który stał niedaleko; miodu kazał podać, aby się przybyły pokrępi, ale na twarzy więcej widać było zakłopotania, niż radości.

Miód wnet przynieśli, a Stogniew, który był u dworu knezia starszym, pił za zdrowie gospodarza i syna jego.

Potem, ledwie okiem rzuciwszy po podwórzu i zebranej drużynie, rękę podał i już na konia się sadził, a tak rażno znów na grzbiet mu skoczył, iż się aż patrzący zaśmieli. Ręką ich pozdrowiwszy dookoła, do wrót nazad ruszał; ledwie za nie wyjechawszy, konia pocisnął i już tylko tuman kurzu zwił się przez półko bez drogi ku lasowi.

Lubon też zaraz znikł. Szedł do znanego kamienia, na którym stara prządka siadywała.

— Matko — rzekł — licha nasza dola, choć część wielka... Knezia będziemy mieli, Mieszek przybędzie... A nie co go tu prowadzi, ino Hoża, bo mu już świeższej trzeba... Niechże się schowa, aby jej nie było... bo kocha on mnie, kocha... miłuje i czei, ale córkę od studni schwycić każe, aby tylko mógł...

Potrząsnął głową stary. Dobrogniewa też wstała, biorąc kądziel z sobą i poszła zaraz wnuczki szukać.

Było w obyczaju, że niewiasty gościom, zwłaszcza dostojniejszym, służyły, jadło i napoje przynosiły, sługi doglądały zdaleka, chociaż do stołu z mężczyznami nie siadały nigdy. Sposobiła się więc i Hoża wystąpić jako gospodyn i przybierała właśnie w izdebce. Dwie skrzynie malowane stały otworem, a niewieście stroje porozrzucane leżały. Hoża tylko co lśniące kosy pospłatawszy, wianuszek ruciany świeży miała kłaść na nie, gdy starucha z nieodstępną kądziela na progu się ukazała.

— Hej! — rzekła. — Stroju ty tego dosyć było... bo wam dziś rumianego liczką na gorące słońce nie wystawiać... Zaświeci nam tu takie, że spalić może i twarz i wianuszek zwarzyć... Niechaj Hożę główka boli... bezpieczniej w chłodzie przesiedzieć południe...

Dziewczę zdziwione patrzyło, gdy stara przytapiła, szepejąc:

— Mieszko, kneź, przybędzie tu... już o nim ojciec wie... i nie chce, byś się pokazywała.

Splonęło dziewczę i ręce jej od wianka opadły.

— Cóż ci żal? — zapytała starucha. — Ej! czego znowu? Wleź na strych a odsuń dranicę... będziesz wszystko widziała... a ojciec nie chce, aby na ciebie patrzano.

Hoża siadła na tapczanie i głowę zwiesiła.

— Wola pana a ojca, — będąc posłuszna — ozwała się. — Ani mi tak bardzo żal... aleby mnie też nie zjadł oczyma!

Dobrogniewa głową kiwała.

— Co ty wiesz, przepiórko ty młoda! — poczęła mruzczyć. — Co ty znasz?... Oczy jedzą! oj! jedzą! oczy! a z kneziami dziewczętom nie żartować. Już on cię, prawda, napatrzył raz, już słali od niego, że za siódmą-by cię brał, a ojciec mu powiedział—tylko za jedną i jedyną ją dam... A no, co? wówczas syna nie było? tyś mu była córką i synem... teraz Własta ma, czemu by cię za siódmą nie miał kneziowi dać?... Choć—ciszej mówiła stara—z tego syna, z tego Własta nikomu nie będzie pociechy... Niemiec w nim siedzi...

Widząc dziewczę zasmucone, stara się do niej zbliżyła, pogłaskała ją po głowie, usta do czoła przyłożyła, westchnęła i powoli wyszła napowrót.

W podwórku i pod drzewami coraz zaczynało być ludniej i gwarniej. Przybywali z okrzykami przyjaciele, powinowaci, sąsiady zdaleka nawet. Każdy przynajmniej ludzi i koni z sobą miał dziesiątek, więc czeladzi gromada jeszcze była większa niż gości. Za szopami, gdzie się to wszystko zbierało i gdzie już stało piwo, chleb i pieczone mięsa, wesołość i ochota też większa była, niż między panami. Śmiech, kiedy z tamtej strony buchnął, jak grzmot się rozlegał.

Już słońce się miało ku południowi, gdy sługa, posadzony na dachu, aby zdala o kneziu znać dawał, począł wołać, że od Poznania tuman kurzu się to-

czy. Luboń tedy z synem i powinowatymi a rodem całym i przyjaciół wyszli za wrota z chlebem i powitaniem, aby pana przyjąć poczestnie.

Kneziowie już ówczesi całę inną niż dawni mieli władzę. Sto lat wojen z Niemcami i sąsiady łupieżcami, choć jednego rodu a niezgodnymi, zwiększyły potęgę wodza i urósł mu zastęp zbrojny, co go otaczał; o wiecach dawnych, radach i swobodzie ledwie się kto śmiał odezwać. Jak czasu wojny kneź był już panem życia, śmierci i majątności, a choć zważał na to, by ludzi nie drażnić i starszyznąę czcil, nikogo o to nie pytał, co chciał poczynąć, a co chciał, to poczyniał i dokonał.

Piastów ród też niesrogi był, gdy zlej woli przeciw sobie nie widział; pamięć w nim jeszcze żyła, że z ludu wyszedł i między kmieciami powinowatych miał. Ale przeciwieństwa pan znosić nie chciał, aby nieładu nie dopuścić. Lękano się więc knezia i szanować musiano, i była przy nim siła wielka, a może większa, niż za onych czasów, gdy Pepelków zrzuceno za srogość i ciemięstwo.

Nim się orszak kneziowski ukazał, wszyscy goście z gospodarzem na czele u bramy już stali.

Mieszko, dojeżdżając do Krasnogóry, zwolnił koniowi kroku, i mieli mu się czas przypatrzeć, jak przodem na siwym koniu, w bok się wzięwszy, z pańską miną, głowę do góry wzniosłszy, jechał, uśmiechając się wesoło.

Odziany był płaszczem lekkim, a na sobie miał odzież letnią, ale naszywaną bogato, pas cały nabity złotem i ozdoby i pióro białe u czapki. Miecz też u pasa w pochwie wisiał złotej, sadzonej kamykami drogiemi. Na koniu siedzenie było purpurowe, lice także w rękę. Poznać w nim łatwo mógł każdy wojaka, tak na koniu bezpiecznie siedział i wiódł go, ani się nim troszcząc, choć siwy mu się rwał i zżymał.

Mieszko w samej był sile wieku, dorodny i urodziwy, brodę miał ciemną, postrzyżoną, włos piękny,

długi, spadający na ramiona, oko, choć ciemne, szafirowym blaskiem jaśniało, zarazem siłę wyrażając i dobroć, i radowanie się życiu a wesele. Usta podobnie rumiane, wydatne, wyraz miały męskiej drobroci i zdały się stworzone, by smakowały we wszystkim, co im świat, jako panu, podawał. Choćby na sobie nie miał oznak dostojenstwa, poznałby w nim już każdy pana i władcę, nawykłego do rozkazania, pewnego, iż mu wszyscy posłusznymi być muszą, a okraszającego swą siłę dobroduszością i miłością.

[Piękna twarz Mieszka, rumiana, świeża, oko pełne, czoło białe, pociągały ku sobie, ale czuć było w nich, że gdy je oblał płomień gniewu, strasznie się mogły zmienić i stać groźnemi.] W wejrzeniu też nie wszystko się wypowiadało, co było we wnętrzu, choć napozór oko patrzyło niezmrużone, wprost na ludzi, czasem błysnęło ono jakimś ogniem w głębi, jakby płomień buchnął z duszy, i wnet uśmiechało się znowu. Tak samo usta drgały czasem dżiko i wracały do dobrodusznego wyrazu.

Kochali go ludzie, ale drżeli przed nim razem, a przybocznici wiedzieli, że choć się na nic patrzeć nie zdawał, widział wszystko. Co dziwniejsza, były rzeczy, które odgadł, jakby je widział, choć podpatrzeć nie mógł. W dzień wesela, jak dziś, gdy jechał Mieszko zabawić się u ziemianina swojego, wyglądał raczej na sąsiada dobrego, niż na pana, ale gdy na wojnę konia dosiadł i do ręki miecz wziął, drżało przed nim, co żyło.]

I w zamku swym, w Poznaniu, gdy ze starszyzną się rozrywał przy kubku, albo ze swojemi niewiastami żartował, zdał się miękki, a jakby do niewieścich tylko bałamuctw stworzony, bo się w nich lubował też bardzo, ale to trwało tylko dopóki nie zapalono wici i na wojnę iść nie trzeba było. Zmieniał się wówczas rozkoszny pan na surowego wojaka, który ani głodu, ani chłodu się nie zląkł.

[Ze swymi się zabawiając, można sądzić było, że

tajemnicy żadnej nie miał, a otwarty był do zbytku; znali go przecie bliżcy, że więcej wiedział, niż powiedział, i chytrym być potrafił, gdy tego nastąpiła potrzeba.]

A z Niemcami tak umiał być, iż go najbystrzejsi nie zbadali. Co w myśli miał, tego nigdy nikt odgadnąć nie mógł. Starszyzna, co koło niego chodziła, co go mówiącego słuchała, nierazby była poprzysięgła, że jutro wypocznie, że na jutro o niczem nie myśli, a o świcie pan, co wczoraj dziewczętom sobie śpiewać kazał, jakby o niczem nie myślał, konia dosiadł i na granicę biegł. Nikt nie wiedział ni dnia, ni godziny, kiedy zawoła na koń...

Ludzi miał niepozornych, odartych, co doń wchodzili i wychodzili dniem i nocą, na żebraków wyglądających; z tymi się zamykał i kto wie, co im za rozkazy dawał, a co od nich za poselstwa odbierał.

[Więc, choć na pozór człek wesóły i pusty, Mieszko u wszystkich poważanie miał, bo nad nimi rozumem stał wysoko.]

Za kneziem jechało dwóch powinowatych jego przybocznych i Stogniew, co był nad dworem jego, i wojewodów dwu starych, i garść różnej młodzieży; wszyscy byli bogato przyodziani i zbrojni pięknie. Pan to był, co choć niewiele potrzebował dla siebie, wspaniałość lubił około dworu i ludzi.

Na widok Lubonia i orszaku jego, który stał z odkrytymi głowami, Mieszkowi twarz wesółą jeszcze się pięknie rozpogodziła. Konia wstrzymał, a podczas gdy Luboń do nóg mu się skłaniał, po ramieniu go uderzył, pozdrawiając. Drugim też głową skinął, a ci się do ziemi zgławszy, pokłon mu oddawali. Pacholek już konia brał i Mieszko zręcznie z niego zeskoczył.

— Ojciez Luboni — rzekł — nie prosiliście mnie na obchód wasz, a jam się wam sam zaprosił... Nie przyprowadziliście mi syna, więc sam go widzieć przybyłem.

Na te słowa Luboń, Własta przyprowadziwszy,

paść mu kazał do nóg pańskich, co gdy się stało, a Mieszko się ciekawie chłopakowi przypatrywał, rzekł gospodarz stary:

— Syn mi w niemieckiej niewoli przywiadł i zbiedniał, odżywić go chciałem nieco, nimby z nim przyszedł z powinną głową do stóp pańskich...

Mieszko, po ramieniu dłonią poklepawszy Własta, który milczący powstał, począł, wiedziony przez gospodarza, iść ku stołom w cieniu drzew ustawionym. Tu dla niego wcześniej wzniesiono stolicę, wyższą nad inne ławy, i Luboń całą ją okryć kazał suknem, a nad głowami knezia także sztukę sukna rozwieszono na gałęziach dwóch drzew tak, iż go od słońca i wszelakiego powiewu lub spadających liści chroniła.

Gdy szli, mogli postrzedz wszyscy, iż kneź się rozglądał wszędzie, jakby kogoś szukał oczyma, i gdy pod drzewami zdaleka ukazały się stojące w bieli niewiasty, które posługiwać miały, naprzód w tamtą stronę rzucił wzrokiem, i jakby zawiedziony, spuścił go prędko. Przez czoło jak pas przeszła marszczka jakaś i znikła.

Siadł tedy pan na wyższym miejscu, przed którym zaraz kubki i misy postawiono, aby wybierał, co chciał, i gospodarz sam z synem mu posługiwali. Drużyna opodał na ławach miejsca zabrała.

Ochoczo po skwarze wychyliwszy kubek, Mieszko, gdy podano misę, dzban i ręczniki, naprzód ręce umył i otarł, poczem chleb i mięso, i białe kołaczki, i wszelaką strawę przed nim ustawiono, aby pożywał, jako chciał.

Ani go prosić było potrzeba, bo jadł rad i pił dobrze, a znał go Stogniew i inni, że długo się z jadem zabawić nie lubił. Głód zaspokajał prędko, pragnienie gasił powoli; potem zaś, gdy było z kim, rad żartował i powiadać sobie kazał, co kto umiał i mógł. Był bowiem pan wszystkiego ciekawy, pamiętający, cokolwiek kiedy w życiu słyszał, i niegardzący rozumem niczym, chociaż swojego miał dosyć.

*Gdy jadł jeszcze a Luboń z Włastem przy nim stali, ozwał się zrazu do starego:

— A krasnej córki to waszej nam nie pokażecie?

— Chora mi jest od wczora — rzekł Luboń, — na głowę leży... Upał snąć jej zaszkodził.

Na to nie dał odpowiedzi żadnej. Począł się we Własta wpatrywać a pytać, co gdzie przez te czasy robił i bywał; zasłyszawszy coś od ojca, iż na dworze cesarskim bywał i do dalekich krajów na południe z nim jeździć musiał, poruszył się mocno, ciekawiej jeszcze wpatrując się w bladego młodzieńca i ciągle mu zadając pytania, na które ten krótko tylko i pomieszany odpowiadał.

Stogniew, który się też dowiedział o losach Własta, szepnął zaraz Lubonowi, iż kneź ciekaw niemieckich obrotów, pewnie syna jego na dwór zawezwie, aby mu o nich powiedział.

Nic nie odrzekł na to ojciec, bo mu się też serce ścisnęło.

Tymczasem u stołów ochota, choć poszanowaniem dla knezia hamowana, powoli coraz się żwawszą stawała.

Na onych ogromnych misach i deskach, na których pieczone mięsowa stały, widać już tylko było resztki kości poogryzanych, a i te rzucano psom, bo ich cała gromada, domowych i gościnnych, stoły otaczała.

Chwilami powstawała między niemi pod stołami sroga walka, którą ledwie panowie mogli pohamować.

Rosły z tego śmiechy nowe a bujne. Dziewczętom też, roznoszącym przy stołach napój i strawę, dostawały się wesołe żarty, od których kraśnieć i oczy sobie musiały zakrywać.

I wesoło bardzo zrobiło się pod drzewy, a kto by był miał czas spojrzeć ku dworowi uważnie, dostrzegłby był może na dachu odsuniętej draniczy i czarnego oka, które przez mały otwór przypatrywało się wesołej biesiadzie.

Przed Mieszkim postawiono wostatku jagody leśne i mleczyno, a stary miód, Piastowe pamiętający czasy, i obstała knezia gromadka starszych, a wszczęła się zrazu pusta rozmowa o koniach i o łowach, ale wnet w inną drogę zboczyła.

Mieszko postrzegł średnich lat mężczyznę, stojącego nieco na uboczu; zrazu jakby go nie poznał, wlepił w niego oczy i dumiał, chcąc sobie go przypomnieć. Potem do Stogniewa się obrócił, i palcem na tamtego wskazując, rzekł:

— Dobrosław ci to Wiotki, albo się mylę?

— On sam, miłościwy panie... — rzekł Stogniew.

— Co go tak długo widać nie było? — pytał kneź. — Kędyż się zadział... chory był albo zdziczał w lesie?...

Stogniew podstąpił do pana tak, aby nie mógł być od innych słyszany, i szepnął mu:

— Na Czechy jeździł, gdzie sobie na dworze królowej Drahomiry pokrewną jej dziewczkę zaswatał... A no, ludzie prawią, jakoby i ona innej wiary była... i on może dla niej na inną przysłał..

Kneź, nie odpowiedział Stogniewowi, na Dobrosława skinął.

Mężczyzna to był w wieku Mieszkowym, dojrzały, wyrosły jak dąb i śmiałego, otwartego oblicza. Znano go jako wojaka mężnego i otwartego słowa człowieka, który prawdę mówił i gotów ją był dłonią popierać.

Ułękli się więc wszyscy, aby się biesiada nie zamąciła gniewem pańskim, bo Dobrosław na ostatnią wyprawę nad Łabę się nie stawiał. Stogniewowi przykro się zrobiło, iż do tego powód dał. A Dobrosław na skinięcie szedł śmiało bardzo, do nogi się skłonił, jak należało, ale prędko głowę podniósł i spojrzął w oczy kneziowi niezłękniiony wcale, oczekując, co mu rzecze.

— Gdzież to samopas tak długo gościł, Dobrosławie? — zapytał Mieszko. — Wołaliśmy was do boku i nie przyszliście...

— Darujcie, miłościwy panie, domam nie był... żonę sobie szukał... — począł otwarcie Dobrosław.

— Albo to doma jej znaleźć było trudno? — spytał kneź.

— O dziewczki u nas niema biedy — rzekł Dobrosław. — Ale do tych, które znałem, serca nie miał... Dwie żon miałem z sąsiadów, obie mi pomarły... chciałem indziej szczęścia szukać.

— I kędyżście bywali? — bez gniewu i spokojnie począł pytać kneź.

— Zabiłem się aż na Czechy i na dwór króla Bolesława... tamem żonę zaswatał.

Mieszko zmilczał, popatrzył na Dobrosława i na tych, co dokoła stali, głową potrząsł.

— Cóżście tam widzieli na tym dworze? pewnie co lepszego, niż u nas? Oni tam już Niemcom służą i sami do nich stali się podobni.

Dobrosław, potarł brodę myśląc.

— Niemców tam nie widziałem żadnych, ni też niemieckiego obyczaju — odezwał się, — a dużom się przecie nauczył, miłościwy panie, bo oni na to się do Niemców zbliżają, aby lepiej wiedzieli, jak ich pożyć...

— A królaście widzieli? — zapytał Mieszek chmurno.

— Jakby nie? Na łowym z nim jeździł... i u dworum stawał niejeden raz... napatrzyłem się go dosyć.

— I co o nim trzymacie? — wtrącił kneź, mierząc oczyma Dobrosława.

Znów myślał nad odpowiedzią zapytany, a pochylili głowę i oczy w ziemię wlepił.

— Miłościwy panie — rzekł — mąż jest silny... tyle tylko wiem, mąż przebiegły wielce a władzy chciwy... lepiej go mieć druham niż wrogiem... tyle tylko wiem — powtórzył.

Teraz Mieszko nie rzekł nic, z kubka popił i na mówiącego popatrzył długo.

— Jutro na łowy pojedę — ozwał się po namyśle, — pojedziecie i wy ze mną, Dobrosławie.

Ten głowę pochylił i ustąpił; trwało milczenie trochę, skinął pan na Lubonia.

— Syna mi przyslijcie na zamek do Poznania... przy dworze go chcę mieć.

Usłyszawszy to, stary pobladł, zawahał się, mimowolnie ręce mu się splotły załamane.

— A! miłościwy panie! Jedynek on u mnie i tyle go lat nie było!...

I Luboń do nóg mu się chciał rzucić, gdy Mieszko, ręką go za ramię chwyciwszy, śmiejąc się, wstrzymał.

— Odbierać go wam nie myślę! — zawołał. — Ale opowiedzieć mi musi, co u Niemców widział. Na to mi jest potrzebnym... Oddam go wam napowrót, nie bójcie się... A po coby mi się zdał zresztą? — dodał Mieszko — blady i słaby... nie do miecza śnać urósł, albo go tam tak tą niewolą wyścieńczyli...

Luboń westchnął.

— Chciałem — rzekł — aby go tu odkarmiły baby moje i żeby biedę wydychał.

Kneź ruszył ramionami i nie odpowiadając już, na Stogniewa skinął, co on w lot zrozumiałwszy, pachółkom zdala stojącym dał znak, aby po konie szli. Mieszko nazad się wybierał do domu.

A jak tu przybył wesołym i dobrej myśli, tak dostrzegli wszyscy, iż po rozmowie z Dobrosławem i Luboniem już mu na czoło sęp wystąpił i usta się krzywić poczęły.

Może też spodziewał się najrzeć tu Hożę, którą dobrze pamiętał, a tej mu nie pokazano...

Gdy z siedzenia kneź się ruszył, wnet wszyscy też poczęli wstawać z ław i cisnąć się ku niemu. On szedł, nie patrząc na nikogo, prosto do wrót, gdzie już konie i poczet stał w gotowości. Tuż za nim kroczył Luboń z synem, Stogniew i inni, przeprowadzając.

Więc gdy siwego podawano, gospodarz podszedł

dziękować i za nogę ścisnąć pana, co też Włastowi uczynić kazał. Mieszko się trochę rozchmurzył.

— Nie skąpcieź mi syna — odezwał się do Lubonia, przysyłajcie go jeśli nie jutro, bo na łowach będę — to trzeciego dnia... A nie obawiajcie się o niego, bo go głodem nie zamorzę i nie mu się złego nie stanie u mnie.

Nic nie odpowiedział Luboń, a Mieszko, skinieniem głowy pozdrowiwszy otaczających, na plecy małego chłopaka, który je podstawił panu, jedną nogą się oparł i konia dosiadł raźnie. Inni też do swoich się brali, aby za nim nie pozostać i cały orszak książęcy z kopyta od wrót żywo popędził drogą, gdy zebrana przy Luboniu drużyna, czapki w górę podrzucając, okrzykiem go ścigała.

Znikł już w tumanach pyłu kneź, a gromada stała jeszcze, patrząc za nim. Luboń milczący zdawał się wolniej oddychać. Z panem oddalił się dwór cały, można było mówić swobodnie.

— Dobry pan — ozwał się Dobrosław — A no, patrząc nań, czujesz, że pan, choć to kmiecia krew nasza...

— Ani być winno inaczej — dodał Luboń, — bo pocóżbyśmy go nad sobą wysadzili, gdyby panem a wodzem nie umiał być?... Niech się go ludzie boją, byle się Niemcy lękali...

Na wspomnienie Niemców uśmiechnął się Dobrosław.

— Daleko nam do tego — rzekł, — by się oni nas obawiać mieli, mnieby na tem było dość, abyśmy się ich mogli przestać lękać... Patrzałem ja na nich zblizka...

I nie dokończył. Czekali wszyscy zaciekawieni, lecz Dobrosław odstąpił kroków kilka i już mówić nie miał ochoty.

Gdy przed kneziem Mieszkiem Stogniew o nim opowiadał pocichu, Luboń i Włast stali nieopodal, a Włast usłyszał, iż go za wyznawcę nowej wiary

miano... Zarumienił się, spojrział ciekawie na niego i radość mu w oczach zabłysła.

Teraz, gdy Luboń do miodu i piwa gości swych prosił, a Dobrosław nieco na bok ustąpił, zbliżył się ku niemu nieśmiało Włast i rzekł cicho:

— Chcę mówić z wami... chodźmy sami...

IV.

Niebardzo zważano teraz, co się z gośćmi pozostałymi działo; siedł każdy, gdzie chciał: jedni na żarty, gdzie biała pleć stała opodal na usługi gotowa, drudzy do kadzi... inni do psów, z którymi się chwailono, tamci do koni. Luboń starszych częstował.

Miał więc Włast sposobność między drzewa wprowadzić Dobrosława, gdzie sami we dwu byli. Ten, dawszy się wziąć, pierwszy pytać nie rozpoczynał; — czekał, wpatrując się w młodzieńca, idącego niepokojnie i widocznie niepewnego, jak ma zawiązać rozmowę.

Gdy już odeszli tak daleko od innych biesiadników, że im ich gałęzie zasłoniły, Włast poruszony, ze łzami niemal w oczach, żywo odpiął suknię, szczerze na piersiach zaslonioną, i ręką dobywszy z pod niej zawieszony na sznurku mały krzyżyk złocisty, ukazał go Dobrosławowi.

Na widok znaku tego niespokojnie obejrzał się Dobrosław zdumiony widocznie... chwycił to znamię, przyłożył do ust i pocałował... Tak się dwaj bracia w Chrystusie pośród pogan poznali.

Włast schował natychmiast to godło, i uściśnął Dobrosława... ze wzruszenia mówić jeszcze nie mógł...

Stali oba niemi, przejęci, strwożeni, ale szczęśliwi, że się zbliżyli i poznali.

— Skąd wiedziałeś, żeś ochrzczony? — zapytał Dobrosław.

— Musi to być wiadomem powszechnie — rzekł

Włast, — bo Stogniew o tem półgłosem kneziowi zwiastował...

Zamyślił się Dobrosław smutno...

— Niedarmo mnie też wezwał jutro na łowy! — westchnął. — Co mnie tam czeka... Bóg wie jeden...

Włast uściśnął go drżący.

— Kneź-by was miał prześladować? — zapytał.

— On, nie — odparł Dobrosław. — Ale się boi narodu, który w swoje bogi wierzy i przy nich stoi. Ciekawym jest pewnie nowej wiary, wie, że ją czeszy panowie przyjęli... że ona i u nas i wszędzie zawładnąć musi, — ale nim się to stanie, wyleje się wiele krwi, wiele krwi!...

Zadumany Dobrosław powtórzył to kilka razy, wzdychając.

— Powiedz mi co o sobie — dodał, jakby przebudzony, idąc w las dalej. — Gdzie ciebie ochrzczono?

— Na dworze cesarskim... chciał mnie pan i biskup Rawenny... po chrzcie przygotowali mnie na kapłana i — kapłanem jestem...

Gdy tych słów domawiał chłopak, z pokorą spuszczać oczy, Dobrosławowi zajaśniały źrenice; zalał ręce, podniósł je nad głowę i o mało wielkim głosem nie krzyknął. Pochylił się zaraz, sięgając po rękę Własta, którą pocałował z pokorą, a ten krzyż mu nad schyloną zakreślił głową.

— Tak, kapłanem jestem — mówił pocichu. — I wrocilem dlatego, aby tę wiarę szczepić między swymi... a trwoga mnie ogarnia, jak tego, co pada i nie ma gałęzi nad sobą, za którąby się uchwycił. Wy mi bądźcie tą gałęzią, miły bracie w Chrystusie... Radźcie mi... Dni już wiele świętej nie mogłem spełnić Ofiary... wszystko, co mnie otacza, odgaduje mnie i grozić mi się zdaje. Nie mam do kogo rzec z duszy słowa... Ojciec groźny, babka gniewna zmuszają mnie do życia, którego prowadzić nie mogę, co pocznę?

Zamyślił się Dobrosław długo.

— Ojciec mój — rzekł — bo cię ojcem, chociaż

młodsze, nazwać muszę. — Ja jedno tylko wiem, iż tu między narodem naszym, który Chrystusa nie zna, wiele przebaczone tym, co przybyli nawracać... Tak było w Czechach, nim kościoły stawiać poczęto i wyznawać wiarę, za którą Wacław zginął, a bratobójca ją trzymać musi i pokutę odprawiać. Nas chrześcijan... utajonych tu jest wielu... a dla ochrony życia milczeć musimy i cierpieć.

— Jest wielu? — podchwycił Włast, składając ręce jak do modlitwy — mówicie, iż wielu nas jest?

— Ale więcej jeszcze tych, co na nasze czyhają życie — dodał Dobrosław. — Bądźmy cierpliwi, bądźmy ostrożni, a ufajmy Bogu naszemu, który cuda czyni... tak mnie w Pradze na Hradzie nauczano.

Mówili jeszcze, gdy nadbiegł szukający Własta niespokojny Jarmierz, bo się ojciec o niego dopytywał i słał za nim; musieli się więc rozstać, aby podejrzania nie obudzać, i Dobrosław inną drogą udał się ku biesiadującym.

Jarmierz dziwnie jakoś popatrzał za odchodzącym. Między nim a Włastem stosunek był i uczucia do określenia trudne. Dla dawnego ulubieńca pańskiego, którego się przybranem dzieckiem być spodziewał, Włast nie był miłym. Jarmierz złego mu nie życzył, a nie mógł jednak wstrzymać się i pohamować zazdrości.

Usiłował zbliżyć się do niego od pierwszego dnia; Włast mu był przyjaznym, serdecznym, a jednak czuł Jarmierz, iż mu się całkiem nie zwierzał — i że między nimi stała jakaś zaporą, co ich dzieliła. Obawiali się jeden drugiego.

— Cóż to się stało, żeście z Wiotkim odeszli? — zapytał Jarmierz.

— Pytać mnie chciał o Niemcy, jak i inni — rzekł Włast. — A mówiąc, odeszliśmy w las, sami o tem nie wiedząc.

I na tem zakończyła się rozmowa. Syn do ojca pośpieszał, bo go po jednym już odjeżdżającym są-

siedzi żegnali, a Luboń u boku swojego syna mieć chciał, aby z nim przyjaciółom dziękował.

Stary, jak poprzedzających, tak i tego dnia, na oku miał syna, niepokoił się nim. Jarmierz mu o modlitwach jego i praktykach jakichś niezrozumiałych donosił; domyślał się w nim, jak stara Dobrogniewa, skrytego chrześcijanina, i wiarę tę nową wytepić w nim co najrychlej pragnął. A zdało się staremu, iż tego łatwiej niżem dokonać nie potrafi, jak dając mu żonę i nałamując go do obyczaju swojego, do łowów i wojny.

Właśnie tego dnia ze starym Słomką, powinowatym sobie, Luboń się był przy kubku rozmówił na osobności. Słomka miał córkę Mładę, dziewczynę lat piętnastu, piękną bardzo, której wdzięki słynęły już na okolicę.

Jak inni, tak i Słomka obawiał się o swoją, aby mu jej na dwór do Poznania za siódmą, czy ósmą dla Mieszka nie wzięto, bo baby latały po całym kraju, żon panu dostarczając... a krasa za posag stała.

Wzdychał Luboń, przyznając się przed powinowatym, iż się o Hożę lęka, a on też wyznawał, że ma strach o Mładę.

— O tę się bać nie masz co — rzekł, rękę mu kładnąc na dłoni, Luboń. — Daj mi ją dla syna... Poślę swaty... jak jej czepiec włożą, — nikt nie będzie śmiał dotknąć, by najpiękniejszą była. Daj mi Mładę dla Własta!

— Czemu nie? A byle więcej nie brał już nad tę jedną — rzekł Słomka.

— Niema u nas tego zwyczaju, — jeno u kneziów, u takich, których bujna krew każe zapominać o sromie... — Myśmy wszyscy po jednej mieli — mówił Luboń.

— I my z wieków — dokończył Słomka, a gdzie u ogniska dwie albo trzy, tam ni ładu, ni wstydu, ni pokoju... Dam Mładę za Własta...

Ścisnęli się za ręce.

— Ale starym obyczajem — ze swaty i obrzędem... a niech ją Włast choćby najrzy przód, bo przeciw woli dziecka nie chcę ani dać, ani narzucać.

Luboń się uśmiechnął.

— Dwoje młodych, a czemu by woli ku sobie nie mieli mieć? — odparł. — Nasza tu, nie ich wola ma rządzić...

Poszeptawszy jeszcze z sobą, rozeszli się zgodni.

A gdy Włast do ojca przybył, aby z nim żegnać odjeżdżających, i Słomka przystąpił, Luboń kazał synowi do nóg mu się pokłonić, choć nie mówił, dlaczego.

— Stary druh i powinowaty nasz — zamruczał. — Jak ojca go pożegnaj.

Włast posłuszny, spełnił wolę jego.

Jeden tak za drugim sąsiedzi, naprzód dalej mieszkający, potem bliżsi, rozjeżdżać się zaczęli, a ostatni już późną nocą, o młodym księżycu ruszyli.

I Hoża teraz wyszła z ukrycia swojego świeżem powietrzem odetchnąć.

Włast był znużony i na uboczu siadł spoczywać. Służba zabierała stoły, kubki po ziemi leżące, próżne kubły, dzbany i kadzie.

W dali słychać było śpiewy odjeżdżających. Wieczór cichy, spokojny, po dniu pełnym wrzawy, nastąpił.

Luboń ze starą matką szeptali coś pocichu, gdy Włast, któremu już dano wolność, po krótkiej rozmowie z siostrą, do swojej szopki wysunął się na modlitwę.

Ale tu na niego czekał Jarmierz. Miał czas się rozmyśleć, ciążyło mu to, że z Włastem szczerze się zejść nie mógł, chciał z nim pomówić otwarcie. We drzwiach szopki się spotkali, Jarmierz zwyciężył zazdrość i niechęć, jaką miał do dawnego towarzysza młodości, i idącego za rękę ujął.

— Właście — rzekł cicho. — Siadźcie tu trochę, ja z wami chcę, jak brat, pomówić otwarcie, — pozwólcie.

— Owszem, bracie mój — mów... ja ci życzę dobrze.

— I ja wam, piorun niech mnie ubije, — prawdę mówię — zapalczywie dodał Jarmierz. — Będę szczerym... Dwanaście lat was nie było... stary tęsknił do ostatka i przetęsknić nie mógł. Nie było kogo kochać, polubił mnie... jam Hożę pokochał. Szło na to, że ja mu synem być miałem — teraz... powiedzcie, co teraz będzie?...

Włast go uściśnął.

— Jarmierzu mój — odezwał się. — Jeżeli cię Hoża kocha, a ojciec pragnie, czyż jabym ci stanął na przeszkodzie? Ja, wierz mi, bracie! ja... nie i nikomu nie odbiorę... nawet to, co mi po ojcu należy... ja ani pragnę mieć, anim zdolny tem władać. Wiesz mnie — słaby jestem, nie wojak...

Spuścił głowę... Jarmierzowi żal się go zrobiło i uściśnął go w mileczeniu.

— Ja też wam nie myślę ojcowizny odbierać — rzekł, — anibym mógł, ni chciał; pomóżcie mi tylko do Hożej, a bądźcie mi bratem. Przysiążmy sobie braterstwo... i służmy sobie, starym obyczajem — jak pobratymcy.

— A! mój Jarmierzu, bez innej wszelkiej przysięgi — odezwał się Włast — zawierz mi, bratem ci jestem i będę.

— A ja ci dam pierwszy dowód — odezwał się Jarmierz, zniżając głos, — że ci dobrze życzę i bratem jestem... Was stara babka i ojciec, i wszyscy posadzają, żeście wy nową wiarę przyjęli.

— A gdyby tak było? — wzdychając, cicho zapytał Włast.

— Niech to złe odejdzie od nas! — zawołał Jarmierz. — Nie mówcie tak, ani się przyznawajcie do tego, ani myślcie!... Nie znacie starej Dobrogniewy: strułaby was, choć wnuka... Nie znacie ojca... wyrzekłby się was, jak wroga!

Głos mu się trząsł, mówiąc, ale przestraszony, zniżył go i kończył szeptem cichym:

— Nie mówcie tak, bo to być nie powinno i nie może... Luboń-by na to nie pozwolił nigdy... Ale posądzają was... ja sam, — może ja sam winiem temu... ja nie wiem! Pytali mnie — mówiłem, że jakieś dziwne przed nocą i rano odprawujecie obrzędy — przyznaję się — możem nie powinien był mówić o tem.

Włast milczał.

— A gdyby was tam i zepsuli—ciągnął Jarmierz— trzeba, wróciwszy do domu, do swoich bogów powrócić. Zmuszą was do tego... Słyszałem dziś, Luboń się ze Słomką umawiał, dadzą wam za żonę Młade.

Włast oczy sobie zakrył i jęknął.

— Nie mów mi tego.

— Cóż to pomoże? — kończył Jarmierz — Młada, widziałem ją raz w lesie z matką — piękna, jak bogini Dziewanna... biała, śmukła, wesoła, z oczyma niebieskimi... Ona was, wy ją pokochacie.

— Bracie mój — po chwili posępnie odezwał się Włast, — coście wy mnie mówili, poszło z pocziwego serca. — I ja wam wyznam wszystko — tak... ja jestem chrześcijaninem i nie przestanę nim być, choćbym za to umrzeć miał!

Nastąpiło milczenie długie... Jarmierz patrzył zdziwiony na niego i głową trząsł.

— Ojcu musicie być posłuszni!

— Tak, lecz mam w niebiosach Boga mego, któremu winienem większe jeszcze posłuszeństwo...

Mowa ta była już dla Jarmierza niezrozumiała, lecz pytać się nie śmiał; uściśnął Własta, który odzyskiwał powoli przytomność po krótkim wzruszeniu, co mu ją było odjęło.

— Spokojnym bądź — odezwał się do Jarmierza. — Nasz Bóg opiekunem jest i cuda czyni, ale Mu wiernym pozostać potrzeba. Bądź spokojnym. Jeśli ojciec mój ziemski Ojca mego niebieskiego zdradzić mi każe, pójdę stąd... zostaniesz ty sam i będziesz staremu dziecięciem i pociechą.

— Jako? porzuciłbyś wszystko? ojca? siostrę? dom? bogactwa wasze? dla...

— Tak — odparł Włast. — Nie pytaj mnie, dla czego i kogo. Ja ci więcej powiedzieć nie mogę dziś... ale ci przysięgam — porzucę wszystko, abym ocalił więcej, niżeli to wszystko!!

Zadumany, przeleky prawie Jarmierz, stał przed nim, słuchając i uszom nie wierząc, patrząc i nie wierząc oczom, bo twarz Własta, zamiast być smutną i strwożoną, promieniała weselem i jakby dumą zwycięską.

Dokończywszy tych słów, Włast uściśnął prawie wesoło Jarmierza, i nie kryjąc się już przed nim, ukląkł wnet na modlitwę...

Ta także była dla poganina jakimś zdumiewającym zjawiskiem. Przy obrzędach pogańskich widywał szal i obłąkanie prawie, nie widział nigdy człowieka tak spokojnie, ze łzami, z męstwem rozmawiającego z niewidzialnym duchem. Czuł on, że to była rozmowa, że w ciemnościach tej nocy, dla oka niedostrzeżona potęga jakaś dźwigała tego, tak słabego napozór człowieka, dając mu siłę i męstwo dziwne. Wszystko, co mu Włast powiedział, dawało do myślenia, napelniało trwogą, jak objaw nowy świata nieznanego...

Jarmierz zamyślony stał tak, patrząc na modlącego się Własta i dreszcz go przebiegł jakiś.

Modlącemu mieniła się biała twarz, oczy jaśniały blaskiem dziwnym, piękniejszym się stawał, innym. Jarmierzowi zdało się, że jakaś jasność otaczała głowę młodzieńca.

W cichości, na palcach, z trwogą cofnął się do szopki i przystanął w jej progu, nie mogąc pochwycić wątku własnych myśli. Własta mu żal było, a przytem ciekawość gorącą obudzała ta tajemnicza jakaś wiara, co taką dawała siłę, takie męstwo słabej istocie, taką pogardę wszystkiego, co człowiekowi najdroższe.

Stał wsparty u słupa, niemy, aż dopóki westchnię-

nie i ruch nie oznajmiły mu, że Włast wstał i zabierał się do spoczynku. Naówczas i Jarmierz zwłókl się na swe posłanie, nie mówiąc słowa, okrył opończą, i nie mogąc zmrużyć oka, pozostał tak prawie do dnia brzasku.

Następnego dnia Luboń, który nalegał ciągle na syna, aby się przyuczał do męskiej zabawy, kazał Jarmierzowi jechać z nim na łowy, w las, sam po dniu wczorajszym czując się znużony... Zbudził więc Jarmierz zawczasu Włastę, który, pomodliwszy się, posłuszny jechać z nim musiał.

Dodano im psy i kilku ludzi w pomoc, i nim rosa oschła, a we dworze żywszy się ruch rozpoczął, ruszyli z Krasnejgóry lasami wprost do ostępów, w których zwierza się znaleźć spodziewali.

Włast jechał milczący, jak gdyby jeszcze się modył. Jarmierz za niego i za siebie łowów musiał dozierać, gdyż Luboń, sam łowiec doskonały, ścierpieć nie mógł powracających z próżnemi rękami.

Granice puszczy naówczas nie były tak ściśle oznaczone, jak później, a panującemu służyło prawo łowów wszędzie, gdzie chciał. Byli właśnie w ostępie, wskazanym przez ludzi, w którym stado kóz napewno znaleźć mieli, gdy Jarmierz, przodem ciągle podążający, zawrócił się nagle ku Włastowi i dał mu znak, aby się zatrzymał. Pacholcy, towarzyszący im, a z boku straż trzymający, cofnęli się nagle, jakby przestraszeni. Włast nie wiedział, co by to oznaczać miało, gdy Jarmierz, nadbiegłszy, szepnął mu, że Mieszko właśnie w tej puszczy polował. Musieli więc niezwłocznie uchodzić i szukać sobie gdzieindziej zwierza.

Jeszcze rozmawiali z sobą, gdy z za gęstwiny ujrzeli wychodzącego knezia, za którym kroczył Dobrosław. Oba zdawali się więcej zajęci rozmową, niż myśliwstwem. Orszak łowiecki knezia pozostał był w tyle, a Mieszko uważnie się przysłuchiwał, co mu towarzysz opowiadał. Mieli już ustąpić, gdy kneź podniósł głowę i Włastę zobaczył. Poznał go zaraz i po namyśle skinął nań.

Młodzieniec, zsiadłszy z konia i zdjawszy z głowy okrycie, pieszo się zbliżył do knezia, który stał, lekko oszczep trzymając w ręku.

Dnia tego na łowach kneź odziany bardzo prosto, bez żadnych oznak dostojności, mimo sukni szarej i czapki, jaką wszyscy nosili, Mieszko przecież tak pańsko wyglądał, że w nim władającego krajem wodza poznać było łatwo.

Dobrosław też wojacką i piękną miał postać, ale gasł przy tym silnym i rozkwitłym bujnie mężu, który samym wzrokiem wrażał posłuszeństwo.

Na zapytanie, co w tym lesie poczynął, Włast rzekł, iż z rozkazu ojcowskiego na łowy jechał.

— Wyślijcież łowców swych, gdzie chcą — rzekł Mieszko — a sami, gdy już tu jesteście, zostańcie przy mnie.

Choć niebardzo rad rozkazowi pańskiemu, Włast szepnął słów kilka Jarmierzowi, który natychmiast ustąpił ze swymi, a sam za Dobrosławem stanąwszy, nie wiedząc, gdzie się ma podziąć i co czynić, pozostał, czekając dalszego rozkazania pańskiego.

Chociaż na łowach byli, nie zbierało się na żadne myśliwstwo. Dwór pozostawiwszy za sobą, Mieszko szedł, jakby przechadzki używając, rozmową z Dobrosławem zajęty. Ustała ona, gdy Włastę postrzeżono; Mieszko stanął, jakby namyślając się, wiązający na ramieniu róg mały do ust wziął i parę razy się ozwał.

Zaszumiały wnet gaszcze z obu stron i liczna gromada nadbiegła. Kneź zawołał do siebie Stożniewa.

Stali właśnie na małej łączce, zewsząd drzewami ocienionej. Mieszko się obejrzał dookoła; ziemia była wilgotna. Kazał z koni zdjąć sukno, posłać je na trawie i legł na niem. Przyniesiono kobiałkę z pieczonem mięsiwem i barylkę miodu, którą przed kneziem ustawiono. Dobrosław i Włast stanęli opodal nieco.

— Stożniew — rzekł kneź. — Wy poprowadźcie

lowy, ja spocznę. Dobrosław i Włast Luboniów zostaną przy mnie. Jeśli na nas napędzicie zwierzyne, tem lepiej, a nie...

Ruszył ramieniem i skinął ręką.

Zrozumiawszy wolę knezia, Stogniew skoczył do ludzi, co się zdala byli kupą ścisnęli, i począł wydawać rozkazy. A nim krótka upłynęła chwila, kneź sam pozostał z dwoma towarzyszami.

Oczyma zmierzwiwszy bacznie dwór swój, który śpiesznie i wrzawliwie w las pędził, Mieszko popatrzał na Włast, jakby go okiem chciał wybadać, i zbliżyć mu się rozkazał.

— Tyś był między chrześcijanami? — zapytał. — Długo?

— Dwanaście lat, miłościwy panie — odparł Włast. Poruszył głową Mieszko.

— Znasz więc ich dobrze?

— Lepiej, niż teraz mój własny kraj — odezwał się zapytany.

Zdawało się, że jeszcze pytanie jakieś na ustach knezia krążyło. Włast z trwogą myślał o tem, co pocznie, jeśli go Mieszko spyta, azali i on chrześcijaninem nie został? Sumienie nie dozwalało mu zaprzeć się Chrystusa, a wyznając wiarę, nie miałże, jak ci, o których mu opowiadano w Rawennie, cierpieć za nią męczeństwa i śmierci? Myśl ta przeleciała błyskawicą i zrodziła w nim raczej dumę niż trwogę!

Ale kneź, którego wargę się już poruszyła, zamilkł i nie zadał mu tego pytania. Przytomny Dobrosław pobladał był, spoglądając na Włast. Nie można było odgadnąć, co myślał Mieszko o chrześcijaństwie. Obok zamku stała kontyna pogańska Jessego i kneź chadzał do niej, wyroczni pytał, wieszczków słuchał i obyczaj zachowywał stary. Wiedzano jednak od ludzi, że ilekroć trafiło się spotkać obcego i takiego, co z chrześcijanami i chrześcijaństwem obcował i mógł je lepiej poznać, kneź troskliwie się dopytywał, badał, szczegóły sobie opo-

wiadać kazał, a potem zamyślał dziwnie. Lecz w naturze miał to Mieszko, że do czynu skorszy był, niż do słowa, i nie mówił, ani się zwierzał nigdy nikomu, co miał począć, wręcz rozkazy dając bez namysłu. Myśli też jego odgadnąć nie śmieli nawet najbliżsi; Stogniew przyznawał się, że ilekroć domyślać się chciał, omylił się zawsze.

Po tem pytaniu, które na wardze umarło, Mieszko pomleczal trochę, Własta kilkakroć oczyma jeszcze przemierzył z ciekawością, i obrócił się do Dobrosława.

— Mów — rzekł — jak ci się zdało!... są oni więksi i silniejsi od nas na Hradczynie, a Bolesławy te czeskie? są oni bogatsi? — są oni nam straszni?

A gdy Dobrosław z odpowiedzią się ociągał, dodał:

— Tak, jak Niemcy mają jedną stolicę i jedną głowę cesarza, tak naszej mowie trzeba jednego pana i jednej ręki, inaczej nas Niemcy zjedzą.

— Maż Bolesław tę siłę, aby zagarnął nas wszystkich i mnie? — mruknął Mieszko, ostatni wyraz prawie niedosłyszany wymówiwszy głosem. — Mów, a nie kłam mi pochlebstwem. Tych, co mi nogi liżą, mam dosyć.

Dobrosław oczy trzymał w ziemię wlepione.

— Miłościwy panie — odezwał się, zwolna cedząc słowa, — jeżeli siłę na setki i tysiąc wojowników liczyć mam, to ich nie rachował, nie wiem; jeżeli na rozum, to mi Bolesław nie zdaje się mędrszym nad innych. Przecież on jedno wie, iż Niemców bić trzeba się u nich samych uczyć. Dlatego od nich nie stroni, często się łączy z nimi, kłania się im, ale tylko dlatego, aby ich zmógł lepiej.

— I przeto przyjął ich wiarę? — spytał Mieszko, w oczy patrząc Dobrosławowi.

Na odpowiedź nierychło się zebrał zapytany i rzekł:

— Nie wiem...

Milczeli trochę, a kneź jadł i popijał, uśmiechając się jakby sam do siebie.

— Gdyby nas dwu poszło w zapasy z Bolkiem o lepszą — zaczął, — jak ci się zda, kto by z nas został powalony?

— Kto losy wojny może zgadnąć? — odparł Dobrosław. — Ale pocóż wojnę poczynąć?

— Hm, wojna się sama począć może, niepoczynana przez nikogo... A co tam o nas trzymają?

Dobrosław zawsze z wolna zbierał się na odpowiedź.

— Wiedzą, że miłościwy pan silnym jesteś, ale oni tego, kto się do chrześcijan nie liczy, groźnym nie sądzą.

— A dawnoż oni do nich przystali? — zawołał Mieszko szydersko. — Drahomira, matka Bolkowa i on, jeszcze się oboje kłaniali swoim bogom... Alboż Bolko chrześcijaninem jest? — dodał Mieszko. — Albo brata, co nim był, za to, że nim był, nie zabił?

— O tem na dworze kneźa mówić niewolno — a szepczą różnie — rzekł Dobrosław. — Waclawa zamordowali dworscy Bolkowi, sądząc, że na ich pana życie nastawał.

— A Ludmiłę? — podchwycił Mieszko szydersko.

— Spraw tych nie wiem dobrze — odezwał się Dobrosław, — ale to wiem, com na swe oczy oglądał, że Bolko do świątyni nowej na Hradczynie chodzi i wiarę swą trzyma.

Mieszko nieco podniósł głowę i zwrócił ją ku Włastowi.

— A ty? — zapytał. — Powiedzże mi ty, co chrześcijan znasz, jaka ta wiara ich jest? ciężka? straszna?

— Niespodziewanie podchwycony pytaniem tem, Włast oniemiał zrazu, nie wiedział, co ma rzec, młodził się w duchu o natchnienie i sam nie wiedząc jak, odezwał się z zapalem.

— Miłościwy panie, wiara to jest, co zaprawdę człowieka szczęśliwym czyni, zbroją mu jest, karmią mu jest, światłem i siłą!

Słyszając te słowa, Dobrosław pobladł, ale spojrział z poszanowaniem i z trwogą niemal na natchnionego młodzieńca.

Kneź też, nie spodziewając się odpowiedzi tak śmiałej, oniemiał na chwilę, oczyma przeleklemi zmierzyl mówiącego i mruczał sam do siebie. Włast stał, gotów choćby na męczeństwo.

— Mówią — odezwał się, — że człowieka ona dręczy i morzy, i wzbrania mu wszystkiego, — prawda-li to jest?

Młodzieniec, który już czując się natchnionym z góry, ważył się choćby na życia utratę, nie mierzył więc słów swoich.

— Miłościwy panie — począł — gdy człowiek bierze z pola dzikiego konia, albo sokoła z gniazda, aby go nauczył i rozumu dał mu siłę, musi go morzyć głodem, bezsennością i znużeniem; tak wiara czyni z człowiekiem dzikim, aby z niego zrobiła istotę nową na obraz Boży.

Mieszko zmarszczył brwi, powtarzając dziwnym głosem:

— Na obraz Boży! na obraz Boży! Coś ty rzekł?... —

Tak uczy ta wiara! — powtórzył Włast.

Kneź oczy spuścił i zadumał się. Zdawało się, że zapomniał na czas jakiś, kędy był, z kim i co go otaczało. Milczał, zatopiony sam w sobie. Włast stał przestraszony razem i dumny sobą.

— Na obraz Boży! — powtórzył raz jeszcze Mieszko — więc ta wiara daje człowiekowi siłę nadludzką?

— Tak jest, miłościwy panie — rzekł Włast.

— I zwycięstwo, i potęgę, i panowanie — mówił Mieszko.

— Daje, gdy człowiek na nie zasłuży.

— A czemu je kupić może? — pytał Mieszko.

Włast milczał nieco.

— Miłościwy kneziu — rzekł — nie w kilku słowach da się zamknąć ta wiara, pełna tajemnic i cudów, ani ją usta ludzkie wypowiedzieć zdołają łatwo. Cuda ona sprawia, lecz na nie ciężko pracować potrzeba!

— Ale je za skarby też i bez pracy kupić można? — rzekł kneź.

— Nie — odparł Włast; — złoto i skarby są tam rzeczą pogardzoną i marną.

Mieszko poprzestał pytać. Zdawało się, że się lękał zwrócić oczów na śmiałego chłopca. Wzrok skierował ku Dobrosławowi znowu.

— Zaszataliście sobie dziewczkę na dworze Bolkowym, mówią ludzie — odezwał się, nieco zniżając głos. — Musi to prawdą być? Pojedźcie do Pragi, nad Hradszyn?

— Czyżbyście miłość wasza wzbronili mi tego? — rzekł Dobrosław.

— Nie bronię — rzekł Mieszko, — owszem, posłem chcę was mieć. Jedźcie do Pragi, ale nikt o tem wiedzieć nie ma, co rzeknę.

Zwrócił się do Własta, dając mu znak, by i on milczał.

— Ani mówcie, żem ja was posłał na zwiady — kończył kneź, — ale od siebie na dworze pytajcie, ażaliby nie radzi mnie tam byli? Ażaliby Bolko z Mieszkim nie podali sobie rąk i nie połączyli się przeciw wspólnemu wrogowi? Mówcie od siebie — nie ode mnie, bo się nie godzi, abym ja prosił; mnie tylko rozkazywać przystało. Zrozumiejcie ich, gdybym przybył do nich, jakby mnie oni przyjęli?

Wzrokiem dokończył kneź.

— Rozum miejcie — dodał.

— Uczynię wedle rozkazania — z radością prawie odezwał się Dobrosław.

— I nikt o tem wiedzieć niema! — powtórzył kneź.

Tych słów dokończywszy, podniósł się rzeźko Mieszko, stanął, podparł w boki i uszu nadstawił.

Od kilku chwil już psów glosy na ostępie słyszeć było i zdało się, jakby się one zbliżały coraz. Mieszko oszczep wziął do ręki i nakazał milczenie.

Las grał zdala ogarów gonem. Z okiem zaognionem kneź pośpieszył kroków kilkanaście naprzód. Rozmowa, którą toczył przed chwilą, zdawała się

już zapomniana, cały był w łowach, nie patrzył nawet na Własta i Dobrosława, którzy za nim pozostali, czekając rozkazów.

Coraz wyraźniej słyszeć było pogoń za zwierzem, chrzęst gałęzi i okrzyki. Mieszko za grubym pniem dębu stał z niecierpliwością namiętnego myśliwca.

Wtem w krzakach chrapanie i łomot się dał słyszeć tuż prawie i stary dzik ze spienionym ryjem wypadł, dysząc, z gęstwiny, wprost na knezia i w tejże chwili oszczep jego tkwił już głęboko, ciśnięty silną dlonią, w zakrwawionej bestyi, która, rzuciwszy się jak wściekła, biegła na Dobrosława.

Miał i on oszczep w rękę, i uskoczywszy nieco, uderzył nim na dzika.

Włast ustąpił, nie wiedząc, co ma czynić, lecz tuż nadbiegli kneziowscy ludzie, którzy rozjuszony stworzenie chwycili i przytrzymali; psy też rzuciły się na pastwę i dzik legł zwyciężony na ziemi.

Radosny okrzyk ozwał się po lesie. Kneź, zdala patrząc obojętnie, kazał Stogniewowi sobie konie podawać, i łowy na ten dzień były skończone.

Już na konia wsiadłszy, rzekł kneź Dobrosławowi, aby do domu wracał, a Włastowi za sobą jechać polecił, i cały orszak, zebrawszy się w gromadę, milcząc, posuwał się ku grodowi do Poznania.

V.

Gród, wznoszący się na prawym brzegu Warty, nad Cybiną, nie odznaczał się na oko wspaniałością wielką, ale rozległy był i dosyć warowny, choć mógł się nie lękać napaści, bo go samo oddalenie od nieprzyjaciół broniło.

Wysoki wał opasywał go zdala, ostrokoły i tyny obejmowały drugiem kole, domostwa jednak w nim, zawarte wszystkie były z drzewa i stolbu nawet mu-

rowanego nad nim nie było widać. Ziemny usyp obejmował razem kneziowskie dwory, świetlice, komory, stajnie, świrnie, odryny, szopy i nieopodal od rzeki odosobnioną stojącą świątynię Jessego, którą otaczał małe gaje prastarych drzew, tak, iż jej zdala z pośrodku zielonych gałęzi prawie widać nie było.

Zbudowana wzorem innych kontyn, opierała się na słupach rzeźbionych i malowanych, między którymi wiszące sukienne opony zastępowały ściany. Za nimi dopiero był przybytek osobny, kapłanom tylko dostępny, drewnianymi ścianami zamknięty. W pośrodku chowano stancie wojenne, noszone na wysokich tykach posągów bogów, które miasto chorągwi służyły: tu wróżbici i gęślarze, będący na straż, opowiadali przyszłość za pomocą ognia, wody i ziemi.

Nie rozkazywał tu nikt, okrom samego pana, który był razem władcą świątyni i zamku. Pod jego rozkazami stali wróżbici, wieszczkowie, śpiewacy i wszystka posługa przy chramie. Gaje święte, którymi go dokoła otaczał, stanowił granicę, której swawolnie przekroczyć nikomu się nie godziło.

Świątynia była zarazem skarbcem wojennym i książęcym. Stała przy niej straż przez dzień i noc, przemieniając się nieustannie.

Od niej na gród i na dwór Mieszków nie było daleko. Zalegały domostwa pańskie przestrzeni znaczną, a pobudowane były wszystkie na kamiennych podkładach, z drzewa grubego ciosanego, i wyrzynanego misternie, malowanego w barwy kraśne. Gdzieś niedaleko potworna głowa jakiegoś zwierzęcia, wyrobiona dziwnie, wznosiła się u dachu i przy czulków.

Od przodu dworu były izby i komnaty rozleglejsze, z ławami i stołami dla zgromadzeń większych przeznaczonych; w każdej z nich na stopniu podwyższonym stało siedzenie pańskie, czyli stolica kneziowska, suknem krasnym okryta.

Wielka w niektórych sprzętach prostota łączyła

się z przepychem i bogactwem dziwnie od niej odbijającym. Tam, gdzie zwykle biesiadowano w dni uroczyste, kute jakby od siekiery i młota, leżały i stały mnogie naczynia ciężkie, ze srebra a nawet złota, niektóre kamieniami ledwie ogladzonemi nasadzone.

A koby był zajrzał do skarbcza, gdzie łupy wojenne składano, zdziwiłby się mnogości niezmiernej na stosy zrzuconych naczyń, blach i sztab kruszców drogich. I na orężu, jeśli nie dla całych zastępów, to dla pańskiej drużyny, też nie zbywało, a był on zdobyty w części na pobitych Niemcach, w części na przybyłych ze wschodu i zachodu. Spotykały się tu rzymskie oręża dawne i wschodnie, z Azji przypiesione, kaftany łuskami nazywane ręką wprawna i kawały blach zbroi miedzianych i żelaznych; łuki z nad Czarnego morza, topory normandzkie, siekiery nadreńskie, miecze z krajów, których imienia nikt nie znał, wyroby północy i południa, włoskie i scytyjskie, z czasów różnych, ze światów wielu, drogami handlu i wojny zwleczone na kupę.

Dwór książęcy był liczny, bo stanowił przyboczne wojsko Mieszka. Co najlepsi wojacy stać tu musieli zawsze w pogotowiu, tak jak po innych grodach, przy żupanach i starostach oddziały czekały ciągle na zawołanie, wraz z panami swymi. A gdy na wojnę iść było potrzeba, skinał tylko Mieszko, wychodząc ze swoimi, aby inni za nim szli, i ciągnęło, co żyło.

Liczba tych pułków co roku rosła i zwiększała się, ale co roku też i niebezpieczeństwo od Niemców, już panujących za Łabą po Odrę, powiększało się i mnożyło. Z markgrafami u granicy, wdzierającymi się we wnętrze, walka była nieustanna.

Serbowie nadlabbiańscy coraz się słabiej bronili, wiele plemion znękanych przeszło do wrogów i z nimi chodziło przeciw swoim na łupieżę; wkrótce cała waga niemieckich sił, sprzymierzonych z Czechami, na Polanach i Mieszku miała zacieżyć.

Czul kneź, że się teraz ważyły losy ludów jednego rodu i języka, i że on albo miał je bronić od zagłady, albo paść z nimi.

Najeżdżane też miry polańskie wszystkie już nie o starych swoich swobodach myślały, ale o własnej obronie, i choć kneziowska moc rosła, wołały jej ulegać, niż w jarzmo iść niemieckie.

Na rozdartych ziemiach Słowian działo się różnie, a walka wrzała ciągle; to się Niemcom poddawano z haraczem, to się burzono i opierano; jedni szli im hołdować i chrzest przyjmowali, drudzy się łączyli ku obronie. Godziny pokoju nie było. Samopas większa część plemion ratowała się jak mogła, w kupę się zebrać nie umiejac. Każdy z małych wodzów chciał wielkiej władzy. Ze starych czasów pozostały właśnie graniczne między jednoplemiennymi, które teraz w wojnie z wrogiem odżywały. Gdy Morawy i Czechy już się były zwały w państwo jedno, naprzeciw nieprzyjaciółom, chytrością walcząc z nimi, — Polanów dopiero Mieszko skupiał, aby szli razem, sięgając i po dalsze rozbite plemiona.

Od lat już wielu nad Cybiną stało to ognisko, w którym się wszystko przygotowywało, co gdzie dokoła, a zwłaszcza między Wartą a Odrą dziać się miało. Na osobnych gródkach siedzący mniejsi kneziowie poddali się władzy Mieszka, bo ich siłą do tego przymusił.

Na samym grodzie i poza wałami jego, w szopach i chatach, w chłżynach i dworach, szeroko rozłożonych nad Wartą, u prawego jej brzegu, mieszkał żołnierz kneziowski, — sotnicy i tysiącnicy. Obok niego ci, co rzemiosło na zamku potrzebne sprawiali, lud od stróży, od posług, od posyłek, od łowów i od wszelkich powinności pańskich, niewolnicy i parobcy.

A choć miasto było niepozorne i szare od postarzałych ścian drewnianych, zajmowało już przestrzeń znaczną. Na targi też tu przybywali kupcy z towarem różnym zdaleka, ze wschodu i zachodu.

Ludność się na tysiące liczyła, cała grodowi pańskiemu służyła i podlegała.

Starszyzna wojskowa dalej siedziała w lasach, po dworach swych i gródkach, nad brzegami rzek i jezior osadzonych.

Przyboczny dwór pański był mnogi — równie dla okazałości, jak wygody. Co najdoborniejsza młodzież stała u boku knezia, mieszkając w podwórzach grodowych.

W głębi, oddzielone od tej części, pod pilną strażą i zawarciem, siedziały żony pańskie i służba niewieścia.

Życie tu wiodło się więcej obozowe, wojacze, niż dworskie, bo każdej godziny wszystko w pogotowiu być musiało, siadać na koń i lecieć, gdzie o niebezpieczeństwie od nieprzyjaciela znać dano.

Czasem też, gdy wieść przyniesiono, że Niemcy się nad Łabą pospali, albo na Pomorze bezpiecznie wtargnąć było można, gdy jaki wódz a książątko przywlokło się, o pomoc prosząc i prowadzić obiecując, z dnia na dzień ruszało z grodu, co żyło, ledwie w nim garść na obronę zostawiwszy.

Dniem i nocą bieżono nad granicę, za rubieżę dla łupu i postrachu. A powracano różnie: raz z łupem i radością wielką, z niewolniki, w łyka powiązanymi, — czasem nocą, w garści malej, pokrwawionej, za którą się zawstydzone kupki wlokły powoli.

Bywało różnie, chociaż za Mieszka dobrze się szczęściło, bo był i mężny, i przebiegły wielce, na lada się posłuch nie kwapił, i dobrze ważył, nim się porwał.

Pan był milczący, ale gdy dobył głosu a krzyknął, drżało, co ten głos usłyszało, i biegało, co żyło.

Tego wieczora, gdy z łowów nad Cybinę powrócono, a z orszakiem pańskim blady i niepozorny Włast nadciągnął, zebrała się w podwórzku koło niego kupka niemała, bo go tu nikt jeszcze nie widział i odgadnąć nie umieli, po co go tu ściągnięto.

Nie wyglądał on gość na wojaka, ani na możnego władkę: odziany był niepocześnie, patrzył na ludzi nieśmiało. Któż mógł zgadnąć, na co się on tu zda?

Stogniew ciekawej gawiedzi gęby pozamykał, szepnąwszy, iż był synem Lubonia, że długo u Niemców w niewoli przesiedział, więc i wszystkie ich tajemnice znał, a tem się mógł przydać kneziowi.

Własta zdał Mieszko na ręce Stogniewowi, poleciwszy, by o nim pamiętał. Niemniej jednak w pierwszej chwili, gdy kneź poszedł do swych niewiast na drugie podwórze jeść i spoczywać, a Stogniew dworem rozrządzić miał, Włast został sam na przedsiemniu pod słupami, siadł na ławie, rozglądał się i niebardzo wiedział, co miał czynić.

Gawiedź się była wszystka rozeszła. Kilka psów, siadłszy naprzeciw niego, obcemu się przypatrywało, pomrukując. Wtem od wałów wolnym krokiem przywlekl się człeczyna, który, nieznanego zoczywszy na ławie, przybliżył się do słupów prawie, by mu się pilniej przypatrył.

Własta też mógł on zaciekać, bo nie wyglądał, jak drudzy, a odgadnąć było trudno, co na kneziowskim dworze robił.

Pięknym wcale nie był, krępy bardzo i zsiadły, nogi miał trochę krzywe, łeb duży, kręcącym się czarnym włosem pokryty. Z ust dobywały mu się dwa kły, dziwnie wyrosłe, tak, że wargi ich przysłonić nie mogły; nawet gdy gębę zaciskał, sterczały z niej żółte kości, nadając twarzy wyraz dzikiego śmiechu. Ogromne ręce, silne, grube, pięści jak młoty, kark krótki i żyłasty, pierś wydatna, szeroka, wszystko mu jakąś zwierzęcą nadawało cechę. Czoło też miał bardzo niskie, a ślepią świecące, jak u kota. Dłonie, które ściśnięte trzymał, nie przymykały się zupełnie, bo ogromne rysie pazury nie dawały się im stulić. Sterczały one długie, pozawracane, śpiczaste, ostre, jak oręż do obrony. Prosta gunia okrywała

ciało obrosłe włosem, na nogach miał grube płocienne spodnie i nędzne wykoszlawione chodaki.

Takie potworne stworzenia chowali wówczas panowie do posług, tak samo jak oswojone niedźwiedzie i przyłaskawione wilki.

Gdy psy, siedzące u słupów, zobaczyły zbliżającego się, ogony wzięwszy pod siebie, uszły mu zaraz z drogi i pokładły się dalej, jakby go się lękały.

Dziki człek, bo na takiego wyglądał, podszedł tuż do Własta i zuchwale ze wszech stron począł mu się przypatrywać.

— Coś ty za jeden, he! — zamruczał wreszcie — ty, jakiś?...

Spokojnie i łagodnie zwrócił się młodzieniec ku niemu.

— A ty? — spytał.

— A ja?... Toć widzisz... jestem od psów, od padła, od stryczka, od gnoju i od śmiecia... nazywają mnie Psiajuchą... a ciebie?

— Cóż ci przyjdzie z nieznanego nazwiska?... Daj mi pokój—odparł Włast—nic nie masz do mnie..

— E? a kto wie? Skądżeś ty?

— Z Krasnejgóry.

— To przecie nazwisko nie obce...—odezwał się Psiajucha. — Ty musisz być Luboniów sługa.

— Lubonia syn.

— Oho! oho! — rzekł pacholek i skłonił się sztydersko.—Tylko bieda, że Luboń syna nie ma.

— Nie miał go—rzekł cierpliwie Włast,—ale mu on powrócił.

Chciał się pozbyć natręta, lecz trudno to było; Psiajucha stał z założonemi rękami i wpatrywał się uparcie.

— Chuderlawe to — począł mruczeć, jakby sam do siebie—blade, mizerne... poco się to tu zda? Komary go zadziobią... a chleb będzie żarł tak, jak drudzy!

Włast spojrział nań; obrzydły pacholek ani się ruszał.

— Nie będzie tu z niego pociechy żadnej... ani babom nawet, bo to wymokłe... oneby się gzić ra-de... a to ledwie dysze... Poco tu wzięli... ja go do pomocy nie przyjmę... — Hej! — ozwał się głośnie, pełniąc swój obowiązek błazeński—miłościwy Lubo-niów synu, władzyko... nie wiecie, pociście tu przy-byli?

— Z panem miłościwym przybyłem—odezwał się Włast, choć miał wstręt do tej rozmowy.

Posłyszawszy to, pacholek mruknął i oddalił się. Nie było go dosyć długo, i już Włast sądził, że się go pozbył zupełnie, gdy zwolna Psiajucha przywłókł się napowrót, stanął naprzeciw niego i w milczeniu przypatrywać mu się zaczął.

— Toś ty u Niemców w niewoli przez dwana-scie lat był?—ozwał się nagle—he?

— A byłem — sucho odparł Włast.

— O! i pewnie nową wiarę u nich wzięłeś — dodał pacholek. — A z nią tutaj pójdziesz na gałąź na gałąź! na gałąź!...

Włast mu na to nie odpowiedział.

Psiajucha, wykrzywiwszy się strasznie, obie pięść nastawił, zębami zgrzytnął i jeszcze parę razy po wtórzywszy:

— Na gałąź... — nogami aż tupać zaczął.

Nie postrzegł tego, że Stogniew, widząc go do kuczającego przybyłemu, wysłał chłopaka z biczem a ten, z tyłu zaszedłszy, smagnął go parę razy z całej siły po nogach.

Zrazu chciał się nań porwać Psiajucha, ale spo-strzegłszy Stogniewa, odwrócił się, zaskowyczał, zęby mu pokazał, klapnął niemi parę razy i uciekł.

Psy ruszyły się i ujadać za nim zaczęły.

Takie było pierwsze na dworze pańskim Własta przyjęcie.

Pozostał potem długo zapomniany w przedsiem, dopóki go Stogniew nie zabrał z sobą do izby, gdzie wieczorny zastawiono posiłek. Znalazło się tu trzech starszych ze dworu, którzy razem do stołu zasiedli

Włast, najpokorniejsze miejsce zajmując, siedział milczący. Spoglądano nań niemal z politowaniem jakimś i pogardą.

W mężczyźnie, za tych wieków wojen i siły, pierwszą było zaletą — siła pięści i zrzeczność, a że Włast słabowito wyglądał, nie budził też poszanowania dla siebie, choć wiadano, że był synem możnego człowieka.

Stogniew i towarzysze jego, Rosław, pański pod-czaszy, i Mislaw, sotnik od straży, spojrzeli nań ze wstrętem: wiedzieli, że długo był z Niemcami i mieli go niemal za wroga. Dziwno im było, że kneź na dworze go chciał mieć.

— A no — ozwał się wkońcu, jakby ulitowawszy milczącemu, Stogniew. — Jakże wam po niemieckiej niewoli u nas się wydaje?

— Niewielem ci ja widział jeszcze, oprócz domu pana rodzica mojego — rzekł Włast.

— Widzieliście tam u nich murowane grody kamienne — odezwał się drugi szydersko, — musi wam po nich być tęskno... Ale te gnuśniki w ciepłym kącie siedzieć lubią i ryją się po norach... a my dziś tu, jutro tam... nam drewnianej chałupy dosyć...

— Prawda, grody u nich piękne są — rzekł Włast — dostatek wielki... ale, choć wygodę lubią, wojować też umieją.

— Lepiej od nas? — podchwycił Mislaw prawie gniewnie.

— Jam nie wojak — odparł Włast, — na tem się nie znam.

— A na czymże wy się znacie? — zapytał Stogniew.

— Byłem w niewoli — odezwał się Włast, ośmielając się i mówiąc spokojnie. — Będąc w niewoli, czyniłem poniewoli to, co mi kazano, służąc i sokołom, i koniom, i ludziom.

— Jakżeście się na swobodę dostali?

— Wkońcu widząc, że mi się im na niewiele przy-

12
dał, dali mi ją sami... — mówił zapytany. — Użyłem jej, aby do domu powrócić.

— A doma? — spytał Stogniew, — doma u takiego, jak Luboń, wojaka... cóż wy tam robić myślicie?

— Co mi pan rodzic każe...

Pokora ta i spokój, z jakim odpowiadał na nieco szyderskie pytania syn Lubonia, ton, do którego ci ludzie nawykli nie byli, czynił na nich dziwne wrażenie.

Rosław i Misław śmieli się uzuchwaleni, widząc takiego bezbronного, słabego człeka, który się nawet zagniewać nie umiał: — Stogniew czuł nieco li-
tości.

Półgębkiem czynione żarciki z biednego chłopaka wywoływały mu rumieniec na licach; cierpiał, ale milczał.

Posiliwszy się nieco, już chciał wstać, by odejść i uwolnić się od tych towarzyszków, gdy komornik książęcy, sługa izdebny — wszedł, pozywając go do Mieszka.

Zmieniło to nieco usposobienia dwóch butnych wojaków, a Włast żywo i z wielką ochotą, pokłoniwszy się im, z izdebnym pośpieszył.

Mieszko był jeszcze w drugim podwórzu, gdzie niewiasty jego mieszkaly i gdzie sypialnię miał, w której odpoczywał.

Przeszedłszy pierwszy dziedziniec wewnętrzny, pełen psów i wrzawy, przez wrota zawsze zamykane, u których straż stała, wprowadził go komornik na drugie podwórze. W pośrodku jego był ogródek zielony i drzewa.

Zaledwie zaskrzypiały drzwi, z otwartych okien na lewo ujrzał Włast powychylane głowy młodziuchnych niewiast w białych chustach, z uśmiechem przypatrujących mu się ciekawie i dających znaki prowadzącemu go komornikowi. Chichotania stłumione dały się słyszeć; kilka strojnych dziewcząt wy-rwało się z wnętrza, aby się śnać obcemu przypa-
trzeć lepiej.

Komornik prędko wskazał mu drogę na prawo, pod słupami, które podnienie dokoła podpierały. Przez wielką sień potem weszli do obszernej izby, w której na ławach siedziało i leżało kilkunastu, tak jak ten, który Włast prowadził, przyodzia-nych komorników, a oprócz tego straż się znajdowała zbrojna. Izba, sparta na drewnianych słupach, które ją na dwoje dzieliły, okopcona od dymu, z ogniskiem ogromnem, wygasłem teraz, cichą była i milcząca.

Przeszedłszy ją i drugą mniejszą, pustą, w której stał orzeł przy ścianach, a na nich wisiały łuki, obuchy, proce i tarcze... uchylił drzwi do komory Mieszkowej...

Kneź leżał wyciągnięty na skórach niedźwiedzych, z rękami pod głowę założonemi, nawpół uspi-ony. Zwrócił oczy ku wchodzącemu, i nie wstając, dał mu znak, aby się przybliżył.

Komornik, drzwi zamknawszy, zniknął.

Jakiś czas panowało milczenie. Mieszko westchnął parę razy, podniósł się zwolna, siadł na łożu i rzekł, przypatrując się Włastowi.

— Tej nowej wiary niemieckiej jestem ciekawy... Ty ją znać musisz... mów mi o niej! Wszak Bóg ich Chrystusem się zowie?

— Tak, miłościwy panie — począł Włast zwolna, a pytanie to rozradowało mu duszę. — Tak, Chrystus był Bogiem na ziemi, i powrócił do niebios, skąd zstąpił na nią. Zszedł On, by nowe prawo przynieść z sobą i zaszcześcić je krwią swoją pomiędzy ludźmi.

— Tak... wiem... był zabity... zamęczony... — rzekł Mieszko.

— I zmartwychwstał! — dodał Włast.

Kneź, usłyszawszy to, podniósł nań oczy z wyrazem niedowierzania i przestachu.

— I czynił cuda wielkie? — zapytał cicho.

— I czyni je ciągle... — dokończył Włast.

Mieszko, jakby własnego lękając się głosu, oczy zwrócił na mówiącego i odezwał się cicho bardzo:

— Tyś chrześcijanin?

Włastowi serce uderzyło silniej.

Pomimo, że głos ten nie był, a przynajmniej nie wydał mu się groźnym, nie mógł być pewien, czy przyznając się, nie wyda na siebie wyroku śmierci. W tej chwili osłabienia ducha na myśl mu przyszło, jakby dla uniewinnienia kłamstwa, trzykrotne Piotrowe zaparcie się Mistrza... drgnął, odpychając to jak pokusę nieczystą, i wnet mężnie zwyciężając niemoc i obawę, rzekł:

— Jestem nim, miłościwy panie! jestem nim! Choćbym za to cierpieć miał i życie utracić, zaprzec się nie mogę Boga mojego...

Zdumiony Mieszko, milcząc, długo się w natechnionego młodzieńca wpatrywał.

— I... nie lękasz się śmierci? — zapytał.

— Nie, panie... bo mnie po niej czeka żywot wieczny i wieczna szczęśliwość.

— Żywot wieczny! — mruknął kneź, wstając. — Jesteście ty pewnym?

— Miłościwy panie — zawołał Włast, nabierając coraz więcej odwagi — Bóg nam go przyrzekł.

Z dziwnym wyrazem twarzy, napół szyderskim, napół trwożliwym, rzucił się kneź na łożo i zadumał głęboko.

Milczenie przykre trwało długą chwilę.

— A umiesz ty cuda czynić? — zapytał.

— Nie, panie, bo ich żaden człowiek nie czyni — rzekł Włast, — tylko Bóg; a ten, przez kogo Bóg czyni cuda, musi być godnym Jego łaski. Jam jej niegodzien!

Tego Mieszko zdawał się nie rozumieć dobrze.

— Przecież są tacy chrześcijanie, co czynią cuda? — odezwał się.

— Są, miłościwy panie, ludzie święci, przez których Bóg nasz je czyni.

Mieszko znów się zadumał, położył na swoim posłaniu i zdawał zupełnie zapominać o Właście,

Młody chrześcijanin z bijącym sercem stał i czekał. Nie mógł rozpoznać z twarzy pana, czy by gniewnym i miał go odepchnąć, skazać na więzienie, na śmierć, na chłostę, czy bezkarnie go puścić. Widocznym tylko było, że kneź z podbudzoną ciekawością go słuchał.

Od chrześcijan przeszedł nagle do cesarza.

— Cesarz niemiecki... silny on jest? — zapytał.

— Nie wiem, czy jest kto nad niego silniejszy na świecie — odparł Włast, — nawet ten drugi, siedzący na stolicy dalekiej nad morzem... Panowanie jego rozciąga się od kraju zimy aż do tego, w którym jej niema nigdy... Ma pod sobą królów i kneziów, i panów moc niezliczoną, wojska niezmężone... skarby ogromne... A! panie, potęga jego straszna...

Mieszko uśmiechnął się znowu z niedowierzaniem.

— A przecież — dotąd jego markgrafowie i książęta Serbów, Polan i Wendów zmódz i podbić nie mogą!... — zamruczał, jakby sam do siebie. — Nas, cośmy rozbici i podzieleni, Czechy mają, ale Czesi ich zdradzą, gdy chwilę upatrzą... Poszli z nimi, bo Ungrow złamać trzeba było, co się nam wpili pod trzewa...

Zaczął potem pytać o zamki, o zbroję, oręż i szyki wojenne, i o wszystko, co w obcych ziemiach inne było.

Włast opowiadał powoli i z rozwagą, opisując, co widział: stare grody z ich murami wielkimi, zamki na gór wyżynach, żelazne uzbrojenia rycerzy, bogactwa cesarskiego skarbu, wspaniałość pałaców i świątyń.

Nie przerywając chyba nowemi pytaniami, kneź dał mu mówić tak długo, jak starczyło wieści. Dumając, przysłuchiwał się posępnie, to z ożywieniem zajęciem, gdy szło o sprawy wojenne, — to z lekceważeniem, gdy mowa była o złocie. O wojskach i wojennych szykach Włast mało co powiedzieć umiał, chyba co mu samo w oczy wpadło.

Myśli Mieszka trudno było odgadnąć, wszelako na twarzy malować się zdawała raczej nadzieja jakaś i niecierpliwość, niż zwątpienie, jak gdyby szukał środków dorównania tej sile, wcale się nią nie trwając.

Gdy wkońcu Włast znużony, wyczerpawszy wspomnienia, zamilkł, Mieszko, popatrzywszy w okno, rzekł zwolna, głos zniżywszy:

— Patrzaj, abyś się ze swym Bogiem nowym przed ludźmi nie chwalił! Gdyby cię obwiniono, żeś wiarę niemiecką przyjął, — ukarałbym musiał! Ojca mi żal twojego. My czcimy naszych starych bogów, innych u nas ludzie nie znają — nie wspólnego z wrogiem mieć nie będziemy, nie!

Włast chciał go żegnać, gdy kneź dorzucił:

— Od dworu cię nie puszczam, musisz tu zostać! Mnie przystało znać tych wrogów, z którymi się o każdą piędź ziemi mojej, coby ją zagarnąć pragnęli, nieustannie drzeć potrzeba. Stogniew ci da miejsce. Gdy cię puścić zechcę, — powiem. Na zawołanie mi być i milczeć!

Z tem odpuścił kneź Własta, nie okazując mu większego gniewu; a gdy ten wychodził na pierwsze podwórze, aby sobie szukać przytułku, Mieszko się położył na pościeli i zadumał jak wprzód.

Przez okna od podwórza wpadały śpiewy niewieście, krzyki a ujadania wrzawliwe i śmiechy sztyderskie a złośliwe. Ustawiało to czasem jakby siłą i rozkazem stłumione, ale wnet kłótnia wracała znowu.

Wtem drzwi, osłonięne oponą, otwarły się i w progu stanęła niemłoda niewiasta, wysokiego wzrostu, przybrana bogato, cała obwieszona łańcuchami i kolcami, jakby jej szło o to, aby się okazała piękna i młoda. Z pod białego rąbka, który jej głowę okrywał, dobywały się włosy ciemne, ale już posrebrzone. Z dawnej piękności zostały jej zaledwie czarne oczy iskzące się jeszcze i usta małe, zaciśnięte, z wyrazem gniewu.

Od progów postąpiła kroków kilka, wyciągnęła ręce białe ku panu i pokłon oddawszy, zdawała szukać wyrazów, od którychby poczęła. Dłonią niecierpliwą to przeglądzała włos, to poprawiała na sobie szatę.

— Cóż mi powiesz, Różana? — zapytał kneź, spoglądając na nią roztargnionemi oczyma.

— A co zawsze, co zawsze, miłościwy panie! że ja tu ze zgryzoty z temi twojemi niewiastami życie stracę, — albo mnie z nich która zielem struje jakim, bo to wszystko złe, — zazdrosne jędze...

— Cóż się znowu stało? — spytał, śmiejąc się Mieszko.

— A to, co się tu dzień i noc dzieje, jak się, tylko obudzą te wasze bogunki! Jedzą siebie i mnie, — oczy-by sobie powydzierać rade! Słyszycie wrzawę, miłościwy panie: gdy jedna śpiewa, druga płacze, gdy się cieszy która, zaraz inna się wścieka. Nie pomaga nic. Ja tam starszą jestem, a porządku utrzymać nie mogę. Nocy nie dośpię, a nie upilnuję...

Założyła ręce na piersiach i stanęła naprzeciw knezi, jakby błagając o ratunek.

— Cóż to? Nie macie siły i władzy, żeby sześciu głupim młodocyom nie dać rady? — krzyknął Mieszko.

— Prędzej sobie Stogniew da rady ze stu pacholkami, niż ja z tem utrapieniem, z temi gąsienicami...

— Cóż więc począć z niemi?

— Co? co? — mruzczała stara Różana. — Rozpedzić to na cztery wiatry, poodsyłać to do domów, — ja nie wiem, ale ja już ich nie zmożę.

— A któraż najgorsza z nich? — spytał kneź.

— Zawsze ostatnia, ta, którą najlepiej lubisz, miłościwy panie, ta, co wam najmilejsza, a której palcem nikt tknąć nie śmie. Ta na mnie i nie patrzy, nie żeby mnie słuchać miała, ta grozi i mnie, drugim.

— Kto, Lilja?

— Dziś Lilja — a jutro będzie ta, co po niej

przyjdzie — mówiła, głową potrząsając, zrozpaczona Różana. — Dobrze one wszystkie!

— A cóż mam na to uczynić, co? — począł żartobliwie kneź.

— Wszystkie odpędzić — odpędzić!

— To nie może być — nudnoby mi było — rzekł Mieszko. — Kto wie? zmienić się to jeszcze może, ale nie zaraz. Różana, miej cierpliwość — trzymaj je ostro! moc masz nad nimi, zagroź w moim imieniu.

Rozpaczliwie niemal rękami rzuciła Różana, gdy szelest dał się słyszeć za oponą i piękna, młoda niewiasta, zuchwale, śmiało wpadła do komory książęcej.

Dziewczę było, nie mające lat dwudziestu, z czarnymi pięknymi oczyma i długimi kosy czarnymi, zręczne i gibkie, jak łania, silne i odważne. Na czołe, w oczach i ustach malowała się ta pewnośc siebie, jaką daje piękność i młodość. Z pogardą i gniewem spojrziała na Różanę, która się nie cofnęła przed nią, minęła ją i postąpiła do Mieszka.

— Miłościwy panie! — słyszałam ja wszystko, stałam za oponą. Co wy tej starej jędzy wierzycie? Zła jest na wszystkich; bo jej młodość pełnie z włosami, bo ma już zmarszczki na twarzy i Stogniew ją dla młodszej porzucił.

Różana zacisnęła pięści; Lilja zaczęła się śmiać.

— Kiedy ona już ani krasną, ani młodą być nie może. — Tak, tak! — powtórzyła, widząc, że Różanie się oczy paliły i usta drżały.

— Tak, miłościwy panie! Chciałaby, abyśmy u każdego siedziały cały dzień, a ona sobie mogła spokojnie starszyznę na miód zwabiać do siebie.

— A ty gadzino! — krzyknęła Różana w gniewie, powstrzymać się nie mogąc.

Mieszko śmiał się z kłótni, która się go bawić zdawała, lecz zarazem czoło mu się groźniej faldowało.

Lilja uśmiech wywoływała na usta, usiłując pana rozbroić.

Niedość było na tych dwu zapaśnicach; drzwi się otwały głośno, — wpadła trzecia jeszcze.

Było to dziewczę równego może wieku z Lilją, ale do niej niepodobne; drobne, wątłe, białe, z włosami złotawymi i oczkami szaremi, jakby do płczu stworzonymi. Napozór słaba i bezbronna, miała Barwina więcej może dumy i siły w obliczu, niż te dwie, co ją uprzedziły. Z jakąś powagą dziwną zbliżyła się, główkę podnosząc, do knezia.

— Ta Lilja — rzekła — kropiwa nie Lilja. Ona wszystkiemu winna! Ona mnie i żadnej nie daje spokoju! Jam przecie starsza od niej i mam prawa moje! Ja jestem żupana córka, mój ród kneziowski, my Lechy, a ona kto? Ojcem jej niewolnik... dziecko porabie... porabka jakaś i śmie...

Lilja, nie dając jej dokończyć, przyskoczyła do niej z giewem i groźbą tak straszną, że Różana, zapomniawszy własnej urazy, stanęła co żywiej między nimi, aby walki nie dopuścić.

Mieszko śmiał się jeszcze, ale twarz pańska coraz się stawiała straszniejszą, brwi i czoło marszczyły się. Sparty jedną ręką na łożu, drugą wyciągał ku zwaśnionym.

— Barwina, i ty Liljo! kto wam wchodzić pozwolił? Do izby nazad, w tej chwili!

— Panie! Lilja cię zdradza! — zawołała mała Barwina.

— Kłamiesz! Ty sama masz kochanka, ty! ty! — czerwieniejąc się cała, krzyknęła Lilja.

— Różana, prowadź ich do izby... Precz, natychmiast! Rozznam sprawy wasze i ukarzę...

Stara chwyciła za rękę wyrwijącą się Barwinę i podstąpiła z nią ku drzwiom. Lilja śnać pozostać chciała, aby skorzystać z ich odprawy, lecz Mieszko ręką drzwi jej wskazał także; posłuszna niewiasta, głowę spuściwszy, powoli, gniewna, zapłoniona, musiała wyjść z Różaną.

W sieni słychać jeszcze było głosy kłótniwe, które się powoli oddalały i zmieniły w gwar niewyraźny.

W tej chwili Stogniew się ukazał w progu. Spojrzał na pochmurne pańskie oblicze i nie śmiał ust otworzyć.

— Na Peruna!—zawołał Mieszko. — Całe chyba to stado precz rozegnać potrzeba; zamiast pociechy i spoczynku, waśń tylko i męka z niemi.

Ręką groźnie zamachnął w powietrzu.

— Do Peruna, te białogłowy z ich językami! — powtórzył.

Stogniew zdawał się czekać na rozkazy, ale Mieszko się zadumał i zbył go posępnem wejrzeniem.

VI.

Włast pozostał na dworze Mieszka, chociaż, mimo iż mu kneź twarz okazywał laskawą, inni nań koso patrzali. Domyślano się w nim snać tego, czem był wistocie — chrześcijanina — a tu to znaczyło tyle, co Niemiec i wróg. Spokojna i pokorna postać młodzieńca nie przypadała zresztą do butnego i rycerskiego dworu, który ciąglą oddychał wojną lub zabawiał się łowami i zapasami siłaczy.

Ściągano nieustannie i zbrojono, a przysposabiano ludzi, jakby nazajutrz wojna miała wybuchnąć, bo na granicy nigdy spokoju nie było; stamtąd przychodziły wieści dniem i nocą, szczególnie o czynnościach srogięgo nieprzyjaciela Słowian, markgraфа Gerona. Mieszko, jeśli się osobiście nie mieszał do drobnych tych utarczek, podsyczał je, wywiadywał się, pomagał potajemnie.

Kneź sam i wszyscy, co go otaczali, mieli już to przekonanie, że do niego należała władza i panowanie nad wszystkimi plemionami bratnimi aż do morza, aż za Wisłę; że Śląsko też i Chrobaty powinny być prędzej, później Czechom być odebrane i do Polaków jedności włączone. Wszystko, co Gero

zdobywał nad Łabą, co zdradą odpadało od bałwochwaltwa i słowiańskiego przymierza, Mieszko uważał, jakby sobie wydarte. Pomagał mu w tem brat po ojcu, choć nie po matce, starszy od niego Sydbór, z ulubienicy Ziemomysłowej urodzony, przed zaślubieniem Górki, matki Mieszkowej, wojak z lat młodych, który żył tylko wojną.

Po matce, która była prostą dziewczyną, z lasów kędyś wziętą, Sydbór wziął naturę dziką, upodobanie w życiu swobodnem, pod gołym niebem, na zasadzkach, w walce i napadach.

W Mieszku szlachetniejsze górowały instynkta, pragnienie panowania, przemysłne poszukiwanie środków, chęć dorównania narodom, które więcej mogły i umiały. Sydbór był prostym zapasnikiem, który chciał się tylko bić i miał upodobanie w rzezi a krwawych walkach. Litości u niego prosić było próżno,—nie prosił jej dla siebie, nie miał dla drugich.

Mieszko dawał mu dowództwo nad niesforniejszemi oddziałami i najtrudniejsze do wykonania polecenia; używał go, nie dając mu tchnąć. Sydbór był rad i więcej nie pragnął. W wyznaczonej sobie dzielnicy, którą mu brat puścił, nie siedział nigdy prawie, domu dotąd nie miał, rodziny nie pragnął, koczował z oddziałem swojej konnicy na wiecznych czatach, włóczęc się ponad granicą, gdziekolwiek można było napaść znienacka, łupu zagarnąć siłą i ludzi nabić mnogo. W boju śmiał się i cały krwią obluźgany, szalał zwycięstwem. W Poznaniu zjawiał się wolany, często niespodzianie, ale miejsca nie zagrzał: drugiego dnia już go piekło w pole. Czasem, nie opowiedziawszy się kneziowi, ruszał, i nie wiedziano nawet dokąd.

Ruchawy ten i przedsiębiorczy brat byłby może niepokoju nabawiał Mieszka, gdyby w nim dostrzegł jaką chęć samoistnego panowania; ale Sydbór zdawał się nie nie pragnąć nad to życie, które prowadził. A srogi ten, nielitościwy kat na ludzi, którego

znano z tego, iż żadnej winy nigdy nie przebaczył i miłosierdzia nie miał nad nikim, kochał przecie i szanował Mieszka, a nadewszystko cenił i przywiązany był do siostry, która nosiła toż imię, co matka jej—Górka.

W osobnym dworze na zamku nad Cybiną, mieszkała ona pod knezia opieką; miała swą służbę oddzielną i żyła odosobniona. Niewieście towarzystwo żon kneziowskich nie przystało jej, trzymała się od niego zdala. Mieszko zdawna zamąż ją wydać pragnął, lecz lada komu jej dać nie chciał. Górka też nie wyrwała mu się na świat.

Była ona najmłodszą z rodzeństwa, a gdy Ziemomysł umierał, dzieckiem ją zostawił. Doszła lat dwudziestu, wychowując się ze starami niewiastami, które niegdyś matce jej służyły, wśród wrzawy wojennej dworu brata, mając upodobania prawie męskie i charakter Mieszkowemu podobny. Górka była teraz piękną ciemnowłosą dziewczętą, silną i śmiałą, któraby jak owe czeskie dziewczęta chętnie poszła na wojnę, gdyby jej pozwolono. Wszystko, co Mieszko sobie poczynił, obchodziło ją mocno; rozumiała go i zgadywała, choć go pytać nie śmiała, a jak jemu marzyło się szerokie panowanie nad zjednoczonymi plemionami, tak jej też zaślubienie jakiegoś knezia, któryby Mieszkowi z orężem stanął do boku.

Kneź szanował siostrę i lubił ją, ale niczem było jego przywiązanie do niej, przy cześci a uwielbieniu dzikiego Sydbora, który, ile razy nad Cybinę przybył, zawsze tej siostrze musiał dać jakąś przywieść, a najszcześliwszy był, gdy go do niej dopuszczono. Górka z tym przyrodnym swym czyniła, co chciała, a gdyby mu najdziwniejszy rozkaz wydała, spełniłby go nieochybnie, niebezpieczeństwo nie pytając.

Nazajutrz po przybyciu Własta, rano właśnie nadciągnął Sydbór, a jeszcze do wrót nie doszedł, gdy już na grodzie panowało poruszenie wielkie i wszyscy biegli widzieć go nadciągającego. Wyszedł i Włast.

W przedsięwzięciu stał Mieszko otoczony dworem, czekając także na zapowiedzianego gościa, gdy zdala od wałów pokazał się orszak jego.

Nie był on zaprawdę świetny, a dziwnie wyglądał; stu może ludzi konnych na żwawych mierzynach prowadził z sobą Sydbór... sam on jechał przodem,—istny wódz dzikich; czerwony, czarny, zarosły, w odzieży jaskrawej i naszywanej blaszkami a świecidły, w czapce z pióropuszem, nieco oszarpowanym, obwieszony bronią wszelkiego rodzaju, której miał tyle, ile się jej u pasa, na ramionach, przy koniu, w rękach mogło zmieścić. Jeden miecz wisiał u pasa, drugich dwa tkwiło za nim, młot miał pod ręką, łuk na plecach, procę na ramionach, dzidę i oszczep poczepiane misternie. Komu innemu ta mnogość narzędzi więcejby przeszkadzała, niż dogadzała, lecz Sydbór ich z taką zręcznością umiał używać, iż nie zbytby dlań było. Tarczę zwykle miał uwieszoną tylko przy koniu i mało jej używał.

Ludzie jego mieli wszyscy grubo kute pancerze łuskowe i blachy, niektórzy kaftany, dzidy, szable krzywe, oszczepy, a odziani byli jednakowo, co nówcezas wielki przepych stanowiło.

Jak Sydbór, tak i jego cała drużyna wyglądała strasznie; nie było ani jednego całego... twarze porąbane, ciała sińcami okryte, oręże poszczerbione, na wszystkiem krwi i pyłu pełno. Pomimo to szli butnie, rażno i z twarzami wesołymi, jakby w tryumfie. Tłómaczyło się to tem, że w pośrodku orszaku ich szło stado ludzi powiązanych sznurami, poczepianych z sobą,—starców, młodzieńców, kobiet i dzieci.

Sydbór napadł na osadę niemiecką pod gródkiem, nad Odrą niedawno założonym i wszystko, co znalazł, zagarnął, wieś puściwszy z dymem. Zabrane konie i bydło pędzili osobno ludzie, którzy wolniej ciągnęli.

Wszyscy ci niewolnicy, odparci i pobici, o twarzach i ciałach pokrytych ranami ledwie pozasycha-

nemi, przedstawiali widok przerażający niemej a wścieklej rozpaczy.

Jak tylko orszak ten stanął w podwórcu, kilka niewiast padło spoczywać na ziemię, a kilka, zwa-
liwszy się, nie powstało już więcej. Kupka dzieci
nagich, z włosami rozczochranemi jęczała i płakała,
a wojacy smagali je dla uspokojenia.

Z wrzawą, jękiem, śmiechem i płaczem przyciąg-
nęła tak Sydbór przed Mieszka, pokazując mu na zdo-
bycz swoją, i z konia jeszcze rozpoczynając opowia-
danie o wyprawie. Mowę jego jękliwą trudno było
zrozumieć, ale to, co widół z sobą, wymownem było.

Na widok ten i Mieszkowi oczy się zaśmiały.
Śmiech i radość były usprawiedliwione, bo tak samo
i gorzej jeszcze w pętach prowadzono Słowian, bra-
nych nad Odrą, a markgraf Gero nie tylko mieczem,
ale zdradą tępił to plemię, któremu nie mógł dać
rady.

Zbiegło się co było ludzi na grodzie, poczęści
niewolnikom, poczęści znanym wojakom Sydbora się
przypatrywać i rozpytywać, kędy bywali. Spoglą-
dano na Niemców, dopatrując w nich ludzi zdro-
wych i zdatnych do pracy i posługi; — niewolnik
wówczas był drogi i pożądany...

Zdała patrzeć i Włast, a twarz mu pobladła na-
gle na widok siwego odartego staruszka, który za-
ledwie łachman mając na sobie, obnażony, wychud-
ły, do ran prawie skrępowany sznurami, ze spuszczo-
ną głową stał, ledwie się mogąc na nogach utrzy-
mać. Krótko ostrzyżone włosy, a na wierzchu gło-
wy wygolona korona, która pośmiewiskiem była dla
pachołków Sydbora, pozwoliły w nieszczęśliwym po-
znać chrześcijańskiego kapłana.

Włast mimowolnie załamał ręce; szczęściem, nim
postrzeżono ten ruch, zdradzający politowanie, miał
czas opamiętać się.

Po okazaniu łupów i rzuceniu przed Mieszkiem
różnego naczynia, oręża, szat pobranych na kupę,
wśród których Włast dostrzegł srebrny kielich ko-

ścielny i dwa lichtarze... ludzie jedni zabierali do
skarbcza zdobyć, a kneź brata, schylonego przed
nim, po ramieniu klepał, drudzy z gromadą niewol-
nika powoli odciągnęli ku szopom dla wypoczynku.

Kneziowie oba weszli do dworu; służba, komor-
nicy, gawieź pozostała, rozwiadując się o wypra-
wie, śmiejąc się i pokrzykując wesoło.

Włast, którego widok niewolnika przejął litością,
jako chrześcijanina i kapłana, jako długi czas w Niem-
czech i z Niemcami żyć nawykłego... stał osłupiały,
myśląc, coby mógł począć, aby starca, którego znał,
mógł z niewoli srogiej wydobyć.

Przychodziło mu na myśl rzucić się do nóg kne-
ziowi, gdy doń przypuszczony zostanie, i prosić go
o darowanie staruszka, który, bezsilnym będąc, mało
na co mógł się komu przydać.

Stał tak jeszcze zamyślony, gdy poczuł, że go
ktoś za rękaw pociągnął. Obejrzał się i zobaczył
za sobą staruszkę, obwinietą płachtami białymi, któ-
ra coś pocichu szeptała mu do ucha... Nie mógł jej
zrazu ani zrozumieć, ani się domysleć, czegoby od
niego chcieć mogła. Stara odwiodła go na stronę
i odezwała się:

— Wy to jesteście Luboniów syn, coście dwa-
naście lat przebyli w niemieckiej niewoli?...
— Tak — rzekł Włast, — ja nim jestem.

Stara popatrzała nań długo...

— A pamiętacie wy Srokichę?

Włast, któremu się wspomnienia młodości za-
tarły w pamięci, za ledwie to imię mógł przypo-
mnąć.

— Tak nazywali u nas, w Krasnejgórce, poczi-
ciwą niewiastę, co mnie po śmierci matki swoją
piersią karmiła.

Staruszka objęła mu kolana, a potem prędko
podniosła oczy i załzawione razem i rozpromienione.

— Gołąbku mój! dziecko moje! Toć to ja jestem
Srokichą... Ojciec twój darował mnie do dworu kne-
ziowi, bom umiała leczyć i zamawiać. Dał mi

do kniehini, do Górki... siedzę przy niej, biedną dziewczynę zabawiając, jak umiem. Gołąbku mój! dziecko moje! A cóż to z ciebie niewola zrobiła... Jam myślała, karmiąc ciebie, że jak dębczak wyrośniesz, a tyś jak leszczyna wiotki i wątły.

Włast przypatrywał się staruszce — z rozrzewnieniem; powoli na myśl przychodziły mu lata młode, które zawsze urok wielki mają. Łza mu się kręciła w oku. Chciałby był czemś obdarzyć staruszkę, mamkę swoją, lecz nie miał nic. Nie widać też było po niej ubóstwa i potrzeby; odzież miała dostatnią, płótno białe i cienkie, a ręce niezapracowane okazywały, że wczasu używała.

— Gołąbku mój — powtórzyła cicho Srokicha — chodź ze mną, ja cię kniehini mojej pokażę... bo ty tak jak dziecko moje, krew w tobie żupanów i władyków, ale i mleko też moje płynie...

Ocierала lzy stara i pragnąc i nie śmiejąc głaszać swojego wychowanka, który się jej smutnie uśmiechał.

— Chodź! — dodała. — Kniehini dobra pani, piękna pani, miłosierna. Sama jedna, męża nie ma, nudno jej w świecie, bawić ją trzeba to śpiewami, to gadkami — niechajże się pobawi, słuchając o twojej niewoli. Ja cię do niej zaprowadzę.

Włast stał niebardzo rad zaproszeniu, ale starej nie śmiał się opierać; myślał przytem, że jako chrześcijanin i kapłan, winien był zbliżyć się do ludzi, aby choć próbować nawrócenia.

Stara, wiodąc go za sobą, przeszła część podwórza aż do drugiego dworu kniehini; otworzyła sobie wrotka boczne i niemi Własta wpuszcwszy, zaraz je za nim zasunęła.

W podwórku niewielkiem cicho było i zielono. Całe ono jakby ogródek bujno zarosły stanowiło. W pośrodku była stara lipa rozłożysta, po rogach w plecionych z łożyny klatkach świegotały zamknięte ptaszki. Małeńka sarenka chodziła, gryząc trawę, swobodna, a gdy ujrzała wchodzącą Srokichę, stanęła,

podniosła główkę z oczkami czarnymi i nóżką tupnęła... lecz postrzegłszy za nią obcego, pierzchnęła w drugi koniec podwórza.

Stara kazała się Włastowi zatrzymać, ławę mu pod ścianą pokazując, aby sobie na niej spoczął, a sama poszła do kniehini.

Z okien, na podwórze wychodzących, kilka głów wyjrzało, przypatrując się oczekującemu, i znikło... Przypatrywała mu się i hodowana sarenka, to przybliżając, to uchodząc, a nad głowami ptaszki szczebiotały.

Po dosyć długiem oczekiwaniu ukazała się wreszcie Srokicha i dała znać Włastowi, by szedł za nią.

Przeszedłszy dwie puste izby, w trzeciej izbie z oknami zwróconemi na podwórze, pełne niewieskiego sprzętu, znalazł Włast Górkę.

Stała, spodziewając się go, w pośrodku komory, całej przystrojonej w kwiaty i kobierce, z rękami na piersiach założonemi, w postawie prawie męskiej, piękna, ale surowej twarzy kniehini.

Była tak podobną do Mieszka, iżby ją za siostrę jego wszędzie poznać było można. Piękniejszą była — nie inną: ten sam rozum i zadumanie miała w twarzy i dumę tę samą.

Ubrana w suknie krasne, z wianuszkami na głowie, którego dziewice nigdy naówczas nie zrzucaly — oczyma bystremi od wniścia zaraz ciekawie zmierzyla Własta...

Stara sama do kolan jej przypadłszy, jemu też paść do nóg pani kazała, co Włast dopełnić musiał. Nim on otworzył usta, Srokicha za niego mówiła już o dwunastoletniej niewoli jego, skarżąc się, że ona tak go znękała i wysuszyła.

Kniehini stała długo milcząca — patrzyła, i nierzadko dopiero głosem męskim rzuciła pytanie, czy go Niemcy męczyli?

— Miłościwa kniehini — odpowiedział Włast — żadna niewola rozkoszą nie jest; lecz i między nimi są ludzie litościwi.

Górka potrząsnęła głową.

— Daleko was pędzili?—zapytała.

Włast tedy rozpowiadać zaczął, jako był na dworze cesarskim, a z nim w tej ziemi, która nie zna zimy i w której cuda prawie widzieć można, tak piękna jest i ludną.

Wspomnienie o cesarzu, o tych krajach oddalonych, o cudach—żywo zajmować zaczęło kniehinę i pytała już a przysłuchiwała się bacznie.

Opowiadanie, którego Srokicha słuchała też bardzo chciwie, byłoby długo może trwało, gdyby hałas w podwórzu nie zwiastował gościa nowego. Nim stara rozmyśliła, co z Włastem uczyni, wparł się już Sydbór do siostry... otworzył drzwi i przypadłszy do niej, bił jej czołem, całując kraj szaty, śmiejąc się i ryhocząc, że ją mógł widzieć.

Górka mu rękę swą białą położyła na ramieniu i uśmiechnęła się, nie jak bratu, ale jak słudze, pytając, kędy bywał i z czem powracał.

— Miłościwa kiehini—bełkotał dziki wojak, ciągle się śmiejąc i patrząc jej w oczy — byłem daleko; wpadłem aż do niemieckich wsi w granicy, dwie ich spalilem, niewolnikom nabrał, bydła i koni, i bab i dzieci... a oto dla ciebie, kniehini — bo ja o was nigdy nie zapominam... wybrałem co najlepszego.

To mówiąc, wskazał jej, aby nastawiła ręce... Górka podniosła nieco połą sukni... a Sydbór począł wyjmować z zanadrza i sypać, śmiejąc się, na nastawioną połą, pierścienie, kolce złote i ozdoby kobiece. Przy jednym z kółców trzymała się część ucha oderwanego z nim razem, ale nikt nie spojrzał na to.

Sydbór śmiał się, chwalać łupem; kniehini zdawała też nim cieszyć, lecz dziękowała bratu, bez wielkiego zapału. Po chwili wszystką tę zdobycz oddała do schowania starej Srokisze, a wojak począł opowiadać, jak palił i zabijał.

Włast stał jeszcze, lecz nie miał już co tu robić,—nikt nań nie patrzył; pokłoniwszy się więc, dał znak starej, ażeby go wypuściła.

Wyszła ona za nim — a w komorze kniehini słychać już było tylko dzikie śmiechy Sydbora.

Wypuszczając dziecko swe, stara szepnęła mu, gdzie i jak znaleźć ją może, jeśliby czego potrzebował. Wistocie ona to go więcej widzieć i cieszyć się nim potrzebowała.

Wyszedszy ze dworu kniehini, Włast, któremu na pamięci stał ciągle obraz starca, niemiłosiernie skępowanego, — choć nie wiedział, gdzie go miał szukać, postanowił iść dowiedzieć się o niewolniku, aby mu być jaką pomocą.

Lecz na grodzie obszernym szop i budowli różnych tyle było, że w nich łatwo mógł się obłąkać. I byłby długo musiał szukać jeńców, gdyby tłum gawiedzi dworskiej, otaczający ich, nie wskazał mu, gdzie byli.

Starszyzna wojskowa zgromadziła się tu, wcześniej sobie upatrując ludzi, których zamianą, darem lub za zapłatę dostać sobie mogła do usług. Branicy i branki leżeli na ziemi, pędzeniem długiem i nielitościwem znużeni, pospieranani jedni na drugich.

Ponieważ lękano się, by z długiego nie pomarli głodu, rzucono im chleba suchego i postawiono wiadro z wodą. Niektórzy chciwie gryzli spleśniałe okrucy, inni pili;—większa część, bezmyślnym snem ujęta, nie lękając się już ani razów, ani śmierci, leżała jak martwa.

Włast z trudnością się mógł przecisnąć przez ciżbę, szukając oczyma staruszka... On jeden siedział, nie pijąc, nie jedząc, nie mogąc usnąć, ze spokojną rezygnacją człowieka czekającego na śmierć. Mógł się jej spodziewać, bo sił do pracy nie miał, stary był, a karmić go darmo niktby nie chciał może. Wzięto go z tłumem, przy rabunku kościoła — nie ubito na drodze, ale zbliżała się chwila, gdy ich przebierać miano.

Zwolna obchodząc jeńców, Włast się przybliżył do starca tak, że oczy jego, błędzące bezmyślnie po tłumie, na nim się zatrzymały.

Poznał go, prawie przerażony... chciał się ruszyć, lecz więzy nie dawały. Wśród gwaru, panującego dokoła, łatwo do siebie przemówić mogli.

— Ojcie Gabryelu — rzekł Włast. — Jakżeście się tu dostali?

— Ojciez Matia — odparł niewyraźnie starzec — skąd wy tu?

— Jam powrócił — musiałem.

— Jam schwycony, jam w niewoli — mówił starzec, — wola Pańska... gotówem na męczeństwo. Patrzałem na kościółek mój splugawiony, na świętokradztwo... o Boże! los własny mnie nie obchodzi!

— Ale mnie on na sercu leży, ojciez Gabryelu! — i jeśli potrafię, ja was uwolnić muszę.

— Poczaj? — zapytał stary. — Kościół mój spłonął i obalił się, owieczki rozbite... pasterz niepotrzebny.

I głowę na piersi pochylił.

— Ojciez Gabryelu, bądźcie dobrej myśli! Idę prosić za wami.

— Proście za sobą Ojca miłosierdzia, — odezwał się staruszek, — aby wam dał wytrwać w wierze... Bóg niech was błogosławi.

Związaną ręką staruszek zrobił krzyżyk.

Nie miał już tu Włast co więcej czynić; wysunął się więc co najrychlej i śpieszył nazad do dworca książecego. Lecz tu docisnął się teraz ani pomyśleć było można. Jakieś kneziątko Obodrytów, z gromadą Lutyków przybyło właśnie i do Mieszka wpuszczone zostało.

Wrzawliwa narada odbyła się z nim w wielkiej izbie. Mieszko, siedząc na stolicy swej, otoczony dworem licznym i zbrojnymi ludźmi, przyjmował ich uroczysto. A że pokilkakroć doświadczył ich niewiary i krzywoprzysięstwa, lałał więc i becześcił przybyłych, którzy go na kolanach przebłagać się starali i posiłki sobie a opiekę wyprosić. Przez otwarte okna od podwórza widać było we wnętrzu klęczących starców brodatych i z siedzenia swego groźnie im odpowiadającego Mieszka.

Groził im nawet śmiercią, ale zwolna gniew się uśmierzał zaczął i łagodniejsza zaczęła umowa. Długo jednak trwało spieranie się z ludźmi, do niesforne go krzyku nawykłymi, którzy więcej narzekali, niż tłómaczyli się, a prostymi słowy powiedzieć nic nie umieli. Kilkakroć zrywał się ku nim kneź, jakby wpaść chciał i rozgromić, — wstawali oni i klękali, bili czołem o ziemię — wreszcie zgodą się skończyło wszystko i przyniesiono miód, a potem stół im zastawić kazano.

Nadejście Sydbora, wracającego od siostry, nie ułatwiło zgody, bo dziki kneź nastawać począł, na Lutyków zwłaszcza, i ledwie się dał ukoić.

Cały ten dzień prawie zszedł na takich sprawach; Włast musiał czekać zbliżenia się do pana, nie mogąc o nic prosić. Wieczorem dopiero pozwał go Stogniew do knezia. Składało się niespodziewanie szczęśliwie. Mieszko kazał iść Włastowi ze Stogniewem razem, dla przebrania niewolnika i rozpytania go, bo mało kto język ich dobrze rozumiał.

Mieszko, baczny we wszystkim, kazał rozbadać, czy między jeńcami niema rzemieślników, szczególniej płatnerzy, kowalów i tych, co około oręża chodzą umieli.

Chwycił się tej zręczności Włast i do nóg pokłoniwszy się Mieszkowi, opowiedział mu, iż między niewolnikami znajdował się starzec mu znajomy, który niegdyś dobrze się z nim w czasie pobytu jego wśród Niemców obchodził. Prosił więc, uniżając się, aby go mógł dostać.

Zamyśliwszy się nieco kneź — skinieniem głowy zezwolił na to, i dał rozkaz Stogniewowi, aby starca Włastowi dano.

Podziękowawszy za tę łaskę, szedł weselszy już spełnić dane rozkazy.

Jeńców znaleźli leżących kupą na ziemi i powiązanych, jak przybyli. Włast sam pobiegł porozcinać sznury staremu ojcu Gabryelowi i opończą go przyniesioną okrył... Posadziwszy go pod szopką,

począł potem obchodzić wszystkich, pytać i rozdzielać.

Wnet część jedną dano na chaty do miasteczka, do rzemiosł różnych; innych rozebrała starszyzna, dzieci też rozdzielono różnie... często osobno od matek. Zostało na placu dwa czy trzy trupy i kilku dogorywających, około których Psiajucha się kręcił, bo ci do niego należeli.

Wieczór był późny, gdy rękę podawszy osłabłemu starcowi, Włast, który sam liche miał pomieszczenie w izdebce ciasnej i ciemnej, bez okna, gdzie tylko posłanie się mieściło, poprowadził do niej ojca Gabryela, sam wybierając się do Srokichy, aby dlań dostał posiłek jaki, którymby wycieńczonego mógł pokrzepić. Ciepła noc letnia dozwalała jemu u drzwi tej ciupki na twardej ziemi położyć się na spoczynek.

Ocalony kapłan, jak posłuszne dziecko, poszedł za swym oswobodzicielem, czyniąc, co mu było rozkazano. Włast sam go nakarmił, ułożył, poobwiał rany od sznurów, i okrywszy na noc, ucałowawszy ręce starca, cofnął się, aby na straży pozostać u progu.

VII.

Upłynęło dni kilkanaście podobnych do pierwszych, które Włast spędził na dworze książęcym. Nie zmieniło się nic.

Kilka razy prosił, aby go kneź do Krasnejgóry do ojca raczył dopuścić, ale na to nie otrzymał zezwolenia. Razem z oswobodzonym ojcem Gabryelem, który leżał chory i ruszyć się nie mógł, pilnując go i karmiąc z pomocą starej Srokichy, niebardzo chętnej dla Niemca, Włast pozostać musiał w pośród nieprzyjaznego dosyć dworu. Patrzano nań zawsze niechętnie.

Kilka razy w wolniejszych godzinach kneź kazał go pozywać do siebie, zawsze zwracając rozmowę to na wiarę nową i ostrość jej, to na Niemców i ich cesarza a jego siły. Włast ośmielił się nieco i czuł się w obowiązku, jeśli nie nawracania knezia, to przynajmniej do osławiania go z chrześcijaństwem i jego potęgą. Pomagało mu do tego wiele, iż najpotężniejszy naówczas władca ziemi czeskiej, Bolesław, którego państwo rozciągało się od Wełtawy do Styru, obejmując Chorbacę, Ruś, Śląsko, kraje niezmiernie rozległe, pomimo wstrętu, jaki czuł on i matka jego ku chrześcijaństwu, pomimo popełnionego na pobożnym a świętym bracie morderstwa, sam wreszcie musiał przyjąć tę wiarę i ocalił Czechy, wchodząc w przymierze z cesarstwem.

Mieszko tłumaczył to sobie grozą najazdów węgierskich, przeciw którym Czechy obronić się nie mogły; lecz nowa wiara płynęła z zachodu z siłą tak nieprzepartą, iż nie pozostawało i jemu nic nad to, jak, albo ją przyjąć dla ocalenia, lub paść w walce daremnej.

Kilka razy w ciągu tych dni kneź posyłał i pytał niecierpliwie o Dobrosława, wyprawionego do Pragi; przychodziły nawet na myśl posadzenia, iż mógł go zdradzić i nie chceć powracać, gdy jednego rana zjawił się pożądany poseł.

A chociaż dnia tego znowu wyprawiono na Pomorze ludzi, których Sydbór wiódł dla pomszczenia jakiegoś napadu, choć byli posłowie od Łużyczan i Dulebów, Mieszko natychmiast powołać do siebie kazał Dobrosława i sam na sam się z nim zamknął.

— Mów — rzekł — mów mi wszystko, co widziałeś, coś słyszał, co mi przynosisz.

Czarne oczy knezia, palające ogniem niespokojnym, nagiły Dobrosława do jak najspieszejszej odpowiedzi. A człek, co miał tak niecierpliwie oczekiwane przynieść wiadomości, był powolny, rozmyślny i ważący mowę swą a wyraz każdy, niepewny siebie, jeśli niebojaźliwy, to do zbytku rozważny.

Zbierał więc myśli, gdy Mieszko, posadzający go, że się ociągał tak, bo nie mu dobrego nie przynosił, płonał już gniewem przedwczesnym. Pierwsza myśl, jaka mu się nastęczyła, była, że Bolesław, teraz gorliwy chrześcijanin, mógł mu tak wzgardliwie odpowiedzieć, jak Świętopełk Morawski ochrzczony poganinowi Borzywojowi, przybyłemu doń w gościnę, gdy do stołu zasiąść mieli.

— Niegodzienieś się przy mnie... ze psami usiądź i jedz na ziemi...

Dobrosław, spostrzegłszy ognistą twarz pana, strwożył się wielce.

— Miłościwy panie, pozwólcie mi powiedzieć, jako umiem, to, com widział i co słyszałem. Złego nie przynoszę nic! — ani słowa wzgardy, ani niechęci, owszem, pokój, zgodę i przyjaźń od knezia Bolesława.

Twarc Mieszka się rozchmurzyła, odetchnął.

— Strasznyż ten Bolko Luty, ten zwierz okrutny?... — zapytał.

— Minęły te czasy, gdy Bolko był tak okrutnym — mówił Dobrosław. — Ze śmiercią i uciezką Drahomiry zmieniło się wszystko. Bolesław zestarzał, osłabł... pokutuje dobrowolnie za przelaną krew... on i jego dzieci... Strachkwas, ten syn, co się narodził w dzień zabicia Wacysława, jest duchownym chrześcijańskim; Młada, córka jego, zamknięta w klasztorze u św. Jerzego... zabity brat za świętego jest poczytywany i po śmierci czyni cuda.

Mieszko się rzucił z dziwnym śmiechem. Dobrosław zamilkł.

— Co uczynił z bratem — rzekł kneź — wiedział dlaczego... państwo podzielone być nie mogło. Ale mógł mu kazać oczy wylubić, niechby żył... A że książątek nieposłusznych nabił dużo... dobrze uczynił — dodał — inaczejby nie panował i nie obronił się. Srogi jest, ale rozumny... przebiegły...

Dobrosław milczał.

— Mów, silny on jest? — zapytał.

— Siły jego nie znam, lecz wiem to — począł Dobrosław — iż go i cesarz szanuje, a ma za sprzymierzeńca... i Niemcy się go boją, i Ugrowie siedzą cicho...

— Rozumny jest i ja szanuję go — odezwał się Mieszko — i dlatego chcę jechać do niego, rękę mu podać, a powiedzieć: bądźmy jako dwaj bracia... a nie zapotrzebujemy cesarza ani Niemców, ni ty, ni ja... i będziemy silniejsi od nich... Ziemie to nasze, język nasz... nie damy ich... Panujmy we dwu...

Zamilkł chwilę i cicho mrukał do siebie:

— Potem, gdy bezpieczni będziemy od Ugrow i Niemca, zobaczmy, między nami, komu dane ma być panowanie... Ziemie nasze ciągną się szeroko... a to, co nam wydarł cesarz, odbierzemy... Co on mówi? — spytał Mieszko — co myśli o mnie?

— Miłościwy panie — odparł Dobrosław — kneź Bolko Luty mógłby równie nazwać się Milczącym jak Sierdzystym... nie mówi on nic, a głosu dobędzie wówczas chyba, kiedy miecz chowa... rzekł mi tylko: Zechce przybyć Mieszko, rad mu będę. Chce, bym go czcił, jak brata, uczynię to... zapragnie, abym go wrzekomo nie znał, udam, jakobym nie wiedział, kto jest...

Kneziowi oczy zajaśniały.

— Dobrześ sprawił twe poselstwo — rzekł, — a powiedzie się-li podróż moja, do której wnet gotować się każe, otrzymasz nagrodę i łaskę moją mieć będziesz.

Nie skończyło się na tem badanie, ponieważ Dobrosław nie po raz pierwszy na dworze pragskim przebywał, a dzieje tamtejszych książąt znał; Mieszko pytał o nie i o wszystko, co zasłyszał... o krwawe przygody rodu, dziś pokutującego za krew przelaną, o stolicę, gród, o kraj, czyli ochrzczony był cały, jak lud nową wiarę przyjmował, i jak go do porzucenia dawnej skłonić umiano?

Wreszcie, dopytując o cały ród Wratisławiczów,

Mieszko jął badać, czy dziewczki kneziowskie posłubione były i dlaczego mężów nie znalazły?

Jął tedy Dobrosław opowiadać, iż jedna z nich poświęciła swe życie Bogu, a takie dziewczę zamąż nie wychodzą; druga zaś, Dubrawka, dojrzała już, wolną była.

— Widziałeś Dubrawkę tę? — zapytał kneź ciekawie.

— Obyczaj chrześcijański nie zakazuje niewiastom pokazywać się i zamykać ich nie zmusza; przychodzą one i obcują wraz z mężczyznami... Na dworze więc Bolka Lutego — mówił Dobrosław — widziałem Dubrawkę. Dziewica urodziwa, dorosła i dojrzała, wesola i śmiała, jak na kniehinę przystało... Śpiew i płasy lubi... odwagę ma męską prawie, a rozum też jak niewiele niewiast miewa...

Zamilkł Mieszko zamyślony, lecz nie odpuścił jeszcze Dobrosława; po chwili pytał znowu, jaki był na dworze porządek i dostatek, jak tam przystało jechać i okazać się, skromnie, czy pańsko?

Wielkiego pocztu z sobą prowadzić przez Łużyce i czeską ziemię nie było podobna, w kilku się przekradać dla knezia nie przystało. Dobrosław radził w kilkadziesiąt koni wyruszyć i obiecał tak prowadzić lasami, wymijając gródki łużyckie i czeskie osady, idąc za biegiem Łaby i Wełtawy, iż niepostrzeżeni prawie do Pragi samej przybyć mogli, jakby na łowy się wybrawszy.

Nie chciał też Mieszko, aby u niego w domu ktokolwiek wiedział o celu podróży; ani zresztą było we zwyczaju oznajmować o tem.

Zaraz nazajutrz do drogi sposobić się miano, wybierając do orszaku zaufanych ludzi, najlepszą zbroję, najpiękniejsze konie, najświeższe szaty, a dla knezia Bolka wspaniałe dary. Stogniew, który nigdy nie odstępował Mieszka, Dobrosława i Własta, dlatego, że oba chrześcijanami byli i za tłumaczów służyć mogli, oprócz tego komornicy najulubieńsi, którym nie mówiono, dokąd kneź jechał, wyznaczeni zostali.

Włast, przypomniawszy starego ojca Gabryela, którego chciał uwolnić, odważył się prosić, by i on mógł kneziowi towarzyszyć. Zmarszczył się na to kneź, ale zezwolił, nakazując tylko, aby starego jeńca ludzie między siebie wzięli. Nie chciał, aby widocznym był i dał odgadywać drogę, którą się udać mieli... Włast zaś miał potajemną nadzieję, iż raz między chrześcijan się dostawszy, uwolnić go potrafi.

Gdy Mieszko, wydawszy Stogniewowi rozkazy, obu ich nareszcie odpuścił, Dobrosław i Włast wyszli razem. Na grodzie z sobą mówić nie mogli, lękając się, by ich nie podsłuchano, wyszli więc za wały, w pole, nad rzekę i tam sam na sam siedli.

Dobrosław nie mógł się wstrzymać, by z radości nie uścił Własta.

— Rozradowane jest serce moje! — zawołał w uniesieniu. — Stało się, o co prosiłem Boga... Mieszko nasz jedzie do Bolka... a rozumny pan, ujrzy, że nic mu nie pozostało, ino przyjąć tę wiarę, bez której my ocaleni być nie możemy. Z nią do nas przyjdzie wszystko, i ziemia nasza zakwitnie, — a Niemcom odjęty będzie pozór prześladowania... Jeśli się nie mylę, Mieszko chce być chrześcijaninem, ale się lęka...

— On? a kogoż lub czegożby się miał trwożyć?... — zapytał Włast.

— Dwanaście lat nie byliście z nami — począł Dobrosław, — nie znacie, co się u nas dzieje... Stara wiara, którą lud żyje i oddycha, w której się narodził, urosł, — niełatwo wytepić... Policzmy, ilu nas tu jest chrześcijan a ilu nieprzyjaciół?... W chwili, gdy pan nasz przyjmie chrzest, wszystko, co mu dziś służy, obróci się przeciwko niemu.

— Lecz siłę ma! — rzekł Włast.

— I tak siła stanie po stronie ludu... Mruczą już teraz i odgrażają się... Patrzą na nas groźnie, choć tylko posadzają...

— Nie przetoż — rzekł Włast — ulęknąć się potrzeba i w błędzie pozostać... Bóg pomoże.

— Tak—dokończył Dobrosław.—Ale krwi wiele się przeleje... — i westchnął smutnie.

Gwarzyli tak długo jeszcze, gdy wreszcie Włast, który kneziowi nazajutrz miał towarzyszyć i potrzebował na to od ojca pozwolenia i wyprawy, pożegnawszy Dobrosława, na koń siadł, aby jechać do Krasnejgóry, skąd nocą mu powrócić było potrzeba.

Droga była mu dosyć dobrze dawniej znana, a oddalenie niewielkie; sam jeden więc, konia wzięwszy, puścił się, aby przed wieczorem stanąć u ojca.

Więcej, niż on sam, koń go do domu i żłobu prowadził. W Krasnejgórze znalazł ten sam spokój, jaki zostawił; wybiegła przeciw niemu Hoża, szczebiotaniem go witając, ukazała się z za węgla z nieodstępną kądziela stara prządka, twarzą dosyć pochmurną zwracając się do wnuka, naostatek wyszedł Luboń stary, ucieszony syna powrotem, i Jarmierz, który wraz z nim sądził, że kneź Własta puścił do domu.

Syn skłonił się ojcu do nóg i oznajmił, że po wyprawę tylko przybył i dla opowiedzenia się, bo kneź nazajutrz jechał w drogę (zakazano mówić, dokąd) i kazał mu być w swym orszaku. Nachmurzyła się twarz Lubonia, ale wola książęca musiała się spełnić. Jarmierzowi kazano wydać, co Włast potrzebował, aby wstydu ojcu nie uczynił.

Wszystko, co żyło w domu, zbiegło się do przybyłego, który musiał opowiadać o dworze, co widział tam i słyszał.

Stara Dobrogniewa, milcząc, przysłuchiwała się także, ale z twarzą posępną. Wolałaby była mieć na oku wnuka, zwłaszcza, że podejrzenia jej, co do chrześcijaństwa nabrały teraz większej jeszcze wagi. Po odjeździe Własta stara potajemnie rozwiązała zostawione przez niego sakwy i znalazła w nich kielich srebrny, patynę, ampułki, wyszywane przybory, do odprawiania mszy św. służące, co wszystko — czarodziejskie jakies narzędzia chrześcijańskich wieszczków mając, wnuka już zgubionym sądziła. Tak ona jak i Luboń nie widzieli innego ratunku,

tylko ożenienie go i trzymanie na oku. Pobyt na dworze nie był im na rękę.

Gdy oprócz innych rzeczy, Włast i swojego zostawionego węzłka zażądał, stara wydała go wprawdzie, ale zasępiła się więcej jeszcze.

Tymczasem dobywano szaty i uzbrojenie, wyprawdzono innego konia i Jarmierz pilno się krzątał około wyprawy syna pańskiego.

Luboń napróżno dopytywał, dokąd jechali i na jak długo, i nie zdziwił się, gdy syn mu odpowiedzieć nie umiał, gdyż nie było w obyczaju knezia naprzd oznajmywać o sobie. Stary ojciec tem się pocieszał, że wyprawa musiała mieć wojenny cel i że syn się zaprawi do oręża.

Ściemniało już nieco, gdy się przygotowania skończyły i Włast na koniu objuczonym, pożegnawszy swoich, nazad ku Cybinie wyruszył.

W pierwszej swej jeździe z Poznania miał za przewodnika konia, teraz, choć drogę mu rozprowadziano i on sam ją sobie przypominał, gdy w las wjechał, niebardzo jednak sobie umiał poradzić. Drog wielkich nie było, gdzieniegdzie lasem i zaroślami prowadziła mało wybita ścieżka. O zmierzchu niedobrze ją było można rozeznąć. Puścił się więc, kierując mniej więcej w stronę, w której gród, jak mu się zdawało, leżeć musiał.

Noc nadchodziła szybko, pusto było dokoła. Włast, niecierpliwie zwracając się różnie podług swojej myśli, wkońcu się zupełnie zbłąkał; las coraz był gęstszy, zarośla niedostępniejsze, a mrok we wnętrzu jego trudno rozpoznać dawał drogę i kierunek. W gęstwinie żadnego głosu i znaku życia nie było. Wreszcie z koniem się przez nią przedzierać coraz trudniej się stawało. Zsiadłszy więc z uiego, dla lepszego rozpoznania ścieżek, i prowadząc go w rękę, szedł Włast, nie wiedząc dobrze, co pocznie.

Dosyć już długo błądził tak, coraz mniej mogąc zmiarkować, w którą się miał kierować stronę, gdy w głębi lasu zdawa spostrzegł światelko. W miejscu

tem podnosiło się nieco wzgórze, lasem zarosłe, i ogień rozpalony był na jego wierzchołku; kłęby czerwonego dymu wily się wpośród drzew i płomienie oświecały wysokie pnie starych dębów.

Włast, zbliżając się, dostrzegł gromadę ludzi, z których jedni stali, drudzy siedzieli dookoła ogniska. Uszu jego dochodziły stłumione i zmieszane głosy.

Niepewien będąc, na kogo trafił, i lękając się, aby go, samotnie jadącego, nie odarto, przywiązawszy u dołu konia do pnia sosny, sam pieszo poszedł pocichu na zwiady. Ostrożnie się przedzierając przez krzaki, z wolna się zbliżył ku wierzchołkowi wzgórza, tak, że mógł już, ukryty za kłodą obaloną, dojrzeć i słyszeć, co się tu działo.

Plaszczynę wzgórza okrywały rzadko rozsądzone drzewa olbrzymie. W pośrodku stał najogromniejszy ze wszystkich dęb rozłożysty, którego gałęzie wielką przestrzeń ziemi osłaniały. U pnia jego widać było przy ognisku gałęzi mchem obrosłe, napół w ziemię wpadły. Kilkunastu ludzi z brodami długimi, z dzidami i kijami w rękę, stało nieopodal, kilku siedziało. Naczynia gliniane na kamieniu rozstawione były.

Z kolei starcy ci głos zabierali. Niektórzy mówili tak cicho, że ich posłyszeć nie było można, inni podnosili głos.

Włast, który w ciągu pobytu na grodzie zbliżał się przez ciekawość nieraz do świątyni, postrzegł tu te same twarze, które tam widywał. Byli to wieszczowie i gęślarze od kontyny, a z nimi inni jacyś ludzie. Miejsce musiało być ofiarne, jak to kamień oznaczał.

Rozpoznawszy nieco ludzi i twarze, Włast przysunął się bliżej. Tu mógł już słyszeć, co mówili i wyraźniej widzieć starych, co ołtarz otaczali.

— Z Niemcami — mówił jeden — i z ludźmi, co u nich żyli, obcuje ciągle, — nami gardzi!... Pieśni posłuchać nie chce, a trafi na nią, to się śmieje i ramionami rusza. Ponawracali na swą wiarę Luty-

ków i Obotrytów wielu, wzięli Czechów... przyszła kolej na nas... Biada nam... ten nas zgubi... ten, nie kto inny, z oczów mu to widać...

— U niego na dworze — rzekł drugi — najlepsi ci, co zdradę od nich czuć... Do kontyny po wróżbę nie pośle; gdy idzie na wyprawę, nas nie pyta... wieszczy żadnej nie chce... niewolnika nie zabito na ofiarę lat już wiele...

— Bojan niech powie — przerwał inny — czy kiedy on, albo siostra poszli się pokłonić do gaju, albo złożyli objęcie... — nigdy...

Szemrano coś niewyraźnie.

— Czuć u nas to, co było w Czechach... kontyny obalą... drzewa wytną... — a Niemców zaprowadzą — krzyknął jeden.

— Niedoczekanie ich! — ozwał się potężny głos z ziemi — nie da się lud... obroni bogów swoich... pilne na niego mamy oko... Stogniew, który ucho jego ma i od boku nie odstępował nigdy, pierwszy wstanie przeciw niemu... wstaną kneziowie inni, kmiecie wszyscy... uczynią mu, co zrobili z Leszkami... Znajdziem wodza innego...

— Lud zbrojny ma w rękę...

— Nie pójdzie z nim na nas... — rzekł siedzący — nie pójdzie...

Gwar powstał znowu.

— Gdy tylko zdraadny znak da, ubiją go... — mówił jeden.

— A Sydbór? — zapytał ktoś z tłumu.

— O! ten mu służy jak niewolnik i uczyni, co każe...

— Na co nam Sydbora... mamy innych...

Zaczęli po imieniu liczyć nieznanym Włastowi władków i kmieci. Niektóre tylko w pamięci utkwić mu mogły.

Na ziemi u kamienia siedzący wywoływał tych, którym ufano.

— Zawist, Nadek, Sulin, Staniec, Rodosz, Besior, Sulenta...

Wtem z boku krzyknął ktoś imię ojca jego:

— Luboń...

— Nie — zaprzeczył drugi — Luboń mu nogi liże.

Gwar i sprzeczka powstała; ktoś Stogniewa o zdradę zaczął obwiniać, inni go bronili, mówiąc, że pewni byli, iż wiary dotrzyma i swoją ręką gotów ubić pana, gdyby chciał trzymać z Niemcami i ich wiarą.

Dość długo trwała coraz gwarniejsza rozmowa, przerywana cichemi szeptami, aż pieśń jakąś starą zawodzić poczęto.

Przerwała ona radę i spory.

Włast już dłużej słuchać nie mógł i nie chciał; dosyć mu było tego, co pochwycił. Nazad więc zszedł do konia, którego znalazł z zaplątanemi cugłami u drzewa, siadł nań i na los już się puścił, nie kierując wcale. Noc była nadeszła gwiazdzista, pogodna, ale ciemna; koń instynktem szukając drogi łatwiejszej, wyprowadził go na łąkę. Zrozpaczywszy, by na noc mógł się dostać do grodu, chciał na niej obozować do dnia Włast, gdy dostrzegł cień idącego człowieka, nieopodal się przesuwanego. Ozwał się doń, nawołując. Człek stanął.

Zbliżywszy się, ujrzał zbłąkany starca o kiju, snąc jednego z tych, którzy na wzgórzu byli na radzie, powracającego do chaty. Zawołał nań, o drogę do grodu pytając.

Przypatrzywszy mu się bacznie, stary wskazał ręką kierunek, dodając:

— I ja tam idę. Z boru się prędko wydostaniemy, a za borem widać gród, — traficie doń sami.

Na zapytanie, skądby jechał, odparł Włast, że z Krasnejgóry; nie znając drogi, zbłąkał się, a do grodu mu było pilno.

— Wyście tu obcy? — spytał stary, idąc powoli koło konia.

— Obcy nie jestem — rzekł Włast, — alem tu nie bywał dawno.

— Wojowaliście?

— Nie — począł spytany — w niewoli byłem u Niemców.

— Psie syny — mruknął stary. — Wszystkich nas oni pobiorą i wpręgą do pługa... pobrali już braci naszych nad Łabą i nad Odrą, poburzyli kontyny, powycinali gaje... Zdradzili nas knezie nasze i sami do nich poprzystawali... starszyzna nas sprzedawała... ale przyjdzie czas i na starszyznę, i na nich... Dosyć my się lez napili, — drudzy krew pić będą musieli...

Umilkł chwilę stary, ale idąc mruczał, jakby przeklinał, a że Włast mu nie wtórował i nie odzywał się, umilkł wkrótce.

Z tych słów i z tego, co podsłuchał na wzgórzu, mógł się przekonać Włast, jakie było usposobienie między Polany.

Z lasu wyjechawszy, zobaczył już zdala rozrzucone światła i ogniska nad Cybiną.

— Jedźcie — odezwał się stary, — wam pilno... ja pójdę pieszo powoli... ze starym się wlec młodemu nudno...

I spuściwszy głowę na piersi, pokazał mu ścieżkę, wiodącą do grodu. Włast konia popędził i wprędce stanął u okopów, gdzie straż przy ogniskach leżała.

Nie wstrzymał go nikt, wjechał więc do uspiołego zamku i zabrawszy sakwy swoje, a postawiwszy konia, pośpieszył do ojca Gabryela.

VIII.

Piękny był wieczór kończącego się lata, poza którym już nieco nadchodząca jesień czuć było. Przeszły lipcowe skwary, noce zaczynały być orzeźwiające i chłodne, drzewa wprzód powarzone upałami, zdawały się odżywać na nowo.

W blaskach południowych, w świeżej tej zieleni

drzew zwieszonych konarami nad Wełtawą, jak gdyby wody jej pić chciały, cudnie wydawała się okolica Pragi, ze wzgórzem Hradszyna, którego sterczące wysoko mury widać było zdala.

Gromadka, z kilkudziesięciu złożona zbrojnych ludzi i dostatnio poprzybieranych, zatrzymywała się właśnie w gaju nad rzeką, dla spoczynku i narady o dalszym pochodzie. Miasto już stąd widać było.

Podróżni, przybyli z dalekiego snąć kraju, konie mieli zdrożone i suknie pyłem okryte. Niektórzy ocierali pot z czoła i zsiadali z wierchowców, aby się po męczącej wyprostować jeździe.

Wybrano na to ustronny, cienisty kąt nad rzeką, aby ludzie i konie przed wjazdem do obcego miasta, oczyszczone i przybrane, lepiej wydać się mogli.

Orszak, mimo, że ucierpiał w podróży, okazał się wydawał; składająca go młodzież była urodziwa i silna, konie piękne i okazałe, opony na nich z sukna cienkiego, broń jednakowa u wszystkich, doborna i droga. Sama liczba ludzi towarzyszących panu, który właśnie pod drzewem spoczywał, mówiła o jego znaczeniu. Kneziem po drodze mianowali go i ci, co go nie znali, czołem mu bijąc nisko.

Z juk na luźnych koniach zdejmowano właśnie, co było potrzeba włożyć na konie i ludzi, aby nie ladażako się pokazać u obcych. Tymczasem gromadka wojaków wesoło się rozpięchła po okolicy, szukając cienia, pragnąc wody.

Orszak ten, stojący chwilowo obozem pod Pragą, należał do Mieszka, Ziemomysłowego syna.

Widać było wpośród niego Dobrosława, Wiotkiego, Własta, syna Lubonia i starego jeńca, ojca Gabryela, którzy razem na uboczu się trzymali. Oprócz nich nikt, gdy wyjeżdżali z grodu nad Cybiną, nie wiedział, dokąd jadą i po co. Domyślał się może bystrzejszy Stogniew z tego, co wieźli z sobą, że nie na wojnę się wyprawili.

Prowadzeni przez Dobrosława drogami mu znajomymi, napozór bez żadnego drogi śladu, górami i lasami gęstemi przedzierali się podróżni, idąc za biegiem Łaby i Wełtawy, aż do stolicy czeskiej, do Pragi. Zrećźnie musieli unikać i wymijać gródki nad rzekami, osady w parowach i kupki włóczących się za łupieżą Serbów, Niemców i różnych rabusiów zbrojnych. Ale w tem przedzieraniu się cichem, do którego wdrożeni byli, na męstwie i przebiegłości nie zbywało ludziom Mieszkowym. Dobrze zbrojni, silni, byliby się i dwakroć większej nie ulękli gromady.

Na czeską ziemię wszedłszy, już śmieiej posuwać się mogli, bo Dobrosław miał słowo książęce... Bolko Luty wiedział o odwiedzinach Mieszka i rad mu był bardzo; różne rachuby wiązały się z tem zbliżeniem dwu kneziów sąsiadujących z sobą. Polański pan i czeski oba pono liczyli na siebie; obu się marzyło może, Bolkowi szczególnie, który potężniejszym się czuł i o cesarstwo opierał, że pobratyma hołdownikiem, podległym sobie uczyć potrafi.

Zwycięstwo, odniesione nad Ugrami, wbijało Bolka w dumę, a czasowa podległość cesarstwu nie upokarzała: mógł się on z niej wyzwolić, kiedy chciał, a do tego wszak i Mieszko mógł mu być pomocnym.

Przodem wysłany Dobrosław, wyrozumiał dobrze, że tu zdrady nie knują, bo z niejby nie mieli korzyści.

Mieszko jechał, w głowie coś obmyślając, przez całą podróż zadumany i chmurny. Raz z noclegu chciał zawrócić nad Cybinę, potem Dobrosława badał znowu, a gdy stanęli na ziemi już ochrzczonej, niepokój zwiększył się jeszcze. Kneź się wszystkiemu przypatrywał z ciekawością chciwą, czasem z trwogą prawie.

Tu już panował wszędzie ten Bóg wielki, jedyny, potężny, któremu on jeden, poganin, nie kłaniał się jeszcze. Gdzieniegdzie spotykali po drodze ślady świętego jeszcze nawrócenia, powycinane gaje święte,

obalone ołtarze stare; u krynic pozatykane niedawno krzyże drewniane, ściany rozwalonych kontyn, zieliskiem porośłe, wśród których sterczały już znaki nowej wiary.

Na widok tego zniszczenia, wydającego mu się świętokradztwem, Mieszkowi twarz płonęła gniewem, niedowierzająco spoglądał na spokój, który te miejsca otaczał, dziwiąc się, iż starzy bogowie krzywdy swej nie mścili. Mimowolnie rodziła się wątpliwość o ich sile? Każdy krzyż obawą go napelniał. Spoglądał nań z zabobonną trwogą, azali nie pozna on w nim obcego i wroga. Z temi niepokojącemi wrażeniami w duszy Mieszko przybył aż pod Bolesławową Pragę.

Dobrosław, jakby odgadując myśli jego, dodawał mu ducha, ręczył i zapewniał o gościnnem przyjęciu. Kneź słuchał i milczał.

Komornicy przynosili mu właśnie bogate ubranie i płaszcz czerwony, złotem szyty, który miał wdziać na siebie, Włast podawał kolpak, drugi miecz przypasywał, gdy zdala nadbiegł Stogniew z twarzą dziwnie rozpromienioną i wesołą.

— Miłościwy panie! — zawołał. — Zanim na hrad pana Bolesławowy przybędziemy, zaprawdę warto się przyjrzeć tutejszym niewiastom — ja się im już niepostrzeżony przypatrywałem! Krasne stworzenia! Oto tu, nieopodal nad rzeką przybiło ich kilkanaście czólnami, czy dla kąpieli, czy dla zabawy. Usadowiły się na łące w gaju i śmieją się, piasą a śpiewają i pieśni zawodzą. Muszą być chyba z pańskiego dworu, bo pięknie strojne, wyglądają jak królowny.

To mówiąc, na zarośla ukazywał.

A chociaż mówił dosyć cicho, komornicy pańscy coś o dziewczętach posłyszeć musieli i kilku z nich zaraz biedz poczęło w stronę ukazaną; — ale Stogniew pogroził im, wstrzymał i cofnął, aby nie spłoszyli pierzchliwych.

Mieszko porwał się śpiesznie i począł iść za Stogniewem, który go poprzedzał, na Dobrosława skłaniawszy, aby mu towarzyszył.

Za łąką, na której odpoczywali, gaj się w tej stronie poczynął podszyty, i gęstwiną można się było podkraść do miejsca, ku któremu Stogniew prowadził. Dokoła osłaniały kawał zielonej murawy u brzegu stare drzewa, z pospuszczanemi w dół gałęzmi.

Cicho było i chłodno w tej ustroni, od oczów ludzkich zakrytej, a Włtawa, mrużąc, myła zwieszzone nad nią trawy i kwiaty. Na falach jej, tuż u brzegu kołysało się kilka czólen okrytych sukni, z tych właśnie reszta gromadki postrojonych, krasnych dziewcząt wysiadała, poskakując, wiosła rzucawszy na nie.

Temu, co znał czeskie podania, wydać się mogło, że Własta ze swojemi towarzyszkami z grobu wstała i jakaś Lumirowa pieśń ze słowa w widmo się zmieniała.

Dziewczęta wszystkie prawie jednako były poubierane, w wianuszkach dziewiczych na głowach, z kosami w krasne wstęgi wplecionemi, w białych cienkich gzałach, szytych wzorzysto i malowanych zapaskach. Niektóre z nich były bose, inne stapały w chodaczkach wyszywanych, z czerwonymi, około nóg poplatanemi sznurkami. Biegały po łączce, jakby sposobiąc się do jakiejś zabawy.

Śmieszki rozlegały się wesołe, ale tłumione jakby poszanowaniem i trwogą, którego pobudkę odgadnąć było łatwo.

Wśród tego wieńca dziewczątek, od lat piętnastu do ośmnastu, dobranych jakby do wieku i miary, stała urodziwa dziewica, w której po stroju i twarzy poznać było można panią.

Wzrostem bujnym o głowę całą przechodziła towarzyski swe, a postawą poważną i dumną wszystkie je gasiła. Z wianku i kos znać w niej było dziewczę — niedopiero rozkwitła, ale w pełnym młodości kwiecie. Starszą była znacznie od swych towarzyszek, zdawała się też mieć zwierzchnią władzę nad niemi.

Dziecko pańskie, krew rycerską, potomstwo jakiejś Libuszy czuć było w pięknej pani. Silna jej dłoń biała nie uleżała się snąć miecza, ani cugli szalonego konia: na twarzy nieco smagłej, w czarnych oczach ognistych pałało nieustraszone męstwo, ale razem z nim swobodna panowała wesołość. Nie zbywało jej na wdzięku niewieściom w ruchach zręcznych, ale męska śmiałość z nim się łączyła.

Taką niewiastę-panią niełatwo było spotkać i zobaczyć, gdy one wszystkie sługami były, — i Mieszko, ujrzawszy ją, wlepił oczy ciekawie, oderwać ich nie mogąc od tego zjawiska, wydającego mu się czemś czarodziejskiem, wyższem i doskonalszem nad to, co widywał w życiu.

Wśród kilkunastu młodszych i piękniejszych ona ciągnęła oczy jak królowa.

Na pierwszy zaraz rzut oka otaczające ją dziewczęce twarzyczki gasły, — gdy po tamtych oko przebiegało, od tej wzrok oderwać się nie mógł.

Rysy twarzy znaczyły się ostro i dobitnie, coś męskiego miały w sobie, ale niewieści urok okraszał je uśmiechem; białe zęby wśród ciemnych ust różowych jak dwa sznury pereł jaśniały.

Silą, wzrostem, urodą wśród tej gromadki nieznaną pani zajmowała pierwsze miejsce. Wszystkie dziewczęta patrzyły jej w oczy, czekały skinienia, zdawały się chcieć zgadnąć myśli.

Dziewica, mianując je po imionach: Młoda, Hodka, Swatawa, Radka, Wradka, Czastawa, jakby z pieśni pożyczonych, wyznaczała im miejsca na łące, stawiała kołem przy sobie, kazała się brać za ręce i, plasnąwszy w dłonie białe, dała znak.

Razem ze wszystkich ust odezwała się piosnka rzewna jakaś, a napół wesoła; dziewczęta w takt jej się poruszyły, i śpiewając, poczęły płaś, obracając się około pani.

Ona, stojąc w pośrodku nich, słuchała z widoczną rozkoszą, nucając zcichą, pochylając głowę, niekiedy przyklaskując w dłonie, lubując się skokom i pieśni.

Widok tej zabawy dziewiczej poruszył knezia i zajął niewymownie; oczy mu zabłyśły i usta się śmiać poczęły. Ukryty w zaroślach, wpatrzył się tak, że zapomniał o wszystkim, co go otaczało i czekało, gdy Dobrosław, zlekka go potrąciwszy, szepnął mu do ucha:

— Knehini Dubrawka!

Była to wistocie córka Bolesławowa, jedyna po wnijsiu Młodej do klasztoru, Dubrawka, która dotąd nie znalazłszy sobie małżonka i nie szukając go, pędziła przy ojcu życie swobodne, niebardzo o przyszłość się troszcząc.

W jej pięknych, napół męskich rysach, widać było bujną krew tego rodu Przemysławów, który w złem i dobrem nie znał miary, córkę Drahomiry Lutyckiej, co nad miłość własnego dziecka przeniosła chęć panowania, córkę Bolka Lutego, co nad sobą starszemu nie chciał dać przewodzić, synowicę Wacława, co pobożnością stał się niemal kapłanem, cnotą doszedł świętości, pogardą życia — męczeństwa — krew rodu pańskiego, wojowniczego, stworzonego do królowania i dowództwa. Ojciec jej był jednym z kneziów czeskich — a został jedynym. Co mu nie ulegało — pościął.

Takiej niewiasty męznej i silnej wśród ówczesnych pokornych i bojaźliwych, — bo ją do tego z dzieciństwa wdrażano, — Mieszko nawet nie marzył. Znał je trwożliwemi tylko, zuchwałemi w gniewie, a rozplywającemi się we łzy na skinienie, płochemi i płochliwemi. Ta niewiasta, jakby stworzona dla wojaka, zachwyciła go.

Zapomniawszy się, czy umyślnie, Mieszko gaszczył, która go zakrywała, przebił i stanął na widoku, aby się swobodnie przyjrzeć tej królownie i pięknym jej towarzyszkom.

Lecz zaledwie się ukazał, kilka dziewcząt spostrzegło tę strojną postać mężczyzny nieznanego, obcego, nagle zjawiającą się, jakoby czarem z ziemi wyrosłą — i pieśń zmieniła się w okrzyk przestrachu.

Zakrywając oczy, rzuciły się strwożone i pobiegły do czółen, szukając w nich schronienia.

Jedna Dubrawka nie uległa się, choć nie wiedziała jeszcze, co ten strach wzbudziło i odwróciła się śmiało a groźnie, spoglądając w stronę, gdzie stał Mieszko.

Zadziwił i ją zapewne człowiek nieznany, który śmiał tak podejść na zabawie i podpatrzeć. Z brwią namarszczoną spojrzała groźnie na Mieszka, który stał, uśmiechając się.

Groźna twarz dziewczicy wcale go nie przeraziła; dopiero wpatrzywszy się w nią, gdy spostrzegł na szyi wiszący krzyżyk, — pochmurniał. Znak ten spotykał wszędzie, — nawet... na tej pięknej kniehini.

— Kto wy jesteście? co tu robicie? — donośnym głosem zawołała Dubrawka.

— Piękna kniehini — rzekł, ośmielając się, Mieszko — jestem wojak podróżny... szukam służby do wojny, może wy mnie przyjmiecie?

Dubrawka popatrzyła nań długo; z dźwięku mowy, do czeskiej podobnej, a trochę różnie brzmiącej, starając się odgadnąć, skądby ten przybysz pochodził. Suknia bogata świadczyła o nieprostego stanu człowieka, płaszcz miał na sobie książęcy.

Żartobliwie jakoś zaczęły się jej uśmiechać usta.

— Hej! — rzekła, biorąc się w boki. — Nie proście wy się na służbę do mnie, — służba ciężka, spokoju nigdy niema, nie wydołalibyście u mnie! Wojaków moich głodem morzę, a gdy się popsują, policzkami naprawiam. Niezdrowo służyć u mnie.

— Jednak mi jakoś nie strach tej grozy — odparł swobodnie, przybliżając się ku niej Mieszko, — a cóż wy sługom płaciecie, piękna pani?

— Ho! różnie! — poczęła wesoło Dubrawka. — Czasem kijami, czasem różgami, niekiedy ciemnicą o chlebie i wodzie. Jabyśmy was też do służby nie przyjęła, boście już musieli wielu takim panom służyć! A no, choć nie mój sługa, ukaraniaście godni: kto wam się tu wkraść pozwolił? Radzę wam,

uchodźcie, bo moim dziewczynom każę na was uderzyć, a to wszystko Własty wnuczki i wojaczki z Dziewina.

Mieszko rozśmiał się głośno.

— A no, piękna kniehini — wydawajcie do wojny rozkazy! Kiedy wojna, to wojna... Gdy mi ją wypowiecie, na was pierwszą uderzę.

Słyszac to wyzywanie, dziewczęta nawpół w czółnach pochowane, ośmielone żartobliwą rozmową, poczynaly głośno śmiać się i chichotać. Niektóre groźnie wiosła podniosły.

— Jam tu też może nie sam i nie bez obrony — dodał Mieszko, — a jak klasnę w ręce i moich zawołam, weźmiemy wszystkie do niewoli.

Dubrawce żarty te podobać się musiały; patrzała na nieznajomego z coraz większym zajęciem.

— Wieluż tam was jest na wojsko moje? Macie tam choć ze dwie sotnie? — odezwała się, śmiejąc.

Wtem wiszący na sznurku rożek wzięła w rękę i pokazała go kneziowi.

— W tym rożku u mnie więcej żołnierzy na obrotę, niż wy mieć możecie do napaści.

I wskazała ręką ku Hradszynowi.

— No, to zawrzyjmy pokój z sobą, piękna kniehini — odezwał się Mieszko. — Dajcie mi jeno okup, choćby wianuszek wasz, — to was puszczyć całą.

— Kto? ja? wam? okup? Wianuszka się wam zachciało? Chyba wy mi się wykupicie, gdy wam życie daruję.

— No, zgoda, — okup! Przyjmiecie okup ode mnie? — zapytał kneź.

Milcząc, popatrzyła Dubrawka na mówiącego, jakby odgadnąć pragnęła, kto był; uśmiechała mu się bez gniewu.

Mieszko miał na palcu pierścień stary, który z domu wiozł, żeby go komu dał, jako zapłatę lub podarek.

Siedział w nim spory kamień czerwony, grubo złotem w plecionkę okuty... Nie mówiąc nic, zdjął go z palca i podał Dubrawce.

Kniehini, spojrzawszy nań, zarumieniła się mocno, ale nie gniewnie; nie wiedziała sama, czy go ma przyjąć lub odtrącić. Milczała.

— Chcieliście ode mnie okupu — rzekł Mieszko — oto go macie; niewielki on jest, ale i wina niestrasznego.

To mówiąc, zbliżył się o krok jeszcze do kniehiny i gdy się najmniej spodziewała, w twarz ją zuchwale pocałował... Właśnie w tej chwili, jakby na próbę przez ciekawość, pierścień na palec kładła.

Z krzykiem i gniewem Dubrawka popchnęła kniezia od siebie tak silnie, że Mieszko się zachwiał, i pierścień zostawując w jej rękach, natychmiast w gąszcz uszedł, śmiejąc się wesoło.

Tu czekającym nań Stogniewowi i Dobrosławowi dał znak, aby za nim śpieszyli do koni.

Stały one już w gotowości na łące i na dany znak wszyscy posiadali na nie. Naówczas Stogniew orszak podzielił i ustawił w porządku... Dobrosław samoszość jechać miał na zamek przodem z oznajmieniem i pokłonem do Bolesława, z prośbą, aby w gościnę był przyjęty nie jako pan polańskiego kraju, ale jako kneź z nad granicy. Wysłaniec miał poprzedzić orszak pański, który wolnym krokiem zwrócił na drogę ku Hradszynowi.

Jeszcze się wszyscy ustawiali na łące, w środek biorąc konie juczne i niepokązną czeladź, a Stogniew ludzi dobierał i szykował, gdy śmiała Dubrawka puściła się w pogoń za uciekającym nieznajomym i z gąszczy miała czas przypatrzeć się Mieszkowi, gdy na koń siadał z całym swoim orszakiem.

Chciała zrazu zawołać nań, aby sobie pierścień wziął nazad, nie będąc rada zuchwałemu podarkowi, lecz zobaczywszy, że Mieszek otoczony był znacznym orszakiem, zawstydzila się i zachowała pierścień na palcu, nie wątpiąc, że ktobykolwiek był ów nieznajomy, musi się zjawić na zamku, nie gdzieindziej, jak tam zmierzając. Zgadnąć, ktoby to był,

trudno jej było; jednakże z rysów twarzy szlachetnych, z butnej postawy, z wielkiej śmiałości człowieka domyslała się kniehiny równego sobie stanu jakiegos pogranicznego pana. Mowa świadczyła, że nie należał do niemieckiego plemienia.

Zadumana stała tak dosyć długo, spoglądając za odjeżdżającymi, aż dopóki jej z oczów nie znikli. Kierunek, w którym odjechali, upewnił ją, że do Pragi dążyli.

Zabawa była już przerwana i popsuta, wnet więc dziewczęta na czołna siadły i Dubrawka z niemi popłynęła do stóp wzgórza, na którym Hradszyn się wznosił.

Od wjazdu na czeską ziemię, spotykając ciągle krzyże i znaki chrześcijaństwa, Mieszko nękany był tą myślą, jak on, poganin, przyjęty zostanie przez pobożnych teraz i surowych Przemysławiczów.

Owo podanie o Borzywoju, któremu ze psy na ziemi jeść dano, przychodziło mu na myśl nieustannie, i burzył się na przypuszczenie podobnej obelgi, którejby był nie ścierpiał, choćby tam miał życie położyć. Jadącemu więc przodem Dobrosławowi powiedział raz jeszcze:

— Oznajmicie bratu Bolkowi, że poganinem jestem, żem niechrzczony, ale przez to zniewagi sobie uczynić żadnej nie dopuszczę. Jeśli jako brata, dla pogaństwa mego znać mnie nie chce, od wrót jego precz wolę odjechać.

Ani też myślał Bolesław dać znać Mieszkowi, iż go przez to niższym od siebie czuł: — pragnął go zyskać, nie zrazić... Oba byli wzajem potrzebni sobie.

Zwolna, drapiąc się po przykrej i stronnej drodze na górę, orszak Mieszków zbliżał się ku wałom, opasującym gród Bolesława.

Zdala już widać było inny kraj i obyczaj, większą potęgę i umiejętność, przyniesioną z zachodu. Kamienne ściany otaczały dokoła warownie, ponad niemi widać było dachy malowane, a wyżej nad nie sterczał na kościele św. Wita krzyż wielki, któ-

rego widok przejął znowu Mieszka trwogą i niepokojem.

Był tu pod panowaniem krzyża. Nad głowy wszystkich, nad dwór książęcy, nad góry i lasy w obłoki wzniesiony, królował ten znak tajemniczy, który już całym prawie władał światem i jednoczył świat cały.

Wlepiwszy weń oczy, jechał Mieszko; — nie trwożyło go tu nic, oprócz tego wysoko wyniesionego krzyża, któremu królowie i kneziowie, co żyło podlegało. Krzyż ten stał już nad polańską granicą; — uznać tego Boga poganinowi zdało się przejściem ze swobody i bezkarności do niewoli i posłuszeństwa. Wydał mu się nieprzyjacielem ten znak wysoko, dumnie świecący na niebiosach ostatnimi zachodzącego słońca promieniami.

Dobrosław, pośpieszywszy przodem, znacznie prędzej stanął na zamku w Hradzynie, opowiedział się u bramy, poznany został i wpuszczony, a starszy od dworu Bolesława poprowadził go do knezia.

Spoczywał Luty Bolko, gdy mu o gościu znać dano, ale wstał wnet, choć ociężały był i już osłabły wiekiem.

Twarz jego nasępią, blada, od zmarszczek porwana, oczy pod nawisłymi brwiami, niespokojnie biegające, zaciśnięte usta, czyniły oblicze jego groźnem, choć lata i wspomnienia przeszłości znacznie srogość dawną złagodziły. Dzikiego coś zawsze pozostało w rysach tego władcy, na którego ramionach ciążyło niezmyte znamię Kainowskiej zbrodni i niezliczona moc krwawych zapasów, któremi się dobijać musiał panowania nad zjednoczonem państwem swoim! Długa pokuta, ofiara dwojga dzieci nie złagodziła jeszcze tego piętna bratobójczego, którego pamięć odżywiały cuda grobu Wacława. Krwawy ów poranek dnia śś. Kuźmy i Damiana, w przedsięwzięciu kościoła w Bolesławiu, stał w oczach starca do dziś dnia.

Gdy Dobrosław stanął przed nim, schylając się

do kolan i oznajmując przybycie pana swojego, starzec poruszył się żywo, z widoczną radością przyjmując nowinę.

Wnet kazał podać sobie suknię wierzchnią bogatą, kółpak książęcy, przypasał miecz i ujawnił w dłoń laskę, zawołał na dwór, komorników i na starszyznę, by mu towarzyszyła. Posłano po młodego Bolka, syna książęcego, dorodnego i dojrzałego już męża i na jego ramieniu spierając się, otoczony mnogim dworem, zszedł stary kneź w podwórzec zamkowy.

Ale tu jeszcze dobrą chwilę stać musieli, nim we wrotach ukazał się na koniu jadący Mieszko. Ujrawszy gospodarza i orszak jego, wnet z konia skoczył przybywający i stała się w nim zmiana, na którą ci, co go znali, patrzyli ze zdumieniem, nie sądząc, by do niej był zdolny.

Dumny kneź stał się na widok Bolesława niemal pokornym, z uśmiechniętą i łagodną twarzą przybliżył się ku niemu i pochylił nisko głowę, kółpak zdejmując.

— Sasiad do sąsiada, pobratym do pobratymca! — rzekl. — Przybywam do was, miłościwy panie, z braterstwem i pokojem.

— A ja wam, jako bratu, rad jestem! — zawołał Bolko, obejmując go za szyję.

W tej chwili, podczas tego uścisku, Mieszko mimowolnie wspomniął brata Wacława i kneź sam drgnął, przypomniawszy dzień Kuźmy i Damiana. Po chwili milczenia wskazał na syna.

— Dziecko to moje, bądźcie mu też druhem — ozwał się głosem cichym.

Nie rzekłszy więcej, pod ręce się wzięwszy, weszli do obszernego gmachu murowanego, który Mieszkowi, nawykłemu do drewnianych dworów, wydał się okazałym nad miarę i prawdziwie królewskim.

Inaczej też wyglądały budowy na Hradzynie, niż u Polan na ich grodach. Tu już prawie zupełnie stare owe rzezane i kraszone słupy misterne, ozdoby

z drzewa i ciesielska robota, wedle starego Słowian obyczaju—znikły. Kamień je zastępował i tylko stropy ozdobne z drzewa przypominały dawniejsze czasy. Gruby mur z ciasnymi oknami otaczał izby niewesołe, ciemne, prawie więzienne. Wszędzie pełno było wśród tego mroku świecących, pozawieszanych zbroi, rynsztunków różnych, a na stołach naczyń kruszcowych i kunsztownych wyrobów.

Ściany gdzieniegdzie osłaniały szyte opony kwieciste i kobierce. Oznaki nowej wiary wszędzie uderzały w oczy. Duchowieństwo, które otaczało Bolesława, którego wychowawcem był syn jego, starało się o to, aby nawróceni mieli ciągle na oczach obrazy, przypominające im ich obowiązki. Nie było jednej izby bez wizerunku Zbawiciela na krzyżu, ze straszliwym realizmem wyrzeźbionego wyraziście i nieforemnie. U każdych drzwi wisiało naczynie z wodą święconą, na ścianach obrazki w tłach złocistych, których Byzancjum dostarczało.

Przedmioty te, których znaczenia Mieszko się tylko mógł domyślać, równie go niespokojnym czyniły, jak ów krzyż, który ujrzał w obłokach nad Hradszynem. Na pamięć przychodziły cuda, o których słyszał i których się lękał.

Gospodarz i gość po chwili siedli razem na ustroiniu, we wgłębieniu muru, którego wychodziło okno ku Pradze. Dwie ławy kamienne, okryte wezwłówniami bogatemi, jakby dla ustronnej rozmowy przeznaczone się zdawały. Stary Bolko ręką wskazał Mieszkowi na stolicę, która u stóp jego się rozciągała.

Nigdy równie pięknego obrazu nie widziały oczy Mieszka, do równin polańskich i lasów nawykłe. Z okna tego widać było wesoło płynącą wśród zielonych drzew i zarośli rzekę; z głębin tej zieleni sterczały wybijające się do góry dachy domostw licznych, rozsypane szeroko, i krzyże kilku kościołów. Zielona wyspa, zarosła także drzewami, jak kosz

kwiatów pełny, śmiała się, zdając kołysać na srebrnych wodach Wełtawy.

W milczeniu patrzali oba czas jakiś na ten widok; — w oczach starego Bolka jakby iza się zakręciła, choć one do niej nie były nawykłe. Może przeczuwał niedaleki zgon i rozstanie z tym pięknym krajem, okupionym tak drogo.

W owych wiekach i w spotkaniu podobnem rozmowa wcale inną być musiała, niż pomiędzy panującymi późniejszych wieków. Oba ci ludzie nie umieli słowem obracać, byli mężami czynu, nie języka, oba całej myśli swej wypowiedzieć ani chcieli, ani mogli, a wybadać pragnęli. Skierowali ku sobie oczy. Instynkt uczył ich, że wejrzenie mówi jednym blaskiem więcej, niż na dnie przeciągniona rozmowa.

Mieszko w oczach starca znalazł, co przeczuwał: żelazną wolę i nieugiętą siłę. Bolko ze wzroku knezia polańskiego, o którym mało słyszał, nie dobadał się nic. Pierwszy z nich wiedział, że pokornym być musiał, aby go sobie pozyskać, drugi wcale nie był pewien tego, co gość przynosił z sobą — słabość czy siłę, ale poczuł jedno, że z przebiegłym miał do czynienia.

Patrzali tak na siebie, wzajem się uśmiechając sobie, jak dwaj zapaśnicy, co walkę rozpocząć mają.

Mieszko krótkim miał tu być gościem, nie miał czasu do trawienia na długich rozmowach. Czeski pan wiedział też o tem. Położył mu pomarszczoną dłoń na kolanie.

— Zapóźno—rzekł—przychodzisz do mnie. Bolko już nie ten, co był. Patrz, czoło mi się zmarszczyło, dłoń drży, oczy świata mało widzą, głos osłabł. Do grobu idę, o śmierci myślę.

— Będziecie długo żyli i panowali — odrzekł Mieszko. — Macie spokój w domu i siłę, syna, który wam stoi u boku, i sprzymierzeńców potężnych. Bolko ręką rzucił.

— Sprzymierzeńcy we wrogów się zmięniają —

mrunknął. — A czemuż wy ich tam, gdzie ja, nie szukacie?

Mieszko spojrzał bystro, ale nic nie odpowiedział.

— Niemców nam nie pożyć — dodał stary. — Trzeba mir z nimi robić, aby w domu się zagospodarzyć. Do tego miru, bracie mój, wy wiecie, co trzeba.

Mieszko zadumał się.

— Lud przy swoich bogach stoi twardo — rzekł.

— Macie waszych wojaków i siłę... zmusić trzeba...

Nic nie odpowiedział Mieszko, i Bolesław, popatrzywszy nań bacznie, przestał nalegać zrazu.

Z kolei polański pan rozmowę począł.

— Miłościwy panie — rzekł — nie darmo przybył do was; jeden u nas język, jedna krew, chcemy Niemca pożyć, — dajmy sobie ręce.

Bolko pomyślał.

— Jakże to może być, jeśli przy swoich bogach stać będziecie? — odezwał się.

— Wszakci Niemce się nieraz z Wilkami, Obodryty i Lutykami łączyli, choć ci poganami byli jeszcze — rzekł Mieszko.

— Niemcom wszystko wolno! — westchnął kneź. — Siła przy nich. Cesarz i papież rzymski władną dziś światem. Ten, co króluje w Byzancium, niewiele już znaczy. Uczynmy przymierze, Mieszku, uczynmy, ale chrzest przyjąć trzeba.

Spuścił głowę kneź i umilkł.

Bolko uderzył go znowu po kolanie, jakby obuździć chciał.

— Myście ino o tem, wszystko za tem pójdzie.

Wyrazów tych domawiał stary, gdy Wok, który nade dworem po kneziu miał pierwszą władzę, starzec poważny, z łańcuchem złotym na szyi, przyszedł z pokłonem, oznajmując, że chleb i sól czekały. Wieczera już oddawna była gotową, a kneź wydał rozkazy i polecił, aby wspaniała była...

Cały więc liczny dwór, cały niemal skarbiec sto-

lowy, ściągnięto do wielkiej izby, w której się już paliły pochodnie. Ogromne stoły dla panów i dworów ich ponakrywane czekały. Pod ścianami rzędem stali pacholki, jedni trzymający światło, drudzy misy, nalewki srebrne i ręczniki szyte. Dla dwukneziów zgotowane były przy osobnym stole dwa obok siedzenia, pasowem suknem okryte.

Tu Bolko powiódł, po umyciu rąk, gościa swego i po prawej ręce go posadził. Osobne misy postawiono przed nimi.

U drugiego też stołu za ojcem siadł młody Bolesław, za nim kilku duchownych z krzyżami na piersiach. Tych oczy zwróciły się ciekawie na Mieszka, który spojrzeć na nich nie śmiał. Za nimi siedzieli dostojnicy dworu, Wok, Sławnik z Libic i wielu innych w kaftanach bogatych, łańcuchach i sukniach paradnych.

U osobnego stołu przyjmowano dwór Mieszków i starszyznę jego.

Gdy u Słowian, w pogaństwie jeszcze żyjących, niewiasty tylko jako sługi i gospodynie przy biesiadach się ukazywały, tu już obyczaj chrześcijański i rycerski zaprowadzonym był i przedniejsze niewiasty a panie wespół z rodziną zasiadały. Prawo to, choć nie wszędzie zaprowadzonym było, po dworach książęcych już ze czcią dla niewiast wchodziło razem.

Gdy z jednej strony Bolko wiódł polańskiego księcia do stołu, z drugiej wchodziła skromna gromadka niewiast, wśród których Mieszko znalazł tę, której szukał.

Nie myślał jednak wcale dać poznać Dubrawce, iż pamiętał o dawnym spotkaniu nad Wełtawą; udał, jakby ją pierwszy raz zobaczył. Kniehini, mniej trwożliwa, uśmiechała się, patrząc na gościa i mierzząc go śmiało oczyma, poniżej miejsce swe zajęła.

Ojciec wskazał gościowi córkę, której dwie starsze panie towarzyszyły. Oczyma tylko jednak rozmawiać mogli kneź i Dubrawka, gdyż stary Bolko zajmował się gościem mocno. Miód i wino poda-

— Poganina upartego i żyjącego w grzechu.

— Tak jest... azaliż nie byłoby zasługą dla mnie i rodu mojego, gdyby przezeń on i naród jego na wiarę świętą Chrystusową się nawrócił...

— Dałby to miłościwy Bóg! — zawołał Prokop, ręce podnosząc do góry i oczy wlepił w starca.

— Mieszko prosi o Dubrawkę za żonę...

— Ze chrztem razem....—dodał ksiądz.

— Nie odmawia go on... lecz z pogany swymi musi się wprzódzy zabezpieczyć... Mam mu ją dać?

— Jeżeli przez nią światło i zbawienie wnijdzie na te kraje... a! dlaczegożbyście dziecka dla Boga poświęcić nie mieli? Daliście mu już jednego syna i córkę... dajcie drugą, a przebłagacie gniew i po-
mstę Bożą...

— Dziecka nie chciałbym zmuszać—odezwał się kneź,—jedno mi pozostało! jedno tylko!... Idźcie, ojcze mój, przygotujcie ją, ośmielcie, a gdy to uczynicie, ślijcie ją do mnie.

Ksiądz Prokop wyszedł natychmiast.

Kneź pozostał sam, siedząc w oknie sypialni. Stąd widok był na obszerny podwórzec, na którym już uganiała z oszczepami się młodzież, wśród której Bolko i Mieszko też się zabawiali.

Lat niemal trzydzieści ubiegło od pamiętnego poranka dnia św. Kuźmy i Damiana, gdy pobożny Wacław także o świcie gonitwy sprawiał przedśmiertne... Widok tej zabawy przypomniawszy Bolkowi teraz znowu brata i drgnął!... Pokuta, ofiary, żal, wszystko to jeszcze zatrzeć nie mogło pamięci tego strasznego poranka. Łzy mu popłynęły z oczów i dłonie się zwarły boleśnie. Drżącemi wargami począł od-
mawiać modlitwę, a wlepione w podwórzec oczy nie widziały już nic...

I nie czuł ani wiedział, ile czasu upłynęło od wyjścia ks. Prokopa, gdy drzwi się otworzyły i Dubrawka, już strojna, cała we wstęgach, łańcuchach i kołcach, z twarzą rozpromienioną weszła do izby

ojcowskiej, przypadając do starego ręki, która się ku niej wyciągnęła.

Zdziwił się, widząc ją tak wesołą, a uląkł niemal, że Prokop chyba powiedzieć jej nie śmiał, z czem go posłał.

Kniehini, śmiejąc się, patrzyła nań śmiało.

— Dubrawka—rzekł kneź— a widzieliście Prokopa?

— Idę od niego! miłościwy ojciec i panie.

— Mówił on z wami?

— Dubrawka pokraśniała, spuszczać zrazu oczy, potem nagle je na ojca podniosła.

— Mówił...

— Cóż wy na to? czy chętnie pójdziecie, niosąc krzyż między pogany.

— Chętnie... z ochotą! tak! — zawołała Dubrawka.— Czuję w tem rozkaz Boży...

— I nie masz obawy?

— O, nie! — śmiejąc się, zawołała Dubrawka,— mam odwagi dosyć. Kneź Mieszko strasznym mi się nie wydaje...

Bolko, widząc, z jaką łatwością córka wybierała się go porzucić, rozstać z rodzeństwem, iść w nieznany kraj, na losy niepewne, uląkł się niemal i posmutniał.

— A nie żal ci będzie Hradszyna i Pragi? — zawołał—i mnie ojca starego, i siostry, i braci?...

— O! żal, okrutny żal!... — przerwała Dubrawka.— Ale nie mówionoż nam, iż przeznaczeniem niewiasty iść za mężem?... Jam, jak Młada, nie stworzona do klasztoru... ja wolę inne życie... mnie ci-
sza cięży...

Mówiąc to, jakby zawstydzona, spuściła trochę oczy, ale półuśmiech krążył po jej ustach.

Podeszła do ojca, w rękę go całując; stary milcząc w głowę ją pocałował i westchnął.

— Idź—rzekł—niech Bóg cię błogosławi... idź... i mnie czas do gości...

Jeszcze raz ucałował rękę ojca, Dubrawka żywo z izby wybiegła.

Stary kneź klasnął na sługi.

I on także szedł w podwórze przypatrywać się zapasom młodzieży.

Dzień ten rozpoczął się od igrzysk w podwórzcu, przy których Mieszko mógł się popisać z niepospolitą siłą i zręcznością. Trzaskano włócznie, rzucano oszczepy, biegano pieszo i konno.

Uznojeni i gwarząc wesoło, siedli potem wszyscy do uczty, bo obiad naówczas w rannej dawano godzinie. Znowu wtedy dwaj kneziowie siedli razem, ale weselszą wiedli i poufalszą rozmowę. Bolko niemal już jak syna gościa uważał.

Dubrawka przybyła do stołu ubrana wytworniej jak wczora, z twarzą figlarnie rozweseloną. Spojrzał Mieszko na nią.

— Miłościwy panie—odezwał się pocichu—gdybym się wam naprawdę do kolan o córkę pokłonił... cobyście rzekli...

Stary pochylił mu się do ucha.

— Weźcie ją sobie... i niech Bóg wam błogosławi... Chrzest przyjąć musicie.

— Gdy będę mógł... wierzcie mi i ufajcie, zostańę chrześcijaninem.

— Mówcie z nią sami.

Zaledwie od stołu wstawać poczęto, już się Mieszko nie wahał przystąpić wprost do Dubrawki.

Wszyscy jeszcze byli w izbie i patrzali, jak się zbliżył do niej i odwiódł ją, lekko za rękę wzięwszy, ku oknu; wszystkich też oczy ciekawie zwrócone na nich były. Dubrawka szła śmiało i nie udając wstydlivości niewieściej, która kniehini, wedle jej przekonania, nie przystała.

— Piękna kniehini—rzekł Mieszko—my poganie wierzymy w dolę i losy. Od wczorajszego wieczora wierzę i ja, że mnie was dola i los przeznaczyły za małżonkę... Kłaniałem się ojcu waszemu, chce-li mnie za syna... odesłał do waszej miłości. Cóż mam rzec... Chcecie mnie za męża?

Dubrawka w oczy mu spojrzała, uśmiechając się.

— Choćbym was i nie chciała, toć muszę wziąć, kiedyście mi jeszcze wczora wasz pierścień narzucili, a u nas pierścień zaślubiny znaczy... Cóż mam uczynić nieszczęśliwa? wyszłabym z niesławą, gdybym, przyjąwszy pierścień, nie dała zań wianka?... A no...! czekajcie, nie dziękujcie—dodała, widząc, że kneź się zabiera znowu ją w twarz całować, nie zważając na oczów tyle. A no, czekajcie. Mówiłam wam wczoraj, że u mnie służba ciężka. Myślicie, że ja pojedę na gród, gdzie niewiast pełno, i że siódma czy dziesiąta siądę z niemi?... Jam przecie Bolesławowa córka i chrześcijanka, u nas obyczaj jedną żonę daje mężowi, jednego męża żonie...

— Nie będzie na grodzie nikogo, miłościwa kniehini... oprócz was a służby waszej.

— Pierw chrzest... potem wesele... — dodała Dubrawka.

Mieszko się schmurzył.

— Weźcie mnie poganinem — rzekł — i nawróćcie na wiarę waszą. Nie wzdragam się jej, przyjąć ją ślubuję, ale moich ludzi i naród muszę w garść wziąć, abym i ja, i wy nie nałożyli głową... Jeżeli ufacie mi, pójdziecie za mną...

Spojrzał jej w oczy, westchnęła i kładąc rękę na jego dłoni, odezwała się:

— Wierzę wam... i pójdę za wami!

Gdy tych słów domawiała, popędliwy Mieszko wpół ją pochwycił i w czoło pocałował.

Na widok tego zuchwalstwa cała izba zatrzęsała się oklaskami i okrzyki; Dubrawka wyrwała się i uciekła.

Mieszko poszedł w ramię starego ojca pocałować, a w twarz brata. Podano stary miód i wesolość się wzięła taka, że nawet smutny kneź Bolko rozruszał się i oczy mu zapalały wesoło. Na całym grodzie tejże godziny wiadano, że Dubrawka kneziowi polańskiemu przyrzeczona. Śpiewy, uczta, okrzyki rozległy się na Hradszynie, a z niego poływały na miasto.

Wśród tej wesolości i zajęcia nikt nie dostrzegł,

co się działo z gromadką ludzi przybyłych z Mieszkem, nikt nie wiedział, jak wszyscy oni niemal posmutnieli i pomieszani stali na boku, jakby zawstyżeni, czy strwożeni. Stogniew, najzręczniejszy z nich, najlepiej w sobie ukryć umiał, co czuł, ale w nim się poganina starego krew zburzyła cała i musiał na chwilę wynieść z izby, aby ochłonąć z gniewu. Za nim pociągnął Wojsław, koniuszy książęcy, druh jego i jednej z nim myśli człek. Obaj wybiegli niepostrzeżeni w podwórcę, i spojrzawszy w oczy, ręce tylko sobie podali milczący.

— Jam się tego spodziewał — zawołał Stogniew, odwodząc Wojsława na stronę. — Jam jechał tu, wiedząc, co nas czeka... ale... wiem też, co jego czeka... — dodał, pięść ściskając.

— Gdy te Dobrosławy i Wlasy zaczęły nam się kręcić u dworu, czulem, co z nimi idzie... niewola niemiecka... bóg niemiecki...

— Rozśmiał się Stogniew.

— Niedoczekanie ich! — rzekł. — Wracajmy... nie trzeba po sobie dać znać nic... naradzim się w drodze, a w domu wiedzieć będziemy, co robić...

Wojsław i on, jak zwierz w klatce zamknięty, przeszli się w ciasnem kółku kilka razy, rzucani myślami gniewnemi; spojrzeli sobie w oczy, podali znowu ręce. Stogniew twarz ułożył i wrócili napowrót do izby, gdzie też Mieszko oczyma ich szukał.

Jak skoro zobaczył wchodzących, szepnął Stogniewowi, by przygotowane dary przyniesiono. Były one, bądź co bądź przeznaczone dla Bolesława, inne na wypadek dla Dubrawki. Posłuszny Stogniew skinął na komorników i wyszedł.

Nie upłynęło pół godziny, gdy we drzwiach gwar się zrobił; szli szeregiem Mieszkowi ludzie, ze Stogniewem na czele; każdy z nich niósł naczynie, zbroję i kosztowny klejnot jakiś.

Postrzegłszy ich, kneź wystąpił przed Bolka, pokłonił mu się nisko i przemówił, prosząc, aby miłościwie dary od niego przyjąć raczył. Szli potem

z kolei wszyscy, przyklękając i u nóg knezia składając co który niósł.

Kolem stał dwór, na którego twarzach malowało się niemałe zdumienie. Nie wyobrażano sobie, ażeby w pogańskim kraju mogło się znaleźć tyle bogactw, które tylko z zachodu zwykle przychodziły.

Kupecy zwykle od wschodu przywozili naówczas do Polan wyroby, które mało nawet na zachodzie Europy były znane. Niektóre z nich, z wielkim kunstem wykonane, obudzały podziwienie, inne, nieznane wcale, osobliwością swą zastanawiały. Koblance, opony, srebrne ozdoby, brązowe sprzęty, emalje wschodnie... wszystko to na kupę u nóg Bolka złożone zostało. Ludzie, do rąk biorąc dary te, oglądali je ciekawie.

Prosił zatem Mieszko, aby mu wolno było dary złożyć Dubrawce, i powtórnie wysłał komorników ze Stogniewem po nie. Pobiegł brat po siostrę, aby ją samą do przyjęcia ich przyprowadził i przyszła Dubrawka zasiąść przy ojcu.

Ten sam obrzęd odbył się powtórnie i z tą tylko różnicą, że dla kniehini przyniesiono niewieście przybory, futra, tkaniny i ozdoby do stroju, niemniej bogate i piękne.

W ten sposób uroczyscie odbyły się zrekowiny wobec dworu całego, gdy ich inaczej i z obrzędem kościelnym nie można było odprawić z powodu, iż Mieszko ochrzczony nie był.

Ku wieczorowi uczta i śpiewy przedłużały się jeszcze, przy których już Dubrawka swobodnie z narzeczonym swym mówić mogła.

Gdybyśmy te rozmowy żartobliwe, rubaszne w duchu owych wieków powtórzyć śmieli, nadto by się one dziwnie wydały. W obcowaniu z niewiastami ton ten wesół był niemal obowiązkowym.

Mieszko zajęty tem, co się z nim działo, radośny z powodzenia, ledwie miał czas, zobaczywszy Dobrosława, uderzyć go po ramieniu i powiedzieć, że mu daje szeroką ziemię i lasy dla niego i potomków.

Włast przez cały ten dzień się nie ukazywał, a nie był też potrzebny. Jako kapłan z wieczora zaraz zapukał do księży przy kościele św. Wita, prosząc ich o gościnę. Ze zdumieniem i radością go tu przyjęto wraz ze starym ojcem Gabryelem, który, złamany drogą, legł zaraz do spoczynku.

Włast, a raczej ojciec Matja, bo tak się tu syn Lubonia nazywał, z niecierpliwością wyglądał następnego poranka, w którym po tak długim od ołtarza oddzieleniu, miał znowu Niekrwawą odprawić ofiarę.

Wieczór cały spędził na modlitwie, wstrzymując się od pokarmu: legł spać z myślą pełną tego jutra i wcześniej, nim się igrzyska poczęły na podwórku, on już stał przed ołtarzem drżący i zapłakany. Przy drugim mszę św. odprawiał ojciec Gabryel, dziękując Bogu za cudowne niemal ocalenie. Dobrosław klęczał zdala.

Ojciec Matja tę ofiarę tak upragnioną poświęcił w duchu za nawrócenie rodziny swej i narodu. Lecz myśląc nad trudnem dziełem tem, nad ofiarami, jakie kosztować miało, płakał. Przypomniało mu się, co słyszał nocą na wzgórzu, wracając z Krasnejgóry, co znalazł we własnym domu.

Ojciec Prokop przyniósł mu tu, spędzającemu cały dzień przy kościele i z braćmi, wiadomość o zaswataniu Dubrawki. Była to wieść wielkiej radości i nadziei. Padł na kolana ojciec Matja, modlił się i płakał znowu.

Imię Stogniewa słyszone w nocy na myśl mu przyszło. Czuł się w obowiązku stać kneziowi na straży, a w razie najmniejszej oznaki zdrady, w oczy Stogniewowi zadać ją i wyzwąć, by się oczyścił, lub usunięty został.

Z Mieszkciem wszakże, gwałtownym i porywczym, trudna była sprawa, a i z rodziną własną nie wiedział, co pocznie nawrócony. Wszystko jednak, co go spotkać miało, ofiarując Bogu, gotował się młody kapłan choćby na męczeństwo.

Dobrosław był daleko lepszej myśli, ufając, że Mieszko poczynąć sobie będzie tak, aby się na niebezpieczeństwo nie narażał. Lecz napróżno starał się dodawać otuchy Włastowi, który milczał zaspiony, spoglądając na radość powszechną, lękając się, aby ona za wcześniej w krew i lzy się nie zmieniła.

Twarz Stogniewa, choć ją układać się starał, nie miała się zdziwnie i strasznie, oczy mu pobłyskiwały. Włast odgadywał a raczej przeczuwał, co się działo w jego duszy. Trwoga go ogarniała. Odwiódł nieznacznie na stronę Dobrosława i pokazał mu tych ludzi.

Mogli tu, niepostrzeżeni przez nikogo, pocichu rozmówić się z sobą, i Włast wyznał Dobrosławowi, co słyszał w lesie, jak się tam odgrażano i imię Stogniewa wymieniono. Z narady to tylko wyszło, iż należało mieć się na baczności, nie donosząc o niczem kneziowi, boć żadnych dowodów winy nie było, a z posądzeń Stogniew łatwo się oczyściwszy, na przyszłość tylko mógł się stać baczniejszym.

Jak wprzód już podczas podróży, tak i tu Wojśław, Stogniew i większa część ludzi z orszaku Mieszka okazywała dwom chrześcijanom niechęć i pogardę. Nie mówiono do nich, chyba gdy to było koniecznem, odwracano się i rzucano ich samych. Dobrosław napróżno starał się zbliżyć do Stogniewa, który go unikał milczący.

Gdy się wieczór wśród śpiewów i uctowania zbliżał do końca, a Mieszko to przy starym księciu siadał, to z Dubrawką żartobliwie rozmawiał, dwór też częstowany, podochocił sobie. Pomimo to starszyzna Mieszkowa pozostała niewesołą i do Czechów mało się zbliżała. Zapito jeszcze zrękowiny, kneź zapowiedział, iż nazajutrz powracać musi do kraju swego i przed północą wszyscy się rozchodzić poczęli.

Młody Bolko znowu przyszłego brata odprowadził do jego izby, i pocałowawszy go w twarz, odszedł.

Mieszko pozostał sam ze Stogniewem i kilku kornnikami.

Teraz dopiero spojrzawszy na twarz swojego ulubieńca, dostrzegł w niej ponury wyraz, zamiast radości, Stogniew jednak odzywać się nie śmiał.

— Kniehinię mieć będziecie! — odezwał się do niego Mieszko — wielkiego rodu i możną panią... Podaliśmy sobie z Bolkiem ręce, abyśmy obaj silniejsi byli...

Stogniew spuścił głowę.

— Nie radujecie się? — zapytał kneź.

Zamilczał zapytany. Mieszko też nie odzywał się doń więcej. Wydał rozkazy i odprowadził. Po odejściu jego przywołano Dobrosława. Kneź, pacholków odprawiawszy, dziękować mu znowu począł.

— Miłościwy panie — rzekł przybyły cicho, — cieszę się ja, żem panu memu mógł usłużyć, ale się drudzy pono burzą i nie wszystkim to sprawia radość.

Nie wymienił nikogo, kneź też unikał pytania.

Zmarszczyła mu się brew, błysnęły oczy, ale ze słowem nie zwykł był śpieszyć. Nierychło dopiero poszedł ku Dobrosławowi, rękę mu kładąc na ramieniu.

— Ty i Włast, i co was jest chrześcijan, gotujcie mi drogę i pomagajcie — odezwał się cicho. — Wielki jest Bóg ich... ale niełatwo od swoich odstąpić i nową odziać skórę, gdy ta, z którą człek na świat przyszedł, do ciała przyrosła... Tych, co się opierać będą, zmożę... ale gromadkę wierną mieć muszę, by przy mnie stała... Mów — dodał — mów, Dobrosławie, jako wiesz... wielu chrześcijan naliczysz w ziemiach naszych?... Wiem, iż byli oni już za ojca i dziada mojego... ale się kryli z wiarą swoją...

— Miłościwy kneziu — odezwał się Dobrosław — jest nas rozsianych po wielkiej przestrzeni niewiele... Strach niejednego odwiódł już od krzyża... Kapłanów trzeba, jak Włast, aby szli między lud i nauczali... a pilnego oka na to, aby starszyzna, wieszczkowie

i gęślarze nie burzyli go... Co kneź Bolko uczynił u siebie, czemużby się też u nas dokonać nie miało?...

Kneź się zadumał nieco i z tem Dobrosława odprowadził, by Czechów nawróconych, jacy się znaleźć mogli, do Polan zaciągnął.

Nazajutrz rano konie już stały w podwórzu, gdy w izbie jeszcze obiad podawano na pożegnanie. Wyszła do narzeczonego i kniehini, aby mu dobre słowo dać na odjezdnem; cały dwór Bolesławów dla uczczenia gościa był na nogach i dziesięciu jezdnych dodano do orszaku, by przeprowadzali Mieszka do granicy łużyckiej.

Tak się w drużbie i weselu z miłością wielką rozstali, i cały poczet ruszył z Hradszyna uroczyscie, przy okrzykach, które się jeszcze z murów grodu długo słyszeć dawały.

Ani Dobrosław ani Włast nie śmieli już potem rzec słowa kneziowi, aby w podróży baczny był na tych, co go otaczali. Do granicy też czeskiej, dopóki dodani Bolesławowscy ludzie im towarzyszyli, nie było niebezpieczeństwa.

Gdy ich, obdarzonych, odprowadzono z pozdrowieniem do Pragi, a kneź sam z orszakiem swoim pozostał, przypadł w lesie spoczynek dla skwaru, który tego dnia panował, i wszyscy się do snu pokładli.

Włast też, szukając cienia, odszedł opodal od gwaru i w zaroślach się gęstych położył. Leżał tu już czas jakiś, nie mogąc zasnąć jeszcze, gdy w pobliżu dał się słyszeć szelest i szepty. Pomimo, iż go trudno było dostrzedz w trawie i krzakach, z miejsca swego mógł widzieć, że Stogniew z Wojsławem stali, potajemnie się naradzając z sobą. Zrazu słów ich usłyszeć nie mógł, lecz natężywszy ucha i podpełznąwszy ostrożnie, pochwycił wyrazy Stogniewa.

— Dziś na noclegu... czego więcej czekać mamy? Jawna rzecz, że nas Niemcom zaprzędają...

— Czekajmy do domu — mówił Wojsław. — Sydbora namówim z nami.

— Aby zdradził? — rzekł Stogniew. — Nie potrzeba

nikogo. Śpiącemu oszczep w piersi wrażeń i nim się przebudzi, ducha wyzionie. We dwu im trzem po kolei radę damy. Dobrosław go prowadził... Lubonia syn jawnym chrześcijaninem jest, widziałem go do ich kontyny idącego i obcującego z czarnymi wróżbitami.

Sprzeczał się jeszcze pocichu czas jakiś, lecz Stogniew na swem postawił i wyszli z zarośli, umówiwszy się, iż spać nie będą, a gdy wszyscy zasną, wstaną, aby ich wymordować z kolei. Stogniew miał kilku pewnych ludzi do pomocy.

Zaledwie się oddalili, Włast, zimnym potem okryty, wstał i pobiegł szukać Dobrosława, aby mu o niebezpieczeństwie oznajmić. Unikać musiał oczów i tak to dopełnić, aby żadnego nie obudził podejrzenia. Księciu też potrzeba było powiedzieć o tem, co się gotowało, aby obmyślił, co miał czynić.

Dobrosław chodził około konia swojego w miejscu, gdzie nikogo nie było, łatwo więc przyszło Włastowi natychmiast mu rozmowę, podchwyconą cudem, powtórzyć.

Mieszko pod dębem na wysłanem suknie zasypiał bezpiecznie; budzić go nie śmiał Dobrosław, ale stanął na straży, by się zbliżyć natychmiast, gdy ze snu wstanie.

Włast poszedł krążyć zdala, aby innych przed czasem nie dopuścić.

Znużony drogą, kneź spał prawie do wieczora; szczęściem, rzenie koni sen ten głęboki przerwało, a gdy oczy przecierać zaczął, znalazł się przy nim Dobrosław i nie tracąc chwili, rzekł mu:

— Miłościwy panie, Włast podsłuchiwał rozmowę: zmówili się Stogniew z Wojsławem, aby cię w pierwszym śnie zamordowali...

Słyszając to, Mieszko wcale nie okazał poruszenia. Kazał sobie powtórzyć prędko wszystko, co Włast usłyszał, i wstał, ręką odprawując precz Dobrosława, słowa więcej nie rzekłszy.

Wnet dano znak, aby na konie siadać. Stogniew

się zbliżył po rozkazy. Mieszko nie dał poznać po sobie, iżby go miał w podejrzeniu. W zwykły sposób zagadał doń i szykować ludzi rozkazawszy, sam siadł na koń z twarzą pogodną. Zdumiał się Dobrosław, sądząc, że mu chyba wiary nie dawał, lecz przystąpić już nie mogąc, trzymał się w pobliżu wraz z Włastem.

W drodze, aż do nocy przez gęste przedzierając się bory, Mieszko nie okazał najmniejszej po sobie trwogi. Późnym już wieczorem, w lesie na polanie, między skałami, które nad niemi ścianę wysoką tworzyły, na nocleg zatrzymać się kazał. Tuż z drugiej strony stromo ścięty brzeg wprost do Łaby spadał. Przez rzadko tu stojące drzewa widać było łąkami w dali płynącą rzekę i lasy piętrzące się ławami jedne nad drugimi, z pośrodku których gdzieniegdzie szare ściany kamienne wyglądały.

Kazano ognie rozpalić, zwierzynę w drodze ubitą piec i konie na paszę wypuścić. Kneź pod starą sosną, na czystem miejscu posłanie sobie przygotować kazał, głośnie zapowiadając Stogniewowi, ażeby wcześniej wszyscy do snu się kładli, gdyż z pierwszym brzaskiem ruszyć miano. Dobrosław, z niepokojem przypatrujący się Mieszkowi, najmniejszej w obejściu się jego nie dostrzegł zmiany. Stogniew chodził widocznie niespokojny i chmurny.

Po rozdaniu jedzenia ludzie wprędce się pokładać zaczęli, straż opodal postawiwszy; ognisku dano wygasnąć i czarna noc z milczeniem posępnem osłoniła obozowisko. Dobrosław i Włast z miejsc swoich podpełzli bliżej, aby być panu z pomocą na skinienie. Cisza panowała długo, gdy Mieszko silnie chrapać zaczął.

W chwilę potem usłyszeli zaczajeni w krzakach, jak niedaleko śpiący Stogniew i Wojsław wstali pocichu i skradać się poczęli ku miejscu, w którym kneź spoczywał, chrapiąc coraz mocniej. Noc była tak ciemna, iż zaledwie poruszające i skradające się zciacha postacie dwu morderców dostrzedz było można.

Stanęli oni oba już przy Mieszku, gdy nagle stłumiony krzyk dał się słyszeć. Dobrosław, który się zerwał i nadbieżał, spostrzegł, jak kneź, uchwyciwszy się Stogniewa, gdy się ten najmniej tego spodziewał, obalił go, przygniótł, oburącz za gardło ścisnął — i zdusił. Wojsław, który zrazu stał przełękły, umknął natychmiast i biegł w las na oślep.

Nim Włast i Dobrosław przybiegli, Stogniew już ducha wyzionął w rękach knezia, który wnet krzyknął, aby ognia rozpalono. Gorzały jeszcze węgle pod popiołem, od których łatwo było suche zażędz gałęzie. Pobiegli pachołkowie; Mieszko tymczasem stał spokojnie nad trupem, oglądając się, czy drugiego napastnika nie zobaczy.

Gdy ogień błysnął, a służba w pierwospy zbudzona, nadbiegła, strach ogarnął wszystkich; słowa nikt nie śmiał rzec...

Mieszko skinął na ludzi, aby trupa ściągnęli i z góry rzucili go do rzeki. Stało się w jednej chwili, jak przykazał; nikt nie śmiał pytać ani spojrzeć panu w zagniewane oczy. Posłano szukać Wojsława, lecz go nigdzie nie znaleziono... Ucieczka sama o winie świadczyła.

Gdy Stogniewa ciało z hałasem toczyło się po skałach, Mieszko, ognia kazawszy naniecić, słowa nie mówiąc, leżł nazad na posłanie, sparł się na rękę i drzeć począł. Ludzie, przerażeni, wrócili na swoje miejsca. Tak doczekano ranka.

O świecie dowództwo nad ludźmi objął Dobrosław; siedli wszyscy na konie i w milczeniu jechali w dalszą drogę ku domowi.

Z pocztu kneziowskiego nikt o Stogniewie wspomnieć nie śmiał, a wyjeżdżając na gród nad Cybiną, towarzysze pańscy na pytania odpowiadali milczeniem.

Już w podróży przez Dobrosława miał sobie oznajmionem Włast, że mógł się udać do Krasnejgóry do ojca, z tem tylko, by na każde zawołanie się stawił. Przybywszy więc na zamek, natychmiast się wybierał, gdy stara Srokicha dowiedziała się o powrocie i do swojego dziecięcia przybiegła.

Zaledwie godzina upłynęła, jak na zamek wjechali; służba zdawała się nie mówić ni słowa, oglądając się bojaźliwie, przecież cały niemal już dwór wiedział i skąd, i z czem powracano...

Śmierć Stogniewa przeraziła wszystkich. Na twarzach widać było postrach i smutek. Jawnie nikt się do nikogo nie zbliżał, ale po kątach, za węglami szeptali ci, co wracali, z tymi, co pozostali.

W niewieścim dworze już płacz słyhać było i narzekanie; popłoch panował wszędzie. Kniehini Górka czekała, wyglądając, na brata, nie mogąc się go doczekać.

Mieszko natychmiast wysłał gońca do Sydbora do Gniezna, aby, nie tracąc chwili, do niego przybywał.

Sześć mil miał konny ubiedz tak, aby przed nocą wezwany był nad Cybiną.

Dobrosław wydawał rozkazy i nad dworem miał zwierzchnią władzę...

Srokicha, pochwyciwszy Własta pieszczoty macierzyńskimi, — wnet rozplakała się i wypytywać natarczywie zaczęła, nie dając mu odetchnąć. Po dworze chodziły już wieści straszne.

Strwożeni byli wszyscy. Włast, któremu nakazano milczenie, nic powiedzieć jej nie mógł. Nie było już tajem, że do Pragi jeździli, lecz nad to nie mówił nic. Srokicha niedowierzająco potrząsała głową.

— Gołąbku mój! — mówiła płacząc. — Straszne dni na nas przyszły. Niedarmo wy do Pragi tej, do

Czech jeździli. Groza idzie na nas i niewola, zginie wszyscy... Nasi starzy przyszłość wróżą krwawą...

Próżno Włast się jej wyrwał; — Srokicha ścisłała go, jakby się lękała utracić i zalewała się łzami. Chciała go zaprowadzić do swej pani, ale Włast się wyprosił. Wycalowałszy go więc i wygłaskawszy, puściła wreszcie staruszka, tem niespokojniejsza, iż nic od niego dowiedzieć się nie mogła.

Unikając pytań, Włast poszedł po konia swojego, aby za dnia jeszcze zdążyć do Krasnejgóry. Pocięgą dlań było, że z Pragi wiozł dane mu do mszy świętej wino i opłatki, których w domu upieć nie miał sposobu.

Wino naówczas było w kraju rzadkością, prawie nie do nabycia, a duchowieństwo chleb też do mszy świętej używany chciało mieć z nadwyzczajną pieczony troskliwością. Św. Wacław sam zżynał kłosa pszenicy, sam wybierał i wyciskał grona, z których wino i chleb do świętej Ofiary użyte być miały. Z równem poszanowaniem i inni kapłani przygotowywali się do niej.

Włast, długo pozbawiony tej kapłańskiej pociechy, sposobił się teraz, choć potajemnie, gdzieś na ustroju w lesie odprawiać mszę, aby w niej zaczerpnąć siły i znaleźć pociechę. Gorliwym był jak człowiek długim głodem zmożony, — a gdy o rodzinie swej myślał, zalewał się łzami, rozpaczając prawie, aby mógł ją nawrócić. Nie wiedział sam, jak ma to wielkie rozpocząć dzieło, lecz czuł święty obowiązek. Ze wszystkich dusz, jakie chciał ocalić, los tych najbliższych najmocniej go obchodził.

W tych myślach zbliżył się do Krasnejgóry, i już widział dwór zdaleka, a serce mu biło niespokojnie, gdy, wracając konno z pola, nadszedł Jarmierz, witając go serdecznie.

— Pan nasz ucieszy się wam wielce — rzekł — bo niecierpliwie czeka powrotu...

— Jam też śpieszył, jak mógł, ale miałem być pod rozkazami. Zdrowi wszyscy? — spytał Włast.

— Dobrogniewa zaniemogła trochę, przecie się włóczy o kiju. Luboń dla was już Mładę zaswatał, ani dnia wam nie da spocząć i jechać będziecie musieli z nim a do wesela się gotować.

Włast zbladł i zadrżał; nie odpowiadając nic, jechał dalej. Ani na chwilę nie zawahał się nad tem, co miał począć. Jeśliby go ojciec przymuszać chciał, postanowił paść mu do kolan, wyznać wszystko i znieść, cokolwiekby go spotkać mogło.

Rozmawiając, zbliżyli się ku dworowi, a tętent koni wywołał sługi, które o nadjeżdżającym wnet w domu oznajmiły.

Pierwsza wybiegła na spotkanie Hoża, za nią szedł stary Luboń z brwią namarszczoną. Na widok syna rozchmurzył się wnet. Gdy ten mu do nóg przypadł, uderzył go ręką po ramieniu i zamruczał.

— Przecie kneź się ulitował nade mną. Gdzieście byli? Jeździłem do grodu, mówiono mi, że kneź wziął was z sobą? Czy polował na wilków.

— Do Czech jeździliśmy — odparł Włast.

— Do Czech? — chmurno się odezwał stary. — A po co? łup przywieźliście?

— Myślę, że chyba lepsze od niego przymierze. Stary się trząsł i nie pytał więcej.

Wyszła i babka, chmurnem okiem, jak zawsze mierząc chłopaka.

Nie pytano go więcej. Luboń też nie oznajmił mu o niczem, tylko, że jutro bierze go z sobą, że jechać muszą.

Włast wiedział już, co zamierzał, lecz dopytywać nie było wolno, czekać musiał, aż mu ojciec oznajmił swą wolę.

Jedna Hoża swą wesołością cały dom ożywiała, krzając się, śmiejąc i śpiewając. Stara mruzczała przy kądzieli. Po wieczery zwołano i inne dziewczęta do śpiewu, bo stary Luboń rad słuchał pieśni i do późnej nocy przesiedzieli tak u ognia przy lu-

czywie. Dobrogniewa drzemiała nad swą kądzielą, wrzeczono wypadło jej z rąk — ale do snu nie szła.

Późno już było, gdy Luboń, z ławy wstawszy, naprzeciw syna stanął i odezwał się:

— Jarmierz ci na jutro odzież da nową i ogarnąć się trzeba czysto, jedziemy w swaty. Dobrałem ci dziewczynę piękną, młodą i posażną, czas życie zaznać i do gospodarstwa się nałożyć.

Włast westchnął, — zbliżył się do ręki ojca i ucałowawszy ją, rzekł cicho, ale śmiałym głosem:

— Ojcie a panie miłościwy! nie mogę tego uczynić, abym niewiastę brał... Przyszedł czas, gdy ci całą prawdę objawić muszę; oto ślubowałem chrześcijańskiemu Bogu i przyjąłem wiarę nową, a po-przysiągłem, że nigdy niewiasty znać nie będę.

Wyznanie to, wśród głuchego milczenia wyrzecz-
zone, przerwał krzyk starej Dobrogniewy, która, kądziel rzucając na ziemię, przypadła do wnuka z pięściami zaciśniętymi.

Luboń, zuchwalstwem syna osłupiały, jakiś czas przemówić nawet nie mógł. Z ust jego wyrwało się coś jakby ryk dziki, rękę podniósł do góry i z całej siły uderzył syna, który padł na ziemię.

Skron jego uderzyła o twardą nogę stołu i krew z niej trysnęła. Ból, przestrasz, znużenie przyprawiły go o omdlenie.

Hoża, którą okrzyk ojca zwabił, widząc obalonego i skrwawionego brata, klękała na ziemi, chwytając bladą jego głowę i zasła się wielkim płaczem.

Luboń stał wcale nieporuszony tem, co uczynił.

Zwolna otwarły się oczy Własta, poruszył się, usiłował powstać i z pomocą siostry, ocierając skroni, na nogi się podniósł, oparłszy o stół.

— Psie ty niewierny! — krzyknął Luboń. — Myślisz, że ja ci dam czynić, co chcesz, przeciwko mej woli? Nad dzieckiem mojem mam prawo życia i śmierci, słuchać musisz i uczynić, co każe...

Dobrogniewa oczyma i ruchem rąk potwierdzała mowę ojca; Włast milczał.

— Kajaj mi się zaraz a bądź posłusznym. Chrześcijaninem ci nie być! Szczenię wolę przybrać za dziecko.

— Ojcie a panie — odezwał się Włast. — Usłucham rozkazu twego we wszystkim, lecz wiary się nie wyrzekę, a co mi mój Bóg każe, uczynię, choćbym miał życie dać.

Luboń w krwawą twarz syna dał bezlitośny po-lieczek... W tejsze chwili poczuł na dłoni ciepłą tę krew własnego dziecięcia i wzdrygnął się. Hoża, obejmując brata rękami, płakała... Stary z gniewu drżał i rzucał się, babka pięściami ciągle wnukowi groziła i powtarzała:

— Włast!

Włast stał na nogach, chwiejąc się, milczący, z głową spuszczoną.

— Będiesz posłusznym — wołał Luboń — lub zgini-
iesz, psie niewierny!

— Czyń, co ci się podoba ze mną — odparł Włast. — Jestem w mocy twojej...

W pierwszej chwili Luboń z gniewu chciał za-wołać na pacholków i sieć nieszczęśliwego, już belkocząc, poczynął dawać rozkazy, gdy Hoża do nóg mu się rzuciła; popchnął ją zrazu, ale mu się ucze-piła mocno. Krzyk i płacz rozlegał się po dworze, ludzie, pobudzeni, zbiegli pod okna do sieni, i stali, patrząc a nie rozumiejąc, co to znaczyło. Niewiasty łamały ręce i płakały. Jarmierz stał w progu.

Opamiętał się stary w gniewie.

— Związać go!... — krzyknął. — Na strych w świrniu posadzić i nie puszczać... suchy dać chleb i wo-dę... niech mrze głodem.

Jarmierz, chcąc ocalić Własta, odezwał się, że w świrniu strych był zajęty.

— Do jamy z nim! do jamy! — zawołał Luboń. — Łyka mi daj... związać go... sprzedam jak niewolnika, ubiję jak psa...

Napróżno córka błagała jeszcze, zwracając się to do ojca, to do Własta, aby uległ woli jego. Włast

milczał, ojciec zapalał się gniewem coraz większym. Jarmierz wreszcie, lękając się, aby stary nie porwał się znowu do dziecka, wołał już spełnić polecenie i przyniósł łyka.

— Do jamy z nim... — powtórzył Luboń.

Jama ta była wygrzebaną w ziemi i służyła na schowanie w zimie, często za więzienie w lecie. Spuszczano do niej winowajców, a wnijsie zawalano drzwiami, na których kładziono kamienie.

Włast szedł posłuszny. Hoża, zakrywając sobie oczy, upadła na ziemię. Milczenie było w izbie, tylko oddech wzburzonej piersi Lubonia i mruczenie starej je przerywało.

— Będziesz posłusznym?... — krzyknął stary, widząc już syna w progu.

— Ojcie!... nie mogę... Bogu posłusznym być muszę...

To mówiąc, zwrócił się do Jarmierza i rzekł mu spokojnie:

— Prowadź mnie.

Ta odwaga i stałość słabego napozór człowieka, któremu się urągano, iż męstwa nie miał, dziwne uczyniła wrażenie na wszystkich. Stara Dobrogniewa wściekała się, Hoża płakała; Luboń stał drżący z gniewu. Jarmierz był przerażony.

— Prowadź do jamy! — krzyknął stary.

Włast ruszył się posłuszny; nie mówiąc słowa, przeszli sieni i znaleźli się w podwórku.

— Poddajcie się ojcu... jamy wy nie wytrzymacie długo... — szepnął Jarmierz. — Poddajcie się! co czynicie?...

— Prowadź mnie — rzekł Włast, — niech się stanie wola jego, śmierci się nie lękam...

W progu zjawił się jeszcze rozjuszony ojciec, krzycząc na Jarmierza:

— Do jamy!

Nie było już ratunku. W głębi dziedzińca znajdowała się tu studzienka wilgotna. Jarmierz odwalil drzwi i litość chwyciła go za serce; puścił sznur, który trzymał wręku.

— Uciekaj — szepnął.

— Dokąd! — odparł Włast. — Czyń, co ci kazano...

Uciekać nie mogę i nie chcę...

Trzeba więc było spełnić nakaz surowego ojca. Jarmierz wskazał jamę i pomógł Włastowi się w nią spuścić. Sam siadł nad nią, i podparty na rękach, został tak na straży, nie wiedząc, co począć z sobą.

Luboń tymczasem rozpędzał czeladź, która się była zgromadziła, rozkazując jej iść precz na barłogi... W trwodze rozpierzchnęło się wszystko i znikło.

Głuche milczenie nastało we dworze. W świetlicy stara stała, ręce złożony przed ogniem, a Hoża płakała, leżąc na ziemi.

Noc była późna, pierwsze kury piał zaczynały. Stary ojciec, zamiast iść na posłanie, siadł na przyźbie przed dworem, sparł głowę na rękach i pozostał tak do rana, dysząc gniewem.

Brzask dnia znalazł go siedzącym tam jeszcze. Jarmierz leżał na ziemi nad jamą i tam go sen ujął nad ranem. We dworze było cicho i ciemno. U zgasłego ogniska drzemiała stara Dobrogniewa, mrucząc przez sen niespokojnie. Hoża, zwlóklszy się na ławę, z głową na stole, usnęła.

Dzień się robić zaczynał i parobcy wstawali do pojenia koni, gdy Luboń ruszył się z przyżby, poszedł nad jamę, nogą budząc śpiącego Jarmierza, kazał mu drzwiami otworzyć przyrzucić i poszedł.

Gdy, zakładając drzwi, Jarmierz spojrzał w dół, chcąc słowo pociechy rzucić biednemu, w głębi zobaczył go kłęczącego i modlącego się spokojnie. Powoli zasunął ciężkie wrota i odszedł zadumany.

Dzień cały upłynął bez zmiany, spuszczone tylko chleb i wodę Włastowi, Jarmierz chciał przemówić do niego, ale zdala stojąca z kądzielą Dobrogniewa pogroziła mu. Luboń nie wyjechał ani na łowy, ani wyszedł w pole, w chacie przesiedział dzień cały nieruchomy prawie, a gdy mu jedzenie przyniesiono, popchnął je od siebie. Wodę pił tylko.

Nad wieczór przywłókl się do wrót starzec z gęsłą na plecach.

Był to gość częsty we dworze Luboniów, znaną całej okolicy śpiewak, wróżbit i znachor, który przez rok cały zwykł był obchodzić dwory i chaty, karmić się, spoczywać i płacić za gościnność śpiewem i wieszczbą. Zwano go Wargą.

Z siwą rozczochraną brodą, z rozwianym włosem, w szarej opończy, z kijem białym w rękę, z sakwami na plecach, stary Warga wchodził jak pan do każdego domu, siadał na najlepszym miejscu, kazał sobie podawać, co mu się podobało, lajał czasem najmożniejszych, a słuchano go z pokorą i niemal trwogą. Uchodził za straszego czarownika. Nawet podobno inni dziadowie wróżbici cześć mu jak głowie swej oddawali. Słowo jego ważyło wiele.

To też gdy trzeba było iść z ludem na wyprawę, a wojakom dodać serca, nikogo do wróżenia z ziemi, patyków i ognia nie wołano, tylko jego. Śmiały i silny, choć stary, nocami chodził jak we dnie, nie obawiając się niczego, ani zwierza, a człowieka.

Wedle obyczaju swego, Warga, wejrzawszy w po-dwórce, wrota sobie otworzył śmiało, oczyma poszukał kogoś, do kogoby się odezwał, a nie spostrzegłszy żywej duszy, kroczył prosto ku dworowi. Tu znalazł Lubonia jak odrętwiałego na ławie.

— Co tobie, stary? — zawołał — choroba?

Gospodarz głowę podniósł, popatrzył oczyma obłąkanemi i nie nie odpowiadając, podparł się znowu na dłoni.

U drzwi Warga kij postawił, sakwy rzucił na ławę i postąpił bliżej do niego, biorąc go za ramię.

— Co tobie, stary? mów!

— Nie mogę mówić! — szepnął Luboń.

Gęslarz, bystre oczy długo w niego wlepiając, głową potrząsał, nareszcie na ławie naprzeciw niego przysiadł.

— Powiesz ty mi, co tobie jest? — mruknął.

Wtem Dobrogniewa z kądziałą wyszła z komory.

— Co wam? co się w waszym domu stało?...

Dobrogniewa rzucać głową poczęła.

— Syna miał, wnuka miałam... — straciliśmy go. Wrócił po dwunastu latach niewoli... psem, Niemcem, niewiarą... trzeba go było wczoraj zamknąć do jamy jak wściekłego.

Warga uderzył ręką po stole.

— Dwanaście lat go nie było! Oplakaliście, zapomnieliście... a co gorszego dziś?

— Niechby nie żył! — krzyknął Luboń.

— To go zamórz głodem... — rzekł Warga. — Z chrześcijanina ty pociechy mieć nie będziesz... darmo. Umieją oni człowieka przerobić, że się zaprze rodzonej matki i ojca... czarownicy te!... Skosztował on ich chleba, — naszego nie będzie jadł więcej...

Tu Warga zniżył głos.

— Co twoje dziecko jedno — rzekł. — Nam wszystkim oni nóż prędko przyłożą do gardła... Już kneź wacha się z chrześcijany, i jak inni, pójdzie z Niemcami, aby nam na kark jarzmo włożyć. Co im!... Szli do Czecha... tam mu żonę swatają... Biada nam!... biada nam!...

Luboń głowę podniósł.

— Stogniewa w drodze Mieszko udusił, że mu się sprzeciwił! Wydusi nas, jeśli o sobie nie pomyślemy... wydusi.

Warga westchnął; śmiały jego głos płaczącym począł się stawać.

— A wy, baby bezsilne... ścierpicie to!... — zawołała nagle Dobrogniewa.

Warga począł głową potrząsać.

— Do kądzieli, stara, — mruknął gniewnie — do kądzieli... precz... co wam do naszej sprawy.

Dobrogniewa, spuściwszy głowę, powoli, posłuszna, nie śmiejąc odpowiedzieć nic, odsunęła się do kąta, siadła na kądzieli i poczęła nic wyciągać. Warga sparł się oburącz na stole, i patrząc w oczy Luboniowi, potrząsał głową smutnie.

— Prawda to, że do Czech jeździli po kniehinie? — spytał Luboń. — Mieszko-by nas miał sprzedąć za jedną dziewczkę?...

— Za dziewczkę nie — odezwał się Wargę. — Ale za to, by nas mógł z nimi gnębić... obrócić w niewolniki, jak Niemcy swoich... pójdzie reszta kmiecyh swobód z bogami naszymi... pójdzie...

— Jeśli my się mu damy — mruknął Luboń.

Wargę przysunął się ku niemu, popatrzył na siedzącą zdala Dobrogniewę i zaczął mu coś szeptać do ucha. Z twarzy i oczów widać było, że to, co mówił, gorącem było i poruszało go mocno. Oczy to mu się świeciły, to pod zmarszczone chowały czoło, zaciskał dłonie, targał Lubonia za ramię, podnosił ręce, bił o stół niemi, rzucał się, śmiał i krzywił, a gdy wreszcie umilkł, Luboń wstał, jakby w niego nowe życie wstąpiło.

Była to pora wieczery; wniesiono misy, chleb, strawę i piwo, a Wargę, zgłodniały, rzucił się na nie chciwie. Luboń pił tylko, a szeptali ciągle.

Noc już była, gdy dał się słyszeć tętent, głosy u bramy, a wkrótce potem wszedł do izby opończą osłonięty mężczyzna, od progu naprzód wpatrując się, kogo zastanie. Dopiero, upewniwszy się, że Luboń sam był z Wargę, wsunął się i twarz odsłonił.

Był to Wojsław, koniuszy Mieszka, który zbiegł w las, gdy Stogniewa kneź pochwycił. Dawny Lubonia znajomy i powinowaty, przychodził widać żądać u niego przytułku.

Gospodarz, który o niczem nie wiedział, nawet o losie Stogniewa zasłyszał ledwie i sądził przybyłego Mieszkowym sługą, przyjął go po starej дружbie.

— Cóż mi tam niesiecie? — spytał. — Pewno was kneź posyła? byle nie po syna...

Wojsław strząsnął się, nie odpowiadając i usiadł na ławie milczący; popatrzył na Wargę. Stary włóczęga myśl jego zdawał się odgadywać.

— Co wy patrzycie mi w oczy, jakbyście War-

gi nie znali? Przy mnie śmiało mówić możecie, co serce poda do gęby.

Luboń ciekawie wpatrywał się w wybladłego i na twarzy zmienionego krewniaka.

— Coś ty nie swój jesteś? — rzekł.

— Nic nie wiecie? — zapytał Wojsław schrypłym głosem.

— Cóż mam wiedzieć, siedzę w domu...

— Gdzie syn twój? — zapytał Wojsław.

Na to pytanie zmarszczył się Luboń; od rana już postanowił był nie przyznawać się przed ludźmi do tego sromu, że dziecko mu nie chciało być posłusznem, do tej doli, że mu je chrześcijanie odebrali, cicho więc odparł:

— Synam wyprawil w swaty... żenię go...

— Doprawdy? — zapytał Wojsław. — Toście go zmusili chyba... Przecie go widziałem w Pradze, że z chrześcijańskimi wróżbitami w ich kontynie odprawiał tam jakieś obrzędy... a tym, co do nich należa, żenić się niewolno...

— Tak jest — dodał porywczo Luboń, — zmusilem go do porzucenia tej wiary niemieckiej... zagroziłem mu... musiał być posłusznym.

— Nic wam nie mówił o naszej podróży? — pytał dalej Wojsław.

— Nie pytałem go wiele... — odezwał się Luboń, jakby zbyć się chciał rozmowy. — Co tam z gołowąsem takim rozhowory prowadzić?

Machnął ręką.

— Nie będziecie wy z syna mieli pociechy... — rzekł Wojsław — nie... Dobrze, że ja z jego przyczyny nie nałożył głową... a Stogniewa śmierci nikt nie winien, ino on. Widzieli go pacholkiwie, jak w krzakach leżąc, podsłuchiwał nas na rozmowie i wydał przed kneziem...

— A cóżeście mówili? — spytał Luboń zdziwiony. Wojsław z ławy powstał, poruszony mocno.

— Co mam kłamać? Mieszko nas Niemcom sprzedaje. Do Pragi jeździł o naszą skórę się targować.

Jawna to rzecz. Starą dziewczkę mu daje Bolko i dobre wiano... swoją przyjaźń i cesarską łaskę... Myśmy to ze Stogniewem widzieli, a mieliśmy czekać, aż nam na kark włożą obręcz?...

Reszty się można było domyślać. Wojsław jej nie dopowiedział, i po chwili kończył:

— Gdyśmy nocą przyszli do niego, już nas, przez twojego syna ostrzeżony, czekał... Stogniewa zdusił jak chrząszcza.... Jam życie uniósł... tułam się.

Milczenie nastąpiło długie... Wojsław przeszedł się po izbie. Warga pilno nań patrzył; Luboń stał zamyślony.

— Dacie mi przytulek?—zapytał Wojsław.

— Właśnie to go tu szukać!... — krzyknął Warga. — Człowiecze... pod bokiem knezia, gdzie cię każdej godziny może najrzeć i ludzie cię znają!... pójdziesz ze mną!... ja ci dam schronienie, w którym będziesz bezpieczny... Schowam cię do chramu, gdzie nikomu dostąpić nie wolno... Takich nam ludzi jak ty trzeba...

Odwrócony ku starcowi, Wojsław słuchał.

— Pójdziesz ze mną! — powtórzył Warga.

— Ja ci też w lesie na pasieczysku chatę dać mogę — rzekł Luboń.

— Byłem gdzie tego twojego syna, psią wiarę, nie spotkał — odezwał się Wojsław, — bo choć on was posłuchał i dziewczkę bierze, a ja mu nie ufam... Zdradzi on ją, i was, i mnie, gdy będzie mógł... a wiary tej, co gdy raz przyklepie do człowieka, trzyma się jak smoła, nie puści.

Zamyślony, z okiem wlepionem w ziemię, stary Luboń powtarzał ciągle pocichu:

— Stogniewa udusił!...

— Własnymi rękami — rzekł Wojsław, popijając chciwie z kubka, który stał na stole. — Cekał na niego... schwycił za gardło... i krzyku mu nawet wydać nie dopuścił... Ciało potem zrzucić kazał z góry do Łaby i położył się znowu, jakby mysz nogą rozcisnął... Nikomu słowa nie rzekł... Dobrosławowi

po Stogniewie władzę oddał, wrócił nad Cybinę, posłał po Sydbora i już się pewnie do wesela sposobił... Taki on jest... Co jednemu uczynił, tak samo stu robi, nie zmarszczywszy się... Na Sydbora my rachowali, on ma dużą siłę w ręku... ale to pies też, co się nawykł łasić i nogi mu lizać będzie... z nim gadać niema po co.

— Albo innych niema? — podchwycił Warga. — Czy to wam kneziów zabraknie?...

— Kneziów nie!—zaczął Wojsław — a no... ludzi... Dawne męstwo wytepiły te Piasty... porobili z nas niewolników... serc niema... trwoga we wszystkich... pójdą, gdzie im każą, robią, co im powiedzą, choćby na ojców rodzonych.

— Nieprawda! — zawołał Warga, poruszając się za stołem. — Żle ty sądzisz o narodzie... jeszcze on nie cały w pętach i kagańcach... jeszcze po lasach stary obyczaj i stara swoboda... miry wiecują jak dawniej, i pędzić się nie dadzą, jak trzody...

Poczęli tedy rozprawiać o swej doli i o tem, co groziło; Luboń tylko najmniej się odzywał. Noc ich tak zaszła, aż Warga wstał z za stoła.

— Noc ciemna, ale ja drogi znam... nocą wam i mnie najlepiej iść... chodźmy stąd... nocleg sobie znajdziemy...

Ruszyli się więc oba, gdy Luboń im u drzwi drogę zaszedł.

— Znacie starego Lubonia!—rzekł. — Ja z wami! Nie zważajcie na to, że mnie Mieszko zechce ciągnąć ku sobie, że mu się poklonię... Trzeba będzie dłoni do roboty, ja i moi ludzie z wami będą...

I podał Wojsławowi dłoń.

— Syna miej na oku! — mruknął wychodzący.

— Nie bójcie się... bezpiecznym o niego...

Wywiódł ich w podwórze, do wrót, Wojsław siadł na koń, Warga poszedł przodując, i znikli oba w ciemnościach.

Gdy z pola znikły kopy i żniwa zostały skończone, obchodzono zwykle uroczystość jesienną, weseląc się i dziękując bogom, a składając im obiady. Nie było na to oznaczonego dnia, a w każdym mirze i osadzie, po dworcach dobierano sobie wedle upodobania i możliwości porę do obchodu wesołego, gdy dostatek zawitał do chaty. Warzono piwa, sycono miody, młodzież często przy tej zręczności upatrywała sobie dziewczęta, bo i wesela zwykle na jesieni się odbywały, gdy roboty pilnej około roli nie było, a zasiew też został skończony.

Obyczaj ten i na kneziowskim dworze zachowywano, sprawiając pod ten czas dla czeladzi i młodzieży ucztę połączoną z wróżbami przy kontynie i obiatami bogom.

I w tym też roku, wcześniej, niż zwykle, Mieszko, który po sobie nic poznać nie dawał, co zamyslał, choć po całej już ziemi mówiono o przyszłych jego zaślubinach, przez Sydbora i dietskich swych, wcześniej zwoływał na dwór starszyznę i ziemian znaczniejszych.

Nie bywało we zwyczaju na to święto ją powoływać, lecz Mieszko zapowiedział, że na Niemców i przeciw margrafowi Geřonowi może ciągnąć przyjdzie, więcby rad ze starszyzną o tem pomówił.

Dzień naznaczono przed pełnią i komorników rozesłano po dworach, po kmieciach i Leszkach co możniejszych, aby na gród nad Cybinę ciągnęli.

Zwołano co przedniejszych z Jaksów, Leliwów, Porajów, Grzymalów, Godziembów, Kaniów i innych starych rodów.

Na gródzie od przybycia Mieszka z Pragi niewiele się lub nie prawie nie zmieniło. Nie odprawił też kneź żon swoich, owszem, siódmą sobie wziął jeszcze, dla niepoznaki, i Lilja musiała ustąpić ślicznej Lubaszce, córce zamożnego kmiecia, ledwie wy-

szłej z dzieciństwa, rozkwitłej jak napół otwarty pączek róży. Stogniewa miejsce zajmował Dobrosław, — dużo się jakichś obcych ludzi płatało po dworze, ale w pocztach straży i wojsku nie zmieniło się nic — kneź jeszcze dla swoich wojaków szczerzejszym był i widocznie ich sobie jednał. Parę razy zajął do kontyny i pogadał ze stróżami przy niej siedzącymi. Obiady do chramu, jak zdawna posyłano od dworu, po obyczaju odwiecznym. To też ci, co z nich korzystali, nie dozwolali mówić, ani posadzać Mieszka, ażeby miał wiarę odmienić.

Lecz były też oznaki inne, mniej widoczne, że się coś knuło pocichu. Z Czech kilku ludzi jakichś niewojennego rzemiosła na dwór przybyło i siadło. Ci często do knezia się przekradali.

Nim na owe dożynki zwołano starszyznę, Mieszko, czy z naprawy Dobrosława, czy sam, jednego dnia o Własta się upomniał i wysłał za nim do Krasnejgóry.

Trzymano go ciągle w jamie, ale o tem w domu nie wolno było mówić; przed obcymi Luboń kłamał, że syna osadził z młodą żoną, na ziemi, którą miał w lasach, o mil dziesiątek. Gdy komornik przybył od Mieszka, upominając się o Własta, stary mu też odparł, że syn gospodarzy na nowosiedlinach i że go ściągnąć niełatwo. Namyslił się jednak po daniu tej odpowiedzi i przybrawszy się, zaraz z komornikiem na dwór pański pojechał.

Gdy przybywszy chytry starzec — pokornie do nóg się kłaniał Mieszkowi, spytał go wnet kneź:

— A Włast wasz kędy?

Stał przy tem Dobrosław i słuchał.

— Miłościwy panie — odezwał się Luboń, nie-dobrze udając wesołego. — Włastam ożenił i na gospodarstwo wyprawił, bom stary i pomocy potrzebuje.

Mieszko zdumiał się bardzo i popatrzał na Dobrosława, który mu wprzód jeszcze opowiedział o powołaniu jego i kapłaństwie. Wprawdzie naówczas

żenie się duchownym wzbronionem nie było, ale Włast wdział był suknię mniszą, o czem Dobrosław wiedział dobrze, a zakony zawsze ślubowały bezęstwo.

Zdumienie na chwilę usta zamknęło wszystkim. Luboń poczuł, że mu niebardzo wierzą.

— Miłościwy panie — rzekł — przed wami nie godzi, nie ukrywać. Syn mi powrócił przez Niemców zepsuty i na ich przekłątą wiarę przeciągnięty, nie chciał ani żony, ani gospodarstwa. Lecz zmusilem go, aby mi był posłuszny, a dałem młodycę śliczną, przy której zapomni o czem innem.

— I ożeniliście go? — pochwycił Dobrosław, widocznie zdumiony razem i przełękły, — ożenił się dobrowolnie?

— Trochę mi się opierał — odezwał się Luboń. — Ale przecież ojciec i mam władzę; zresztą niewiastą go do rozumu przywiedzie.

Stary się rozśmiał dziwnie; Dobrosław zamilczał, Mieszko też nie odezwał się zaraz, ale chmurno na starego Lubonia popatrzał.

— Dawnoż się to stało? — spytał.

— Zaraz po powrocie, gdyście go, miłościwy panie, odesłali do mnie. Nie dałem mu długo się rozmyślać.

Mieszko, który zwykle na Lubonia był łaskaw bardzo, tym razem nie okazywał mu wcale życzliwości swej, posępnie zbył go kilku słowy — i odprawił.

Co kneź myślał, z tego się nikomu nie zwykł był zwierzać, ale Dobrosław, któremu się zdało, że na wiarę i gorliwość Własta mógł rachować, rażony był, zasmucony i razem przybity. Nie mógł pojąć, by pobożny młodzian, co zdawał się na męczeństwo gotowym, tak łatwo uległ pokusie. Chciałby go był zobaczyć, — lecz na to nie widział sposobu.

Mieszko, który chciał starego Lubonia wraz z in-

nymi na zjazd do grodu wezwać, po krótkiej rozmowie z nim, nie rzekł mu już nic. Luboń, wiedząc, że innych powołano, poczuł to mocno, lecz zamilczał i do domu odjechał.

Dzień naznaczony do zjazdu nadszedł wreszcie. W wigilję już był Sydbor z ludźmi na grodzie i wojska zebrano dosyć. Przygotowania na przyjęcie kilkudziesięciu znaczniejszych kmieciów, Leszków, władyków, ziemian, wcześniej były uczynione. Umiał Mieszko przyjmować po królewsku i pokazać moc swoją.

Dnia tego od rana podwórce, miasteczko, pole pod wałami pełne było pocztów Sydbora i innych dowódców. Ludu liczone na kilka tysięcy, jakby się na wyprawę zbierano. Dla tych woły zarzynano i pieczono i kadzie z piwem stały od rana.

Na kneziowskim dworze występowano tak, jakby najdostojniejszych spodziewano się gości. Izba wielka na dole przyrządzona była na przyjęcie wspaniale, wszystkie ławy sukmem szkarłatnem pookrywane, na stołach dzbany srebrne, na ścianach zbroje i tarcze odpolerowane świeżo, zapach smółki rozchodził się wszędzie. W podwórce pieczono zwierzynę i barany, niewiasty warzyły kasze różne z miodem i mlekiem, beczki z napojami stały w pogotowiu, by z nich stągwie napelnić było łatwo. Sam kneź od rana suknie włożył paradne i miecz przypasał złocisty, a czapkę wdział czarnym połyskującą włosom z północy przywiezionego zwierzęcia, za którą dał niewolnika. Twarz też na ten dzień rad był ułożyć wesolą, ale, mimo starania, marszczki na niej widać było.

Zawczasu się panowie ściagać poczęli z pocztami pięknymi, bo każdy był rad przed kneziem wystąpić możnie i schludnie. Więc Jaksy, Kaniowy, Grzymałowice, Rolici, Godziembowie, każdy w kilkanaście lub kilkadziesiąt koni; kołpaki piękne, suknie zawiesiste; miecze kowane, na niektórych zbroje nie-

mieckie; stawili się u progów dworu, gdzie ich dwór i służba witała, a do izby wiodła.

Kneź siedział na podwyższeniu i łaskawie wszystkich przyjmował twarzą jak mógł wesołą. A był to pan, który, gdy chciał, umiał się srogim, ale i łaskawym okazać; więc dnia tego, z kolei witając ziemiany, każdego wiedział, o co spytać, czem mu pochwlebić, aby dobrej myśli był. Tu też cześnicy stali i stolnik z kubkami i dzbany, a na stole jadło dygotało. Sadzał kneź podle i wesoło rozmawiał.

Gdy około południa zjechali się wszyscy wezwani, izba niemal była pełną i panował w niej gwar a ochota wielka. Miód rowiażywał języki.

I Dobrosław, i brat pański Sydbor, i inna mnoga starszyzna, urzędnicy dworsey nalewali a przyjmowali pić i jeść, bo taki był zawsze obyczaj gościnności słowiańskiej, iż przymusem ujmowano wstrzeżliwych przez grzeczność gości.

Gdy więc tu zawzięło się mocno na ochotę i wesele, Mieszko wstał, jako dobry pan mieszając się między swych ziemian. Czy z umysłu, czy trafunkiem, kilku do siebie najstarszych ściągnawszy, o wojnie począł mówić naprzód, i rozmawiając z nimi, wywłókł ich do blizkiej komory, której okna w podwórze wychodziły.

Tu też ławy były dokoła i stolica dla knezia. Sama się zebrała starszyzna, sędziwe głowy: dwóch braci Jaksów, Czarny i Biały, Rolita z obciętą ręką bez palców, bo mu je w potyczce Niemiec odsiekl, Kaniowczyk, którego zwano Leszczycem, Grzymała Laskonogi i Godziemba zwan Krzywogębą, choć pod wąsami nic mu widać nie było. Byli to najmłodniejsi Leszkwowie i kmiecie polańscy.

— Wojnie końca niema—mówił kneź do nich,—Niemcy się zmagają, z Czechami przymierze uczynili, Ugrów przepędzili do ich łożysk, teraz nam całą siłą na karki siędą.

— Słyszeliśmy, miłościwy panie — odezwał się Jaksa Czarny, — żeście do czeskich kneziów jeździli, azaliż i my z nimi pokoju mieć nie będziemy?

Milczenie się stało wielkie.

— Byłby pokój i przymierze—odezwał się, głos zniższy, Mieszko.—Ale cóż? chrześcijanami są i z nami trzymać nie mogą.

Wszyscy posępnie usta zamknęli.

— Dziś, czy jutro — odezwał się wolno, cedząc wyrazy kneź — nowa wiara wnijdzie i do nas. Wyszła ona już, wchodzi codzień, opierać się jej trudno — pokójby nam przyniosła.

— Przebaczenie, miłościwy kneziu — począł Krzywogębą, z dalekiego końca, na którym usiadł,—przebaczenie. Pokój-by może ona przyniosła od margrafów, gdybyśmy im nogami dali się podeptać, ale doma-by nie było pokoju. Nasze serca przyrosły do bogów naszych i obyczaju; lud prosty i władcy zarówno, jedno wierzą i trzymają. Gdyby starszyzna poszła w jedną a lud w drugą stronę,—mielibyśmy wojnę nietylko w domu, ale i w izbie, i na ławie, i na posłaniu naszym.

Szmer cichy zdawał się potwierdzać te słowa.

— A nie także samo było w Czechach, gdy ratując się, wiarę nową przyjmowali—rzekł Mieszko.—Dziś przecie już nie czuć i nie widać tam, aby się kto burzył i opierał. Ludowi po lasach zostawić trzeba czas, a starszym poczynać,—od nich poszło tam coraz głębiej, i...

Spojrzał Mieszko po starszyźnie, zasepionej mocno i posmutniałej.

— Nikomu—dodał, zmieniając mowę—niewesoło się ze skóry odzierać, rozstawać z tem, co ojcom i dziadom służyło. Ale nóż na gardle mamy. Niemcy coraz głębiej idą i zawojują nasze ziemie. Od ujścia Łaby pod Odrę wszystko to nasze; codzień kawałek wydrą nam, jakby żywego mięsa, damyż sobie najlepsze ziemie i lud zabierać? Po dobrej woli nie pod-

dali się Lutyki, Obodryty, Wilki, Pomorecy, to im chramy popalono i połamano i poszli w niewolę.

— Bić się trzeba! bić się! — wtrącił Laskonogi, — bić dzień i noc, napadać i mścić!

— Siła stokroć od naszej większa, nie zmożemy ich — przerwał Mieszko, — a i swoi z nimi idą. Co począć?

Na to pytanie długo nie było odpowiedzi. Jaksa Biały, który dotąd milczał, ruszył się, ponad głową rękę podnosząc.

— Siedzę od serbskiej granicy — odezwał się, — patrzę na niemieckie roboty, zdrajcą nie byłem i nie będę; ale Niemca złego nie zmożemy siłą, ino chytrnością. Ściga nas jako pogan, udajmy, że chrześcijanami być chcemy, abyśmy wypoczęli i stali z nim narówni. Niema co czynić, ino to, niema co począć, tylko Czecha chytręgo naśladować. Wówczas wilk ten, krwi naszej chciwy, Gero i Wigmany i wszystkie złe duchy ich odstąpić będą musieli, przymierze uczynić, aby ich w nie jak w matnię zaplątać...

Śmiało i żywo wypowiedziawszy, spuścił głowę Biały i zamilkł... Mieszko po kolanach swych dłoniami uderzył...

— Jakso mój — zawołał — złote mówisz słowa... Złote słowa twoje. Rozumu się u ludzi i z cudzego doświadczenia uczyć trzeba... Nie wszystko żelazo robi i siła... chytry zwycięża... a Obry pijane od Krasnopanków giną!

Inni coś mruzcili, nie oburzając się.

— Jedno powiem wam — odezwał się Mieszko, — choć mnie o słowo trudno, języka nie mam, jako drudzy — jedno rzekę — co bądź poczynąć będę, co zrobię i gdzie pójdę, niechaj was serce nie boli — nie gwoli złemu uczynię, — ale gwoli temu, aby nam i plemieniu było dobrze... Szerokie ziemie nam należą... Czech? — Czech nam Chrobaty wziął. Czech nam Szlązko zajął... hen! dalej po Wisłę, za Wisłą,

nasz to język, ziemia nasza, po morze do Łaby... na Odre... wszystko to nasze... wszystko weźmiemy, rozumem wprzód ważąc, a potem miecza i krwi nie żałując... Cesarz na zachodzie... na wschodzie my być powinni cesarstwem. Nie ja — syn — wnuk może.. ale to musi być! to będzie!

Wstał mówiąc to; słowa zdawały mu się mimo-woli rwać z ust, aż nagle, jakby się opamiętał, że za dużo rzekł, zamilkł.

Jaksa Biały, a za nim drudzy wstali z ław, ręce popodnosili do góry i — mimowoli wyrwało się im z ust.

— Tak będzie! tak będzie!!

Jaksa dodał:

— Miłościwy panie! nie pytaj — czyn! — Tyś pan, tyś kneź, masz siłę, masz wolę — niech gawieź mru-czy! ty idź i czyn...

— Idźcież ze mną i za mną!

Uderzył się w piersi.

— Pójdziemy! — zawołali głośno wszyscy.

We drzwiach komory na okrzyk ten zjawilo się kilku z pierwszej izby; ci, nie wiedząc nawet, dla-czego wołano i co chciano, okrzyk powtórzyli w pro-gu, od progu dostał się za stół... Powstawali ziem-ianie, wołając:

— Mieszko żyw i zdrów niech będzie! na długie lata! na długie lata...

Czarne oczy knezia zapalały; stał drżący jakimś zapalem, odwagą, nadzieją. Trwało to chwilę — po-kłonił się ręką od ust, dziękując — i siadł...

Tak krótka ale stanowcza skończyła się narada i nastąpiło ucztowanie...

Znowu stolnicy i cześnicy szli nalewać i zachęcać i, mimo przytomności knezia, wrzawa i śmiechy roz-legły się w izbie.

Toż samo działo się w dziedzińcu i na całym grodzie. Młodzież biegała z oszczepami, ścigała się końmi, pasowała na gołe dłonie... strzelała z łuków i rzucała kamienie... Podochoćeni wojacy, komor-

nicy, dwór, pacholłowie dokazywali pod oczyma starszyny, która też podweselona, nie myślała powszechnego zakłócać wesela.

Dopiero około gaju świętego, bo do tego nikt się zbliżyć nie śmiał, panowała cisza i spokój. Na skraju jego pod drzewy widać było kilku starców, stojących gromadą w milczeniu i zdala przypatrujących się ciekawie temu, co około dworu się działo. Zwykła straż chodziła u ścian kontyny... W progu jej siedział znajomy nam Wargę z rozwianą brodą, na rękę podparty, słuchając dolatujących doń okrzyków i dumal. Kilku podobnych mu dziadów z białymi kijami przechadzało się po gaju.

Wargę zdawał się tu czekać na kogoś. Obracał się czasem ku dworowi napróżno, podglądał pod gałęzie... nikt nie przychodził...

Nad wieczór goście się zwolna rozjeżdżać zaczęli, ludzie znużeni kładli się po szopach, na grodzie uspokajało się, kiedy niekiedy tylko okrzyk lub śmiech doleciał zdaleka... Zmierzało już, gdy około gaju ukazał się niepewnym krokiem, bojaźliwie krążący człowiek, niepočetně odziany. Poznać w nim jednak było można kogoś z mniejszych sług dworu, tego dnia w barwę jednostajną przybranych... Ostrożnie wsunął się między drzewa, obejrzał i podbiegł ku kontynie... Na widok jego Wargę wstał z progu, zbliżył się doń, odciągnął w drugą stronę i u pnia starego dębu się zatrzymał.

— Słyszałeś co? mów—rzekł.

— Wszyscy ziemianie z nim za jedno trzymają odezwał się zadyszany sługa. — Co tylko zechce, to zrobi...

— Kto był? licz! — spytał Wargę, pochylając się ku małemu człowiekowi, aby odpowiedź lepiej usłyszeć.

Sługa wyliczać począł, przypominając sobie, pomagając na palcach i powtarzając.

Wargę pytał, pomagając mu... odbierając to prze-

czące, to potwierdzające odpowiedzi; lecz gdy przyszło do powtórzenia tego, co mówiono i nad czem obradowano... sługa nie umiał zdać sprawy z podsłuchów. Jedno wiedział napewno, iż Mieszkowi wszyscy posłuszeństwo ślepe ślubowali. Wargę głowę na piersi spuścił, na kiju sparł i milczał... Ręką odprawił sługę i przywołał nazad.

— Był Luboń? — spytał.

— Nie było go... Parę dni temu ślano za nim. —

Kneź mówił z nim krótko i odprawił.

Odszedł nareszcie donosiciel, a Wargę, podniósłszy opone, wsunął się do ciemnej kontyny... Na ławie u wniścia siedziało dwóch, na pozór uspiomych, ludzi. Spozrzeglwszy Wargę, ruszyli się.

— Teraz idźcie—rzekł,—wiecie dokąd, i po których dworach... nie zapomnijcie o Luboniu... pojutrze na uroczysku Lelowem... jak świt....

— Pojutrze na uroczysku Lelowem, jak świt! — powtórzyli machinalnie dwaj starzy, — a Wargę jeszcze raz też samo im wtórował:

— Pojutrze na uroczysku Lelowem jak świt...

Podniosła się ostrożnie opona świątyni; Wargę wyszedł, oglądając się, a za nim dwaj jego posłowie... każdy w inną kierując się stronę.

Uroczysko Lelowe położone było wśród lasów na pół drogi do Gniezna. Odwieczny dąb spróchniały, omszony, przyschły już, zajmował środek łąki, która wierzch wzgórza okrywała niską, a gęstą trawą leśną. Tu i owdzie jakby kołem, wsiadłe w ziemię leżały głazy szare, opasując go wieńcem. Niektóre z nich ukryły się już prawie w niej, inne sterczały jeszcze nad powierzchnią. Pomiędzy niemi a olbrzymim dębem mnóstwo glinianych małych miseczek stało w nieładzie, przyprószonych gałęzmi, poprząsywanych ziemią. Między niemi gdzieś leżał wywrócony dzbanuszek i potłuczone małe bliźniaki.

Z jednej strony popiół zgasłego ogniska szerokiemi kołami znaczył miejsce, w którym spoczywano.

Na dębie wisiały plachty, deszczem wymyte, zczerniałe od wilgoci. Okrywały one część pnia i gałęzi. Te, które wiatr pozruciał, walały się na ziemi. Sam dąb miał, rzec można, jakąś postawę własną, która go od innych różniła... Niezmiernej grubości od dołu, okryty szecerby i garbami, dziwacznie poorany spływającą wodą i piorunami, co weń biły, — podnosił się do góry jakby w męczarniach wijąc i dzieląc na kilka potwornie grubych konarów... Te także nie rosły prosto i bujno; i one łamały się dziwnie, to strzelając do góry, to spadając ku dołowi, to podnosząc znowu zwycięsko... niby pasując się z jakąś niewidzialną siłą. Całe drzewo zdawało się wiekami wyrosłe w niewysłowionych, powolnych, tajemnych męczarniach... Czyniło ono wrażenie potęgi wiekowej, stworzonej na walkę, zwycięskiej, lecz noszącej na sobie widome znamiona przeżytych bojów i męki... Dalej majestatycznie dźwigały się wysoko ponad stary las gałęzie, jedne zielone i gęsto liśćmi okryte, drugie obnażone, strupieszale, zjedzone przez mchy, rozpadając się próchnem...

Spojrząwszy na tego milczącego, nieruchomego, wkutego w ziemię szeroko, jak szponami niezmierzniemi, — olbrzymia, mimowolnie przejmowało pòszanowanie jakieś i groza. Był on świadkiem tysiącoletnich może dziejów, burz, ciszy, przemian na ziemi... Cały świat swój miał stary pan puszczy; z jego soków żywiły się mchy, na ich trupach rosły trawy, w dziuplach tkwiły lesne kwiatki, schronione od zimna i słoty. Grzyby i pleśnie ssaly mu nogi; na jednej gałęzi wił się chmiel dziki, oplatając się z rozpaczliwą jakąś chciwością. Wyżej pomiędzy gałęzmi słały gniazda ptaki, w wiecznym boju z sobą. Na każdym z nich tulił się inny lasu mieszkaniec...

Dąb, jak uroczysko, zwał się Lelowym. Miejsce było poświęcone, tajemne, cudowne: szli tu chorzy zawieszać chusty, z którymi zdejmowali bóle swoje, niewiasty, prosząc Lela o potomstwo, chciwi wróżby, przemiany, pociechy...

Uśmiechnął się Warga.

— Jeszcze my się boimy stracha, co nie przyszedł... nie trzebaż go uprzedzać, zobaczymy, gdy on się zjawi... zobaczymy. A zebrać się i radzić było trzeba, bo niech tu dziś wiedzą, że groza idzie i od zimy nagotują kużuchy... Potośmy się zeszli.

Usiadł stary na swoim kamieniu, a inni mrużeniem dawali poznać, że z nim trzymali.

Wtem Czarny Buran podniósł rękę i rzekł:

— Ja jedno powiem... O kim wiadomo nam, że chrześcijaninem jest, choć tajnie... zabić go... pójdzie groza do drugich... Niech jeden ginie, aby my nie poginęli wszyscy...

— Dwory im podpalić! — dodał inny — Dobrosława napród...

— A Ligoń? i ten nie lepszy!...

— A Zreba?...

Inni wymieniać poczęli różne nazwiska; Warga się nie przeciwil i milczał.

— Czyńcie z tem, jak chcecie! — dodał obojętnie.

Niektórzy starcy uśmiechali się już, jakby im ta zemsta smakowała. Luboń zbladł, wspomniawszy na syna, i milczał.

Gwar się wszczął między gromadą i bezładne rzucanie słowami, gdy dziwnie zaszumiała dąbrowa i zdala słychać było jakby łomot gałęzi a konia chód. Wszyscy zamilkli, przysłuchując się, chociaż myśleli, iż spóźniony może jeden z ziemian przybywa. Wojśław stał za Luboniem, wpatrując się w tę stronę lasu, z której szedł głos; przechylił się ku ziemi, aby popod gałęzmi dojrzeć coś lepiej i nagle, jakby przerażony, skuliwszy się wpół, rzucił w krzaki. Ucieczka ta przestraszyła i drugich, ale uchodzić nie była pora, bo za starym Lelem już konia i jeźdźca widać było.

Luboń, który stał na widoku, pierwszy zobaczył i poznał Mieszka.

Kneź jechał sam jeden, z twarzą dumną i spokojną; ubrany jak do łowów, z rogiem na sznurze,

uwieszonym przez ramię; z sulicą w rękę, łukiem na plecach.

Zobaczywszy starców i ziemian zebranych u dębu, nie okazał wcale zdumienia; konia trochę strzymał, stał i patrzył.

Wróżbici i gęślarze osłupieli z trwogi i przerażenia. Niektórzy z ziemian cofali się w las, inni stali, jak w ziemię wrzuci. Ze starych niektórzy, nawykli do poszanowania, zwolna podnosić się zaczęli.

Mieszko stał i oczyma mierzył wszystkich, dostrzegł zdala Lubonia, poznawał i innych wróżbitów, których przy grodzie widywał. Po chwili namysłu, zwolna z konia zsiadł, wziął cugle i do oniemiałych zbliżył się z twarzą wcale niegniewną, ze wzrokiem jasnym. Ci, ku którym podchodził, zapomniawszy o odgrózkach, chylili mu się do kolan i pokłony bili.

— Cóż to za wiec u was, gęślarze? — zapytał. — I czemuście się to tak głęboko w lasy z nim skryli? albowiem gajów świętych niema przy chramach?

— Miłościwy panie — odezwał się chytrzejszy od innych Wargę, nisko się kłaniając, — u nas to obyczaj stary u dębu za urodzaje bogom dziękować i wróżyć, co zboże da i co zima przyniesie. My tu na tem uroczysku schodzili się co roku.

— A no, wróćcie i śpiewajcie... niech i ja posłucham a popatrzę, a z mądrości się waszej co nauczę... — rzekł Mieszko, spokojnie rozglądając się po starcach.

I słowa te kończąc, obejrzał się, aby sięść. Kłoda omszona leżała poza kołem wróżbitów, — przysiadł na niej. Milczenie panowało między starymi. Wargę, który się tak zręcznie wytłómaczył, szepnął Drohocie:

— Wróćcie...

— No... co nam ta zima obiecuje? — rzekł kneź, — mówcie...

Drohota zawezwany, musiał wedle zwyczaju postąpić; przywołał Wargę i Burana, usiedli na ziemię i końcami kijów swych białych w milczeniu ziemię odgarniać zaczęli, szukając, jakieby w niej znalazły się znaki.

Ziemia leśna, wilgotna, nie miała w sobie nic zrazu, oprócz przegniłych liści. Drohota kopał głębiej i dobył — kostkę jakiegoś zwierzęcia.

Wargę, on i wszyscy głowami potrzęśli znacząco.

— Kość... — rzekł Drohota — kość znaczy śmierć i zczehnięcie.

— Komu? — zapytał kneź.

Milczeli, obracając głowami. Drohota począł kopać dalej; dobyli węgla kawałek.

— Węgiel czarny, stos i zgłiszczę — śmierć!

— Śmierć! — rzekł Wargę.

— Komu? — powtórzył Mieszko.

Mówić nie śmieli, poglądali po sobie.

— Śmierć wrogom naszym! Niemcowi!... — zawołał kneź!

Wargę, pokręciwszy głową, począł grzebać głębiej jeszcze... czarny robak okazał się wśród poruszonej ziemi i zwolna wsunawszy w jej szczelinę, zniknął.

— Wróćcie śmiało — odezwał się Mieszko, — jeśli znacie przyszłość.

— Śmierć i zniszczenie złemu — począł Wargę.

— Wrogowi — szepnął Mieszko.

— I tym, co z wrogiem trzymać będą — rzekł Buran ponuro. — Robak, co pełźnie, znaczy nieprzyjaciela, co się skrada... Uszedł nam w jamę, — zły to znak!

Wargę grzebał kijem po swej stronie.

— Wróćcie — odezwał się wśród milczenia Mieszko. — Wkrótce nam na Wigmana iść będzie trzeba, przeciw Geronowi... dobrze wiedzieć, co nas czeka...

— Rzućmy losy! — rzekł Drohota.

— Rzućcie — potwierdził, wstając i zlizując się, Mieszko.

Drohota z torby dobył siedm kawałków drzewa, rozłupanych na poły, tak, że wierzchnia ich część czarną korą była okryta, a wewnętrzna bielą; zebrzał je w garść, począł coś mruczeć i cisnął na ziemię.

Wszyscy się pochylili, spoglądając ciekawie; drzewo padło tak, że sześć kawałków czarnych było, a jeden tylko biały.

Milezeli starcy.

— Czarno nam jutro wróży! — odezwał się Warga.

— Rzucimy raz drugi — zawołał Drohota, zbierając patyki po ziemi i wznosząc je powtórnie z szep-tem jakimś i zakłębem.

W milczeniu oczy wszystkich zwróciły się na padające drzewa, wszystkie czarnym bokiem leżały...

Spojrzeni po sobie starcy i nic nie rzekli, Drohota na trzecią wróżbę zbierał kawałki.

Mieszko, stojąc z twarzą spokojną, spoglądał na nich z góry.

Po raz ostatni ciśnięte patyki tak jak pierwszym razem, ledwie jednym białym upadły.

— Czarne jutro nasze! czarne! miłościwy panie... — westchnął Drohota.

— Czarne... — wtórował Warga.

— Czarne!... — chórem szeptali wszyscy. — Trzeba ofary bogom nieść, aby odwróciły gniew i groźbę... Krwi bogowie pragną...

— Pójdziemy jej Niemcom utoczyć — odezwał się kneź głośno, — ta im smaczniejszą będzie, niż gdybyśmy kozła zarznęli... Niech tylko idą za mną wszyscy, gdzie im wskażę, niech się biją rażno a mężnie, a wróżba się na wrogów obróci...

To rzekłszy i spojrzawszy naokół po milczących dziadach, dodał:

— Niech każdy sprawia, co do niego należy, ja się będę bił, — wy objaty nieście i śpiewajcie... A nauczcie młodych, aby za wodzem szli posłuszni...

Tem Niemcy silni, że słuchać umieją! tem my słabi, że zgody u nas i posłuchu niema... Ale i tych ja nauczę.

Rzekł i zwolna koniowi cugle ściągawszy, skończył nań, popatrzawszy jeszcze na wylękłych wróżbitów; ujął róg w rękę, trzy razy zatrąbił i w gąszcz wjechał napowrót.

Luboń i wszyscy w głuchem milczeniu nieruchomi pozostali długo i odetchnęli dopiero, gdy kneź zniknął im z oczów.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

I.

Włast już drugi miesiąc modlił się i cierpiał na dnie jamy wilgotnej. Jarmierz i siostra, mimo wiedzy ojca i jego najsurowszego zakazu, mimo pilnego oka nielitościwej babki, przynosili mu jedzenie, skradali się na rozmowę, prosili go i błagali, aby ojcu był posłusznym. Odpowiadał im, że tego uczynić nie może. Im dłużej pozostawał w tym dole, tem więcej, zamiast słabnąć na duchu, dziwnym sposobem rozgrzewał się i stawał silniejszym. Nie mając już nic do stracenia, klęcząc, cichym głosem nucił pieśni kościelne, które mu z dawnych czasów na pamięć przychodziły i lzy mu płynęły z oczów. W tej ciemnej jamie, na ścianie z dwóch kawałków drewna łykiem związanym zrobiwszy sobie krzyż i umocowawszy go, większą część dnia Włast spędził przed nim na rozmyślaniu i modłach.

Hoża i Jarmierz, nieraz uchyliwszy wrota, ciekawie wpatrywali się w niego, przejęci trwogą jakąś na widok tej wytrwałości i męstwa.

Parę razy przyszedł stary Luboń i kazawszy sobie odwalić wrota, lajał syna, zmuszał, aby wolę jego spełnił. Z pokorą wielką Włast podnosił oczy i ręce ku niemu i odpowiadał, że uczynić tego nie może. Z przekleństwem na ustach odchodził stary Luboń i gniewem długim wrzał często godziny całe, tak, że się doń nikt nie śmiał zbliżyć, ni przemówić.

Nawykły do posłuszeństwa, nie chciał ustąpić; a jednak wspomnienie tego dziecka, straconego, opłakanego, odzyskanego cudownie i dziś skazanego jak niewolnik na kaźnię okrutną, łamało mu serce. Po nocach łzy mu zalewały oczy, ale gniew je osuszał. Ustąpiłby może wreszcie i syna precz odegnał, lecz z jednej strony obawiał się, aby go nie skarżył przed Mieszkciem, z drugiej podzegała go stara Dobrogniewa, upierająca się przy tem, iż wkońcu Włast wyścieńczony poddać się musi.

Tymczasem biegły dni i tygodnie, a Włast w tej ciemnicy, trwając na modlitwie i w samotności, nawykł niemal do życia pustelniczego i zgadzał się z wolą Bożą. Odzież zbrukana i przejęta wilgocią, mało go już od chłodu broniła, padała nawet kawałami; barłóg, na który garść słomy litościwa ręka siostry rzuciła, stał się na proch i stęchl przejęty wodą, która się ze ścian sączyła. Włast się nie skarżył, a gdy Jarmierz ubolewał nad nim, odpowiadał mu łagodnie, że miło mu jest cierpieć dla Boga, którego wyznawał, i że ten Bóg zsyłał mu pociechę do serca.

Słyszając to, Jarmierz stawał zdumiony i przełękły; nie mógł pojąć tej siły, która się takim bólem nie wyczerpywała.

Hoża po kilkakroć do nóg padała ojcu, prosząc za bratem daremnie; zawsze podejrzliwa stara, która ją szpiegowwała, nadbiegła ze swą kądzielą w porę, aby ją oderwać od nóg ojcowskich, a Lubonia nowym gniewem zapalić.

Ten więzień w domu, choć do niego nikomu się zbliżyć nie było wolno, choć wspomnieć się go nie godziło, truł jednak spokój i szczęście całej rodziny. Hoża chodziła zapłakana, Jarmierz chmurny, Luboń był chwilami wściekły, a stara Dobrogniewa nikomu pokoju nie dawała.

Przyjechał kto obcy, kłamać było potrzeba i udawać swobodę, a lękać się zawsze, aby się ten upór sromotny, ojca upokarzający, nie wydał.

Jarmierz myślał o jakimś ratunku i nie widział żadnego. Chciał dopomóc do uwolnienia Włastowi, lecz zdrada-by się wydała i stary Luboń nigdyby mu jej nie przebaczył, a on w oczy Hożej patrzył i myślał, że mu ją wkońcu dadzą.

Złożyło się jednak inaczej weale, niż rachował; ukrywający się ciągle Wojśław często do Lubonia zaglądał i narady z nim miewał. Chłop był urodziwy i na dworze pańskim wychowany; on i Hoża spoglądali na siebie mile. Czy przemówili kiedy, czy się ułożyli, czy Hożej naprzykrzyło się w domu ze starą Dobrogniewą, która ją, kochając, męczyła, z ojcem, którego przemocy się lękała, któż to zgadnie?... dość że jednego poranku Hożej nie stało.

W domu zawrzało straszliwie, pogoń poszła na wsze strony; tyle się tylko dopytano, że Wojśław ją porwał i w lasy z nią uszedł. Jarmierz zaklinał się, że go ubije.

Straszniejszą jeszcze pustką stał się dwór w Krasnejgórze. Dobrogniewa położyła się trzeciego dnia i zapowiedziała, że jej życie obrzydło. Napół z gniewu, wpół z dobrowolnego głodu, w gorączce jakiejś, mającąc, otoczona babami, co ją napróżno ratować usiłowały, w kilka dni stara skoła...

Luboń pozostał sam, zdala poglądając na tę jamę, w którą syna wrzucił, nie chcąc nawet zbliżyć się do niej. Na parobków i służbę wywierał złość coraz wzrastającą.

Jarmierz nie mający już nic do zyskania i nic do stracenia, co dnia się więcej litował nad Włastem. Jednej nocy poszedł tajemnie odchylić wrota, zbudził go i poczał naglić, aby uciekał.

— Weźmiemy dwa konie... ubieźym w lasy... mnie tu nic nie trzyma...

Włast mu dziękował.

— Jarmierzu, druhu mój!—mówił doń.—Nie godzi mi się uchodzić od męczeństwa, którem Bóg mój mnie dotknął... Mam zasługę cierpiąc, tracę ją, uciekając...

Jarmierz tego zrozumieć nie mógł. Chwilami zdało mu się, że biedny Włast chyba oszaleć musiał. Drugiej nocy i następnej nalegał nań, nie przestając namawiać do ucieczki.

Tymczasem Włast, choć mocen na duchu, coraz upadać począł na ciełe. Zimnica go od wilgoci napadła i co drugi dzień leżał, trzęsąc się, a potem nieprzytomny w gorączce, w której zwykle naprzemiany śpiewał i płakał.

W takim stanie Jarmierz wyniósł go nareszcie wychudłego, osłabłego z jamy na ramionach, złożył w szopie, okrył, напоił ciepłym miodem, i gdy sen go pokrzepił, zmusił niemal tem, że ojciec na nim mszczyć się będzie, do ucieczki.

Włast był jednak tak osłabły, że choć go Jarmierz przytrzymywał, na koniu długo usiedzieć nie mógł i po godzinie jazdy, gdy już dzień był jasny, musieli w gąszczach stanąć, bo biednego więźnia znowu położyć było potrzeba. Zaledwie leżał, Włast zasnął.

Nie wiedział dalej, co z nim począć Jarmierz, lecz domyślał się, że na dworze pańskim znaleźć może jakiś ratunek.

Nie widząc w tem żadnego niebezpieczeństwa, na losy się zresztą zdając, porzucił chorego uspio-nego, a sam przez las popędził do grodu nad Cy-binę.

Za stróża przy Właście został stary pies, który poszedł za Jarmierzem; zwano go Kudłą. Temu kazał siedzieć przy koniu i chorym, a pies zrozumiałwszy to—pozostał i położył się w nogach Włastowi.

Jarmierz, nie zważając już na to, że pochwyconym być mógł, jechał na gród.

Pierwszą, co mu się tu nastręczyła, była Srokicha. Była ona też w tem przekonaniu, że Włast z młodą żoną mieszkał na nowosiedlinach; załamała rękę i padła na ziemię, gdy jej chłopak powiedział, co się stało... i jak go w lesie zostawił.

Widywała ona tego gołąbka swojego z Dobrosławem, doradziła do niego iść. Sama przodem poszła się dobijać.

Dobrosław zrazu nie mógł zrozumieć nic, wierzył bowiem w to, że Luboń zmusił go do odstępstwa. Stara zwołała Jarmierza, odkryło się wszystko i Dobrosław pobiegł naprzód do knezia, a wprędce potem siadł na konia i popędził w las.

Zastali Własta uspio-nego jeszcze, osłabłego tak, że mowę był utracił, psa u nóg jego i ciszę wśród lasu. Kląkł Dobrosław nad nim, obejmując biednego, a docuciwszy się, inaczej go do grodu wieźć nie mógł, jak między końmi na rozwieszonych opoń-czach.

Teraz dopiero długie męczarnie, które wytrwał nieszczęśliwy, wywarły swój skutek. — Wprawdzie życia iskierka tłała w nim i blada twarz męczennika uśmiechała się łagodnie, lecz siły były wyczerpane.

Gdy na Krasnejgórze Luboń swą czeladź, posądzoną o współnictwo, sieć kazał i sam w pogoń potem leciał na oslep, w stronę zupełnie przeciwną, Dobrosław z Jarmierzem bezpiecznie dojechali na zamek i złożyli w izdebce u wrót na dworcu knie-hini Górki chorego, którego Srokicha pilnować i leczyć się obowiązywała. Jarmierz też został przy nim.

Stara знаła się na ziołach i szczęściem, z opisu domyśliwszy się zimnicy, gorzkich mu nagotowała.

Gdy Dobrosław przyszedł oznajmić Mieszkowi o tem, co się stało, kneź wysłuchał go jak zwykle, nie dając żadnej oznaki ani zdumienia, ani oburzenia. Kazał Własta wziąć na gród i wieczorem, namyśliwszy się, wysłał komornika po Lubonia.

Ale tego w domu nie było: biegał po okolicy, szukając śladów, nie przyznając się do niczego więcej, tylko do ucieczki Jarmierza.

Trzeciego dnia dopiero wrócił stary złamany i zrozpaczony. Na progu spotkał go rozkaz, żeby

się do knezia stawil natychmiast. Sił miał niewiele, lecz rad nierad, jechać musiał.

Dano znać Mieszkowi o przybyciu Lubonia; wyszedł doń z twarzą pogodną i pozdrowił go napozór laskawie.

— Coście to pewnie na szczęście syna waszego patrzeć jeździli? — spytał. — A no, jak się mu tam dzieje?

Stary zabelkotał.

— Miłościwy panie — odparł głosem ochryplym — wiele mnie nędzy spotkało... Zmarła matka, córkę mi porwano bez wieści, a oto sługa, pies niewierny, uszedł, okradłszy mnie, pewno kędyś do Niemców...

— Czasby ci z nowosiedlin syna do domu z niewiastką sprowadzić — odparł Mieszko; mielibyście pociechę.

Luboń zmilkł; dławil go gniew.

— Ja waszego Własta polubiłem. Choć do wojny się nie zdał, ale rozumny człek do rady... i milczeć umie... Żoną się on już nacieszył, poszlijcie poń... bo mi go potrzeba... do Czech go wyprawię...

Luboń się zmieszał, spuścił głowę, opadły mu ręce. Szukał w myśli sposobu, jakimby wyszedł z kłamstwa.

Mieszko stał ze swym zwykłym dumnym uśmiechem.

— Co, wam to nie po myśli? — spytał.

— Miłościwy panie, co mam kłamać dłużej. Nie szczęście się stało — niema syna.

Stary zakrył sobie twarz rękami, ale wprędce odsloniwszy ją, dodał:

— Choćbym go miał — zgubiony on dla mnie... Niemcy go ochrzciły... na swoją wiarę. Znać go nie chcę...

— Wyrzekacie go się? — spytał Mieszko.

— Niech, jeśli żyje, do tych idzie, których więcej słucha, niż ojca. — Bodaj zczezł.

Kneź popatrzał nań z uwagą...

— Luboń — rzekł — z dzieckiem macie prawo czy-

nić, co chcecie. A to u nas teraz chrześcijany się mnożą co dzień... trzeba nam to cierpieć — nie damy rady... Boga mają śnać silnego, bo nasze mu się obronić nie mogą...

Wymówiwszy te słowa, kneź — głową skinął i wyszedł...

Luboń, który dłużej tu nie myślał pozostać, wysunął się ze dworu, nie wiedząc jak na koń wsiadł i dojechał do Krasnego dworu.

Nigdy pono niewiasta, do dziecka przywiązana, nie była w przykrzejszem położeniu, nad starą, prostą, pocziwą, ale do swojej wiary przywiązaną Srokichę.

Jarmierz, który patrzył na męczeństwo, cierpliwość i stałość Własta, był już nawpół jego przykładem nawrócony. Zaczynał czuć, że ten Bóg, co dawał taką siłę, musiał być potężnym... Przed starą więc piastunką nie utulił powodu, dla którego Włast uległ takiemu prześladowaniu.

Srokicha przeraziła się tem... nie straciła serca dla swojego gołąbka, ale myślała jak ojciec, że go należało do dawnych bogów nawrócić... Pomiędzy ludem straszliwe chodziły wieści o tej wierze nowej, pełnej surowości, umartwień, poddającej człowieka najstraszniejszej niewoli... Srokicha płakała rzewnie nad swym wychowankiem, ale krzątała się około niego skutecznie...

Napój, jadło, powietrze, spoczynek — może dzielniej od jej leków poskutkowały. Włast trzeciego dnia mógł już uklęknąć i modlić się, a pierwszym jego ruchem było dziękczynienie Bogu i rzewna modlitwa.

Jarmierz i stara mamka, ujrawszy go zatopionego w tym zachwycie łzawym, od którego oderwać go nie mogli, przerażeni byli... Srokicha utrzymywała, że Niemcy urok na chłopca rzucili i że go odzyskać potrzeba. W duchu postanowiła, sama nie czując się tak bardzo biegłą w tej sztuce, postarać

się o najmądrzejszą babę, aby czar i uroki odegnała...

Gdy Włast powoli do zdrowia przychodzić zaczął, i ciągle będąc z Jarmierzem, wszystek czas swój obracał na nauczanie go i nawracanie, Luboń wróciwszy do domu z gniewem i bólem, zaniemógł i legł złożony chorobą.

Natychmiast posłano po baby, aby mu radziły.. Lecz stary i nie przyjmować nie chciał i życie mia już w obrzydzeniu; przystępu prawie nikomu nie dając do siebie, leżał to senny, to nieprzytomny.

W domu tymczasem działo się, co się zwykle wśród grozą trzymanej służby dzieje, gdy swobodę uzyskuje... szalała czeladź, puściwszy sobie cugle...

Rozeszła się wieść po sąsiedztwie o chorobie starego, ale nikt się nie chciał wdawać w nieswoje. Stary dogorywał otoczony babami, które rozpędzić się nie dając, nakadzały go, kropiły, zamawiały chorobę napróżno... Wreszcie ktoś z sąsiadów dał znać na gród, że w Krasnejgórce, na bezpiecznym dworze, parobcy rwą całe mienie i dwór niemal roznoszą...

Włast już wstawać poczynął, gdy Srokicha z tem wpadła...

Nie o mienie szło synowi, ale o obowiązki dziecięcia. Czuł się niemal winnym tego nieszczęścia, które rodzica spotkało i zerwał się na gwałt powracać do Lubonia. Napróżno i Dobrosław i Jarmierz błagali go i strzymywali, chciał, wyrwawszy się, iść pieszo: dano mu konie. Jarmierz zrazu nie śmiał mu towarzyszyć, potem zawstydzony męstwem jego, powiedziała, że go nie opuści. Siedli więc na konie i pośpieszyli do Krasnejgóry...

Już zdala, dojeżdżając do dworu, można było mieć wyobrażenie, co się tam dziać musiało. Stary leżał dogorywając, a czeladź z dziewczętami w łasku pode dworem płasy wyprawiała, i śmiechy a śpiewy pijane rozlegały się dokoła... W podwórzu porozwierane wrota, ślady spustoszenia i łupieży, we

drzwiach kupa starych bab, gwarzących nad kadzią piwa i miskami kaszy i klusek... Wszyscy niemal napół pijani, spotykali przybywających...

Jarmierz został w podwórku, aby natychmiast ład jakiś starać się zaprowadzić, a Włast wszedł do izby...

Na nizkiem posłaniu leżał stary, wychudły, z osłupiałymi oczyma, z obnażoną piersią, dysząc z trudnością... Oddech chrapliwy i ciężki słychać było z daleka... Gdy Włast wszedł, zdawał się już nie wiedzieć nic i nie poznawać go; leżał, jęcząc, nieruchomy... Syn przykląkł przy nim, zlekka ujął rękę i pocałował... Luboń drgnął, oczy stojące nieruchomie poruszyły się, usta otwarły, spojrzał, i pierwszym znakiem oprzytomnienia było, że dłoń wyrwać usiłował...

Słabym głosem zawołał pić — Włast znalazł kubek i z troskliwością dziecięcia, przychylił napój do spiekłych ust chorego, który chciwie pić zaczął.

Orzeźwiło go to na chwilę,—oczyrna powiódł po ścianach i zatrzymał je na synu długo. Zdawał się zdumiony. Zamknął powieki, otworzył je powtórnie i przymrużył jeszcze...

— Włast!—rzekł pocichu—upiór!

— Syn twój, ojciec mój.

Luboń nie odpowiedział nic, oczy mu się przykneły—usypiał...

Całą noc Włast przesiedział tak u łóża, służąc ojcu, który tylko wody żądał i więcej nie mówił nic... Usypiał, przebudzał się i znowu sen go morył.

Nadzedniem sił mu trochę przybyło: dojrzał siedzącego u nóg syna i mruknął:

— Włast!

— Jestem—ojciec mój...

Starzec niedowierzająco powtórzył raz jeszcze pytanie, usłyszał tę samą odpowiedź i począł się w niego wpatrywać.

— Gdzie byłeś?—zapytał Luboń.

— Leżałem chory, na grodzie...

— I wróciłeś tu?

Włast ukląkł.

— Aby cię prosić o przebaczenie za nieposłuszeństwo... ojciec mój, jam musiał posłusznym być Bogu...

— Bogu! Bogu!—zamruczał Luboń, jakby myśli zbierał; po chwili rzekł osłabłym głosem:

— Mocny Bóg! wielki Bóg!

— Ojciec mój, i dobry to jest Bóg i łaskawy...

Starzec się zadumał; widać było, że pokora i łagodność syna złamały go wreszcie... Łzy mu się z powiek potoczyły i ośchły na spalonych policzkach...

Długo znowu trwało milczenie; Włast, choć słaby, służył ojcu z troskliwością niezmierną...

Duma poganina nie pozwalała mu powiedzieć dziecku własnemu ani że czuł się winnym, ni, że mu przebaczał, lecz nie okazywał gniewu, gdy Włast, pocichu mówiąc, starał się go pokrzepiać i natchnąć nadzieją; słuchał go z chęcią ciekawością. Słowo miłości natchnione działało.

Włast, jako chrześcijanin, nie mógł się zbliżyć do chorego ojca, nie myśląc o jego nawróceniu. Zdało się to niepodobieństwem, lecz Luboń o tym dawniej nienawistnym Bogu chrześcijan słuchał teraz cierpliwie. Pogodził go z nim ten syn pokorny i miłosierny.

Tymczasem życie uchodziło ze złamanego starca... myśl się stawiała jaśniejszą, odzyskiwał przytomność, ale siły tracił. Napoju przyjmować już nie mógł, oddech się stawał cięższym, usta zaniemiały, oczy tylko świadczyły, że duch pozostał w ciele... W tych godzinach ostatnich Włast o Bogu swym mówić mu zaczął, malując żywymi wyrazami Jego potęgę i łaskawość, i cuda jakie czynił, i życie wieczne, które dawał...

Starzec nie spuszczał z niego oczów, a gdy Włast, zebrawszy się na odwagę, zapytał go, czy

chciałby wiarę przyjąć — odpowiedział mu skinieniem głowy.

Z niewysłowioną radością Włast pokropił chorego wodą, chrzcząc go w imię Boga jedynego, któremu dziękował za to, że pierwszym owocem apostołstwa był—najbliższy mu krwią rodzic jego. Odmówił potem modlitwę, której konający słuchał z wytężoną uwagą; był to Ojciec nasz słowiański... Z ostatniem Amen, jak do snu zamknęły się powieki Lubonia i ręka, którą syn trzymał w dłoniach, stygnąć zaczęła...

Włast z piersi własnej zdjął krzyżyk i położył go umarłemu w rękach, które steżały. Objąwszy ten znak Zbawienia, klęknął potem i modlić się zaczął.

Na modlitwie zastał go Jarmierz, który w zburzonym domu w ciągu tego czasu ład na nowo zaprowadził i czeladź grozą do posłuszeństwa przymusił.

Szło teraz o pogrzebanie zwłok starca chrześcijańskim obrzędem. Naówczas już obyczaj palenia zwłok, chociaż się utrzymywał, nie był obowiązującym. Wielu przykładem sąsiednich chrześcijan, woleli mniej kosztownie grzebać zwłoki. Składano je wszakże na uroczyskach, zgłiszczach i polach wśród lasów, gdzie dawniej były żalniki...

Włast nie mógł pogrzebu uczynić uroczystym, boby musiał zachować przy nim stare obrzędy pogańskie; poświęcił więc część lasku za domem jako „rolę Bożą” dla przyszłych chrześcijan, i tam w cichości, jednego Dobrosława tylko uprosiwszy, przy modlitwie, którą sam odprawił, pogrzebał zwłoki ojca. Działo się to potajemnie z obawą, i nie bez przeczcucia dalszych następstw, jakie ściągnąć miało to postępowanie, które ludzie sobie inaczej tłómaczyć mogli.

Wistocie wszystek tłum, który rachował na stygę, ucztę i przyjęcie, zawiedziony w nadziei, począł szemrać, że syn, mszcząc się na ojcu, jak psa go

pocichu rzucił gdzieś w dół, nie uczyniwszy ofiary i nie sprawiwszy trzyny.

Od czeladzi dworskiej począwszy, szemrali wszyscy, na Własta patrząc mściwie, a przyjaciele starego Lubonia odwracali się od niego, znać go nie chcąc i odgrażając się.

Część tej niechęci spadła także na Jarmierza, który Włastowi był posłusznym i okazywał uszanowanie.

Nazajutrz po cichym tym pogrzebie pusto i smutno było na dworze w Krasnejgórze... Jarmierz chodził z głową zwieszoną i źle jakoś wróżył o przyszłości... Czeladź wprawdzie musiała być posłuszną, lecz posępnymi oczyma patrzyła na nowego pana, którego między sobą palcami, jako zdrajcę i odstępcę wskazywali. Nie strwożyło to Własta, który postanowił w miejscu pozostać, i nie bardzo się tając z wiarą nową, starać się o jej rozszerzenie.

II.

Niepokój szerzył się po kraju, chociaż nie go jeszcze nie usprawiedliwiała. Po lasach i osadach powtarzano sobie cicho, że Mieszko starą wiarę chce zagubić, — a kneź nie czynił nic przeciwko niej jawnie.

Wszystko po dawnemu zostało; kontyny, chramy, kamienie, słupy z głowami bożyszcz, ofiarne ołtarze, stały nienaruszone. Gęślarze z pieśniami, jak przedtem chodzili, i uroczystości odbywały się, jak lud odprawiać je nawykł był od wieków. Nie zagrożano nikomu, nie zakazywano, — a jednak strach jakiś owładnął wszystkimi. Spoglądano na gród nad Cybiną z trwogą i niepokojem.

Na dworze zjawili się ludzie jacyś nieznani, podejrzani, którzy się z kneziem zamykali, naradzali, przychodzili i znikali znowu... Mieszko zaczynał się

swoich ulubieniec pozbywać; kilka z nich naprzód wyswatano wojskowym, którzy je z dobrem wianem pozabierali, pozostałej reszcie kneź dozwolił szukać sobie mężów, lub odejść do rodziny.

Stara Różana, która nie miała tak wielkiego jak dawniej kłopotu z podwładnemi, stękała teraz, widząc, że się niepotrzebną stanie. Lilja płakała w kątku, inne chodziły strwożone, nie wiedząc, co począć z sobą. Dwór tymczasem na nowo a wspaniale urządzać kazano i rzemieślnicy w nim pracowali. Choć nie mówił nikt i nie tłumaczył, co to oznaczać miało, domyślali się wszyscy. Mówiono półgłosem o prędkim przybyciu czeskiej kniehini.

Sydbór tymczasem, z polecenia Mieszka, ludzi ściągając, zbroid i siłę gotował, jakby do wojny, choć na granicy dosyć było spokojnie. Starzy głowami potrząsali, rozumiejąc może, iż ta siła wielka nie przeciw nieprzyjacielowi się sposobiła, ale dla bezpieczeństwa w domu.

Warga też i inni wróżbici radzili pokorę i czajenie się, aby nadaremnie co lepszego z ludu nie ginęło. Po lasach nocami trwały ciągle narady; wiadzano, co się na zamku działo, lecz nikt nie mógł z pewnością powiedzieć, co i kiedy tam czynić zamierzano, bo Mieszko się nikomu nie zwierzał i nie zmieniał postępowania swojego.

Tylko jednego dnia z chramu Jessego na grodzie wszystek skarb wojenny, który tam był złożony i stancie z bóstwami sam Mieszko, poszedłszy do gaju świętego, przy sobie zabrać kazał do dworu i zanieść do swojego skarbcza. W chramie pozostał tylko stary posąg i to, co przy nim zawieszone było.

Dlaczego to uczyniono, nikt nie wiedział... Starzy stróże świątyni stali patrząc, mówić nie śmieli. Koszami ogromnemi wnoszono naczynia, sztaby, blachy, kruszec wszelki i oręż. Gdy na rozkaz knezia komornicy jego wzięli stojące za posągiem stancie święte, gdy i te na dworzec poniesio-

no, oczy starych wróżbitów zasły łzami, ścigali je wzrokiem, aż póki pod dach wniesione, nie znikły.

Z tych, co byli na straży u chramu, żaden się odezwać nie śmiał, — żaden zapytać, — obawiano się Mieszka. Lecz stłumiony gniew gorszym był może od jawnego. Gdyby wybuchnął, kneź by go w pierwszej chwili poskromił, — wolałby był widzieć płomień i zalewać je, niż czuć pożar podziemny, który niewiedzieć gdzie i kiedy mógł nagle zaświecić łuną.

Pomiędzy narodem wrzenie było wielkie; Warga i inni uśmierzali je i czekać kazali; mówili: — Nie czas... ludzi gotowych na wszystko ma nadto, — przyjdzie godzina...

Zwolna co było potajemnie chrześcijańskiem w kraju, co się dawniej z tem kryło, teraz poczyniło coraz jawniej występować. Ochrczeni śmieiej podnosili głowy; omijano ich, lecz nikt nie śmiał się przeciw nich porywać.

Wiedzieli wszyscy, że Włast na Krasnejgórze, w komorze tej, w której zmarł ojciec jego, urządził był ołtarz i rodzaj kaplicy. Była ona zamkniętą i dopuszczano do niej tylko tych, co już chrzest przyjęli, a do progu tych, co się do niego przysposabiali; lecz służba ciekawa przez szpary zbadła, że tam stał stół nakryty z krzyżem, dwoma świecznikami i kielichem w pośrodku... naczynie miedziane z wodą i rozmaite przybory, których użytku nie rozumiano. Złocistą deskę na ołtarzu pokazywano jako Boga, do którego się chrześcijanie modlili.

W pewne dni zjeżdżali się różni ludzie z daleka i odprawiało się tu coś tajemniczego, bo choć Jarmierz stał na straży i zbliżać się nie dozwalał czeladzi — podsłuchano śpiewy zdala.

Ukryci w krzakach starzy dziadowie wróżbici zapamiętywali twarze i nazwiska tych, co tu przychodzili i przyjeżdżali, na przyszłą zemstę ich znacząc...

Nie porywano się jeszcze na nich jawnie, lecz

wszyscy ci nowi chrześcijanie na śmierć skazani byli, a dwory ich na spalenie.

Jedna z rodzin najdawniej nawróconych, Pomianów, straciła już była najstarszego, głowę domu, którego w lesie niewiadoma ręka dościгла. Znaleziono go z włócznią w piersi, martwego na rozdrożu, a włócznia w piersi krzyżyk mu wbiła. Dwa razy pod dwór podłożony ogień ledwie zawczasu ugasić zdołano.

Dobrosławowi zgorzały jego stodoły i szopy, a nikt nie umiał powiedzieć, skąd w nich ogień powstał... Jarmierz nocy nie dosypiał, lękając się o Krasnogórę.

Widocznie złośliwe ręce jakieś podrzucały płomien, poiły bydło wodą zatrutą, wyrządzały szkody w polach... Lecz winowajcy znaleźć było niepodobna.

Tak z jednej strony Mieszko wydawał potajemnie wojnę starej wierze, a ona z pokorą pozorną broniła się, nie podnosząc głowy.

Na grodzie nad Cybiną, w Gnieźnie i po innych zamkach lud orężny zbierano, a po uroczyskach w puszczach, na osamotnionych horodyszczach schodzili się nocami wróżbici i gęslarze na ciche narady... Nikt jawnie nikomu nie wypowiadał jeszcze wojny, a wszyscy czuli ją i sposobili się do niej.

Jednego dnia komornik wezwał Włastę do knezia... Porzuciwszy dwór swój na opiece Jarmierza, pojechał posłuszny. Na wstępie powitał go Dobrosław i poprowadził do swej komory, z twarzą wesołą prawie.

— Mój ojcie — rzekł, — cieszcie się. Nadchodzi i dla nas godzina wyzwolenia! Mieszko walczy jeszcze z sobą i ze starem w sobie pogaństwem, ale nareszcie ulegnie. Dubrawka przybywa wkrótce.

Tu wskazał ręką ku gajowi świętemu i chramowi.

— Tam, gdzie dziś bałwanom jeszcze się lud kłania, — stanie świątynia prawdziwego Boga. Miesz-

ko zwleka, skłania się sercem i żal mu starego na-
logu, wyuzdania i swobody, w jakiej żył; jednego
dnia naszym już jest, drugiego poganinem znowu.
Przecie zwycięża w nim dobra wola. Reszty wpływ
kniehini dokona. Nie chce on jawnie wystąpić prze-
ciwko starym błędom, lecz daje nam swobodę na-
wracania. Was jednego mało... więcej duchownych
nam potrzeba... skąd ich weźmiemy? Niemców na-
ród niecierpi, choćby mu zbawienie przynosili, to
z ich rąk je odepchnie. Czesi w domu mają dosyć
do czynienia.

Trzeba nam męża, coby powagą, wiekiem, nauką,
świętobliwością i kneziowi i nam przodował a wiódł:
męża doświadczenia i ducha wielkiego.

Dobrosław złożył ręce, jakby w zwątpieniu...
Włast, a raczej ojciec Matja milczał pokornie.

— Byliście długo między Niemcami, którzy ze
Słowiany graniczą, są tam kapłani naszego języka
świadomi? Kneź, który was wezwał, nie wam nie
powie, tylko byście na zwiady nad granicę jechali
i języka się starali dostać; — a ja mówię wam, przy-
prowadźcie z sobą kapłana, któryby owczarni przy-
szłej mógł być pasterzem.

— Ciężkie brzemie wkładacie na moje słabe ra-
miona — odezwał się ojciec Matja. — Pocieszam się
tem tylko, że nie ja, niegodny sługa Boży, ale Duch
święty wybierać będzie tego, którego zechce posta-
wić na świeczniku. Gdybym do ziemi latyńskiej
mógł iść, a! stamtąd z Rawenny lub Rzymu, przy-
wiódłbym apostoła; lecz zadługo nań czekaćby mu-
sieli.

Szeptali jeszcze, gdy Dobrosława pozwano do
knezia, a ten z sobą Włastę poprowadził; Mieszko
się go śnać spodziewał i łaskawie mu się uśmiechnął.

— Potrzebny nam jesteś — odezwał się — od gra-
nicy coś się rusza... Geró czy jego następca gotuje
się na nas. Trzeba wypatrzyć, co oni tam sposo-
bią, abyśmy w gotowości byli. Jedźcie, patrzcie
i wracajcie. Język i obyczaj ich znacze.

Włast się do kolan mu skłonił.

— Miłościwy panie — rzekł — spełnię rozkazanie
wasze, ile sił starczy.

— A w podróż ludzi i co potrzeba Dobrosław
wam dostarczy ze skarba mojego — dodał Mieszko.

Nie dano Włastowi nawet tyle czasu, by do do-
mu mógł powrócić; ludzi i konie, szaty i zapasy ka-
zano wydać skarbowe. Tak niespodzianie znalazł się
młody kapłan przed podróżą, która niebezpieczeń-
stwa groziła, choć kilka godzin wprzód weale o niej
nie myślał. Lecz, że sprawa wiary się z nią łączy-
ła, nie zawahał się na chwilę. Nazajutrz dodnia mu-
siał wyruszyć.

Wieczorem Srokicha, dowiedziawszy się o jego
przybyciu, pośpieszyła do swego gołąbka, chociaż od
czasu, jak się w nim domyślała chrześcijanina, mniej
dlań była czułą i z pewną doń przystępowała obawą.
Miłość dla dziecka walczyła z odrazą do chrześci-
jaństwa. Stara s płakała się, mówiąc o losach Hoży,
Lubonia, a nawet Dobrogniewy, której teraz żalowa-
ła, choć ta za życia niegdyś ciężką dla niej była.

Włast pytany, nie przyznał się jej, dokąd jedzie,
nie mogąc zdradzić tajemnicy, — ale we dworze wie-
dzieli wszyscy, iż się w jakąś podróż wybiera.

Ani zbyt licznym, ni zbyt szczupłym poczem nie
mógł wyruszyć nad Łabę. Czterech ludzi, którzy
z Niemcami nieraz się już widzieli i u nich byli
w niewoli lub na szpiegach, dobrano mu do orszaku.
Na czele ich stał Rudy Sulin, najprzebieglejszy z lu-
dzi na posługach dworu, umiejący być w razie po-
trzeby Niemcem, Serbem, Wilkiem, Pomorcem, Cze-
chem, bo wszystkimi mowy jakby własną władał,
a obyczaj wszelaki znał, jakby się w nim zrodził
i chował.

Nawet postawa Sulina mieniła się jak mu było
potrzeba, i jak zwierz, co na zimę wdziewa futro
białe, aby go nie zdradziła szersć w śniegu, tak on
umiał przybrać pozór, jakiego mu było potrzeba.
Nie trwożyło go też nic i wesółą myśl trzymała się,

choć miecz wisiał nieraz nad karkiem. U Niemców w niewoli umiał się z pęt rozplątać, z jamy wyleźć, z murów spuścić, stróżów złudzić, i z rąk im wysłiznąć; z Pomorców i Wilków naigrawał się jawnie. Snu nie potrzebował, jadło mu bylejakie starczyło... drogi człowiek był na te czasy! Dobrosław mu też drogiego sobie Własta powierzył.

Rudy Sulin, zarówno jak Włast, znał ścieżki wszystkie, przejścia i przesmyki, brody na rzekach, niebezpieczne kąty, gdzie się rabusie zasiadali i chodzą, którymi przemknąć się było najłatwiej.

Trzej inni ludzie, mający towarzyszyć im, byli jak potrzeba: niemi, posłuszni, silni i czujni. Z innymi tak się przedzierać na pogranicze nie było podobna, bo i od Słowian i od Niemców groziło niebezpieczeństwo.

Czasu niewoli swej Włast przebywał dosyć długo u niemieckiego wojaka, który tu, z Frankonii przywędrowawszy, osiadł na zameczku nad Łabą i rycerstwem, a raczej łupiestwem na Słowianach się zabawiał. Była to prawa ręka Gerona, owego straszego Serbom i Polanom markgraфа, który tyle krwi przelał niewinnej, a zwano go Gozbertem.

Takich ludzi, jak Gero i Gozbert, potrzebowali cesarze niemieccy do tej walki zajadłej z poganą, którą wiedli, chcąc zawładnąć ich ziemią, do czego im nawracanie za pozór dobry służyło.

Starym już dziś był ów Gozbert, ale rzemiosła nie rzucał i wiódł życie, do którego nawykł, na przemiany w swoim burgu, uczując i używając lub na łowy przeciw dziczy z garścią swych ludzi wyjeżdżając. Ten to Gozbert niegdyś Własta był cesarzowi wraz z sokołem darował, a gdy później, ohrzczoney i uwolniony, wracał do domu kapłanem, zajechał mu się pokłonić i przypomnieć, a był jako duchowny dosyć miłościwie przyjęty. Teraz też zamyslał znowu udać się do niego, skąd łatwiejby mu już było do Quedinburga jechać, szukać kapłana a pasterza...

Zameczek Gozberta sterczał na samej granicy. Było to gniazdo, z którego drapieżna garść wypadała za Łabę, łupy doń znosząc i jeńców.

Jeżeli stary rabus i żołnierz nie był w pochodzie, wesołe życie pędził na swym gródku. Wybaczano mu wiele, bo pogańskiej krwi na obmycie swoich grzechów nie szczędził. On i jego pacholkiwie dokazywali straszliwie, znęcali się okrutnie, rozpustowali ohydnie, lecz zwało się to nawracaniem: człowiek dziczał w takich zapasach, a codziennie narażając życie, płacił sobie za to, używając go bez miary.

Dla tych wojaków wyuzdanych duchowieństwo też było powolnem i musiało ich rozgrzeszać, bo powstrzymać od grzechu nie było podobna. Stary Gozbert był dwa razy żonatym, ale mu obie jego małżonki pomarły, miał dwu synów, wychowanych na następców jego rzemiosła, dwór liczny płci obojej i skarbiec dobrze naładowany. Na zameczku też, gdy był w domu, niczego sobie nie żałowano... Z postrzyżonemi głowy, wychudły i wynędzniały niewolnik słowiański służył tej butnej czeredzie, która go niemal na równi ze zwierzętą stawiała.

Choć posiwiała w ciągłych bojach, Gozbert trzymał się jeszcze prosto i siłę zachował dawniejszą; ocieżał tylko nieco od otyłości, którą obżarstwo i opilstwo sprowadziło.

Burg Gozbertów na cyplu między dwiema rzekami wystawiony, szczupły dosyć, ale uchodzący za niezdobyty, zwał się po słowiańsku Uściem; Niemiec go przerobił na Adlerburg. Dokoła tego gródka, wyjąwszy osadę u stóp wzgórza rozciągniętą, z samych Niemców złożoną, pustynia była szeroka. Niktby w sąsiedztwie Gozberta i jego hałastry nie wytrwał, nie mogąc ani mienia, ani życia, ani dzieci, ni sług być pewnym.

Pacholkom pańskim tak czasu pokoju, jak czasu wojny wszystko było wolno. Nie poszanowali własności niczyjej, ani żadnego prawa... Sam stary pan

i jego synowie Dodo i Berto, z trudnością mogli ich w karcach utrzymać.

Bywały wypadki, że dla przykładu i wieszać i ścinać musiano, dawszy się tylko wypowiedać, aby na tamym świecie rachunek znaleźli skończony. Trafiało się, że ci apostołowie po drodze rabowali przez omyłkę kościoły, i w klasztorach nie szanowali klauzury zakonnic. Gdy publiczna pokuta w kościele, i bosy pochód ze stryczkiem na szyi nie pomógł raz i drugi, musiano wkońcu uciec się do miecza...

Gozbertowi ludzie sławni byli na okolicę, a w bitwach dobrze zbrojni i wdrożeni, okrutną rzeź sprawiali; jednakże woleli zawsze napadać na bezbronne osady, w których swobodnie mogli dokazywać.

Pomimo rodzaju życia, jaki wiódł sam pan i jego słudzy, on i oni nadzwyczaj byli pobożni. W tych czasach, im kto więcej grzeszył, tem czuł się do większej obowiązany gorliwości i surowości względem drugich i siebie. Gozbert też dla duchownych był z poszanowaniem wielkiem, a święta, posty i kościelne uroczystości z nadzwyczajną surowością sam obchodził i dopilnowywał, by je wszyscy szanowali. Nieraz w wigilję dnia najstraszniejszej rzezi i rozputy, rano wszyscy spowiadali się pobożnie, słuchali mszy i dopiero wzięwszy błogosławieństwo, szli na łupieżę i morderstwa...

Wierząc w to poszanowanie Gozberta dla duchownych, Włast jechał wprost do niego, ubezpieczała go znajomość, kapłańska szata, a wreszcie to, że konie i ludzie, jakich miał z sobą, niepozorni byli, i chciwości obudzać nie mogli...

Podróż do Adlerburga nużąca była i długą, bo musieli wymijać osady, często kryć się, aby dać przejść oddziałom, kraj przebiegającym, wlec się więcej nocami i rankami, niż dniami. Jesień też zaczynała być słotna, strumienie wzbierały, drogi się stawały błotniste, a na brody niewiele rachować było można.

O kilka mil od burgu, zbliżając się ku Łabie, znaleźli się wśród kraju opustoszonego, w którym tylko stare zgłiszcza wiosek, porosłe chwastami, o dawnym ich istnieniu świadczyły. Gdzieniedzie mogła zielona i pogańskie ementarzysko pamiątką lepszych czasów pozostały. Teraz ludzi tu już widać nie było. Zdaleka gniazdo Gozbertowe niebardzo było pokazne; ledwie małe wieżyczki przysadziste i nieforemne sterczały nad nim, a wyżej jeszcze za niemi gruby stołb odwieczny bez dachu. Wzgórze było lyse, w murach też zieloności żadnej nie dostrzegło oko... ściany dokoła obejmowały i zasłaniały budowy, tak, że dachów nie widać prawie było nad niemi.

Rankiem wyjechawszy z lasów, przed południem zbliżyli się ku burgowi, u którego stóp pokazała się nędzna miścina, prawie cała z drewnianych domków złożona. Ponad nią wyżej nieco wznosił się kościelny dach śpiczasty z krzyżykiem. Na drodze krytej, wiodącej do zamku, widać było zwijających się ludzi konnych i pieszych, co Włastowi czyniło nadzieję, że Gozberta zastanie spoczywającego w gnieździe. Byli jeszcze o stai kilkoro od wzgórza, gdy trzech konnych puściło się ku nim ze psami. Byli to Dodo i Berto synowie pańscy, swawolący sobie i dokazujący z końmi, których wzięła ciekawość dostrzeć do orszaku przybywających nieznaną ludzi.

Dodo, który był jednego wieku z Włastem i pamiętał go jeszcze z tych czasów, gdy się nad nim jak nad niewolnikiem znęcał, poznał zaraz dawnego towarzysza i wielkim go przywitał okrzykiem.

Włast zsiadł z konia, chcąc sobie pańskiego syna ująć grzecznością, lecz Dodo przypomniał w nim duchownego i z poszanowaniem pewnem zbliżył się do niego...

— Jakżeż się tu zabłąkałeś, ojcze Matjo? — zapytał zawsze śmiejący się, gruby już i otyły niemal jak ojciec młody Dodo... Czy cię twoi poganie precz wygnali?

— Jeszcze nie, miłościwy grafie — odparł Włast. —

Przybyłem z dobrej woli wam i miłościwemu ojcu waszemu, grafowi Gozbertowi się pokłonić...

— Jedźcież ze mną, rad wam pewno będzie. Właśnie u nas dnia jutrzejszego w kościele nabożeństwo; duchownych kilku sprowadzono na nie, zdacie się i wy ze Mszą Świętą — rzekł Dodo... — Ojciec teraz z panami duchownymi obiada wesoło, chociaż to dzień postny; — ale przy rybach miód i wino potrzebne!...

Dodo i Berto, konie swe powściągnawszy, jechali tak rozmawiając na zamek razem z Włastem, ale dostawszy się na stromą drogę, wiodącą do bramy, nie wytrzymali wolnego kroku i rzuciwszy podróżnych na zmęczonych wierzchowcach, sami wcał, na wyprzódki puścili się na górę... Nierychło po nich, gdy już pozsiadali, Włast wdrapał się do pierwszych wrót, które na podwórzec, stajniami i szopami otoczony, prowadziły.

Zewnętrzny ten dziedziniec, pełen koni, wozów, stosów drzewa i wszelkiego łomu, kup gnoju, trzody chlewnej i ptactwa, pastuchów i posługaczy, nie bardzo dobrze o zamku uprzedzał. Przedarłszy się z trudnością, wśród tej ciasnoty i wrzawy, ryku i krzyku, dostali się do bramy i mostu zwodzonego, który do właściwego wnętrza burgo prowadził. Tu stała straż zbrojna, więcej dla zwyczaju niż z potrzeby, a w pobocznych sieniach leżeli poroździwiani pacholki, spoczywając...

Drugi podwórzec lepiej wyglądał: otoczony był budowlami murowanymi dokoła i zakończony w głębi wysokim stołbem, który stanowił w razie oblężenia ostatnią obronę i schronienie. I tu jednak gospodarstwo Gozbertowe widać było, bo około studni w środku rozlegały się śmiechy i głosy pacholków, swobodnie się wylegających...

Na prawo i lewo wąskie drzwi wiodły do komnat pańskich, których rozporządzenie z dawniejszych czasów dobrze Włastowi znanem było. Tu zsiadłszy z konia i kilka słów Sulinowi szepnąwszy, Włast

udał się w prawo, aby starego grafa pozdrowić... Poprzedzili go już z oznajmieniem dwaj synowie...

Na pierwszym piętrze, na które wiodły wąskie i ciemne wschody, w niezbyt obszernej salce, której strop z olbrzymich poczerniałych, rzeźbionych belek był złożony, za stołem zastawionym cynowymi kubkami i dzbanami, siedział właśnie stary graf, otoczony gośćmi swoimi. Obiad był już skończony, a kości od ryb pozostałe na miskach świadczyły, iż post był ściśle zachowany... a po twarzy Gozberta zarumienionej silnie, poznać też było można, iż do dzbanka zaglądał.

Z prawej strony siedział w czarnej sukni duchowny z włosiem siwym i twarzą poważną a surową, za nim drugi młodszy od niego, w którego oczach połyskiwały rozum i życie jeszcze walką niewyczerpane... Oba mieli na piersi na łańcuchach krzyże złociste... Opodał nieco młodzieńczy w sukni także kapłańskiej, z twarzyką jeszcze zaledwie rozkwitłą, z oczyma spuszczonej skromnie, pokornie, małe miejsce zajmował, jakby jak najmniej chciał być widocznym...

Po lewej ręce Gozberta, rozparty butnie, napół leżąc na stole, w kaftanie skórzanym, z ogromnym wąsem, z włosiem czarnym najeżonym, z dumą na czole i w oczach, siedział rycerz, jakby tylko co ze zbroi rozdzielony, spoglądając po towarzyszach swych z lekceważeniem. Za nim jeszcze, podobna mu, ale pokorniejsza postać wojaka, tuliła się w cieniu pod ścianą... Dwaj synowie grafa stali, tylko co powróciwszy, przy ojcu.

Przez ciasne okna z zabudowanego podwórza światło mało co wpadało do izby, która wyglądała smutnie. W głębi jej niezgrabny, szeroki, nadzwyczajnych rozmiarów komin, od jesiennego chłodu nalożonym ogniem obraniał. Pod jego kapturem kilku rycerzy pomieścić się mogło wygodnie... Para kłód suchych dogorywała w jego głębi...

Na jednej ze ścian komnaty widać było olbrzy-

mi krucyfiks drewniany, odziany do kolan białą ko-
szulą, którego włosy rzeźbiarz, zwątpiwszy o dłucie,
zastąpił ludzkimi... Straszna ta postać, nieforem-
nie wycięta, wistocie bolesne czyniła wrażenie. Na
innych ścianach pomalowane były, z niewielkim kun-
sztem jaskrawe kwiaty i liście, wśród których za-
ledwie dostrzedz się dawały ludzkie jakieś postacie..
Pod ścianami stały ciężkie ławy stare, z dębu wy-
ciosane i skrzynie do siedzenia zameczyste. Na nich
porzucone płaszcze, pozdejmowane świeżo stroje, od-
pasane miecze się walały... Kilka psów leżało i cho-
dziło, szukając napróżno po podłodze zwykle im rzu-
canych kości.

Przez otwarte do drugiej izby drzwi dostrzedz
było można stojące na czterech słupkach z podnie-
bieniem drewnianem łoże i sypialnię grafa Gozberta..
Ciężkie powietrze, przesycone wonią piwa, wina ko-
rzeniami zaprawnego i jadła stanowiło atmosferę izby
tej, na zamku najobszerniejszej i najozdobniejszej
pono.

Mieszkańcy zamkowi bowiem więcej w polu niż
tu przebywali, a gdy się schronili dla spoczynku,
wszystko im było dobrem...

Gdy Włast przystąpił z pokornym ukłonem do
graфа, stary zwrócił się ku niemu swą czerwoną twa-
rzą i uśmiechnął, potem miejsce około duchownych
wskazując mu na ławie, zawołał.

— Będziesz, ojcze Matja, między swoimi... sia-
daj, a jeżeliś głodny, każ sobie co dać—boć się jesz-
cze może znajdzie, a nim co będzie — napij się..
Naczczo to zdrowo... po jedzeniu zdrowo, wśród je-
dzenia zdrowo, i nigdy nie szkodzi!

To mówiąc, nalał w kubek ze dzbana i prawie
gwałtem wcisnął go Włastowi, który, szepnąwszy ci-
cho, że pije za zdrowie i pomyślność graфа, poszedł
zabrać najniższe miejsce za młodym duchownym...

Oczy dwóch dostojników, siedzących wyżej u sto-
łu, ciekawie się ku niemu zwróciły... Pokornie siadł-
szy, miał czas spocząć i rozpatrzeć się, gdyż rozpar-

ty na stole wojak, który na chwilę przerwał był ja-
kieś opowiadanie, natychmiast począł ciągnąć je dalej.
Głos jego z głębi szerokich piersi, jak z więzienia
wychodzący, brzmiał dziwnie ostro i zdawał się prze-
jęty goryczą jakąś i boleścią. Twarz też wyrażała
i dumę i zniechęcenie razem...

III.

Rozmowa między gośćmi graфа Gozberta, gospo-
darzem i duchownymi toczyła się dalej, nieprzerwa-
na przybyciem Własta, który, ustronne miejsce za-
jąwszy, cicho się jej przysłuchiwał.

Odbijało się w niej to, co podówczas najmoc-
niej Niemców zajmowało: szczęście i wielkie wynie-
sienie się Sasów, losy Ottona i wspomnienie ojca
jego, Henryka.

Rozparty rycerz z twarzą dumną zdawał się le-
piej od innych uwiadomiony o wszystkich przygo-
dach cesarskiego domu, do którego krwią i powinowactwem należał, choć wnosząc z mowy i szyder-
skich przycinków, niebardzo mu był życzliwym.

— Wy może i nie słyszeliście mówił sparty na
stole—o pierwszej żonie króla Henryka, bo święto-
bliwa Matylda pamięć tamtej zatarła, ale ludzie wie-
dzą i pamiętają piękną Hateburgę! Niezawsze nasz
cesarski ród tak był Kościołowi posłuszny i święto-
bliwy, jak teraz. Było to wówczas, gdy się Henryk
wslawił podbiciem Głomaczów i zawojowaniem ich
ziemi nad Łabą... W Merseburgu na starem mie-
ście żył niejaki Erwin, do którego ono prawie całe
należało... Miał tylko dwie córki, z których jedna
Hateburga, słynna z piękności, owdowiawszy młodo...
zakonną zasłoną się przyodziała... Przecież, gdy uro-
dziwy Henryk się do niej zgłosił, wołała go za męża
wziąć, niż ślubu dotrzymać. Gdy się o tem prze-

wielebny Zygmunt, biskup halbersztadzki, dowiedział, pozwał nieprawych małżonków przed synod i kłatwą im zagroził... Ledwie się Henryk wyprosił u cesarza, że sprawę do jego przybycia odłożono. Zwlekła się ona, a tymczasem Henrykowi się Tammo narodził. Żył z piękną Hateburgą, póki Henryk młodziej i ponętniejszej Matyldy nie poznał. Dopiero, gdy go ta ujęła za serce równie wdziękami jak bogactwami, przypomniał sobie pan, że ono pierwsze jego małżeństwo grzesznem było i nieprawem; więc starszą Hateburgę rzuciwszy, ku młodej przystał Matyldzie, która jest matką dziś panującego Ottona.

— Nie jest to żadną tajemnicą — odezwał się starszy z duchownych poważnie — boć ludzka rzecz błędzić... a kto się choć późno poprawi, zawsze lepiej, niżby w grzechu pozostał... Świątobliwej zaś pani Matyldy...

— Skłaniam i ja przed tą panią głowę — odparł Wigman; — ale gdy sławią cnoty Henryka, czemubym i lekkości jego nie miał przypomnieć?

— Lekkości ludzkie — rzekł duchowny — lepiej milczeniem przysłaniać, aby drugich do pełnienia ich nie ośmielały.

— Dostojny ojcze — odezwał się Wigman — ani milczenie pomoże, ni gadanie zaszkodzi, ludzie ludźmi będą i krewkami... A nasz dzisiejszy cesarz jest li wolen także od wszelkiego zarzutu?

Na to ze śmiechem rzucone pytanie zamilkli wszyscy; gospodarz spojrział na cesarskiego powinowatego i mruknął:

— A cóż mu zarzucicie?

— Alboż nie zachciało mu się wdowy po Longobardzkim Ludwiku, którą sobie Berengary przeznaczał, na sam ogłos o jej piękności?... albo mu jej skrycie i podstępnie nie odmówił?

— Jakto odmówił? — przerwał Gozbert. — Berengary Adelaidę posadził do więzienia, głodem i musem męczył ją, chcąc sobie pozyskać. Litością zdjęty pan nasz... po drodze do Rzymu wstąpił, by ją oswo-

bodzić a gdy mu sprzyjała, czemu się z nią nie miał połączyć?...

— Jak ojciec, tak syn — zawołał Wigman szydersko — szczególny do wdów pięknych — a bogatych smak mieli... O mało potem nie przypłacił za piękną Adelaidę drogo, boć mu się syn własny zbuntował, bojąc się, aby z nowego małżeństwa dzieci nie odebrały mu części dziedzictwa...

— Czemuż o tem nie mówicie raczej — odezwał się duchowny — jako ten pan nasz wielki, bohater-ski, mężny, jakiemu równego cnotą i odwagą nie mieliśmy, potrafił zmódrz zbuntowanego syna, zwyciężyć Berengarego i złamać wszystkich nieprzyjaciół swych, a precz odzecz Ugrów, państwa granice rozszerzyć i nad Rzymem, stolicą świata, zapanowawszy, cesarską uwieńczyć się koroną...

— Mój ojcie — zawołał Wigman — póki człek żyje, sprawa ta nieskończona... Miłościwy cesarz dwa razy do Rzymu chodzić musiał robić porządek, jednych ze stolicy apostolskiej zrzucić, a drugich na niej sadzać... Kto wie, co jeszcze będzie?

— Niech nas Bóg uchwala, by gorzej lub inaczej być miało! — zawołał graf Gozbert.

Wigman się uśmiechnął chytrze.

— Tu jeszcze na wschodniej granicy dużo do roboty zostało — rzekł. — Czeski Bolko wprowadzie nam na Ugrów pomógł, ale to była jego sprawa tak dobrze jak nasza, a kto wie, z kim jutro trzymać może?... Nie przysięgałbym, czy z Ugami na nas on nie pójdzie... Ze Słowianami też, ilu ich jest, roboty dosyć i na długo...

Gozbert się uśmiechnął.

— Nie boimy się ich, nie boimy! — Jakeśmy Bolka czeskiego wzięli, tak z pomocą Bożą i Mieszka polńskiego zmożemy...

Wigman się rozśmiał.

— Cny grafie, gospodarzu mój — rzekł — nie godzi się to, abym ja, chleb wasz jedząc, wam ościami oczy wykałał... ale ci Słowianie, Polanie, Wilki, Mil-

żyńcy i jak oni się tam zowią, to dla nas dobra rzecz... Są oni jak staw, w którym się ryba rodzi. Gdy Geronowi lub wam na stół szczupaka potrzeba, siadziecie na konie i jedziecie na rybolówkę napewno... Trzeba wam niewiast, nabierzecie ich sobie do wyboru; trzeba parobków, — i tych dostarczą lasy i osady... tak samo bydła, owiec i miodu, i wszelkiego łupu...

Gozbert się cierpko uśmiechał, a Wigman mówił dalej:

— Mnie się widzi, miłościwy grafie, że gdyby ze Słowiany i Polanami pokój nastał, gdyby się oni pochrzcili i przyszli z pokojem, uczyniliby wam krzywdę niemałą...

— Dalby to Bóg — przerwał starszy z duchownych — aby wiarę świętą przyjęli!

— Ale cóżby naówczas robił Gero na granicy wschodniej, co by począł cny Gozbert, nie mając nic do roboty?... a naostatek może i takiemu jak ja, odtrąconemu od pańskiego oblicza, Wigmanowi oni Słowianie na co się przydali...

Gozbert popił z kubka, wása pokręcając zadumany.

— Co się tyczy Słowian wszystkich — rzekł, — nie troskajcie się; do przyjęcia wiary przez nich daleko... W Czechach, gdzie się na gwałt kościoły budują, po lasach tak ofiary sprawiają, jak dawniej, lud stoi przy swoich drewnianych bożyszczach i niełacno je porzuci...

Włast, który milczał dotąd, nie mógł się powstrzymać, by nie rzec cicho.

— Da Bóg, że się to odmieni...

Spojrzeni nań duchowni i Gozbert, a z pogardą zdala oczyma zmierzyl go Wigman, lekce go sobie ważąc widocznie.

— A jakże się to ma zmienić?... — zapytał Gozbert.

— Nie jest to już tajemnicą żadną, że kneź Mieszko żeni się z córką Bolka czeskiego, Dubraw-

ką, która chrześcijanką jest... Z nią przy pomocy Bożej, wiara Chrystusowa do nas zawita i rozkrzewi się.

Gdy Włast wyrzekł słowa — do nas, — z uwagą większą poczęli nań spoglądać wszyscy. Wigman w niego wlepił oczy.

— Kapłanów nam tylko mężnych a gorliwych potrzeba... — dodał Włast. — Szczególniej takich, co by język ludu rozumieli i przemawiać doń mogli.

— Sto lat upłynie, setki kapłanów zginie... — począł Wigman, — a wy, z waszą dziczą ślepą nie przejrzyście... Słowianin, jak szczenię, ślepo się rodzi, ale pies prędko przeziera, a on na zawsze ślepym zostaje!

Na te uwłaczające narodowi wyrazy Włast zarumieniwszy się, zrazu odpowiedzieć nie umiał cesarskiemu powinowatemu, który z własnego porównania śmiał się sam; bo mu jakoś nie wtórowali drudzy.

— Duchowny jestem — odezwał się Włast wkońcu — nie przystoi mi nic innego, tylko obelgę znieść i przebaczyć... Miłościwy panie — dodał jakby natchniony — jako od duchownego przyjmijcie to życzenie, aby was Bóg nie pokarał i nie upokorzył, a oręża wam przed owymi ślepcami składać nie zmusił...

Słyszac tę odpowiedź dumny Wigman, z oczyma zaiskrzonymi i pięścią zaciśniętą, zwrócił się do Własta.

— Milcz ty klecho jakiś — zawołał — a dziękuj swej sukni i gościnie tej, że ci na wieki pyska wszetecznego za to życzenie zamknąć nie każe... Wigman przed cesarzem, bratem swym, nie ukorzy się nigdy... coż dopiero przed parszywymi jak wy poganami...

Mowa ta gwałtowna, nieprzystojna, a niezasłużona śnać się nikomu z przytomnych nie podobąca, bo wszyscy umilkli; duchowni zaś na Własta spojrzeli, jakby chcąc się przekonać, co uczyni i jak się znajdzie.

— Dziękuję wam, miłościwy panie—odezwał się Włast, iż mnie cierpliwości uczyć raczycie, a przypominacie naukę Zbawiciela, która uderzonemu w policzek drugi nadstawiać każe. Najnędnniejszy i niegodny sługa Boży szczęśliwy jestem, gdy cierpieć mogę...

Wigman już prawie odpowiedzi tej nie słuchał, ze dzbana sobie nalał miodu i pić go zaczął chciwie, plecami się potem zwróciwszy do Własta, sparał tak na rękę, by na niego nie patrzył i mógł nawet o przytomności jego zapomnieć.

Czas jakiś panowało milczenie, duchowni wszyscy z pewną ciekawością i poszanowaniem spoglądali na Własta, który już zupełnie ochłonawszy i pobladłszy, spokojnie na swem miejscu siedział. Gozbert parę razy nań spojrzał tak, jakby też z odpowiedzi, którą za zuchwałą uważał, niebardzo rad był.

Wigman zaś, unikając nowej zaczepki i przedmiot rozmowy chcąc zwrócić ku czemu innemu, począł mrucząc opowiadać, wedle powszechnej w owym czasie wiary, iż mu ojca jego duch często się nocami ukazywał, co on miał za sprawę jakąś o pokusę szatańską.

Starszy z duchownych na te słowa odezwał się:

— A dlaczegoby wistocie duch ojca nie miał przybyć do syna, żądając od niego pomocy?

— Boć—zawołał Wigman—włóczyć się duchom umarłym po ziemi, na której już nic do czynienia nie mają, pewnie Pan Bóg nie dopuszcza...

Mówił to szydersko, gdy starszy z duchownych, wysłuchawszy go, począł.

— Jest jednak rzeczą pewną i mnogimi przykładami wiarogodnych osób stwierdzoną, iż duchom zmarłych częstokroć bywa dozwolonem ukazywać się na ziemi. *) Gdy świętej pamięci król Henryk, ojciec miłościwego pana, cesarza naszego, Ottona, wielką mocą podbił Czechów, Dalemilców, Obodrytów, Wil-

*) Z kroniki Ditmara.

ków, Hawrów i Redarów, a przywiódł ich do posłuszeństwa, dzikie te plemiona, udając uległość i pokorę, zrazu dań składały i siedziały spokojnie. Lecz nie potrwało to długo, gdyż ze zwykłym sobie uporem wnet potem, korzystając z tego, iż król Henryk gdzieindziej był zajęty, powstały nagle i wielkimi tłumami napadły miasto nasze Walslewo, szturmem je opanowały i rzeź sprawiwszy straszliwą, z dymem je puściły. Aliści nie dał im się Henryk długo cieszyć owocem zdrady i pomścił na ich grodzie Łęczynie krzywdę swoją:—Walslewo zaś na nowo odbudowano. Tu nowo ustanowiony pleban, pobożny człek, zwykł był zawsze o pierwszym brzasku zoczy iść do kościoła na jutrznię.

Raz, gdy doń tak zmierzał i wszedł na cmentarz, zdumiał się mocno i osłupiał, widząc zgromadzony ogromny tłum ludzi, cisnących się do nieznanego kapłana, stojącego we drzwiach kościoła i przynoszących mu ofiary... Zrazu tak był widokiem tym przerażony, iż kroku naprzód postąpić nie śmiał... Nabrawszy jednak męstwa, począł się przez tłum ów przeciskać z podziwieniem, nie widząc między ludźmi ani jednej znajomej twarzy. Szedł tak ku drzwiom kościelnym, gdy na drodze spostrzegł niewiastę przed tygodniem zmarłą, która go spytała, czegooby on tu żądał?... A gdy jej opowiedział, iż modlić się szedł, odparła mu, że już modlitwy i bez niego odprawione zostały, dodając:

— A ty też niedługo na tym świecie żyć będziesz!

Zamilkli wszyscy i Wigman też, który cierpliwie słuchał, gdy drugi kapłan dodał, iż w Magdeburgu nocą w kościele kupców coś podobnego widywano, że się tam dusze zmarłe nocą, zapaliwszy świece na ołtarzu, zbierały i odprawiały psalm 99, jutrznię i laudes, a gdy brzask dnia nastawał, wszystko to znikalo...

Zaczem i najmłodszy kleryk, nieśmiałym głosem, zapytawszy ojca duchownego o pozwolenie, dodał do

tęgo opowiadania, jako z ust szanownego starca sły-
szał, iż za biskupstwa czcigodnego Baldryka, który
na Utrechtskiej siedział stolicy, w mieście Doventer,
kościół bardzo stary i napół rozwalony, podniesiono
i na nowo poświęcono. Ustanowiony pleban jednego
dnia rano bardzo przybywszy cicho do kościoła, uj-
rzał go pełnym nieboszczyków, odśpiewujących przy
światłach zapalonych pieśni ludowe. Natychmiast
o tem doniósłszy biskupowi, otrzymał rozkaz od nie-
go, aby następnej nocy sam się w kościele na stra-
ży spać położył... Tak się też stało... alisci ledwie
usnął, gdy go zbudził hałas i porwany przez zmar-
łych wraz z pościelą, precz z kościoła wyrzuconym
został.

Biskup, ścierpieć tego nie mogąc, surówko mu po-
lecił, wzięwszy z sobą relikwie święte i pokropiw-
szy wodą święconą, stać na straży kościoła... Speł-
nił rozkaz jego pleban, lecz oka zmrużyć nie mógł
i modlił się... Alisci o godzinie zwykłej tłum niebo-
szczyków znowu wtargnął do kościoła i z miejsca
pochwyciwszy kapłana, złożyli go przed wielkim oł-
tarzem, tu go na wolnym ogniu paląc, aż zgorzał...
Poczem biskup post trzydniowy i nabożeństwo za
dusze zmarłych nakazał.

Gdy młody duchowny skończył, najstarszy z nich
potwierdził to opowiadanie i wszyscy zamilkli. Śred-
ni zaś, siedzący za nim, dodał:

— Nie godzi się nam śmiertelnym wiedzieć wię-
cej, a jak św. Paweł upomina: „Każdy ma rozumieć
wedle swej miary, jaką mu Bóg wydzielił”.

— Moja zaś miara tak jest maluczka — dodał
Wigman — iż ja niewiele z tego wszystkiego rozu-
miem.

Zgorszono się tem powiedzeniem wielce, ale
krewniakowi cesarskiemu zmilczano.

Już też i on, i Gozbert, zmęczeni tą rozmową
i kuflami, ziewali, wyciągali się i szukali innego
przedmiotu, a że nadchodziła godzina nieszpornego

nabożeństwa, starszy z kapłanów wstał, prosząc, aby
ich do zamkowej prowadzono kaplicy.

Syn grafa Gozberta, Dodo, wzięwszy ze ściany
klucze, począł iść, wiodąc ich za sobą. Właśc też im
towarzyszył.

Zeszli z pierwszego piętra znowu w podwórze
zamkowe i dostawszy się aż do końca jego pod stolb,
gdy Dodo drzwi mocne dębowe otworzył, znaleźli
się w niskiej i ciemnej izdebce za kaplicę służącej.
Z głębi oświecało ją jedno okno, naprzeciw którego
ołtarz stał skromny, a przy ścianach ławy i siedze-
nia dębowe. Taż sama prostota jak w mieszkaniu,
panowała w domku Bożym, który świeczniki miał
drewniane tylko i wszystek niemal sprzęt takiż.
Chrystus też podobny wiszący na krzyżu, okryty ko-
szulką, z włosami na głowie, ścianę jedną zajmował.

Najstarszy z duchownych rozpoczął nieszpory,
a inni mu odpowiadali. Nabożeństwu temu jednak
z zamkowej gawiedzi nikt nie był przytomnym, na-
wet młody graf Dodo do ojca powrócił.

Już słońce było nad zachodem, gdy wszyscy
czterej kapłani, z kaplicy wyszedłszy, a przykrząc so-
bie snąc towarzystwem dumnego Wigmana i zadusz-
nem izby powietrzem, na ławie kamiennej w po-
dwórcu naprzeciw studni usiedli dla rozmowy.

Właśc szczególnie obudzał ciekawość ich i radzi
byli dowiedzieć się o losach jego a przygodach.

On też tajemnia się przed nimi przyczyny nie miał
i na zapytania odpowiadając, całą im swojego żywo-
ta historię opowiedział. Naostatek, gdy przyszło do
podróży i jej celu, rozgrzany nadzieją uczynienia
czegoś dla kraju, powstał Właśc z ławy i złożywszy
ręce, jął mówić do starszych kapłanów.

— Ojcowie na panowie moi, do was zwracam te-
raz mowę moją serdeczną: ażali nie lepiej i nie zgod-
niej z nauką Zbawiciela kraj nasz nawrócić, niż bu-
rzyć go i niszczyć?... Pragniemy wiary i wołamy
apostołów... Z niebezpieczeństwem życia dostałem
się tu, ufając, iż dla nowej owczarni, dziś szczupłej

jeszcze i maluczkiej, pasterza tu znajdę. Dajcie mi go...

Wysłuchawszy tej mowy, starszy mu odparł, że sam podobne apostołstwo między świeżo ledwie nawróconymi poganymi mając w Mysznach, choćby przagnął, oddać się nie może. Zarazem jednak ku towarzyszowi średnich lat, śmiałego oblicza i pogodnej twarzy się obrócił.

— Ojcie Jordanie — rzekł — językaście Słowian i obyczajów a zabobonów ich świadomości... Ażali wam, miasto spokojnej plebanii, wojownicze pasterstwo, gdzie nieustannie wilki odganiać trzeba, się nie uśmiecha?

Milczał ks. Jordan i zadumał się.

— Więcbym miał moje owieczki opuścić na polu, a szukać obcych i nieznanych? — zapytał po chwili z uśmiechem.

— Mój ojcie — odparł Włast — owieczki też wazsze już drogę z pola do owczarni znają i pasterz dla nich się rychlej znajdzie, niż dla tych naszych zdziczałych, które wilcy chwytają na pustyni...

Wprawdzie kneź nasz Mieszko ani sam chrztu jeszcze nie przyjął, ani mógł ludowi wiarę nową ogłosić. Cierpliwy to jest pan i rozumny, a choć w nim stary poganin się odzywa, i walczy z rodzącym się neofitą, w Bogu nadzieję mamy, iż zwyciężym ostatni... Przez niewiastę przyszedł grzech na świat — dodał Włast — ale też przez niewiastę przyszło na świat Odkupienie i przez niewiasty wszędzie, jak owe, co balsam niosły, wchodzić będzie wiara między narody... I nam ją przyniesie Dubrawka, pani wielkiego męstwa, która się nie lęka rękę nieochrzczonemu podać kneziowi, aby go do chrztu przywiodła.

Ks. Jordan, wysłuchawszy mówiącego Własta, ujął go rękami obiema i dał mu pocałunek braterski, wołając:

— A wieluż was tam jest takich, jak wy... ojcie Matja?

Wstydem zapłonęło oblicze młodego duchownego, spuścił oczy i dodał:

— Ojcie mój, takich jak ja znajdzie się pewnie wielu, a lepszych życzę i spodziewam się... Nabierzcie tylko ochoty do apostołstwa i jedźcie ze mną... jedźcie ze mną...

To mówiąc, ukląkł i za nogi go uściśnął, a powstawszy, mówił dalej:

— Ojcie mój! Niewymowną miłością kocham tych moich braci, zostających w ciemnościach, ten kraj mój odcięty od świata, który wy dzikim zowiecie i pogańskim. Tak... czci on bałwany i światła nie zna, bo mu go nie ukazano... ale, wiercie mi, żadne plemię może tak usposobionem nie było do poznania i umiłowania prawdziwego Boga.. Pradziadowie nasi znali też tylko jedno bóstwo najwyższe, wszechmogące, zabobon natworzył duchy pomniejszych; ojcowie nie znali wielożęstwa... niewiasty nasze niepokalaną sławiły się czystością, mężowie gościnnością dla swoich zarówno jak dla obcych... Gdy słowo Boże padnie na tę rolę żyzną, wierzącie mi, zrodzi ono owoce złote...

— Tak, mój synu — odparł starszy duchowny. — Chcę wierzyć, że cię nie zaślepi miłość ku swoim, — lecz rola ta żyzna chwastem od wieków zarosła, i krwią ją polewać trzeba...

— A cóż czynili apostołowie po odejściu Chrystusa Pana? ażali im nie polecono nawracać narody i nieść światło w najodleglejsze świata konce? — rzekł Włast.

Tak rozmawiając a ożywiając się, nieznacznie wyszli z podwórca i przeszedłszy bramę, w której straż stała, znaleźli się prawie sami, nie wiedząc jak, w pierwszym podwórzu zewnętrznym, w którym większy jeszcze ruch i wrzawa panowała niż z rana. Tłum zamkowy cisnął się do bramy pierwszej, w którą właśnie kupa ludzi zbrojnych, wracająca snąć z wyprawy jakiejś, wjeżdżała... Okrzykami witano tych bohaterów licho zbrojnych w ladajakie blachy

kawalki, oszarpanych, obłoconych, pokrwawionych i pijanych...

Konie, na których jechali ludzie grafa Gozberta, ledwie się na nogach trzymały i robiły bokami, obciążone przez jeźdźców i sakwy łupami wyladowane. Na czele gromadki jechał wielce do pana swego podobny, otyły brzuchacz osiwiwały w tych wyprawach i rozbestwiony niemi, z brodą szarą, umazany na rękach krwią, z wargami sinemi i oczyma czerwonymi... Ujawszy się w bok, spoglądał dumnie poza siebie na jadących pacholków. Ci dookoła opasywali razem z trzodą pomieszanych ludzi, po większej części rannych, sińcami okrytych, z głowy odkrytemi, z rękami w tył powiązanymi. Pomiedzy nimi szły i kobiety młode, prawie nagie, z włosami rozpuszczonymi, zapłakane, niosąc dzieci na rękach lub tulące twarze i piersi ze wstydu...

Mało było starców — niewiele dzieci... Te, których płacz im dokuczał, Niemcy po drodze, o drzewa im głowy roztrzaskując, poporzucali... okropny widok przedstawiała ta gromada jeńców, a jednak serca chrześcijan tych nie poruszały się litością, śmiano się i radowano dziko z tej niewoli pogan... których nie wyżej od bydła ceniono...

Rycerze grafa Gozberta, stojący na zamku, zbiegali się wszyscy przypatrzeć niewolnikom, szukając między nimi, na kimby się zwierzęco znęcać mogli. Oprócz ludzi prowadził ów Moryc, dowódca oddziału, stado owiec tłustych i kilkadziesiąt sztuk bydła... witanych okrzykami przez załogę...

Hałas i wrzawa w dziedzińcu i wesele było tak wielkie, że siedzący dotąd z Wigmanem u stołu Gozbert, któremu syn doniósł o powrocie Moryca, wyszedł się też pocieszyć widokiem łowów szczęśliwych.

Były one wistocie pomyślniejsze jeszcze, niż się na oko zdawało...

W liczbie jeńców, których Moryc wiodł za sobą, był skrępowany dwakroć powrozami sławny wódz

Słowian, Samo, który napadał oddawna niemieckie osady i nielitościwie je plądrował. Nie miał on litości nad Niemcami i od nich się też jej nie spodziewał...

Nie ujęliby oni Samona, gdyby nie zdrada. Inny Wend, imieniem Zmiej, który się z nim zadarł, naprowadził nań Niemców i śpiącego dał im w ręce. Samo się bronił wściekle, ale jeden cóż mógł przeciw dwudziestu?... — Przeszyty kilku strzałami, z głową roztrzaskaną, pokaleczony, związany nareszcie, włókł się tu milezący, wiedząc, iż na śmierć idzie... W sercach innych ludzi byłby obudził politowanie, tak mężnie i dumnie niósł niedolę swoją.

Człowiek był żubrzej siły i rozrostu, ogromny, ponurego wejrzenia i twarzy spalonej. W tej chwili spływająca po niej krew nie dozwalała rysów dopatrzyć, białka oczów tylko świeciły na twarzy oblanej zczerniałą posoką. Ani jęk, ani słowo nie wyrwało się z ust jego... oczu prawie nie raczył zwrócić na katów. Patrzył w ziemię i na tych, co szli razem z nim, w niewolę pędzeni. Smagano go biczem, dzieci rzucały kamieniami, — nie drgnął nawet... Urągano mu, — nie słuchał.

Właśc, któremu ten człowiek przypominał tylu podobnych braci, spojrział nań z politowaniem. Towarzysze jego duchowni patrzali ze zgrozą. W tłumie opowiadano o tem, co Samo wyrządził Niemcom.

W tej chwili wyszedł graf Gozbert, a Moryc, zsiadłszy z konia, do nóg mu się pokłonił, wskazując zdobycz, którą był dumny...

Graf poklepał go po ramieniu.

— Samona waszej miłości przywiodłem! zawołał dowódca. — Mogę się pochwalić tą zdobyczą. Dziewcząt młodych jest ze sześć, niewiast kilka niczego, ludzi do roboty zdatnych tylko braliśmy, starców pozabijano. Dzieci kilkoro dla księdza przyprowadziłem, aby je pochrzcili. Małych bardzo nie było co żywić, bo kto by tam chował te gadziny...

Graf Gozbert opatrywał łupy... rad był widocznie...

— Cóż z Samonem wasza miłość uczynić, każe?—zapytał Moryc.

— Powiesić i to zaraz! — odparł graf krótko. — Jutro święto jest... nie warto go psuć taką robotą.

— Powiesić pod ręce, aby się męczył dłużej — dodał Moryc — bo już ci tak krótką, łagodną śmiercią tego zwierza pozbyć się nie godzi... zasłużył na to, aby się z nim pobawiono... Naszym wydzierał wnętrzności...

— Zróbcie z nim, co chcecie — mruknął graf — byle do jutra było skończonym... Jutrzejszy dzień cały chcę poświęcić nabożeństwu...

Obszedłszy dokoła owo stado ludzi i zwierząt, z którego widoku się radował, Gozbert jeszcze raz oświadczył swe zadowolenie dowódcy, obiecał mu nagrodę i poszepnął coś do ucha... a sam ku pierwszemu podwórcu się zawrócił.

We wrotach stali duchowni, oprócz może ks. Jordana i Własta, spoglądający zimnem okiem na męczarnie nieszczęśliwych jeńców, którzy już na ziemię padli, odrętwieli znużeniem... Depcząc po nich, chodzili pacholki, i wybierali a dzielili ich, gdzie który miał być zapędzony... Jęków ni-skarg słyszeć nie było... dzieci tylko płakały...

Uprowadzając noc i spełniając rozkazy grafa, Moryc kazał wywleć Samona za mury, upatrzywszy miejsce, gdzie być miał powieszony... Samo spędzony wstał i wleczone sznurami, wyszedł, znikając z oczów przytomnym...

Mrok padał, gdy duchownych wezwano na wieczerzę do grafa... Zastali tu zastawiony stół rybami i mleczymem ponalewane dzbany, a Wigmana przed ogniem wyciągniętego na ławie... Wszyscy jak z rana pozajmowali miejsca swoje. Starszy kapłan odmówił Benedyktę... i poczęła się biesiada zrazu milcząca... Pierwsi do misy sięgnęli Wigman

i grafowie, potem duchowni, naostatek szary koniec, Włast i młody kleryk, przy nim siedzący...

Rozmowa nie była jak z rana poważną; Gozbert, unikając tego, nastroił ją wesoło, a choć miał u stołu kapłanów, nie wahał się dopuścić żartów cynicznych. Wigman wszakże nie dał się niemi rozbudzić z odrętwienia, jakie go napadło, mówił mało, zdawał się drżącym i pogrążonym. Zamknął się cały w sobie, jak gdyby osnuwał coś potajemnie.

Gdy Gozbert doń mówił, zdawał się nie słuchać.

Tak, mimo usiłowań gospodarza, wieczerza dosyć upłynęła smutnie... Wigman tylko, gdy się psy pod stołem gryźć zaczęły o skorupy od jaja, ości od ryby i resztki jadła, które im rzucano... ozwał się, jak sam do siebie:

— I pies ma pamięć krzywdy a pragnienie zemsty... jakżeby człowiek miał ją zapomnieć?

A gdy na mówiącego patrzano, dodał:

— Byłem raz u krewniaka mojego, Arnolda, który nad Bawaryą miał władzę; siedzieliśmy u stołu z wielu innymi, gdy do człowieka jednego nagle poskoczył pies, ugryzł go i uciekł. A że nikomu innemu nic złego nie uczynił, zdziwiło to nad miarę wszystkich... I postrześliśmy, że człowiek ów drżał cały pomieszany; gdy go naglić poczęto, ozwał się głośno:

— Pies ten wiedział, co uczynił — pana jego, spotkawszy śpiącego w lesie, ubiłem...

Naówczas próżno obronić się go starał, dziś mnie obwinia i zemstę wywiera... i widzę to, że tu lub na przyszłym sądzie wszelki winowajca nie uniknie kary *).

Wychylił potem kubek i dodał jeszcze:

— A Wigman, choćby psem miał zostać, pomści się i ukasi...

Nierad tej mowie, Gozbert popatrzał groźnie na Wigmana, ale dumny krewniak cesarski, nie zważa-

*) Ditmar.

jąc na to bynajmniej, zamyślił się znowu i tak do końca wieczery, na gospodarza już ani patrząc, ani doń mówiąc słowa, pozostał.

W milczeniu pijących porzucili duchowni, i przed północą, dla jutrzejszych mszy, udali się na spoczynek...

Gdy Włast izby swej górnej, w której mu posłano wraz z klerykiem, okno otworzył, ujrzał w świetle księżycy, na belce z muru wystającej, zawieszone ciało Samona, którego głowa, opadła na piersi, koniec męczarni zdawała się zwiastować... Okropny ten widok łączył mu na powieki wycisnął...

Na jedno oka mgnienie, błysnęła mu wątpliwość—czy chrześcijanie ci prawdziwymi są synami Bożymi? - i wnet, jako grzech, odpychając ją, padł na kolana, aby się modlić.

IV.

W kilka dni później Włast powracał już ze swej wycieczki—uspokojony tem, iż nie jechał sam.

Obok niego po prawej ręce, w milczeniu odmawiając pacierze kapłańskie, ks. Jordan rozpatrywał się po kraju, w którego granice już wkroczyli...

Ten sam to był kapłan, którego Opatrzność mu nastęrczyła na Adlerburgu, u grafa Gozberta.

Z niemałą trudnością udało mu się go nakłonić. Nie miał nic, czemby go mógł pociągnąć i zachęcić, nie ofiarował mu nic oprócz apostołstwa, widoku walki a może męczeństwa.

Lecz obok poczwarnych istot, które walki te rodziły, religia chrześcijańska, ilekroć padła na serca czyste, na umysły wielkie, na wybranych—tworzyła z nich ludzi poświęcenia i świętych.

Ks. Jordan był kapłanem już z apostołstwem obeznanym, od młodości w tej pracy zahartowanym. Opowiadał on Ewangelię i po dzikich zakątkach

kędy się promień światła nie wcisnął nigdy jeszcze, i tym możliwym nawpół nawróconym, co światło czyste obracali na swój użytek, czyniąc z niego przewrotnego sługę... Wiedział już, jak mówić było potrzeba do tych, co nigdy nie słyszeli, i do tych, co słyszane źle zrozumieli.

Maż był cierpliwości niezmordowanej i niewyczerpanej, mocy ducha niezmniejszonej—pełen przytem wewnętrznego wesela i spokoju...

Wielka prostota i dobroć łączyły się w nim z rozumem jasnym... Wiedział on, że oddając się na usługi Mieszkowi i krajowi do dawnej wiary przywiązaniu, będzie miał wiele trudności do zwyciężenia, nie nagłych a przechodzących, ale powracających i upartych. Uśmiechało mu się jednak być pasterzem trzody nowej i przez siebie samego stworzonej. A po drodze, nim na gród przybyć mieli, starał się zawczasu objaśnić o ludziach i zawiązkach tego, co go tam oczekiwało.

Mieszka rad był odgadnąć, a o tem właśnie Włast mu najmniej umiał powiedzieć. Domyślił się go ci, co żyli z nim,—nikt powiedzieć nie mógł, by go znał.

Od granicy już Włast, któremu jego kraj najpiękniejszym się w świecie wydawał, ukazywał go ks. Jordanowi, wychwalając.

Kapłan znajdował go smutnym...

Przerażała go niezmierna ilość kamieni, słupów Tryglówowi i Światowidowi poświęconych, źródeł, miejsc ofiarnych, dębów i gajów, w których ślady objat i obrzędów pogańskich napotykali. Świadczyły one o przywiązaniu ludu do swej wiary, przepowiadały niezmienną pracę, jaka tu apostołów czekała.

Lecz Włast szeptał, że gdy wszystkie te miejsca jak w Czechach, poznaczone zostaną krzyżami i niejako ochrzczone, będą służyć ku opamiętaniu i nawracaniu...

Ks. Jordan musiał zrzucić swą suknię duchowną, wdziać odzież używaną w kraju, a że języka był

świadom, mógł uchodzić za krajowca. Już w drodze rozmawiał z Włastem i Sulinem, starał się swoją serbszczyzną nałamywać na język polański, mniej naówczas daleko od niej różny, niż później się wyrobił...

Powierzchność nawet przyszłego pasterza, choć wojskową i rycerską nie była, nie razila niczem nadzwyczajnem, a odznaczała się powagą, pozwalającą go brać za zamożnego władzę.

W ciągu drogi im dłużej obcował z nim Włast, im poznawał go bliżej, tem się więcej rozmiłował w nim, a przekonywał, iż go nie trafia ślepy, ale Opatrzność wybrała sama na trudny obowiązek pierwszego apostoła—i pasterza.

Ponieważ oba drogą znużeni byli, a mało zbaczając, mogli się wprzód dostać do Krasnejgóry, niż nad Cybinę, Włast postanowił naprzód do siebie zawieźć ks. Jordana, dać mu tam spocząć, i dopiero drugiego albo trzeciego dnia wybrać się z nim na dwór książęcy.

Przyjął tę myśl podróżny, rad będąc, że lepiej pozna kraj, i już zdążali ku Krasnejgórze, o której Włast myślał nie bez tęsknoty i miłości. Wyrzucał sobie nawet to przywiązanie zbyt uczucie do miejsc, w których przebył dzieciństwo, prawie je grzesznem uważając.

Droga wiodła lasami, już potrosze z liści jesienią ogolconemi. Z niecierpliwością pewną Włast wyglądał dworu i cieszył się, że pocziwego Jarmierza zobaczy... Wjechali wreszcie w ten gaj, który dwór z boku osłaniał. Włast nie mógł pojąć, dlaczego dworu widać nie było... gdy nagle pobladł i konia wstrzymał, takie go opanowało wzruszenie. Całą siłę ducha użyć musiał, aby się zdobyć na wyrazy.

— Bądź wola Twoja!

Stary dwór w Krasnejgórze był zgłiszczem tylko. Sterczały z niego pozostałe niedopalone belki... ogniska kamienne, obalone ściany. Z budowli nie pozo-

stało nic. Pogorzelsko straszny widok przedstawiało... Kilku ludzi błakało się około niego, a dopiero teraz ujrzał Włast Jarmierza leżącego na ziemi w opalonej odzieży...

Pożar nie musiał być dawny, gdyż, choć wygasło wszystko, gdzieśniedzie węgle dymyły jeszcze. Za dworem, ze spalonych szop wypędzone stały trzody, a przy nich siedzieli ludzie, spoglądając ku miejscu, przez które przeszło zniszczenie.

Włast skoczył z konia, a Jarmierz podniósł się z ziemi powoli, podchodząc ku niemu z załamanymi rękami. Zbliżył się też i ks. Jordan...

— Mój Jarmierzu, jakże się to stało? Co było przyczyną? — odezwał się Włast, widząc niemego sługę, któremu rozpacz nie dozwalała ust otworzyć.

Jarmierz obejrzał się ostrożnie.

— Nie wiem... nie wiem—rzekł trwożliwie—w nocy ogień się wziął z czterech rogów zagrody—i nie było ratunku. Ocaliliśmy, co się wynieść dało.

Włast nie śmiał spytać o kaplicę... Jarmierz wskazał mu tylko leżące na kupie sprzęty, zapasy, odzież i broń, między którymi i najdroższy kielich ofiar-ny się znajdował.

W lasku na prędce sklecony szałas dozwolił spocząć przynajmniej, bo noc nadchodząca do grodu przybycie utrudniała. Resztką zapasów starczyła dla niewymagającego ks. Jordana i gospodarza. Siedzieli milcząc, spoglądając na spalony dom rodzicielski, którego ruina Włastowi z oczów łzy wyciskała.

Jarmierz upokorzony był i znękany tem, że pod jego opieką zostawione domostwo taki los spotkał. Pocichu zaczął opowiadać, że przed wieczorem dnia tego widziano kilku w okolicy kręcących się diadów, Wargę i dwóch jego towarzyszy, że przed parobkami od kilku dni odgrazano się puścić z dymem dwór, w którym chrześcijanie się schadzali i swoje składali ofiary. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, iż mściwa ręka podłożyła ogień, a pa-

robey, podmówieni, ratować nie chcieli, wcześniej jako swoje mienie wyniósłszy.

Włast wręczde oplakał swą stratę, i złożył ją jako jedną więcej ofiarę dla wiary, którą przyjął... należało myśleć o odbudowaniu.

Jarmierz, już nie czekając przybycia pana, wysłał z siekierami do lasu... Lecz też sama ręka nie mogła rzucić żagwi i zniszczyć nowego domostwa?

Na to nie zważając, Włast budować rozkazał, postanowiwszy w duchu pierwszą izbę dokończoną poświęcić jako kaplicę Bogu — i uczynić ją domem modlitwy.

Smutny był nocleg ten pod szałasem, na modlitwie w części i na cichej rozmowie z Jarmierzem spędzony. Od niego dowiedział się Włast, że gdy płomień buchnęło i gdy od niego nad całą okolicą rozgorzała luna, którą i nad Cybiną widać było, przypadli komornicy wysłani od Mieszka na zwiady, i pomagali do ratunku. Kneź więc zawiadomionym był o stracie, jaka spotkała Własta.

Nad rankiem, odprawivszy pacierze, dwaj duchowni ruszyli z tych zgłiszczów ku Poznaniowi i stanęli na grodzie właśnie, gdy Sydbór i Mieszko ludzi nowozacieknych opatrywali i liczyl. Wszystko się tu zdawało przysposabiać, jak do wojny...

Ruch był na zamku wielki. Przyciągały oddziały jedne nieuzbrojone jeszcze, drugie z dowódcami odchodziły. Broń dobywano ze skarbców, liczono się z jej zapasami w Gnieźnie nad Cybiną, po innych gródkach Mieszkowych.

Zdala już bystre oko pańskie poznało przybywającego Własta i mały orszak jego, policzyło snąć ludzi i postrzegło nieznanomego w tej kupce. Zaledwie z koni zsiąść czas mieli, gdy Mieszko nadszedł z twarzą jak zawsze spokojną i wesołą. Nie spojrzal nawet na ks. Jordana, jak gdyby go widzieć nie chciał, i ozwał się zdala do syna Lubonia:

— Dobrze się stało, że starego dworu pozbyli-

ście się — napół był już spróchniały. Musicie już wiedzieć o tem.

— Tak, miłościwy panie.

— Nie frasujciez się, stanie nowy... idźciez do Dobrosława...

Skinął ręką, a sam do Sydbora powrócił; ks. Jordan, pilno mu się przypatrujący, nie rzekł słowa i poszedł ze swym przewodnikiem. Dobrosław też, najrzawszy ich, śpieszył naprzeciw i zabrał z sobą do izby, gdzie się swobodniej rozmówić mogli.

Gdy weszli do niej, a drzwi się za nimi zamknęły, Dobrosław rękę ks. Jordana ucałował i posadził na pierwszym miejscu, a sam zwrócił się do Własta z ubolewaniem.

— Kneziowscy ludzie — rzekł cicho — wysłani stąd na lunę, w powrocie z Krasnejgóry pochwycili w lesie dwu dziadów, którzy się podłożeniem ognia przechwalali. Przyciągnięto ich tu na gród i posadzono do ciemnicy... a knez, choć się waha i wzdraga, pono dla przykładu da ich obwiesić obu... Lecz, że lud ich szanuje a narodu drażnić nie chce... nie wie sam jeszcze jak postąpi... Obawiają się, aby z ich przyczyny krew się nie lała.

Włast, posłyszawszy to, natychmiast pobiegł, do nóg kneziowi padł, prosząc o przebaczenie dla dziadów.

Mieszko się zdziwił mocno.

— Oni ci przecie szkodę wyrządzili i zemsta ci się należy?

— Miłościwy panie — odezwał się Włast — chrześcijaństwo nie zna... nauka nasza nieprzyjaciółom nakazuje przebaczać i kochać ich... Błagam was...

Mieszko rad był może, iż się od narażenia narodowi w chwili tej uwolni, więc gdy Włast prośby powtarzał, ręką skinął i rzekł mu:

— Czyżże z nimi, co sam chcesz...

Nie tracąc chwili, Włast poszedł do ciemnicy, w której Wargę i towarzysza jego zamknęto. Gdy

mu wrota do tego lochu w wałach wygrzebanego otworzono, ujrzał leżących na ziemi dwu dziadów, którzy go wzrokiem dzikim powitali mileczący.

Warga go poznał i nie wątpił, że wydany na pomstę Włastowi, dozna strasznego losu. Nie ruszył się więc nawet, na wszystko będąc gotowym.

Włast się zbliżył.

— Za cóżeście pod moje domostwo ogień podłożyli?—zapytał.

Starcy dwaj popatrzyli długo na siebie, jakby się oczyma radzili, co odpowiedzieć mają. Po chwili Warga zamruczał:

— Co się pytasz? rób swoje...

— Nic wam złego nie uczynilem — odezwał się Włast.— Słupi jesteście i nie wiecie, co robicie, ani za co mnie prześladowacie... Wy uczyniliście mi krzywdę—dodał—ja wam za nią płacę dobrem i wyprosiłem u knieża, że mam prawo wypuścić was na wolę... Idźcie i uchodźcie... a pomnijcie, że ta wiara, co uczy dobrem płacić za złe, lepszą jest...

Warga, słuchając z pewnym rodzajem wzgardy, uśmiechał się, a gdy Włast dokończył, ruszył się wnet, biorąc za kij i dając znaki towarzyszowi, by za nim pośpieszał.

— Wasza wiara—mruknął—głupia jest... bo ty mnie puszczasz wolno, a ja z ciebie się śmieję i co w sercu mam, to zachowam...

Nie spojrzawszy na Własta, wychodził już z lochu, potem zwrócił się ode drzwi.

— Nie śmiecie Wardze nic uczynić — zawołał — nie śmiecie! wiecie że on silny... i że za niego mścić się będą, dlatego puszczacie wolno... Nie bójcie się, drugi raz w ręce wam nie popadniemy, a dostaniecie się wy w nasze...

Dokończył śmiechem dzikim i poszedł.

Włast stał, zawrzał w nim gniew na chwilę, ale nowy chrześcijanin był wiernym nauce swojej i kłamać jej zadawać nie chciał, zniósł więc to urągawisko i pogroźki, przewyciężył się i dał ujść obu działom,

którzy natychmiast pobiegli ukryć się mu z przed oczów, znajomymi sobie drożynami przemykając się ku gajowi i świątyni.

Nauka, jaką im Włast dać chciał, była straconą, ale on w sumieniu swoim spokojnym pozostał.

Gdy Dobrosław oznajmił Mieszkowi o towarzyszu, którego z sobą Włast przywiózł, kneź nie mu nie odpowiedział. Zdało się, jakby znowu ulegając jakiemuś wpływowi czy obawie, cofnął swe postanowienie wcześniejsze, nie zapytał więcej o niego i zostawił Dobrosławowi wolę rozporządzenia się i działania, jak chciał.

Ks. Jordan więc za poradą jego został z nim razem, oczekując zręczności, by mógł przemawiać, nauczać i kierować. Na oko nic żadnej nie zwiastowało zmiany, z Czech tylko zapowiadano przybycie knieżni Dubrawki, ale i to pokryte było jakąś tajemnicą. Kneź mało mówny, na zapytanie odpowiadał niejasno. Na zamku wszystko było w gotowości.

Jednego poranku Włastowi kazano jechać do Pragi, dodano mu tych samych ludzi, którzy towarzyszyli w pierwszej wycieczce, a gdy o cel podróży zapytał, Mieszko mu rzekł:

— Pokłońcie się ode mnie...

Rad, że się do chrześcijańskiego kraju dostanie, Włast był posłusznym, pożegnał ks. Jordana i pojechał.

Na zamku znowu wiodło się to samo stare życie bez zmiany, tylko nowy apostoł, któremu bezczynność dolegała, nie pytając nikogo, — z kijem w rękę począł szukać owieczek.

Często po całych dniach go na grodzie nie było, a gdy Dobrosław niespokojny, już miał wysyłać szukać go, wracał nagle wesół i rozpromieniony, zapewniając go, że Opatrzność Boska nad nim czuwa i nie mu się złego stać nie może. Niezmiernie prędko rozpatrzył się ks. Jordan w kraju i jego stosunkach, a zetknąwszy się z kilku ochrzczonymi dawniej, przez

nich, jak po nici, trafił do innych, i tam, gdzie siane ziarno zejść mogło.

Około niego potajemnie skupiać się zaczęli wszyscy dotąd rozpierzchli, nabierając otuchy.

Mieszko widywał go i o nic nigdy nie pytał, udając, iż o niczem nie wie.

Jednego dnia z nim i Dobrosławem poszedł, wiódąc ich do gaju i świątyni, jakby to miejsce chciał im ukazać, ale nie rzekł nic. W kilka dni radził obu z Sydborem jechać do Gniezna i obejrzeć Lechową górę na ostrów na jeziorze, gdzie stały świątynie pogańskie.

Wśród tego spokoju, który usypiał pogan, tłumaczących go sobie jak Wargę, obawą, nagle, jednego dnia, Mieszko nadzwyczajne począł czynić przygotowania.

Dwóchset ludzi co najdorodniejszych dobrano z przybocznego orszaku i wydano dla nich odzież paradną, oręż drogi i konie ze stad najpiękniejsze. Ze skarbcza podobywano naczynia najdroższe i przeniesiono do izb na dole, gdzie biesiady się odbywały. Mieszko ostatnią swą ulubienicę z wianem bogatym odprawił do rodziny, stara Różana została w niewieścim dworcu sama jedna i płakała z obawy, aby i jej, nie mającej już tu co czynić, nie oddalono.

Mieszko kazał ją przywołać do siebie; weszła smutna, choć zawsze strojna, i niżej, niż zwykle, do nóg mu się skłoniła.

— Masz wiedzieć — rzekł kneź, — że żonę biorę z wielkiego domu, kniehinę sławną... Jak strzegłaś tamtych, tak i tej służyć będziesz, nad jej dworem mając dozór... Pilnujże, byś na jej łaski zasłużyła... a rozkazy spełniała.

Różana pokłoniła się raz jeszcze, chcąc coś powiedzieć, bo do mówienia zawsze niepomierłą miała ochotę, lecz Mieszko nakazał milczenie i poszedł niewieści dwór i izby oglądać.

Stały komnaty puste, smutne, ale z przepychem pańskim przygotowane na przyjęcie gościa wielkiego,

aby czego tylko kniehini zapragnąć mogła, znalazło się pod ręką. Cienkie tkaniny, kobierce wschodnie, złote i srebrne naczynia, misy, nalewki, dzbany, świeczniki świeciły porostawiane wszędzie. Spiżarnie pełne były łakoci, piwnice napojów, a kwiaty, na jakie się jesień zdobyć mogła, i wonne zioła, porzrzucano wszędzie.

Gdzie dawniej wrzawa niespokojnych niewiast po całych dniach się rozlegała, teraz cicho już było, jak w grobie. Jedną z najpokaźniejszych izb w głębi dworca kneź kazał zostawić pustą, nie mówiąc o jej przeznaczeniu.

Tegoż wieczora Mieszko poszedł do siostry.

Domyślano się tam zawczasu, co się na zamku gotowało, a Górka niebardzo była może rada nowej pani i nowemu porządkowi, nie wiedząc, jak się zgodzi z nieznaną bratową. Podejrzliwym okiem spoglądała na brata i przyjęła go z należnem poszanowaniem, ale milcząco.

Kneź usiadł zadumany i począł się jej przypatrywać.

— Nie jużci też, Górka... zamażpójście na myśl nie przychodzi? — zapytał nagle.

Siostra się zarumieniła mocno, bo po wiek wieków żadna niezamężna dziewczyna nigdy się przyznawać nie zwykła, by sobie stan zmienić życzyła. Zawsze się to uważa za nieprzyzwoite pożądać czepca. I Górka też z dumą pańską odpowiedziała bratu po chwili namysłu:

— Miłościwy panie, być może, iż wam się mnie pozbyć chce z domu, alem ja nie zatęskniła w nim nigdy...

— A przecie — ozwał się kneź — tak tu wiecznie nie możesz pozostać. Szkodaby kraszy i młodości... Ale to moja rzecz męża wyszukać, wiano dać i sprawić wesele...

Górka się zarumieniła mocniej jeszcze; kneź spojrział z ukosa.

— Nie bój się — rzekł, — znajdę ci takiego, co bę-

— 30 —
dzie godnym pięknej, jak ty kniehnii... Ty wiesz, że ja Bolkową córkę biorę, abym jedną nogą w Czechach stał, czekając, póki dwiema nie będę mógł stąpić... Ona chrześcijanka idzie za mnie... ty też chrześcijanką zostać musisz, a poniesiesz z sobą tę wiarę do Ugrów, którym rękę podamy, aby Czechów trzymać zawsze grozą i nie dać się im uciskać... Dziki to naród, wojowniczy i straszny... Musieli się na nich wszyscy Niemcy zebrać do kupy nad Lechnią, aby zwyciężyć... a w domu oni niezwyciężeni... Tobie tam panować przystało i królować...

Górka nie odpowiedziała nic, bo niewieście naówczas, choćby rodu pańskiego, swojej woli mieć się nie godziło. Mieszko mówił nawpół do niej, wpół do siebie, uśmiechając się myśli swej.

— Nie obawiaj się, brat ci krzywdy uczynić nie da, a jeśli z domu jego wyjdiesz, nie pożałujesz zmiany... Od tej wiary nowej, którą Niemcy swoją zowią, nie obronimy się już... Zewsząd nas ogarnia... panuje wszędzie... wojować z nią nie można... ale przyjąwszy ją, nią wojować będziemy choćby z cesarzem.

W sprawie wiary Górka nie miała pono tak samo woli, jak w sprawie własnego losu; słuchała, wiedząc, że uczynić będzie musiała, co każą. Westchnęła tylko, bo ją straszono surowością chrześcijaństwa.

— Wiara to straszna!... — wymówiła pocichu.

Brat nie odpowiedział długo.

— Gdyby wistocie taką była, czyżby ją tyle ludzi mogło wyznawać?... — rzekł po namyśle.

Zamyślił się i westchnął, może mu na pamięć przyszły dawne gody i swoboda, lecz nie rzekł nic.

Siostkę pogłaskał po twarzy i zwolna wysunął się z dworu.

— 31 —
V.
Nazajutrz rano świetnie przybrany dwór, starszyzna, stolnicy, cześnicy, służba, pacholki, ryccerstwo, Sydbór, który przywdział zbroję świecącą, naostatek Mieszko sam w płaszczu bramowanym złotem, wyjeżdżali z grodu nad Cybiną. Nikt nie wiedział, dokąd i na jak długo. Na zamku gotowano się na przyjęcie mnogich gości.

Kogo? domyślać się tylko było można. Mieszko nie miał zwyczaju tłómaczyć się nikomu.

Dobrosław został w grodzie, mając dozór nad przygotowaniami.

Tegoż samego dnia ks. Jordan potajemnie wyszedł zamknąć się w izbie, przy dworcu przyszelej kniehnii zostawionej. On i Dobrosław przez cały dzień nosili tam naczynia i szaty, nie wzywając nikogo do pomocy i nie biorąc z sobą ludzi.

W izbie tej, której okno zewnątrz napół przysłonięte było, tak że zajrzeć do niej nikt nie mógł, ks. Jordan urządzał kaplicę, z tą radością i przejęciem, jakiego może doznawać kapłan, pierwszy ołtarz stawiając w kraju pozbawionym prawdziwej wiary. Lice jego promieniało, trzęsły się ręce, gdy sam zaświecał ten stół ofiarny białemi ręcznikami, ustawiał na nim świeczniki, ubierał go i przyozdabiał, gdy błogosławił, modląc się i krzyż na nim wznosił, przed którym on i Dobrosław odmówili przyjętą modlitwę.

Pierwsza kaplica zamkowa nie wyglądała wspornie; był to ołtarz jakby obozowy tego wojska, które tu za wiarę walczyć miało. Gromadka, co się u stóp jego zbierać mogła, szczupła jeszcze była i izba ta aż nadto dla niej starczyła.

Tu w obecności jednego Dobrosława pierwszą mszę odprawił przyszelej pasterz owczarni rozpięchłej i zmuszonej ukrywać się długo jeszcze.

Mieszko o swoim nawróceniu nie mówił nic: Dobrosław kilka razy rzucał pytania i nie otrzymał odpowiedzi.

Orszak, który z kneziem na czele wyruszył z zamku na Cybinie, pociągnął ku granicy zwykłą drogą. Jesienna pogoda powolnemu pochodowi sprzyjała. Dni wyrachowane być musiały.

Wieczorem położono się w lesie u samej rubieży na uroczysku, które się zwało Zawite. Rozbito namioty, postawiono szalasy, rozpalono ognie, wysłano dokoła strażę i noc upłynęła cała niemal na czuwaniu.

Nazajutrz kazał kneź obóz zwinąć, lecz z miejsca nie ruszył.

Słońce ku południowi wybiło się ponad mgły i świeciło letnim blaskiem, gdy rogi słyszeć się dały zdala i straż nadbiegła, oznajmując o zbliżającym się orszaku czeskim.

Siadł Mieszko na koń, a dwór jego cały ustawił się w porządku.

Zdala już widać było okazały orszak, który kniehinę prowadził. Towarzyszył jej wedle obyczaju brat, mnoga liczba panów i dworu ojcowskiego, poczet wojskowy i nieporachowany sznur wozów, które szły jedne za drugimi, strzeżone przez zbrojnych ludzi. Oddział pancernych zamykał w końcu wspinały ten pochód, któremu przygrywali na trąbach i rogach gęźbiarze.

Kniehini jechała obok brata na pięknym koniu, w suknię złocistą przybrana, w płaszczu na ramiona zarzuconym, złotemi blaszkami naszywanym.

Na widok Mieszka zarumieniała się męska jej twarz i oczy śmiało nań spojrzały. Nie było to trwożliwe dziewczę, ale towarzyszka pańska i niewiasta, czująca się królową.

Bołko, młodszy, o kilka kroków ją wyprzedził, witając Mieszka, poczem oba z koni zsiadłszy, szli do Dubrawki, która też z wierzchowca się spuściwszy, lekkim ukłonem pozdrowiła męża swojego. Ale Mieszko inaczej ją chciał witać... i śmiejąc się, objął ją w pół, całe pogańskim obyczajem, zarumienioną

w twarz pocałował. Podano sobie ręce. Wesele malowało się na licach.

— Jesteście, miłościwa pani—odezwał się Mieszko—już na mojej, a razem na swej ziemi, gdzie ja gospodarzem... Przystało tę dobrą godzinę uczcić dobrą myślą...

To mówiąc, skinął na stolników swych i rękę jedną Dubrawce, drugą podawszy Bolkowi, powiódł ich pod dęby nade drogą, gdzie rozesłane było sukno i naczynia stały z jadłem i napojami. Dla obu też orszaków beczki były w pogotowiu. Tymczasem gęźbiarze grali wesoło na trąbach i rogach, a lica się śmiały wszystkim.

Dwa dwory, czeski i polski, po raz pierwszy zbliżały się ku sobie przyjacielsko, podając sobie dłonie i próbując języka, który obu posługiwał zarówno, prawie będąc jednakim.

Z kniehiną mnogi lud jechał, niewiasty, usługa, dworacy, duchowni, panowie... lecz na przyjęcie było w pogotowiu wszystko i starczyłoby dla liczniejszej jeszcze družyny.

Wmieszany w ten dwór stał Włast w towarzystwie kilku duchownych, między którymi surowa twarz i uboga suknia ojca Prokopa zwracały oczy Mieszkowego orszaku. Dziwnie wydawał się im ten człowiek stary, w odzieży prostej, w obuwiu wyszarzanem, z głową postrzyżoną, podobny do żebraka, a śmiało obracający się wśród świetnego orszaku panów, który mu okazywał uszanowanie.

Nie biesiadowano tu długo, gdy oba kneziowie, powstawszy, dali znak dalszego pochodu. Przyprawiono konie i Mieszko stanął na swoim obok Dubrawki, której lice nie zdradzało najmniejszej obawy, uśmiechając się, owszem, weselem i ciekawością.

Od granicy poczynął się ten kraj nieochrzczony jeszcze, pełen jawnych oznak pogańskiego bałwochwalstwa, na którego widok lica duchownych pochmurniały. Dubrawka jednak nie ulękła się stoją-

cych na rozdrożach bałwanów i zdawała się na nie uwagi nie zwracać. Wesołemi żarty skracano podróz, którą z nadzwyczajnym odbywano pośpiechem.

Gdy na drugim przystanku spocząć koniom było potrzeba, Mieszko, ujrawszy Włastą, zawołał go ku sobie i łaskawie pozdrowił.

— Weź kilku ludzi i lepsze konie — rzekł, — pojedźcie przodem o nas oznajmić, aby wszystko było w pogotowiu.

Tak więc, choć znużony drogą, Włast musiał nactychmiast, nie spoczywając, przodować orszakowi.

Ostrożność ta była zbyt duża, gdyż na grodzie dzień i noc stał lud mnogi, gotów na przyjęcie kniehiny, i starszyzna, żupanowie, władcy, kmiecie już byli zgromadzeni. Oni i orszaki ich napelniały nie tylko gród, ale zalegały pola nad Cybiną i Wartą. Mnogie też tłumy ciekawych z uczuciami różnemi zbiegły się patrzeć na przybywającą panią.

Roilo się dokoła ludem, nad drogą wszędzie stały szeregami ciżby niezliczone w oczekiwaniu na to widowisko, którego następstwa napelniały trwogą... Z tą panią nową jechała wiara nowa, rozpoczynało się życie jakieś nowe, którego przecucia niepokoiły.

Niewiasty płakały, mężowie stali sparci na kijach, zadumani... Starcy przebiegali tłumy z pięśnią żalowną. Czuli wszyscy, iż dzień ten zapowiadał życie odmienne. Jakież? nikt nie śnił naówczas, wiedzieli tylko, że ze starem rozbrat wziąć było potrzeba, a z niem zrosło się wszystko, co najdroższem było.

Pośrodkiem tych gromad milczących, które mogły mniej śmiać, niż Dubrawka niewiastę przejażdżającą, przesuwał się orszak Mieszków i czescy rycerze a panowie.

Już o mil kilka od Poznania drogi były nabite ludem, ale zarazem poczty wojenne stały na nich, siłą Mieszkową ukazując obcym.

Nie ustępowały one Czechom pokażnością, ani

urodą, ani orężem. Minęły te czasy, gdy Polanie nasiękiwaniami pałkami i smolonemi oszczepami walczyć musieli, mało mając kruszcu i oręża. Za Ziemomysła już zdobyto i zakupiono dosyć zbroi i mieczów też nie brakło... Żelaza miano obficie i łatwiej nabywać je było w nadmorskich miastach handlowych. Wojny z Niemcami dostarczały go także.

Skarbce Mieszków nie ustępowały najzasobniejszemu, i nie wyczerpywał się, ale powiększał... Na Czechach wprawdzie widać było ogładę, jaką im ścisłejsze z cesarstwem i zachodem stosunki przyniosły, ale w wojsku Mieszka więcej było starego słowiańskiego ducha i resztek tego tajemniczego świata, który też w sobie miał wyrobione długimi wiekami życie...

Wśród wrzawy trąb, rogów, okrzyków i śpiewów wjeżdżała na nową swoją stolicę Dubrawka, tak niewzruszonym umysłem i ciekawemi oczyma mierząc ją, jak owego wieczora nad Wełtawą nieznanego jej jeszcze przybysza, który za męża był dla niej przeznaczony.

Z okna swojego dworca oczyma zazdrosnemi, może i żalawionemi przypatrywała się Górka tej nowej pani.. przeciw której wyjść nie śmiała.

U drzwi dworu zsiadłszy, Mieszko podał rękę żonie i wprowadził ją do wielkiej izby biesiadnej. Tu stali panowie jego, poważne starce z siwemi brodami i dorodni mężowie, pokłonami witając panią, z góry spoglądającą na nowych poddanych swoich...

Skromny dworzec drewniany ubogi się musiał wydać kniehinie, do murowanych ścian nawykłej: nie było tu nic, coby chrześcijaństwo przypominało, lecz drewniana chata Mieszka świeciła nagromadzonemi bogactwami, które nawet panów czeskich zdziwiły...

Stoły się ugiwały pod ciężarem kowanych sreber... wystawionych więcej na pokaz i zduńnienie, niż z potrzeby...

Przyjawszy cześć i powitanie dworu, który wykrzykiwał wesoło, Dubrawka zwróciła się do Mieszka.

— Panie miłościwy — rzekła, — nie uczuję się ja tu żoną twą, ani gospodynią, dopóki nas duchowny nie pobłogosławi...

Mieszko trochę się zmarszczył...

— Kniehini moja — rzekł — obejrzyjcie się po komnatach i podwórzach — policzcie tych ludzi, co nas otaczają... to są, jak ja, poganie wszyscy... Gdybym ja dziś waszemu się Bogu pokłonił, kto wie, co by mnie czekało jutro... Dajcie mi czas... a pracujcie ze mną.

— Lecz żyć z wami nie mogę inaczej — odpowiedziała Dubrawka — Niech ślub zostanie potajemnym, a przecie on dopełnić się musi.

Przystąpił Bolko z naleganiem. Mieszko stał jakby w niepewności, co miał począć. Nie położono mu wprzód warunku tego, ani się spodziewał, by uleść musiał, a dnia tego zasmucać nie chciał właśnie. Nie rzekł nic; obrócił się, patrząc po przytomnych, czy oczyma znak dał komu, czy szepnął słowo... nikt nie dopatrzył, — lecz wnet odezwał się do Bolka i Dubrawki, — iż im dworcy swe i izby wszystkie, i komnaty dla żony zgotowane chce okazać... Szli więc zwolna... Mieszko wiodąc kniehinę, Bolko jeszcze jako stał we zbroi i rynsztunku podróżnym, Dobrosław jako przełożony nad dworem.

Czescy i polscy panowie zostali, stojąc w biesiadnej izbie i czekając na powrót pana. Trzy złotogłowem okryte krzesła u osobnego stołu zgotowane dla nich były...

Przez izby i podniesienia Mieszko z pierwszego dworu skierował się ku mieszkaniom królowej. Tu już niewieście towarzyski, służbę pani i jej dworaków przyjmowała Rożana, która się bogaciej i wykwintniej, niż kiedykolwiek przybrała.

Dubrawka przeszła szereg izb, komór, składów, pełnych bogactw, nie spoglądając prawie na nie... Ostatnie drzwi stały zamknięte przed nimi... W chwili, gdy się do nich zbliżyli, jakby czarodziejską siłą otwarły się ze wnętrza i za nimi dała się widzieć

wiatłami płonąca kaplica... U ołtarza bogato obwiezonego stał ks. Jordan, mając przy sobie ojca Matję i ojca Prokopa.

Mieszko szedł widocznie chmurny i prawie gniewny, lecz milezący i posłuszny!...

Dubrawce oczy się śmiały...

Wnet za nimi zatrzęsły się drzwi i w obliczu kilku tylko świadków ks. Jordan pokropił naprzód wodą chrztu knezia mileżącego a potem szybko obrzęd ślubu dopełnił.

W tych obrzędach musiano ze względu na szczególne położenie, na ważność ich, odstąpić od wielu warunków, zapomnieć o wielu ceremonjach, dopuścić się umyślnie zaniedbań... Szło o to, aby chrześcijańska przysięga związała przyszłych małżonków... Drżącym głosem pobłogosławił im ks. Jordan... i związał dłonie...

Dubrawka dopomagała małżonkowi, aby wykonał to, co dla ważności obrzędu koniecznem było. Na twarzy Mieszka malował się niepokój ciągły i zniecierpliwienie, które trwało dopóki nie wyszli z kaplicy, i nie wrócili do oglądania komnat, z drugiej strony dworca położonych.

Z twarzą weselszą jeszcze Dubrawka z mężem i bratem wróciła do biesiadnej izby... aby zasiąść w wianku dziewiczym, którego, jak mówiła, nigdy zrzucić nie chciała, na przygotowanym siedzeniu obok męża i brata...

Polańscy panowie mogli się teraz przypatrzeć kniehini, którą każdy ciekawy był nie tylko zobaczyć, lecz odgadnąć. Nie zdawało się to trudnem. Na pierwsze wejście Dubrawka, nadto będąc dumną, by się ukrywała z czemkolwiek, wydawała się z wesołem usposobieniem, z odwagą i męskim niemal charakterem. Mieszko przy niej zdał się daleko do odgadnięcia trudniejszym. Śmiała się ochotczo i głośno, wyzywała żarty i oświadczała wręcz, że zabawy i płasy lubiła bardzo...

Polańskim panom, nawykłym do bojaźliwych nie-

wolnie zahukanych, kniehini wydała się jakby nową całe istotą. Dla dzikich nieco ludzi miała urok ta śmiałość czeskiej niewiasty... stojącej odrazu niemal na równi z mężczyznami, okiem, mową i odwagą...

Mieszko śmiał się z nią razem, łagodnie i dobrotnie, zdawał niemal uległym, przecież kniehini czuła w duszy, że niełatwo go pokonać i podbić potrafi.

Instynkt mógł ją tego nauczyć.

Śmiałość i samowola, z jaką się Dubrawka ciągle okazywała jawnie, słabego człowieka byłyby uczyniły niepewnym siebie i chmurnym. Mieszko brał to lekko, wtórował śmiechowi i wesołości, jakby je w dziecku spotykał.

Pod koniec uczy, przeciągającej się długo, goście, wedle zwyczaju, zaczęli nowo-zaślubionym składać podarki... i u nóg młodej pani zebrała się góra cała osobliwszych rzeczy, które o zamożności starych rodów świadczyły...

Dziękował Mieszko śmiało i wymownie — jakby stara znajoma, dziękowała młoda pani. Dziwowali się jej wszyscy, że tak odrazu przystała do ludzi, do domu, do nowej ziemi i nowych poddanych. Mieszko też poglądał niekiedy z ciekawością na ożywioną jej twarz i jasne oczy, w których najmniejszego wahania się i niepewności widać nie było...

Po uczcie, która się przeciągała, nastąpiły płasy tany, ale kniehini, choć im poklaskiwała, okazując, że nie są jej obojętne, tego dnia nie chciała iść z drugimi i pozostała przy mężu. Wkrótce też Bolko ją odprowadził do dworca, a Mieszko znikł także, zostawiając Sydbora w zastępstwie swem, by gości uraczał, nie dając im się oddalić.

Weselne ucztowanie musiało trwać dni kilka bez przerwy w każdym domu, tem bardziej w księżęcym...

Nazajutrz też od rana stoły były pozostawiane wewnątrz dworca, i po dworcach karmiono pocztę wojenne polskie i czeskie, które się zabawiały wy-

ścigami, rzucaniem pocisków i strzelaniem... Jak poprzedzającego tak tego dnia tłumy ludu okrywały wawy, przypatrując się widowisku i biesiadzie...

Szczęściem, surowy dozór zapobiegł, by wśród tego rozochocenia, chrześcijanie z poganami, Polacy z Czechami nie poważnili się o lada co. Czeski dwór, czując wyższość swoją, lekce czasem sobie cenił i prześmiewał Polan, a w tych niecierpliwa krew wrzała, i hamować było trzeba nieustannie, aby z małej sprzeczki duża bójka nie urosła. Chodziła też starszyna, naglądając i łagodząc natychmiast, gdziekolwiek głośniejszy krzyk usłyszała lub zaognione postrzegła lica.

Ludzie z pocztów kneziowskich i do dworu należący, już przygotowani i oswojeni z wielu nawykami chrześcijańskimi, godzili się z niemi, słuchali opowiadań i poufale przestawali. Wewnątrz grodu wesoło szło i ochoczo, lecz gromady, które stały zdała na wałach, wpatrując się w igrzyska te, i kupa starców, wyglądających ze świętego gaju, groźną i smutną miała postawę.

Ojciec Prokop, nawykły do swobodnego obracania się w Czechach, wiedząc, że i tu już wiara miała opiekę i obronę, wcale nie czuł potrzeby zachowywania pewnych ostrożności i ukrywania się z sobą. Zaraz też drugiego dnia, z innym duchownym, wybrał się, zasłyszawszy coś widać o zakładaniu kościoła, aby miejsce nań przeznaczzone obejrzeć.

Jak wszędzie, tak i tu duchowieństwo na poświęconych czci bałwanom uroczyskach, na posadach świątyni i słupów, stawiało kościoły i krzyże, i tu więc gaj i świątynia zdała się przyszej pierwszej katedry polańskiej miejscem koniecznym. Ojciec Prokop ze spokojem i odwagą, niepostrzeżony wyszedłszy ze dworca, przesunął się przez tłumy na podwórcach zebrane i posunął ku gajowi...

Przystęp do niego dla obcych był wzbronionym; jakby na straży stała tu kupka dziadów i wróżbi-

tów, którą pominawszy, kapłan wszedł pod drzewa, kierując się wprost do kontyny.

Lecz zaledwie kilkanaście postąpił kroków, gdy straż na znak jakiś dany jej przez jednego ze starszych, pobiegła za nim. Zdala patrzący na to Dobrosław, ujrawszy z podniesionemi kijami, lecących z wściekłością za ojcem Prokopem, miolających przekleństwa i rozjadłych, natychmiast pobiegł na ratunek. Nim miał czas dojść na miejsce, już starcy pochwycili byli kapłana i targając go, bijąc, ciągnęli z sobą ku chramowi...

Ojciec Prokop ani mógł się bronić przeciw rozjuszonej zgrai, — podarto na nim suknie... niesiono go niemal na rękach, gdy dał się słyszeć krzyk naprzód Dobrosława, a wnet on sam napadł na zuchwałych wróżbitów. Wściekłość ich była tak wielka, że nawet Dobrosławowi z trudnością przyszło wyrwać im z rąk czeskiego księdza.

Nie śmiał zaś wołać na pomoc ludzi, ani zajścia tego czynić widoczniejszem, bo łatwo i lud z wałów i pijani wojacy mogli się wmieszać a powszechny zamęt i bójkę wywołać.

Ułękli się wreszcie i uspokoił owi stróże świątyni, i ojciec Prokop, choć oszarpany i potłuczony, mógł się z pomocą obrońcy ze szpon zajadłych starców oswobodzić.

Co najprędzej wyciągnął go z sobą z gaju Dobrosław, tłómacząc mu, że jeszcze tu żadnych środków do wprowadzenia publicznego wiary przedsięwziąć nie było czasu i że póki sam kneź ich nie obmyśli, dawne zwyczaje pozostać muszą w swej sile...

Tak szczęśliwie wypadek, który mógł grozić zamieszaniem, przeszedł prawie niepostrzeżony i ojciec Prokop wrócił do dworca, mało co wzruszony niebezpieczeństwem własnem, lecz niespokojny o przyszłość swej kniehini i kraju, tak nieprzygotowanego do nawrócenia.

Na dworcu tymczasem i sama kniehini i towarzyski jej wyprawiały wesołe pląsy, nuciły śpiewy...

a polańscy panowie podziwiali te niewiasty, jakim podobnych nie widzieli. Dubrawka zyskiwała sobie serca uprzejmością swą i niecierpliwa równie jak ojciec Prokop, nie wahała się coraz rzucić słowo o nowej wierze.

Dziwnie się to apostołowanie wśród zabawy mogło wydawać, lecz młoda pani przejęta była swem posłannictwem i w środkach spełnienia nie przebiegała; panowie też czescy naśladowali ją w tem porwychem apostołowaniu, i pod koniec dnia spochmurniały twarze, między Czechami a Polanami zaczynało się dawać czuć oziębienie, rozdział jakiś, coraz widoczniejszy. Mieszko zdala patrzył, milczał, nie mówił nic, ale chmurniejszym był...

Trzeciego dnia nie ustawały stoły pańskie i zabawa, lecz nie szła ona jak zrazu. Poprzedzającego dnia bójek na grodzie było kilka, lud warczał jakoś na przybyszów...

Czwartego rana sam na sam naradzał się kneź z Sydborem i Dobrosławem, gdy śpiewając, z wesołą twarzą i pańskiem wejrzaniem weszła Dubrawka. Na widok jej Mieszko też przybrał pogodniejsze oblicze, a oczyma swoim towarzyszom wskazał, aby ich samych zostawili.

— Mieszku — ozwała się, widząc ich ustępujących Dubrawka — weseliliśmy się ochoczo trzy dni całe, czas przystępować do dzieła!

Mieszko popatrzał trochę zdumiony...

— Duchowni czekają... niema co zwlekać, i nawracanie a chrzest rozpoczynać należy.

Piękna kniehini moja! — rzekł Mieszko. — Jeśli niewiasty twojego dworu zechcecie nawracać — czynicie to, proszę, ale co do mojego narodu — zostawcie mnie staranie. Jedyny to sposób byłby, żeby nie nie uczynić lub głowę nałożyć, gdybyśmy się porwali nagle i nie przygotowawszy!...

To mówiąc, wstał, pocałował żonę, śmiejąc się i rzekł do niej:

— To moja sprawa...

Stała jeszcze zdumiona i trochę zmieszana Dubrawka, gdy kneź dodał:

— Jeden z tych, których wyście z sobą przywieźli, wczoraj o mało życiem nie przypłacił nieopatrności... bo go ledwie z rąk zjadłych ludzi wyrwano. Twoi Czesi nie zdali się do nawracania, bo nas nie znają. Miłościwa pani, damy im podarki bogate, ale ich stąd odprawim do domu...

Dubrawka, która najwięcej liczyła na swój dwór, zasmuciła się bardzo, lecz Mieszkowi się przeciwieć nie było sposobu... Z twarzy mu patrzyło, że choć śmiał się, żelazną miał wolę...

— Nie zleknieciez się zostać tu wśród nas pogan, samej?—dodał Mieszko.

Dubrawka, choć może wistocie czuła trwogę, okazać się jej wstydziła. Męska jej dusza brzydziła się nią.

— Z wami przecież zostanę — obawiać się nie mam czego...

Mieszko się dziękczynnie uśmiechnął.

— Ja — rzekł — znajdę duchownych, wyszukam ludzi godzinę naznaczę, a gdy ta przyjdzie i powiem, że chrzest muszą przyjmować—przyjmą... Kto się oprze—zginie. Lecz nim się to stanie, mój dwór i moje wojsko mojem być musi, aby mi naród nie był groźnym... W jednym dniu odmieni się twarz tej ziemi... a no, dzień ten ja jeden wiem... Miłościwa moja—ja sam poganinem jeszcze jestem... nawróćcie wprzód mnie i nauczcie... słucham was często i nie rozumiem. Co u nas cnotą było, u was jest występkiem; co u nas się zowie pięknem, wam się wydawało złem.

Ruszył ramionami.

— Mięsa mi zakazują jeść... a skądże ja wezmę siłę? Zemsta zbronią, a któż się mnie będzie lękał?

Dubrawka słuchała go... i zwolna może przekonała się, że to nawrócenie, które się jej tak łatwem wydawało... było dziełem nie jednego słowa...

Musiła spuścić głowę i zamilknąć. Mieszko ujął ją pod rękę.

— Tymczasem uchodźmy a weselmy się, a wy, kniehini moja, zabawiajcie się ze swoimi, których pożegnać musicie. Czechów odprawić trzeba dlatego, aby naród nie rzekł, że ja ich dla wprowadzenia nowej wiary potrzebowałam...

Wyszli milczący i skierowali się ku dworowi, w którym pomieszane głosy gędźby, śpiewy, wrzawy i śmiechy słyszać było.

Grali Czesi na rogach i piszczałkach, kilku gęślarzy u drzwi śpiewało, za stołami piła starszyzna i pokrzykiwała... inni nucili pieśni razem, aż się rozlegało.

Wszystko to umilkło, gdy się ukazał kneź z żoną, ale natychmiast skinął, aby byli myśli wesolej..

I znowu huczało a brzmiało dokoła...

Tego wieczora Włast wyprosił się u knezia, aby mu wolno było do Krasnejgóry zbiedz na godzinę. Skinął mu głową przyzwalająco, i ojciec Matja, któremu wrzawa weselna przykrą była, natychmiast dosiadł konia, biegnąc na swoje zgorzelisko...

Mrok już padał, gdy się znowu znalazł na skraju lasu, i jak pierwszym razem, zastawszy tu spalony dwór, teraz znowu uląkł się i stanął osłupiały.

Nie mniej go zdziwiło to, co tu ujrzał, bo mu się też cudem niemal wydało! W miejscu zgłiszcza stał już nowy dworzec, daleko obszerniejszy od pierwszego, gotowy, dokończony, pokryty, ogrodzony tynami... odbudowany cały do najmniejszej szopki...

Oczom zrazu wierzyć nie chcąc, Włast podjechał pod wrota, i miał zsiadać, gdy z drugiej strony nadbiegł Jarmierz, a za nim kilku parobków. Ze zdumienia, nie wiedząc co mówić, Włast wprost poszedł do dworu... Jarmierz mu towarzyszył. Gdy się sami znaleźli w progu, odwrócił się ku niemu Włast i spytał:

— Jak to być mogło, ażeby dwór stanął tak rychło?

— Z rozkazu knezia ludzi gromada naszła wielka — odezwał się Jarmierz. — Jam z moimi patrzył tylko z założonemi rękami...

Dworzec nowy pobudowany był podobnie do starego, lecz wyższy od niego, okazańszyszy i obszerniejszy. W miejscu komory, w której zmarł Luboń i gdzie była kaplica... staraniem Dobrosława stanął nowy ołtarz ze wszelkim do służby Bożej przyborem.

Tu naprzód, na kolana padłszy, Włast, zalany łzami, modlił się długo...

Wstał jeszcze poruszony i przejęty cały, gdy w prog ujrzał postać niewieścią... Nie mógł on poznać jej zrazu, bo osłonioną miała twarz i głowę czepcem zamężnych niewiast... Dopiero zbliżywszy się do niej, gdy mu się do kolan kłaniała, ujrzał w niej siostrę swą, Hożę.

— A skądże ty tutaj? — zapytał — jakim sposobem?

Hoża poczęła od rzewnego płaczu... zaszła się, tułac twarz w chustach, i nie mogła mówić długo...

— Gdzie mąż twój? — zapytał Włast...

Po nowych łzach i płaczu domysleć się mógł brat, iż jakiś los nieszczęśliwy spotkać musiał Wojśława; nie chciał już naglić o odpowiedź, bo Hoża coraz nowemi zalewała się łzami.

Jarmierz, który za nią stał, szepnął mu na ucho, że dziesiętnicy Mieszkowi długo się za Wojśławem z jego rozkazu uganiiali, wreszcie nocą go napadli w chacie leśnej, związanego wzięli na gród, a tam nazajutrz Mieszko obwiesić go kazał...

Hoża, oplakując męża, nie wiedząc, co począć ze swem sieroctwem i wdowieństwem, pieszko przywlekała się do rodzicielskiego domu, w którym musiała szukać przytułku...

Upewnił ją Włast, że może pozostać i mieszkać jak u rodzica, pocieszając zasmuconą. Zdziwiło go tylko, że kneź, który go widywał ciągle i mawiał z nim prawie co dnia, ani o odbudowaniu dworu,

ani o sprawiedliwości, domierzonej nad Wojśławem, nie wspomniął nigdy.

Pan był milczący i zamknięty.

Tak, w nowo odbudowanym dworze, pierwszy wieczór spędził Włast, któremu siostra po staremu usługiwać chciała... Nie dopuścił jednak tego, rozkazał jej usiąść razem do stołu, przy którym i Jarmierz zajął miejsce... Radowało się serce jego myślą tą, że Opatrzność zesłała mu siostrę, aby, jak ojciec, nawróconą została. Zdało mu się też, że i Jarmierza, już przygotowanego, łatwo do przyjęcia nowej wiary skłonić potrafi...

Ale pierwszego tego wieczora zaraz, gdy z niecierpliwych ust wyrwały mu się już wyrazy natchnione, przekonać się mógł jak daleko stały pojęcia tych biednych ludzi, w nieświadomości wychowanych, wykarmionych życiem innem od chrześcijańskich wyobrażeń...

Hoża wprawdzie słuchała go chętnie, lecz więcej ją zdumiewało to, co mówił, niż przekonywało...

Włast postanowił cierpliwie, powolnie, wytrwale poświęcić się zyskaniu tych dusz... W myśl jego było połączenie siostry z Jarmierzem i oddanie im po ojcu majątności. Sam on dla siebie nie potrzebował nic, chciał wymówić sobie tylko kaplicę i w tym domu pierwszych chrześcijan gromadzić.

Bliskość zamku, położenie w lesie i na ustroni czyniło miejsce dogodnem... Zdawało mu się, że ci co z dymem raz dwór puścili, drugi już raz ważyć się nań i porwać nie będą śmieli.

Najpiękniejszymi marzeniami kołysany, po długiej wieczornej u domowego ołtarza modlitwie, Włast legł spocząć, nazajutrz dodnia chcąc powrócić do zamku, w którym spodziewał się zastać więcej ciszy i spokoju... Rano przy drzwiach zamkniętych odprawivszy tu pierwszą Ofiarę za duszę ojca, pomodliwszy się na grobie jego, pożegnawszy czule siostrę, przeprowadzany długo przez Jarmierza, Włast

na duchu spokojny i szczęśliwy na zamek nad Cybiną powracał...

Zawiódł się tylko, sądząc, iż tu już pokój panował, teraz bowiem, po przyjęciu Czechów, następowało huczne ich pożegnanie.

VI.

Po odprawieniu poczęstnem Czechów, obdarzonych sowicie, których Mieszko wkrótce do granicy odesłał, — cisza znowu na zamek wróciła, i na pozór nic się w nim nie zmieniło.

Nie poruszano ani chramu w Gnieźnie na górze Lecha, ani starej na grodzie nad Cybiną świątyni — kapłani chrześcijańscy nie odprawiali jawnie obrzędów nowej wiary, żadnymi oznakami nie objawiała się ona na zewnątrz.

Ks. Jordan odprawiał pocichu mszę świętą w zamkowej kaplicy, ale Dubrawka z trudnością mogła na nią męża przyciągnąć. Nowo i dawniej nawróceni gromadzili się pocichu na Krasnejgórze. Gdy następowały dnie, które Kościół zwykł uroczyscie obchodzić, — drogami różnemi zewsząd ściągali ludzie do dworu Luboniów i zbierali się w małej kapliczce. Często przebywali tu po dwa i trzy dni, przyjmowani przez Włastę, spędzając większą część godzin na nabożeństwie.

Śpiewy dawały się słyszeć coraz śmielej i choć się na pozór jeszcze ukrywano, z każdym dniem w wyznawcach Chrystusowych odwaga rosła. Dawało jej to, co się działo na zamku kneziowskim, a nikomu tajemnie nie było.

Jarmierz z obawy napaści jakiej pilno około dworu stróżował, wpuszczał do zagrody tylko znajomych ludzi. Zdawało się też, iż wróżbici i gorliwsi obrońcy bałwochwaltwa, choć się uparcie przy niem

trzymali, cofali się w głąb lasów i ukrywać starali. Można było sądzić, że stracili odwagę do dalszych występów.

Około dworu czasem się niepostrzeżenie snuli różni ludzie; nie zwracano na nich uwagi, gdyż się zdawało, że trzymali a parobcy i czeladź, mająca stosunki podejrzone, zresztą się ukrywała z niemi.

Jarmierz był już ochrzczony, gorliwie uczył się obowiązków chrześcijanina; Hoża też, nie opierając się woli brata, słuchała go i zdawała się nauki brać do serca.

Na zamku, choć Mieszko na pozór nie czynił nic, robiło się bardzo wiele. Ks. Jordan był duszą wszystkiego; choć Niemiec pochodzeniem, był prawdziwym chrześcijaninem i przywiązał się dawno do Słowian, teraz do Polan, których stał się bratem serdecznym. Pan Bóg go stworzył do tego posłannictwa, dając mu anielską cierpliwość, wesele, a przytomność ducha, nieopuszczające go nigdy.

Na grodzie zbierały się ciągle kupy wojska, wśród którego ks. Jordan prawie nieustannie się krzątał. Dawał się spoufalać z sobą, zyskiwał ludzi przysługami i datkami, a potem na proste umysły umiał działać bardzo prostymi środkami. Toż samo, na inny tylko sposób, Dobrosław robił u dworu.

Nie upłynął tydzień, ażeby w kaplicy książęcej nie ochrzczono kogoś potajemnie — a każdy neofita stawał się natychmiast narzędziem do nawracania towarzyszy.

Z władków i żupanów kilkunastu już dało się skłonić do przyjęcia chrztu i ci w domach swych tygodniami ugaszczali ks. Jordana. Wiara chrześcijańska miała dla nich, oprócz tego uroku, jaki jej tylko był właściwym — jakąś potęgę wyższości, siły, którą z sobą niosła, mającej kraj podnieść, odrodzić i postawić go na stopniu równym innym.

Możniejsi wiedzieli, jak stały naówczas chrześcijańskie narody, zamożnością, obfitością wszystkiego, umiejętnością życia w pokoju i wojnie. Przykład

Mieszka, połączonego z żoną chrześcijanką, gotowe go do przyjęcia uroczystego tej wiary (z czego nie czyniono tajemnicy) skłaniał możniejszych do naśladowania.

Dubrawka otwarcie ich do tego namawiała i nagliła o pościech.

Chociaż wszystko na pozór jakaś osłaniała tajemnica, lud, który stał przy swych starych bogach, — wróżbici i gęślarze, — starszyzna, ofiarnicy wiedzieli dobrze, co się po dworach działo, co na zamku gotowano w milczeniu. Obawiając się jawny stawieć opór, zbiegali starowiercy w głębie lasów, knowali i przemyślali nad zemstą, grozili nią, ale na nic się porywać nie śmieli. Starszyzna czekać kazała pomysłniejszej doby, wojny lub zawikłania. Szukano wodza a znaleźć go było trudno.

Mieszko był milczący i nieczynny, — lecz znali go — był im strasznym. Wiedzano, że to, co go otacza, dwór, wojsko, urzędnicy będą mu ślepo posłuszni. Nie było zresztą pozoru do poruszenia ludu, bo jawnie kneź nie uczynił przeciwko staremu obyczajowi.

Z każdym dniem tymczasem rosło a mnożyło się chrześcijaństwo, — najmniej jednak między ludem, który trzymał się tego, do czego nawykł od wieków.

Na oko więc spokój był największy, ale kneź wiedział przez swych ludzi, że po lasach wrzało i opór się przysposabiał. Dlatego może, chcąc być pewniejszym zwycięstwa, zwlekał kroki stanowcze... W ciszy uroczystej przysposabiało się to dzieło, które o przyszłości narodu stanowić miało.

Wśród tego niewidomego trudu, ucierano się na granicy z Geronem i jego namiestnikami, Mieszko wychodził sam, wysyłał Sydbora — walczył ze szczęściem różnem.

Nadchodziły święta Wielkanocne.

Ks. Jordan wielkie ponosił utrapienie z kneziem, do postu go nie mogąc nałamać, w czem mu i Dubrawka mało pomogła. Mieszko wcale ich słuchać

nie chciał, mięso na stół przynosić kazał, żonę do jedzenia zmuszał i lekce sobie to ważył. Miał się już ów czterdziestodniowy post ku końcowi, gdy jednego dnia nagle zapowiedziano podróż jakąś.

Dubrawka, śmiejąc się, spytała go, czyliby od tej nakazanej wstrzemięźliwości uciekał. Rozciągała się ona bowiem, jak widzimy z opowiadań Ditmara, nietylko do użycia mięsa, ale do wszelkich innych przyjemności cielesnych, od których się czasu postu powściągać musiano.

Mieszko jakoś na te przestrogi i namowy był głuchym dotąd i pytanie Dubrawki zbył dwuznacznem głowy ruszeniem.

Badala go, dokąd jechał, — ale śmiechem i milczeniem odpowiadał; próbowała się dowiedzieć, czy zabawi długo. Rzekł obojętnie, że tego naprzód obrachować nie może.

Podróż ta zapowiadała coś tajemniczego, niezwyčajnego. Książę wyruszał zwykle w licznym pochodzie, teraz załedwie kilkunastu wyznaczył ludzi. Między innymi, co było najdziwniejsza, i ks. Jordan miał mu towarzyszyć. Suknie i konie, z których baczna Dubrawka odgadnąć coś chciała, wybrane były tak, jakby kneź się ze swem dostojemstwem niebardzo chciał objawiać. Orszak też ani zbyt lichym być miał, ani nadto okazałym...

Trwoga jakaś ogarnęła żonę. Znajac męstwo męża, mogła się obawiać, że się zuchwale z garścią tą gdzieś rzucić może. Próbowała się dowiedzieć od ks. Jordana o cel wycieczki, lecz kapłan jej słowem swem zaręczył, że nie zna go, nie wie o niczem, a wezwany, posłusznym być musi.

Jednej nocy, dobrze przed ranem, nim się reszta dworu przebudziła, kneź siadł na koń i z tą szczupłą garstką zniknął z grodu. Nie wiedzano nawet, w którą udał się stronę.

Stara Różana, która usiłowała sobie zaskarbić łaski nowej pani, tegoż dnia szepnęła jej pocichu, iż od szatnego się dowiedziała, jakoby Mieszko

w podróż szaty i zbroje pobrał na krój niemiecki— a ludzi też kazał tak poodziewać, aby niełatwo poznać można, do kogo należeli. Zdawało się więc to dowodzić, że się udać musiał do Niemiec, co i towarzystwo ks. Jordana potwierdzało.

Wiedziała Dubrawka o tem, że sąsiadując a nieustannie mając do czynienia z Niemcami, Mieszko od dzieciństwa języka ich dobrze się wyuczył; mógł więc przekraść się niepostrzeżony. Ale myśl tej wyprawy trwogą napelniała serce Dubrawki; bo z twarzą mógł go łatwo poznać niejedyn nieprzyjaciel, co go widział zblizka na polu bitwy, lub przy zjazdach i umowach na granicy.

Wistocie, Mieszko, nikomu się nie zwierzywszy z tego, dążył ku granicy niemieckiej do Sasów.

Na pół drogi zjechał się z nim Chotek, nawrócony, dawniej wódz Lutyków, z którym stosunki były częste, choć tajemne; Mieszko połączył się z nim, przybrał imię Wrotka knezia, krewniaka jego, i w podjonym orszaku wkroczyli na niemieckie ziemie.

Nie lękał się od nikogo zdrady, gdyż najmniejszej po sobie nie okazując obawy, — jechał jako sprzymierzeniec cesarski, przeryniając się ku Quedlinburgowi, gdzie zwykłym swym obyczajem cesarz Otto święta miał przepędzać.

Znając dotąd tylko z posłuchów kraje niemieckie, Mieszko po raz pierwszy mógł się im przypatrzyć zblizka i przekonać o wielkiej różnicy między niemi a ziemiami słowiańskimi.

Przejeżdżali miasta, osady, mijali zamki, świadczące o urządzeniu kraju zupełnie różnem, i na pozór tak silnem— że wojna nigdy go całkiem spustoszyć nie mogła... Ludzie tu trzymali się spójnie i karnie, wszędzie nad sobą mając władzę surową.

Podróż szła powoli a w drodze było się czemu przypatrywać. Kościoły i klasztory, stojące po wszystkich znaczniejszych osadach, wyglądały wspaniale; dwa razy ks. Jordan zapukał do wrót gościnnych

opactw i monasterów, i zgromadzeniom tym a kunstom, które one uprawiały, Mieszko się przyglądał ze zdumieniem. W owej epoce przepisywanie ozdobne rękopisów, malowanie, rzeźba, złotnictwo, szczególnie dla potrzeb kościoła i klasztorów, były w rękach zakonników. Oni kuli sprzęty ze srebra, złota i bronzu, i okrywali je świetnymi barwami. Duchowieństwo świeckie i zakonne nie tylko w tem, we wszystkim przodowało.

Tryb życia i porządek był tu całę inny. Siła, która wcale nie istniała u Słowian,—bo tam kapłanami byli naczelnicy rodzin, starszyzna, kneziowie, wróżbici; siła osobnego stanu kapłańskiego, występująca obok i na równi z władzą świecką, podpierająca ją, kierująca nią razem, tu się objawiała Mieszkowi, jako nowa i nieznana.

W obecnej chwili cesarska potęga Ottona była tak wielką, że sobie przywłaszczała zwierzchnictwo i nad duchowieństwem; właśnie był cesarz zrzucił Jana XII, a Leona VIII na stolicy osadził, zapewniając dla swych następców prawo ustanawiania Głowy Kościoła, — a jednak cesarz ten sam ulegać musiał duchowieństwu i w niczem sprzeciwiać mu się nie mógł. Otaczało go ono czcią,—ale stało na straży prawa i sumienia, wskazywało drogi, broniło fałszywych, groziło karami, rzucało anathemy...

Była to siła nieznana słowiańskiemu panu; a tej poddać się i on musiał. Stała ona ponad wszystkim,—cesarz klonił przed nią głowę.

Po drodze ustępować musieli z drogi orszakom biskupów, świetniejszym, niż świeckich hrabiów i książąt, potężnie zbrojnym, ciągnącym z bogatemi dwory, okazałością i powagą — a choć edykta zakazywały zbroi i hełmu duchownym (wyrzucano ich używanie Janowi XIII), wielu prałatów jechało przy mieczach i we zbroi.

Ks. Jordan opowiadał ciągle, ile to ziem i osad należało do kościołów, ile szlachty wpisało się w ich opiekę i poddaństwo. On mu był tłumaczem wielu

zagadkowych rzeczy, które poganinowi, na pierwszy rzut oka, zrozumieć było trudno. Uderzały one silnie człowieka nieobeznanego z tym światem nowym, z jego hierarchią i porządkami, ale Mieszko umiał tak pokrywać swe zdziwienie, iż się z niem nie wydawał weale...

Nie unikali spotkań i znajomości; Chotek, towarzysząc Mieszkowi, znał tu wodzów i grałów wielu, przed którymi pokornym był sługą, choć w duszy ich nienawidził, — wdawano się więc w rozmowy, i ciekawych spraw nasłuchiwać się było można.

Kneź, z którego twarzy biła buta nieposkromiona, jak mógł pokornego Lutyka udawał... Ten i ów pytał ich, po co i z czem jechali;—Mieszko mruczał, że z pokłonem i ciekawością jedzie, aby tak możnego władcę, jak cesarz Otto, zobaczyć. Nikogo to nie dziwiło, ciągnęli również, jak widziano, posłowie od Ugrów, Bulgarów, Duńczyków i Greków.

Było to w wielkim tygodniu; wiosna acz wczesna, niestała była i przemienna, deszcz i śnieg ze słońcem walczyły, drogi kałużami stały, rzeczki były wezbrane i podróż uprzykrzona szła powoli. A gdy ku Quedlinburgowi się zbliżali, coraz było tłumnie na gościńcach.

Wzgórzystsza coraz okolica, piękna dla oka, jeszcze się w zieloną trawę nie była całkiem przybrała, łąki już tylko młodą trawą się okryły... Tu oczów od najrozmaitszych widowisk oderwać było trudno: tłumami płynęły ku miastu poczty książąt, grałów, markgrałów, biskupów i wszelkiego ludu. Wśród nich spotykały się i słowiańskie książątka zawojowane, ciągnące z żalami i prośbami do cesarza. Konne te poczty, zbrojne różnie, każdy odziany inaczej, mówiące językami najrozmaitszemi, spoglądały na siebie ciekawie, często niebardzo przyjaźnie, szydersko nawet i wzgardliwie. Grekom śmiesznie wydawały się obciste frankijskie stroje, Bulgarom słowiańskie okrycia głów, a tym, co z odkrytymi włosami

mi jechali, czapki Włochów zdawały się próżnym ciężarem.

Mieszko, choć pańsko wyglądał z lica, z małym swym, niepokaźnym orszakiem, ginął w tej powodzi. Było mu to może na rękę, gdyż więcej pragnął widzieć, niżeli być widzianym. Wiodło mu się też bardzo szczęśliwie, i nie zwracał oczów na siebie, aż o pół dnia drogi do miejsca, ku któremu dążyli, — cale niespodzianie, a bez niczyjej winy, o mało zdradzonemu nie został...

Z rana, spuszczać się z góry, natrafili na liczny i okazały poczet, który z dala ciekawość knezia obudził. Dla dognania go puszczone konie klusem, i, w chwili, gdy się mijać mieli, obróciwszy się, Mieszko poznał na przedzie jadącego szwagra swego, młodego Bolka czeskiego. On też przez niego postrzeżonym został i poznanym; nie pozostało mu więc nic, jeno zatrzymawszy konia, przyznać się do potajemnej wycieczki pod cudzem imieniem.

— Spodziewam się — rzekł Mieszko, — że ani wy, ani ludzie wasi nie zechcecie wydać, kim jestem. Jadę, abym się przypatrzył oczyma własnymi temu, o czem mi ludzie opowiadali, — ale nie chcę, aby o mnie wiedziano.

Bolko nie tylko zgodził się na to chętnie, ale dla bezpieczeństwa większego, zaprosił, aby się Mieszko z nim połączył, by jadąc w jego orszaku, mniej jeszcze oczów zwracał na siebie. Tak się też stało i skromnie w poczet Czechów się wmieszawszy z ludźmi swoimi, chętnie zgodził się kneź na podrzędne stanowisko, Bolkowi dając pierwszeństwo.

Chociaż w tym roku napływ na dwór cesarski mniejszym był może, niż w innych latach, zawsze jeszcze był dość znacznym, aby dać pojęcie o potęgę cesarza Ottona. W murach miasta, na zamku, cesarz zaledwie i najbliżsi go z rodziny i dworu, a najdosłojniejsi z duchowieństwa, arcybiskupi, książęta Kolonii, Trewiru, Moguncyi pomieścić się mogli,

reszta gospody sobie pod namiotami w polu szukać musiała nad obu ramionami Budy.

Poczty pańskie, niemal wszystkie dokoła, na równinie i stokach wzgórz otaczających rozkładały się obozami, a namioty różnobarwne, szalasy i budy wielką już przestrzeń zajmowały... Gdziekolwiek ponad niemi powiewały małe chorągiewki z przeróżnymi znakami.

Wśród ciżby wojskowej i ciurów tłum najróżnorodniejszych handlarzy, kupców, kuglarzy i posługaczy roił się, wykrzykując i nawołując. Bliżej bramy miasta, przy wozach okrytych, kupcy z Wenecyi i Amalfi dobijali się do wniścia dla sprzedaży... Na tysiące liczyć było można poczty panów, które już Bolka i Mieszka poprzedziły, tak że chcąc sobie dogodnie i niezbyt odległe znaleźć miejsce na obozowisko, musieli długo szukać, dobierać, a potem się o nie prawie z orężem w ręku dobijać jeszcze.

Z samego miasta mocnymi murami i wieżami obwarowanego, widoczniejszymi były, niż pałac cesarski, klasztory i kościoły, niedawno jeszcze z wielką wspaniałością wzniesione a obwarowane. Cesarskiej krwi niewiasty pobożne pierwszymi tu były opactwa przeoryszami; w zamkowym kościele sascy panowie wystawili grób dla siebie; tu spoczął Henryk, ojciec Ottona, i matka jego. Kopuły i krzyże kościelne wysoko panowały nad grodem.

Zaledwie spoczawszy na wytkniętem obozowisku, które Bolko znamię swem na włócznie osadzone naznaczyć kazał, wdziawszy suknie i przypasawszy miecze, Bolko i Mieszko razem poszli do kościoła. Na nieszpornem nabożeństwie najłatwiej mogli ujrzeć pobożnego pana, którego oba oglądać byli ciekawi.

Z niemi i za niemi siedł tłum mnogi z obozu ku kościołom, wśród którego różne narodowości rozpoznać lub domyślać się mogli.

Prostota strojów frankijskich mieszała się z grecką, ze wschodu przywiezioną wykwintnością, krótkie

oponcze niemieckie ocierały o płaszcze dalmackie faldziste; szli giermkowie dwubarwni, których odzież napół była żółta i niebieska, obok rycerzy zbrojnych jakoby do wojny z dzidami w ręku, tarczami, nożami u pasa i mieczami. Jedni z długimi włosami i odkrytymi głowami, drudzy w skórzanych, blachami obciążanych hełmach, inni w słomianych kapeluszach i czapkach futrzanych... Wprawniejsze oko mogło rozeznąć Sasów, Bawarczyków, Franków i Szwabów, Włochów i Duńczyków, Greków i Ugrów w dziwnych strojach przybranych bogato. Fryzjskie płaszcze, greckie okrycia, jedwab i wełna składały się na ubiory pstre i jaskrawe, a błyskotkami nawieszane. Dawna prostota Franków już ustępowała obyczajowi nowemu. Przepych dworu saskiego i bizanckiego odbijał się w holdownikach Ottona, który Rzym i Włochy zagarnawszy, z nich miłość wystawności i błyskotek przyniósł z sobą.

Do kościoła zaledwie się już mogli docisnąć. Mieszko po raz pierwszy oglądał zbliżka budowę z takim kunsztem i okazałością, jakby nie ludzką ręką wzniesioną. Kamienne jej wyniosłe ściany, sklepienia wiszące w powietrzu, ozdoby, oświetlenie, bogactwo ołtarzów, choć teraz nawpół zasłonięte żałobnymi okrytymi, szaty duchownych, naczynia ofiarne, postacie Ukrzyżowanego, gołęb złocisty nad ołtarzem, zdający się ulatywać w powietrzu, skrzydlate anioły, olbrzymie posągi, przejmujące grozą, surowe i straszne, odgłos śpiewów pełnych boleści, uroczysty spokój świątyni i pokora wszystkich w niej znajdujących się, uczyniły wrażenie jakiejś trwogi i niepokoju na mieszkańcach i panu krajów, żyjących w pierwotnych wiekach prostocie.

Trony — cesarski i biskupi, stojące naprzeciw siebie, zwróciły naprzód jego oczy. Na jednym z nich siedział w czapce ze złocistym kołem i przepaską kamieniami sadzoną mąż surowej twarzy, z brodą ciemną, nieostrzyżoną, z pochylonem czołem, zamysłony i smutny. Twarz to była rycerza i pana, czło-

wieka nawykłego walczyć z losem i przełamywać, co stało na drodze, poorana marszczkami, fałdami, porznięta, ogorzała, zmęczona.

Domyśleć się było można w nim ojca, co musiał walczyć z synem, z bratem, papieżem, z cesarzem byzantyjskim, z Saraceny i Ugami, ze Słowian i własnym narodem, który zwyciężył wszystkich i teraz spoczywał w swej sile, marząc o połączeniu dwóch koron cesarskich na jednej skroni, przez Teofanię dla syna wyswataną. Odziany płaszczem purpurowym, obszytym klejnotami, spiętym kłamrą iskrzącą na piersi; w przepasanej kosztownym pasem od miecza tunice, w szkarłatnym obuwii, Otto siedział na tronie złotym, którego dwie lwie paszczęki z pod fałdów płaszcza wyglądały. Zamyślony słuchał pieśni, która się lała powoli jak krew z rany. Nie rozumiejąc słów jej, czuć było jęk, jakby konających z rozpacz...

Tuż przy tronie, na stopniach aż do dołu i posadzki, ustawieni byli, jak posągi nieruchome, cesarscy urzędnicy, wedle dostojenstwa, dzierżący miecze, laski, tarcze pańskie i godła władzy... Z odkrytymi głowami, ze wzrokiem spuszczonego, obwieszani łańcuchami, okryci płaszczami bogatymi... czuwali na straży przy panu.

Naprzeciw, na drugim tronie, niższym, ale również wspaniałym jak cesarski, pod baldachimem także siedział starzec z brodą siwą, z głową okrytą czapką podróżną złocistą, od której dwa końce sztyte spadały, w płaszczu bogatym, ze złotą laską pasterską w rękę. Otaczał go równie prawie liczny orszak duchowieństwa, przyklękającego przed nim, przynoszącego mu światło i kadzidło... podtrzymującego księgi w złotych okładzinach, rękami ich gołymi dotknąć nie śmiejąc.

Przed nimi obu i nad nimi wznosił się ołtarz, a wśród niego na prostym krzyżu z ledwie ociosanego drzewa umęczony Zbawiciel, ranami okryty,

konający, odarty, w cierniowej koronie, królował wyżej purpury i złota, w majestacie boleści.

Mieszko, duchem poganin jeszcze, nie rozumiał tego Boga, ale drżał przed nim...

Niżej stał tłum ogromny: w żelazo okuci rycerze, cali w łuskowych kaftanach, niektórzy z tarczami krągłymi, po których Duńczyków poznać było można; inni z owalnymi rzymskimi, inni ogromnymi puklerzami gockimi, z mieczami u nasadzanych pasów złotych, w blachach, w okryciach jasnych, w strojach najrozmaitszych, Longobardowie, Włochy, Skandynawowie, Grecy, Dalmaci, Bulgarowie, Francuzi...

Na każdej z tych twarzy czarnych, bladych, śniadych, czerwonych, żółtych, napiętnowanej pochodzeniem odmiennym, inny charakter. inne tryskało uczucie i myśl, to rozbudzona, to napół uśpiona, to w pieluchach dziecięcych drzemiąca...

Wszystkie te sprzeczności, niesłowności, zapamiętania w milczącej cześci łączyła jedność wiary i jedna karna podległość władzy.

Potęga tego Boga i pana chrześcijan, który w jego imieniu sprawiał rządy nad światem, nigdzie się wyraźniej odmalować nie mogła, jak tu i w tej chwili. Na skinienie tych dwu tronów w najodleglejsze krańce ziemi gotowe były biedz te hufce zbrojne.

Mógłże Mieszko walczyć z tą siłą, jak łałe wezbranego morza, wylewające się na ziemię?

Stał on wpatrzony, zamyślony, a w głowie jego przesuwano się zarazem wspomnienie o wszystkich ziemiach jednej mowy, rozdzielonych, rozproszonych, rozbitych, które on mógł w Imię samej Bożej potęgi zjednoczyć.

Mieszko, czy Bolko, ktokolwiekby miał rozum i siłę, nie miałaby państwa od granic Byzancjum aż po rubieżę Ottona?

Upokorzenie, uczucie słabości, jakiego doznał na chwilę, ustąpiło dumie pewnej i nadziei. Sasey ksią-

żęta w swem gnieździe nad Łabą byliż dawniej potężniejsi od niego?...

Ażeby dorosnąć do tej potęgi, potrzeba było tylko siłę tych dwu tronów uścić, sprzymierzyć się z nią, pokłonić jej, cierpieć, milczeć, unżyć się, by się podnieść a może dopiero w spadku pokoleniom zostawić owoc tego upokorzenia i ofiary.

Gdy w chórze brzmiały żałobne pieśni kościelne, Mieszko stał, myśląc o sobie, o przeszłości rodu i narodu swojego, okiem trwożliwym badał tę twarz cesarską, niepojętą dlań, bo widział na niej teraz pokorę tylko i smutek. Tak pokornym musiał on być, aby pozyskać siłę...

Ściśnięci wśród mnóstwa napelniającego świątynię, stali aż do końca długich modłów i śpiewów. Umilkły one wreszcie i cesarz, przyklękawszy, ruszył ze swojego tronu, przeprowadzany przez biskupa i duchowieństwo. Niesiono przed nim światło i kadzono mu, jak bóstwu. Szeregiem przed nim postępowali dostojnicy dzierżący miecze, tarcze, laski, rozgarniający tłum, strzegący, aby się suknia pańska nie otarła o ciżbę poślednią. W tym orszaku szedł Billing saski i Otto król syn cesarski, i Luitgarda, i książęta bawarscy, i mnodzy inni.

We drzwiach świątyni znikallo powoli widzenie, kościół ciemniał, mrok i cisza zalegała go, lampy płonęły tylko u grobu Chrystusa...

Bolko i Mieszko stali długo, przypatrując się odpywającym tłumom, które po ulicach miasta, w podwórcach pałacu i drzwiach domostw znikwały.

I im pora była odchodzić do obozu, gdyż do oblicza cesarskiego nawet zdaleka nie przystępował, kto chciał. Poszli więc w milczeniu, nie mówiąc nawet do siebie, i dostawszy się do bramy, znaleźli się na obozowisku. Tu paliły się latarnie, gdzieś gdzieś pobrzękiwała muzyka i mimo żałoby odzywały się śpiewki, konie rżały, a okolica przypominała przeddzień bitwy, gdy się wojsko położy napół, wpół czuwa, aby nazajutrz do boju gotowem było.

Mieszko uściskałszy szwagra, nie mówiąc słowa o tem, co widział, pod swoim namiotem legł na spoczynek.

VII.

Pierwszego dnia Wielkiej Nocy cesarz Otto, po nabożeństwie, dawał posłuchanie zdala przybyłym posłom, panom i książętom. Bolkowi czeskiemu ten dzień tam do złożenia hołdu był wyznaczony.

Każdy z książąt szedł z poczetem swoim, który w pierwszej izbie zwykle pozostawał. Przystęp do cesarza nie był łatwym; otaczał go dwór wielki, ogarniali proszący, skarżący się, domagający posiłków i pomocy, przybyli z daleka. Wielu odsyłał pan do swych kanclerzy, pisarzy i starszyny licznej nad miarę, z niektórymi wymieniał słowo dobre, innych całkiem przypuścić nie dozwolił. Stali ci, co gniew na siebie ściągęli, po trzy dni w podwórcach, a wkońcu czasem wyniesiono im odpowiedź, aby na rok następny przybyli. *)

Cesarz dla Bolka jako świeżego sprzymierzeńca, mając w pamięci Ugrów może i Lehowe pole, łaskawszym się okazał. Wpuszczono go dla pokłonu, a Mieszko wmieszawszy się między poczet szwagra, zdala się tylko przypatrzeć mógł majestatowi cesarskiemu. Otto siedział na złocistem krześle, okrytem poduszkami szkarłatnemi, w jedwabnej sukni lekkiej, perlami obszywanej. Poza nim stał dwór cały w łańcuchach, szkarłatach, drogich futrach i pasach kamieniami sadzonych. Niedaleko tronu srebrny stół pozłocisty, na którym widać było wyrity wizerunek stolicy Byzancyum, zastawiony kubki i naczyniami złocistemi, okryty tuwialniami szytymi, błyszczał, jak ołtarz kościelny. Obok starego Ottona stał syn w złotogłowi i jedwabiach, sparty na wielkim mieczu,

*) Ditmar.

którego pochwa iskrzyła się od szmaragdów i rubinów. Bogactwa zdawały się nagromadzone umyślnie dokoła, aby olśnić tych, co cesarzowi pokłonić się przychodzili. Wszystko, na co ówczesna sztuka grecka, handel wschodu, zręczność Włochów i Galów zdobyć się mogła, otaczało cesarza. Szkarłaty, o które się tak dobijał Luitprand dla Ottona, jak o rękę Teofanii dla syna jego, rozlegały się wszędzie. Podłogę wyścielały kobierce, ściany okrywały szyte ręką królowej Matyldy, córki Luitgardy i Matyldy opony wzorzyste.

Wszystko to jednak najmniej Mieszka zdumiewało; w swym skarbcu, w drewnianym dworze nad Cybiną, miał tyleż drogiego kruszcu, co Otto. Zazdrościł mu nie złota i jedwabiu, ale powagi i siły, zjednoczonych ludów, podbitych narodów, szerokich granic i mnogości hołdowników. Zdala patrzył na cesarza, na syna, jakby badał myśl ich i ducha...

Bolka przyjął Otto łaskawie, o ojca starego zapytał; o Ugrów, których posłowie przybyli, zagadnął... skinął i odprawił.

Tegoż dnia wezwano Bolka z poczem jego przedniejszym do pańskiego stołu, i mieli честь obiadować z niemieckimi książętami, poglądającymi na chrzczone Słowian jak na stworzenia, co ledwie ludźmi nazwać się mogły. Mieszko słuchał, jak się na niego odgrażano i jak mu wrócono zagładę. Napróżno Bolko oznajmił, iż wkrótce wiara chrześcijańska ogłoszoną zostanie u Polan, szydzono z tego i naśmiewano się.

Któryś z markgrafów ozwał się, że jeden tylko Gero chrzci skutecznie Słowian, przypominając tę ucztę, na którą zaprosiwszy kilkudziesięciu wodzów słowiańskich, markgraf ich wszystkich w pień wyrznać kazał.

Już ku końcowi utrapionej biesiady przyszło im być świadkami niespodzianego wcale wypadku.

W podwórzu wrzawliwe zaczęły się odzywać głosy: najwięcej jeden górujący zuchwale nad innemi.

Poskoczyła więc pośpiesznie służba cesarska, aby uśmierzyć wrzawę, gdyż Ottona brwi groźnie się marszczyć zaczynały. W drugiej komnacie, do której drzwi były odsłonięte, siedział cesarz u srebrnego stołu, z córkami i synem. Dano mu znać, iż gwałtownie i natarczywie dobijał się przypuszczenia Wigman, graf Lunenburgski.

Był to krewniak cesarski, którego Włast spotkał na zamku grafa Gozberta, niespokojny duch, któremu zdało się może, że jak Ludolf i Thankmar, potrafi zmusić Ottona do dania mu jakiej marchii nad granicą lub księstwa wewnątrz Niemiec.

Znano go wszakże zbyt dobrze, aby mu zaufać miano. Wigman miewał sobie poruczone zlecenia i dowództwa, a nigdy z żadnej sprawy nie wyszedł inaczej, jak z waśnią i bójką. Dosyć było imienia Wigmana, by cesarzowi popsuć biesiadę i myśl wesolą, wysłał natychmiast przeciw niemu podkomorzego, czekać mu w podwórzu rozkazując.

Wigmanowi, który się mianował jakimś siostrzeńcem Ottonowym, w podwórzu między gawiedzią, wystawionemu na pośmiewisko, stać się nie chciało. Odparł więc hardo, że czekać będzie, ale nie z pacholkami, tylko w cesarskich komnatkach i wszedł gwałtem prawie do pierwszej z nich, gdzie właśnie między innymi książętami i grafami Bolko z Mieszkim siedzieli. A że niejedną już raz kneź się z nim oko w oko w bitwach spotykał i dobrze się znali, uląkł się przeto Mieszko, aby nie był przezeń wskazanym, i podparłszy się na stole, twarz sobie w części zasłonił.

Gdyby Wigman go publicznie po imieniu nazwał, a podstępne przybycie na dwór cesarski odkryło się, Mieszkowi groziło niebezpieczeństwo, bo nie będąc jeszcze sprzymierzeńcem Ottona, za szpiega wypatrującego mógłby być wzięty.

Szcześnie dla niego, Wigman wszedł jeszcze cały oburzony i gniewny za doznane przyjęcie obelżywe i niewiele widział, co się wokoło niego działo.

Stanąwszy naprzeciwko drzwi i stołu cesarskiego, wlepił oczy w Ottona i już ich z niego nie spuścił. Cesarz zaś, który i widział go pewnie i słyszał, i przez podkomorzego był o nim zawiadomiony, choć siedział naprzeciw, ani nań spojrzął, ani okazał, że się oń troszczy. Śmiał się i rozmawiał, umyślnie niby objawiając, że go to nic nie obchodzi, a przeciągnął siedzenie u stołu, aby zuchwałego człowieka upokorzyć.

Wigman, któremu pewnie stało na to, aby wystąpił przed cesarzem, jak dla niego przystało, ubrał się ubogo, odarto, niemal brudno, we zbroję porwaną, w chodaki poszarpane, miecz na ladajakim pasku... aby okazał, jak krewniaka w nędzy opuszczono. Lecz mimo to duma biła mu z zaszępionej twarzy i strój jeszcze wybitniej podnosił butę człowieka, który się równym krwią z Ottonem sądził.

Wszyscy książęta, siedząc u stołu, widząc na co się tu zanosi, radzi byli doczekać końca sprawy, a spodziewać się było można, że cesarz publicznie, doznawszy hałaśliwej napaści, która jego dostojęństwu uwłaczała, zechce ją powetować tak, aby wszyscy byli świadkami upokorzenia dumnego panka.

Gdy się to przedłużało, Mieszko ciągle twarz musiał odwracać i ukrywać, aby przypadkiem w oko nie wpaść nieprzyjacielowi.

Naostatek, gdy zdjęto z przed cesarza misy srebrne i obrusy szyte, a uczta była skończona, wyszedł podkomorzy cesarski, dając znak, ażeby się Wigman przybliżył.

Jakby od niechcenia zwolna począł iść Wigman, niby pysniąc się swą odartą odzieżą i we drzwiach naprzeciwko Ottona stanąwszy, ledwie głowę przed nim skłonił.

Dopiero teraz cesarz z groźnem obliczem, zmierzyszy go oczyma, potarł gęstą i długą brodę i stłumionym głosem zapytał go, czego chce.

— Czego ja chcę, miłościwy panie — ochryplym i gniewnym tonem ozwał się Wigman — łatwo to od-

gadnąć, spojrzawszy na mnie i przypomniawszy, kto jestem. Wszyscy, nawet ci, co wojowali z cesarzem i miecz na niego podnieśli, wyposażeni są, a Wigman nie ma nic... Czas, ażeby się to skończyło.

Otto słuchał, nie patrząc nań.

— I Wigman — rzekł — wyposażony był przez cesarza... a wypłacił mu się nieposłuszeństwem i zdradą... niechże cierpi...

— Cesarskiemu domowi nie przynosi to zaszczytu — mruknął Wigman — gdy się krew jego wala, nie mając przytulku... i jak płatny ciura służyć musi...

— Gdy krew zła, to ją z żyły puszczają — odparł Otto.

Wigman się cynicznie rozśmiał.

— Nie przyszedłem prosić o łaskę, ale o sprawiedliwość... — rzekł. — Na to was Bóg posadził na tej stolicy, abyście ją sprawiali...

— I pełnię ją — odparł Otto groźnie — z większem miłosierdziem, niż surowością... Jeżeli zaprawdę zgrzeszył, to chyba łaskawością względem tych, którzy się nigdy opamiętać i nigdy poprawić nie umieją, nawet gdy się im daje czas do pokuty.

— Spójrzcież na mnie — począł, podnosząc głos, Wigman, — spójrzcie, a może wyrozumiecie, iż mam słuszość przychodzić tu z żalem i skargą. Przystałoż mi tem być, czemeście mnie uczynili?

To mówiąc i śmiejąc się szydersko, pokazał na poszarpaną odzież i zbroję.

— Nie myśmь z was uczynili takiego nędzarza, ale wy sami — zawołał cesarz. — Zamiast siedzieć na waszem hrabstwie, kumaliście się ze wszystkimi buntownikami, próbowaliście zbierać Słowian przeciw nam, wskazywaliście im drogę, chodziliście z nimi...

— Tak samo syn rodzony wasz chodził przeciw ojcu, gdy mu się niesprawiedliwość stała... Prawda, szukałem obrony u Słowian, nie mogąc sprawiedliwości znaleźć u ciebie.

— Idźże i dziś do nich, niech ci pomogą! — odparł popędliwie Otto, wskazując ku drzwiom.

Wigman stał, patrząc dumnie i szydersko.

— To ostatnie cesarskie słowo? — zapytał.

— Proście Boga, aby ono było ostatniem — zawołał Otto, — bo po niem mogłoby z ust moich wyjść jeszcze inne, któreby na wieki sprawę między mną a tobą rozstrzygnęło.

Wigman, posłyszawszy to, nie zmienił postawy, nie uląkł się i nie ruszył.

— Dobrze jest — rzekł ponuro — iż tego wyroku, groźby i przyjęcia licznych mam świadków. Nie powiedzą ludzie, że Wigman się nie upokorzył przed swym panem, nie prosił... i że został odepchnięty.

Cesarz odwrócił twarz; syn i córki stały w milczeniu, nieco się cofnawszy, widocznie strwożeni. Świadkowie w pierwszej izbie mimowolnie z zajęciem oczekiwali końca tej rozprawy, która mogła się rozstrzygnąć więzieniem lub wygnaniem. Otto wszakże ścierpiał tę dumę krewniaka, a gdy ten stał ciągle nieruchomy, dodał:

— Jedźcie, gdzie wam nakazano być, pod rozkazy Gerona, czynicie, co on poleci... a po upływie roku, gdy nie wam do zarzucenia nie będzie, zobaczmy, co wam sprawić będziemy mogli.

— Pod rozkazy Gerona? ja? pod jego zwierzchnictwo?... — krzyknął Wigman. — Jabym to ścierpiał, aby mi jeden taki prosty człek przewodził? aby mnie upokarzał i wysługiwał się?..

Cesarz nie chciał już odpowiadać; Wigman, zczekawszy i widząc, że zmiany wyprosić nie potrafi, ruszył się nareszcie.

— Niech więc się stanie, co przeznaczono — rzekł. — Nie z ręki waszej, miłościwy panie, ale z ręki Boga przyjmuję na co mnie skazujecie... będę wiedział, co mam czynić. A jakiegokolwiek następstwa z tego wynikną, niech spadną na tego, co je wywołał... Wigman jest nędznym, ubogim wojakiem, niemającym przyjaciela ani sprzymierzeńca — dodał — ale Bóg wielki... znajdują się może co go poratują i siłę mu dadzą...

Ta odgródka rozgniewała Ottona, który się zwrócił do swojego dworu.

— Dziękuj Bogu, zuchwały czlecze — zawołał — iż dnia Zmartwychwstania Pańskiego, dnia tryumfu i wesela nie chcę surowością pokalać... Oddał się natychmiast.

Otto ukazał powtórnie na drzwi.

Zaczynali się ruszać przybocznicy jego i Wigman, zapewne obawiając się, aby zuchwalszy który ręką na nim nie położył, z twarzą gniewem zmienioną, cofać się począł. Milczenie straszne w obu komnatach towarzyszyło temu powolnemu pochodowi. Jakby obawiając się napaści, Wigman na mieczu położył dłoń i niema wątpliwości, że gdyby był naówczas kto przystąpił doń, bezkarnie-by mu to nie uszło.

Cesarz zdala śledził oczyma każdy krok zuchwalego krewniaka, który nareszcie zwolna i jakby umyślnie mierzył kroki, doszedł do progu pierwszej komnaty, stąd jeszcze groźny wzrok odwrócił na cesarza, popatrzył nań wyzywająco i tak samo, nie śpiesząc, aby nie okazać bojaźni, wyszedł z pałacu.

Jakkolwiek cesarz moc swą i powagę okazał, nieprzyjemne po sobie wrażenie zostawiło to spotkanie.

Nikt nie śmiał słowa rzec, ani podnieść oczów. Jeden z podkomorzych wyjrzał za odchodzącym i śledził go w dziedzińcu. Tu Wigman dosiadł konia i w towarzystwie dwóch tylko ludzi, z których jeden wziął tarczę jego, drugi ogromny miecz jednosieczny bez pochwy, z podwórka zamkowego wyjechał.

Łacno się było domyśleć po tem rozstaniu z cesarzem, że Wigman, który już podobnego używał środka, uda się do Słowian i burzyć będzie na granicach plemiona, które najmniejszą nadzieją polechtać się dawały i nakłonić do buntu. Otto wszakże dosyć był teraz mocen na granicy, dzięki Geronowi i przymierzu z Czechami, by się warchoła jak Wig-

man, nie lękać, mogąc raczej spodziewać, iż Słowianie sami wkońcu go pochwyćą i wydadzą lub zamordują. Nie kazano go więc zatrzymać, ani go się starano ulagodzić i przejednać, puszczać wolno na losy, jakie go spotkać mogły.

Mieszko w czasie tej rozmowy przysłuchiwał się jej z nadzwyczajną uwagą, pierwszy raz słysząc cesarza; z głosu i mowy usiłował go odgadnąć. Posłużył mu Wigman więcej do poznania Ottona, niż cały pobyt w Quedlinburgu.

Dnia tego przed wieczorem jeszcze, na podwórzach młodzież rodzaj gonitwy rycerskiej odprawiała, której sam cesarz z wysokiego ganku się przypatrywał, poczem z duchownymi i panami przybocznymi na radę poszedł i na niej do późna pozostał. Niemniej jednak podkomorzowie i stolnicy, przy ciągle zastawionych stołach, gości cesarskich przyjmowali. Tak upłynęły na nabożeństwach, turniejach, biesiadach, radach i posłuchaniach dni następne, w czasie których ośmielony tem, iż go nikt nie poznawał, Mieszko korzystał z pobytu, aby się całemu porządkowi dworu cesarskiego i jego wspańnościom przypatrzeć. Ciągłe w orszaku Bolka, jako jego powinowaty, skromnie się zachowując, sądził Mieszko, iż nań wcale oczów nie zwracano i nikt o nim wiedzieć nie mógł. Nieodstępnym będąc przy Bolku, jego o wydanie tajemnicy wcale posądzać nie myślał, ani się go obawiał.

Nadeszły wreszcie dni ostatnie, gdy cesarz, jak zwykle, zaledwie święta odprawiwszy, w podróż się nazad do Włoch wybierał, których posiadanie więcej go może obchodziło, niż sprawy niemieckie. Dla tego tu gotów był łagodzić, jednać i uspokajać, ażeby tam całą siłę móżdź obrócić.

Ostatniego dnia uroczyście żegnali przybyli cesarza i każdy, wedle stopnia i stanu swojego był obdarzony. Dary te składały się z kosztownych naczyń, pasów i mieczów rycerskich dla przedniejszych osób, bogatych futer i płaszców jedwabnych, a dla po-

śledniejszych z sukien wełnianych, futer zwykłych i odzieży rozmaitej. Wymagał tego i obyczaj i cześć cesarza, aby nikt stąd nie odszedł z próżnemi rękami. Na to ostatnie posłuchanie dopuszczano każdy poczet i każdego z książąt i panów osobno, aby rycerz mógł ustnie wypowiedzieć im, czego nadal po nich wymagał. Niektórym z nich dawał zlecenia poufne, które na osobności powierzone być musiały. Przyszła tedy kolej na Bolka, a temu też baczność na Ugrów poleconą być miała, i szedł on do cesarza, gdy Mieszko, który podarku chciał uwłaczającego sobie uniknąć, zażądał, aby mu dał zostać.

Działo się to w obecności podkomorzego cesarskiego i Mieszko na ucho się zwierzał z żądaniem swemu szwagrowi, który nie wiedział, co począć, gdy urzędnik, snąc się domysłając może, o co szło, wyraził życzenie cesarza, by Bolko swoich towarzyszków poprowadził, nie odpuszczając. Nie chcąc podejrzania wzbudzić jakiegoś, Mieszko, przodem puściwszy Sławnika, szedł, starając się jak najmniej być na widoku.

Otto przyjmował wszystkich, siedząc na krześle tronowym, takim, jakie wprzód stało w kościele. Miał na sobie płaszcz purpurowy i sandały szkarłatne ze złotem. Gdy wchodzący poklonili mu się, a Bolko przystąpił naprzód, wielce to zmieszało Mieszka, iż Otto zamiast na Czechów zwrócić uwagę, pilno mu się przypatrywać zaczął. Kilku słowy potem pozdrowić kazawszy starego Bolesława, podać kazał cesarz kubek złoty, roboty misternej, sadzony perłami i kamieniami, i poprosił, by na pamiątkę go przyjął. Innym też dostały się szuby i płaszcze, i Mieszko już się bezpiecznym sądził, gdy cesarz znowu nań pilno bardzo wzrok skierował. Szepnął coś do ucha podskarbiemu swojemu, a ten mu przyniósł miecz z pasem nadzwyczaj wytwornej roboty a ceny wysokiej. Poglądali wszyscy zdziwieni, komu by go cesarz chciał dać, gdyż już nikogo tak do-

stojnego nie było, aby tak drogocenna rzecz dostać mu się mogła.

Ująwszy miecz w rękę, Otto skinął ku Mieszkowi i odezwał się z uśmiechem:

— Nie znam was, miły kneziu... nie wiem nawet, kto jesteście... Dosyć mi tego, że ze sprzymierzeńcem moim i dobrym przyjacielem przybywacie... Chciałbym, abyście i wy też byli mi przyjaznym, przyjmijcie ten miecz z życzeniem, abyście go nigdy przeciwko mnie nie podnieśli, a raczej z nim w pomoc mi przyszli w potrzebie, tak ja gotów będę was wesprzeć, gdybyście żądali...

Mieszko nie mógł nie przyjąć cesarskiego daru, lecz zarazem ulękł się mocno, domyślając, iż był poznany lub zdradzony. Na twarzy Ottona malowało się raczej zadowolenie i radość, niż gniew i podejrzenie. Bolko pobladł w obawie, by nie został posądzony o wydanie tajemnicy. Nastąpiło krótkie milczenie, a cesarz dodał jeszcze, uśmiechając się.

— Na mieczu tym krzyż jest wryty... niech wam przypomni, iż on jedynie jest znamię zwycięstwa... i że tam, gdzie on nie panuje, ani pokój ni szczęście panować nigdy nie mogą.

Wszyscy zatem jeszcze raz się pokłoniwszy cesarzowi, odchodzili, a Mieszko, który miecz swój niósł, nie mogąc go ani przypasać, ani ukryć, ściągnął na siebie oczy całego dworu. Oczywiście było rzeczą, iż Otto w nim poznał, lub był uwiadomiony o księciu poląskim. Inni domyślali się jeszcze więcej i inaczej niż było. Szeptano, spoglądając ciekawie na obdarzonego.

Zaledwie w podwórze wyszli, gdy Bolko się zwrócił do szwagra, poprzysiegając mu, iż nie zdradził on, ani żaden z jego ludzi, ale inny ktoś chyba poznać i ukazać go musiał. Mieszko łatwo temu uwierzył, chociaż niepojętem się to zdawało, a podarunek miecza tak bogatego omyłką żadną być nie mógł.

Tem prędzej teraz, obawiając się, aby wieść o nim się nie rozeszła, Mieszko chciał odjeżdżać; posłano po ks. Jordana, który przez cały ten czas u księży przy kościele św. Wiperta bawił. Padła nań podejrzenie najmocniejsze, że on przed duchownymi mógł się wydać z tajemnicą, a jeden z nich do cesarza ją zaniósł. Ks. Jordan jednak nie przyznawał się do tego.

Natychmiast obóz związać poczęto i do drogi się sposobić. Inni też goście wyjeżdżali, każdy w swą stronę, kupey z bud i szalasów towary na wozy pakowali, ruszając dalej w głąb kraju. Okolice miasta ludna i życia pełna, co godzina puścieszą się stawała. Cesarz wkrótce Quedlinburg miał opuścić i wojsko towarzyszące mu już stało w pogotowiu.

Nie wszyscy równie wesoło opuszczali gród cesarski; wielu jak Wigman groźbami odprawionych zostało, inni, czego chcieli nie dopięli, duchowieństwo tylko całe, pobożnością i dobroczynnością pana wzruszone, opiewało chwałę jego.

Część drogi mając razem ze szwagrem odbywać, Bolko starał się wyrozumieć z niego, jakie dwór cesarski i potęga jego uczyniła na nim wrażenie, nie potrafił jednak dobyć zeń nic jasnego. Mieszko uśmiechał się, dobrej był myśli, rad z podróży, potakiwał bratu, ale tego co czuł, nie wydawał.

Rozstali się ku granicy już, tam gdzie się wprzódy spotkali i Mieszko z małym orszakiem swoim puścił się ku Poznaniowi. Następnego dnia o Wigmanie dostał języka Chotek, który towarzyszył kneziowi, jakoby z Wolinami się związał i coś na pograniczu zamierzał, przeciwko Polanom, albo nawet Ottonowi, lub obojgu razem. Tem też śpieszniej ku domowi dążyć było potrzeba. Chotek wyprawiony został, aby miał oko na swoich i w razie potrzeby z Mieszkim się łączył.

Domyślano się, że Wigman, cesarzowi się chcąc zasłużyć, rzuci się do podbojów za Odrę, albo — bo i to być mogło, — obróci się przeciw niemu, ze Sło-

wian sobie groźny zastęp tworząc, by go zastraszył i wyjednał sobie, czego pragnął. Na jednej i drugiej stronie widywano już tego człowieka, który się łatwo przerzucał, gdzie widział korzyść swą lub rozgłos mógł zyskać.

Jeszcze z nim trzymali nieraz nadgraniczni markgrafowie, gdy już na nich wiązał się z nieprzyjaciół. Dla Słowian taki człowiek jak on, był pożądanym sprzymierzeńcem, gdyż wojować umiał, odwagę miał, Niemców znał dobrze, a nigdy nieuspokojonego ducha, ciągle coś knuł nowego, nie spoczywając na chwilę.

Tak jak był nocą i niemal pokryjomu z grodu swojego zniknął Mieszko, jednej znowu wiosennej nocy, gdy go się nie spodziewano, zjawił się tu po cichu i poszedł Dubrawkę powitać.

Nie powiedział jej, kędy był, przywiozł tylko pozdrowienie od brata i podarek, co do myślenia dawało, że w Czechach mógł bawić, bo Dubrawka o podróży Bolka nie wiedziała.

Tegoż samego dnia posłano do Sydbora do Gniezna, aby wojska miał w pogotowiu i na dany znak ściągnął z niemi.

Na zamku ruch się wszczął wielki, posłańcy i szpiegi wyprawiono na granicę, ludzi zewsząd spieszono i w przyborach tych do wojny, na czatach stojąc niemal, Mieszko pogodniejszej doczekał się wiosny.

VIII.

Chodzące po kraju groźne wieści, które przez gadtliwy dwór Dubrawki mogły być puszczone, kazały się co chwila spodziewać obalenia świątyn pogańskich i powołania ludu do chrztu, tak jak się to w Czechach stało... Niemal codzień i co godzina wyczekiwano rozkazu, któremu się jawnie opierać

nie było sposobu... Mieszko miał z sobą i przy sobie najdzielniejszą młodzież, ludzi do boju wyciągniętych i zupełnie sobie oddanych, a z tymi tłum walczyć nie czuł się na siłach.

W szeregach ich znajdowało się już wielu chrześcijan, liczba ich rosła, starszyzna nawracała się jawnie, cała ludność, bliższa Poznania i Gniezna, powoli już się dzieliła na dwa obozy, stroniąc od siebie i tając przed sobą. Chrześcijanie coraz śmielszymi się stawali, bałwochwalcy coraz bojaźliwsi... Nie w jednej rodzinie ojciec tał się przed synem, brat przed bratem...

Duszą oporu byli starcy, dziadowie, wróżbici, śpiewacy, stróże przy świątyniach i lud zamieszkały w głębi kraju... Apostołowie jeszcze tam nie byli doszli, i żadnej nie czując zmiany, ani z góry nakazu, pochlebiali sobie mieszkańcy osad odleglejszych, że Mieszko nie będzie miał odwagi rzucić się na starą swą wiarę...

Przedłużone milczenie, obojętność pozorna knezia rozmaicie go sobie tłumaczyć dozwalały. Było i takich wielu, którzy sądzili, że Mieszko uwodzi chrześcijan, aby im tem większą zadał klęskę... Stary Warga wedle potrzeby, raz przeciwko niemu jątrzył, to znowu w nim kazał pokładać nadzieję.

Przybycie Dubrawki zrazu zdawało się zwiastować chwilę stanowczą, lecz gdy miesiące upływały, a nic nie przedsiębrano i kontyny stały całe, różnie myśleć poczęto. Warga i jego towarzysze, co się starali lud jątrzyć i do oporu przygotowywać, gdy nie było dłużej powodu żadnego do wystąpienia, stracili wpływ i zaufanie. Wzdychano z nimi, pozwono im, ale nie wiązano się słowem żadnem. Na zbiorowiskach w dnie uroczyste, gdzie się dawniej tłumy zbierały, teraz coraz puściej było.

Wypadek niespodziany na nowo ostygłe te uczucia przywiązania do dawnych obyczajów rozbudził.

O mil dwie od Warty i Cybiny, w głąb kraju, w lasach, było jedno z miejsc najwięcej czczonych

73
i jak świątynia szanowanych. Uroczysko zwało się Białem, rzeczka, co je przebiegała, Białką lub Świętą. Wody jej w chorobach miały cudowną siłę leczącą, gaj, otaczający wzgórze, za poświęcony i nietykalny się uważał. W pośrodku jego wznosiła się oddawna wystawiona nieforemna postać jakiegoś bóstwa, które Białem nazywano. Ogromny kamień służył mu za podstawę, a bałwan był z drzewa sękowatego niezgrabnie i grubo wyciosany i przedstawiał niby tułub z głową czapką okrytą; bez rąk, bez nóg, z wyrostkami, które piersi uwydatniały. Obok Biela, żłobkowo wyrobione, dwa inne, jak misy kamienne, przeznaczone były na składanie w nich ofiar... Poza gajem przy dwóch dębach w szałasie mieszkał zawsze wróżbit stary, który przybywającym pielgrzymom rady dawał, wskazywał, jak i gdzie wody świętej użyć mieli, wróżyl im z ziemi i ognia i żywił się z ich datków...

Jednego dnia przybywające zdala niewiasty znalazły starego Złogę w szałasie niby uśpionym, a wistocie umarłym... Nic nie okazywało, ażeby ktoś na nim gwałt popełnił. Złoga był niezmiernie stary, najstarsi gospodarze przypominali go sobie niemłodym już i siwym. Nie było więc nic dziwnego, że nareszcie usunąć się musiał, gdy się siły wyczerpały.

Dano znać do najbliższej osady o śmierci Złogi; zebrali się pokrewni jego do palenia ciała i pogrzebu, zbiegło się dosyć dziadów i bab, szło o zajęcie miejsca po nim, które było łakome.

Wszczęły się o to spory, bo wielu rościło do tego prawa, nikt nie chciał współzawodnika dopuścić, odgrążali się jedni i drudzy, a skończyło się na tem, iż szałas zburzono, i na Białem nie było nikogo. Miało się to rozstrzygać na jakimś wiecu na kupale, tymczasem Biel został bez stróża sam jeden...

Jednego dnia przybyły baby z zimnicą do strumienia i przestraszyły się, ujrawszy, że bałwan został obalony, kamienie poroztaczane, a ręka złośli-

wa, co tego dokonała, podłożyła suchych gałęzi pod kłodę i napół ją spaliła.

Ponieważ Biel powszechnie był czczony i za bóstwo opiekuńcze okolicy uważany, lament i płacz, narzekanie i oburzenie wstrząsnęło całą ludnością. Wszyscy biegli oglądać spustoszone uroczysko, łamali ręce, płakali.

Naturalnie, nikogo o takie porwanie się na stary posąg posadzać nawet nie było można, tylko chrześcijan. Obejrzano się po okolicy, zaczęto dowiadywać o przejeżdżających w tych dniach, o widzianych w bliskości, ale śladu winowajcy nie było.

Warga, który nadbiegł na miejsce, skorzystał z rozdrażnienia i począł namawiać do wystąpienia nocą, w umówiony dzień przeciw wszystkim dworom i chatom, które posadzono o odstępstwo. Dwory miały być popalone, chrześcijanie zamordowani.

— Gdy się to stanie — mówił — Mieszko zadrży i nie będzie śmiał się porywać!

W pierwszej chwili wszyscy mu potakiwali; gniew i pragnienie zemsty było wielkie; lecz drugiego dnia jakiś diad wpadł na myśl inną, i zdaniem wielu, rozumniejszą jeszcze.

— Dobrze — rzekł — niechaj tak będzie, ale wprzód poprobować trzeba. Pójdziemy wszyscy, choćby w tysiąc ludzi, na skargę do Mieszka, że nam się stała krzywda, która nieszczeście, grad, pioruny, głód na okolicę sprowadzi, zobaczymy, co powie.

Warga śmiał się, — ale inni jakoś przystali. — Uchwalono gromadą iść z podarkiem i skargą do miłościwego pana. Nim się jednak ludzie zmówili: zebrali drugiego dnia dano znać z okolicy na Dąbrowach, że słup kamienny, który tam też stał od niepamiętnych czasów, nocą ręka jakaś zuchwała obaliła, a staczając się z pagórka, bóg na kawały się rozpadł.

Ludzie na nowo zapalili się gniewem i od Biela pobiegli na Dąbrowę płakać nad okrucami zwałonego słupa. Tu znaleziono ślady koni kilku pod

dębami i dowody, że ludzi musiało być wielu, boby też temu jeden nie podolał. Warga wołał o zemstę i wskazywał dwory podejrzone, ale ludzie uparli się gromadami iść do knezia.

Upieczono kołaczę, przygotowano szyte ręczniki, kury i jaja, bo bez ofiary jakiegokolwiek nie szło się naówczas ani z prośbą, ani z żalem, ani o sprawiedliwość. Gromady zwołały się na dzień oznaczony, kilku starszych wystąpiło na czele i wszyscy pociągnęli nad Cybinę.

Pochód ten w porządku odbył się powoli; po drodze łączyli się z nim, dla powiększenia tłumu, ludzie dobrej woli. Nie tajono się wcale z czem szli, i Mieszko, na pół dnia prawie wprzód uwiadomiony był o wszystkim. Wierni mu przyszli dać znać zawczasu—nie odpowiedział nic. Na grodzie nikt nawet się nie ruszył.

Gromada, przed wałami się ustawivszy, wyznaczyła, kto mówić miał i w milczeniu ciągnęła przed dworzec pański, a przybywszy tu, stanęła w porządku i milczeniu uroczystym. Mieszko, który widział wszystko z za okiennicy, wysłał stolnika swego spytać, czego chcieli?

Temu opowiedzieli starsi, jak się rzecz miała. Kazano czekać. Naostatek Mieszko wyszedł, a starszyzna przyszła i podarki złożyć, i do kolan mu upaść.

Kneź miał jakoś oblicze wesołe.

Mówić zaczęto, a jak to zwykle bywa, prawiono szeroko, poprawiał jeden drugiego, przerywał, powtarzano szczegóły, powieść przeciągnęła się bardzo długo. Siedząc na ławie w przedsieniu, Mieszko słuchał z uwagą.

Gdy się wkońcu przebrało opowiadania i jedni drugich zaczęli skłaniać do milczenia, aby też posłuchać, co pan zawyrokuje, zapytał kneź, kto był sprawcą tego.

Na to pytanie długo odpowiedzi zabrakło. Ten i ów zbierał się na nią, ale wistocie nikt nie znał

sprawcy, ani się go domyślał. Obwiniac chrześcijan nie było powodu ni dowodu. Mruczano, potrząsano ramionami, a Mieszko powtarzał pytanie—kto to uczynił? Starszy i śmielszy, ubogi kmieć Drzewica, ozwał się wreszcie:

— Miłościwy panie, gdybyśmy wiedzieli, kto winien, samibyśmy go karali, bo za nasze bogi ująć się musimy. Wy, miłościwy kneziu, wiecie wszystko, każcie śledzić i ukarzyć—pomóżcie nam...

— Słuchaj, Drzewico—odparł Mieszko—a mocne to były bogi?

Gromada wołać zaczęła, że pioruny i grad, i pomór na bydło, i głód mogły zesłać.

— Za cóż na was mścić się mają, kiedyście wy niewinni?—rzekł Mieszko.—A jeżeli potęgę i siłę mają, to się same nią obronią i pomszczą.

Wszczał się szmer, bo niedobrze rozumiano jeszcze. Mieszko powtórzył toż samo. Naostatek dodał, że winowajcy niema, sprawiedliwości więc być nie może, a bogom trzeba zostawić pomstę za siebie. Mają pioruny,—zabijają winnego.

Wtem z ciżby, rozpychając ją, wybił się gwałtem Warga z włosem rozczochranym, zapalony, jak w gorączce. Zaledwie się skłoniwszy kneziowi, krzyknął podniesionym głosem:

— Co tu szukać winnego? albo to my nie wiemy, kto przeciw nam i bogom starym powstaje? Palcami pokazać łatwo tych, co niemiecką wiarę do nas prowadzą! Namnożyło się tego nasienia, jest go dosyć wszędzie! Nie kto winien, tylko oni: ich karać, gubić i wypędzić! My sobie krzywdy wyrządzić nie damy, a nie uzyskamy sprawiedliwości, sami ją zrobimy.

Mieszko się popatrzał na mówiącego i skinął na swoich komorników, aby go wzięli. Tłum oniemiał.

— Ja cię znam, stary—rzekł,—tyś raz już dwór na Krasnejgórze podpałił. Puszczono cię na wolność,—teraz sprawiedliwość chcesz sobie sam znów mierzyć. Sprawiedliwość należy do mnie...

Gdy komornicy zabrali się go z tłumu wziąć, zamruczała gromada. Starsi prosić zaczęli za Wargą, on sam zmilkł blade. Mieszko kazał go puścić, ale tak groźnie nań spojrzał, że dziad, słowa nie rzekłszy, znikł gdzieś w tłumie.

— Sprawiedliwości wam nie dam, bo niema nad kim jej spełnić — dokończył kneź. — Bogi są mocne, obronią się same. Było u nas z wieków wieka tak, że każdy cenił boga, jakiego chciał, i nikt mu nie mówił. Przynieśli jedni Tryglawa, drudzy Radegasta, trzeci Światowida, inni Wołosa, stawili ich i kłaniali się im. Od Redarów, od Wilków, od Lutyków, od Wolinów, od Dulebów przynoszono bóstwa, — nikt się temu nie przeciwiał. Tak ma być i nadal. Niech ci, co chrześcijańskiego Boga wyznają, czczą go w spokoju, a kto się na nich dopuści gwałtu — tego ukarzę ja!

Rzekłszy to, wstał Mieszko, popatrzył na milczącą gromadę i skinieniem ręki ją odprawił.

Pokłoniła się starszyzna i w głębokim milczeniu odchodzić zaczęła.

Warga tak się ukrywać umiał i tak go zasłanianie, że dopóki za wały nie wyszli, widać go wcale nie było. Lękał się, aby go jeszcze nie wzięto.

Próba więc nie powiodła się wcale. Długi czas szli wszyscy z głowy pospuszczanemi, milczący, smutni, pogrążeni; — nikt słowa odezwać się nie śmiał. Opodal od zamku zmęczeni, położyli się na łące nad Wartą.

Tu dopiero powoli usta się rozwiązywać zaczęły do narzekania i utyskiwania. Śmielsi szemrali, drudzy, z obawą patrząc na nich, milczeli, bojąc się niemal słuchać. Warga długo siedział ponury i gniewny.

— U nich sprawiedliwości prosić! — zawołał wkońcu — u nich! kiedy tam pełen dwór chrześcijan i oni, nie kto przewodzi. Co tu pytać? po co prosić? Nie było nic u nas, póki Lubonia syn nie wrócił zakazony niemiecką wiarą! Spaliliśmy mu dwór... tak! nie dosyć. Jego z nim spalić trzeba. Przez niego

wiało się u Polan teraz, ale silna dłoń Mieszka nie dopuściła, by zamęt ten wyrodził się w całkowite starganie wszystkich węzłów.

Gdy się to gotowało z wolna, bo pośpiech w wykonaniu codziennych się okazywał trudniejszym, gdyż przygotowania olbrzymie być musiały, Mieszko oddał znowu uroczyste ogłoszenie wiary do następnego roku. Trzeba było tymczasem zwiększyć gromadkę przysposobionych do chrztu i z myślą nowego znamięnia pogodzić kraj, który swych dawnych bogów oplakiwał.

Gdy się to działo, Mieszko szukał sposobności do jakiegoś wystąpienia, któreby mu przymierze konieczne z cesarzem Ottonem ułatwiło... Los mu je nastęrczył...

Już w Quedlinburgu mogli się wszyscy domyślać, że dumny Wigman, odprawiony niemal z pogardą przez cesarza, szukać będzie sposobności wojowania przeciwko niemu. Miano nań oko, ale znikł pomiędzy słowiańskimi książątkami, u nich szukając schronienia.

Wszczął się był spór o pograniczne posiadłości między obodryckim wodzem Mstiwojem a Zeliborem wagirskim. Oba oni już zawojowani, radzi niera dzi, zależeli od saskiego markgraфа Hermana.

Spór miał rozstrzygać Herman i Zelibora uznawszy winnym napaści i gwałtu, skazał go na wydziedziczenie i odebranie mu władzy. Zelibor, nie myśląc się poddać, powołał Wigmana do siebie. Oba więc porwali się do broni.

Zaledwie to się stało i nim przysposobić się mogli, Mstiwoj z Hermanem naszli na osadę i gród Zelibora, wzięli je prawie bez oporu, a oba wodze ucieczką ratować się musieli. Do tych właśnie Mieszko się mieszać nie myślał wcale, lecz pilno się im przypatrywał, mając tam ludzi zawsze i dostając łatwo języka.

Zbiegły Wigman siedział teraz u Wolinców nad Odrą, a że spokojnie wytrwać nie mógł, z nimi

razem napadał już kilkakroć na ziemię Mieszkowe... Teraz więc był czas, broniąc własnych posiadłości, razem cesarzowi uczynić przysługę i uwolnić go od niespokojnego krewniaka.

Włast, jadąc do Pragi, zaniósł tam także do Bolka prośbę, aby parę hufców zbrojnych dobrze w pomoc Mieszkowi przybywało...

I gdy z jednej strony chrztem się zajmować zdawali wszyscy, kneź, któremu dolegał spoczynek, gotował się do wystąpienia przeciwko Wigmanowi.

Jednego wieczora powracający Włast przywiódł z sobą i gromadkę duchownych i kupkę rzemieślników a kunsztmistrzów i dwa świetne piękne oddziały czeskiej jazdy. Wszystko się z zamku wyroiło, ujrzawszy ten dosyć mnogi lud, napływający do grodu.

Wybiegła i Dubrawka, z niezmierną radością witając swych Czechów, szczególnież duchownych, co jej do przysposobienia wielkiego dzieła pomocą być mieli.

Ona wistocie duszą jego była i przynaglała, aby co rychlej spełnić się mogło. Dając jej czynić, co chciała, Mieszko zawsze jeszcze milczał i zwlekał.

Teraz chwila już zdawała się być bliską.

Na powitanie Czechów wyszedł i Mieszko sam, dowódców dwu oddziałów zapraszając na dworzec, razem z duchownymi.

Resztę przybyłych wnet rozmieszczono na grodzie, gdzie dla nich wszystko było przygotowanym. Omyliła się wszakże Dubrawka, sądząc, że poczty czeskie przybyły, aby uroczystości wielkiej więcej dodać świetności. Kilka dni pozwolono im spoczywać. Rzemieślnikom natychmiast wyznaczono pomoc, schronienie i usługę, a Mieszko, rozporządziwszy wszystkim i księży zdawszy ks. Jordanowi, sam zaczął się przysposabiać do wycieczki jakiejś.

Wszystka piechota, a tej było najwięcej jeszcze, wyruszyła cicho na granicę ku Odrze, drugiego dnia ujrzano Czechów występujących w tę stronę, trze-

ciego rana sam kneź, pożegnawszy żonę, siadł na konia i wraz z Sydborem ruszał w pole...

Już trudno było cierpliwej Dubrawce na nową tę patrzeć zwłokę, napół ze łzami, wpół gniewna, gdy Mieszko miecz ów cesarski przypasywać kazał, zapytała go, co by to znaczyć miało.

— Kniagini ty moja—odezwał się Mieszko spokojnie. — Dajcie mi mojemą sprawę rozporządzać wedle myśli mojej... Ja wrzeczona nie tykam, ani was prąść myślę uczyć, dopuścież mi wojować, jako wiem i umiem.

— Ale pocóż nową rozpoczynać wojnę, wprzód dy nie uczyniwszy w domu co najpilniejsza, aby na nią Boże mieć błogosławieństwo? — przerwała Dubrawka.

I na to pytanie rozśmiał się nieco Mieszko — ręką tylko w powietrzu zamachnąwszy, jakby mieczem ..

— Na wszystko będzie pora, miłościwa a niecierpliwa pani moja—rzekł. — Ludzie się tymczasem lepiej przysposobią, oswoją i obejdą z tem, co ich czeka... Księża jeszcze wiele z moimi i ze mną mieć będą do czynienia, nim nas na chrześcijan przemienią. Gdy ujrzę, że czas po temu, nie zwlekę... a teraz w pole trzeba na łowy... i bywajcie mi zdrową, miłościwa pani.

Miłościwa pani smutnie przyjęła rozkazy, lecz nauczyła się już w pożyciu z mężem, iż go powolnie tylko przekonać i skłaniać było można. Trwał przy swoim twardo i niełatwo obrócić się dawał, gdy powziął postanowienie.

Wyciągnął więc i tym razem w pole, nie rzekłszy nawet dokąd, a na zamku zostali apostołowie pod kierunkiem ks. Jordana pracujący, w Krasnej-górze zaś Włast na swą rękę [zwołujący do winnicy...

A pod grodem w chałupach siedzieli sprowadzeni rzemieślnicy, kując srebro, lejąc spiże, wyrzynając drzewo, ucząc obrabiać kamienie a palić wapno...

Przy nich już parobcy tutejsi, przypatrując się im, otwierali oczy i sposobili ręce do roboty, która dla nich miała urok nowości...

Od pługa i miecza,—do młota i dłuta, przejście łatwe nie było.

IX.

W obozie nad Odrą jednego wieczora cesarski krewniak, nie tak jakeśmy go widzieli w Quedlinburgu odarty i opuszczony, ale we zbroi lśniącej, na koniu dzielnym, w hełmie skórzanym, łuskami żelaznymi naszywanym, z kitą czerwoną, w płaszczu niebieskim na ramionach, opatrywał szeregi nowych swych przyjaciół.

Sam jeden tu był wśród tego ludu, do którego i on nie przystawał, i orszak, co go otaczał, jakby cudzy przy nim wyglądał. Dziwnie zaprawdę wydawał się ten niemiecki rycerz, przygodami osobliwymi ze dworu najświetniejszego w Europie wygnany pomiędzy lud napół surowy i do innego należący świata. Między tym wodzem a jego ludźmi trudno było powinowactwa dopatrzeć.

Ziemko i Hłaska, dwaj naczelnicy Wolińców, jechali przy zbrojnym Niemcu, przyodziani także niby z niemiecka, ale dziwacznie, mieli oba po kawałku zbroi... Ziemko na głowie skózaną czapkę, na krzyż żelaznymi opasaną prętami, mieczyk u boku, pióro u tego hełmu, jaskrawy płaszczyk na ramionach, ale na nogach po staremu chodaki sznurowane wytarte, i spodnie z grubego płótna. Nie lepiej wyglądał Hłaska, który też między Niemcami bywał i przyodziaćby się był rad, aby wstydu Wigmanowi nie czynił. Krótki tułubek frankijski, paskiem obszty miał czerwony, pod szyją spiżowe spięcie, na ramionach stare kolce mosiężne, wszystko to z sobą nie-dobrze szło, ale Hłaska uczynił, co mógł.

Dwaj Wolińcy, w rozpacz, dla wybicia się

z jarzma niemieckiego, Niemca się chwycili. Zdawało się im, że ten cesarski krewny, a sławiony rycerz, najlepiej mógł ich poprowadzić. Nim jednak na Niemców napaść mieli, chcieli na Polanach spróbować i łupem się opatrzywszy, a jak im się zdało, pobiwszy może — większą siłą występować dla wy-swobodzenia na markgrafów.

Na Mieszkę próba tylko uczynioną być miała.

Wigman się zabawiał z Wolińcami, Ziemko i Hłaska, w oczy mu patrząc, jak wyroczeni go słuchali...

Świetne mieli nadzieje... Naprzód Polan zwojować i albo ich zmóć a złupić, lub z sobą na markgrafa pociągnąć. Zdawało się to łatwe—urok niemieckiego wodza oślepiał biednych Słowian, a stare właśnie graniczne kazały zapominać, że mieli walczyć z pobratymcami.

Pycha Wigmana, który się bezmiernie wśród tych prostodusznych ludzi czynił wielkim a pewnym siebie, wiarę w nich wlewała... Czynił ten wódz nowy z nimi, co chciał, ufali mu jako zbawcy a przyszłej wielkości swej założycielowi...

Niemiecki comes tymczasem, objeżdżając szeregi tego ludu, dziwnie jakoś nań poglądał. Nie było to wojsko—ale tłum mężny i bitny, ohocho do walki a niesforny.

Na kilka oddziałów podzieleni Wolińcy leżeli obozem nad rzeczką, na wysokim brzegu, a było ich tak sporo, że jak okiem zajrzeć w dolinę, łąka ludźmi była usłana. Starszyzna tylko miała parę namiotów szarych, na tykach rozpiętych. Dla Wigmana na wzgórzu paradniejszy ustawiono; reszta pod gołym niebem i w małych szałasach koczowała przy ogniskach.

Niewiele jazdy i to dosyć niepokażnej udało się Ziemkowi zgromadzić. Na małych konikach siedzieli więksi stosunkowo od nich wojownicy w prostych sukmanach, z łukami na plecach, z młotami i siekierami u siodeł, z dzidami różnych rozmiarów

w dłoni. Z twarzy tych ludzi, którym włosy długie i gęste sterczały z za nakrycia głowy po większej części, widać było dzikie i nieustraszone męstwo — lecz nie to, co się powodować umie i łączyć spójnie w gromadę, ale rachujące samo na siebie tylko i nie dające ni pokierować sobą, ni powstrzymać.

Jak konie rwały się i wierzgały a kąsały, w kupie ustać nie mogąc, ludzie ucierali się, łajali i przechwalali głośno.

Po niemieckich pocztach milczących i posłusznych, ta butna ciżba Wigmanowi osobliwą wydać się musiała. Poglądał na nią oczyma zdumionemi, a Ziemko i Hłaska, jadąc tuż, w jego oczach usiłovali czytać, co myślał o ich drużynie, której sił i męstwa byli pewni.

Comes liczył tylko, ilu ich było, bo na nic innego, jak na lik, śnać rachować nie mógł.

To Ziemko, to Hłaska, po bokach jadąc, zagadywali go, wskazując na swych ludzi; rycerz niemiecki tylko głową potrząsał i ramionami ruszał.

Tak przepatrzywszy jednych, u których żelaznego okrycia ledwie można było gdzie dopatrzeć, ruszyli ku pieszemu ludowi, którego daleko więcej było. Kazano leżącym i spoczywającym wstawać a zbijać się w rzędy, aby i tych okazać, czem byli.

Dosyć nieochoczo ruszył się tłum, mrużąc, i wstali jak dęby ogromni, szerokich ramion, niezbyt odziani, napół bosi wojacy, u których oszczepów i palek więcej było, niż innej broni. Zato niemal wszyscy mieli tarcze, tak jak i Polanie, z desek cienkich drewnianych pospajane, dwa i trzy razy obciążone skórą, gdzieniegdzie gwoździami nabijane i sztabkami.

Z gwarem na nogi wstając, Wolińcy stawali kupami, każdy chwyciwszy broń, jaką miał.

Wigman pomyślał w duchu, iż gdyby oręż a wprawa nie nie ważyła, straszneby były te gromady ludzi silnych, nielekających się śmierci, chciwych boju dla niego samego, dla krwi i gorączki, jaką walka

daje. I znowu z konia Niemiec liczył sobie tych ludzi, na mnogości ich pokładając nadzieję.

Lecz na Mieszka, który niewiele może lepszego miał żołnierza, zdawało się to dostatecznem, gdy taki wódz prowadził.

Dwaj wodzowie jak najlepszą mieli otuchę; czy ja Wigman podzielał, odgadnąć było trudno. Objechawszy szeregi, zawrócił nazad ku wzgórkowi i namiotowi. Naglili go Ziemko i Hłaska, aby im co rzekł; powiedział im, że lud piękny...

Czegoś mu na duszy tęskno było, popatrzywszy gdzie, z kim był, i komu miał dowodzić. Przed namiotem zsiadli z koni, jeszcze raz pytać go zaczęli; odpowiedział im mało, pozdrowił dumnie ręką i wszedł, opłotek uchyliwszy, do wnętrza.

Jeden stary jak pan sługa, Niemiec Hatton, czekał tu na niego. Ten jeden nie opuścił go i nie zdradził, a choć miał wstręt iść przeciw cesarzowi z poganami razem wojować, Wigmana nie rzucił. Był to człowiek przykuty do comesa, który, porzucawszy go, nie wiedziałby zaprawdę co uczynić z sobą. Mały, krępy, posiwiał pacholek, stworzenie milczące i posłuszne, stworzone było, aby przy kimś wiślało. Los mu nastreczył Wigmana. Z nim i świetne przeżył lata, i teraz gorzkiemi truł się dniami.

Gdy Wigman pod namiot wszedł, zerwał się stary Hatton, aby mu zbroję zdjąć, i wnet począł swą usługę. Milczący comes dawał mu czynić z sobą, co chciał, był zadumany i ponury.

— Hattonie! co mówisz na to? — począł ponuro Niemiec. — Z Quedlinburga do obozu Wolińców? z gościny u tego Ottona do Ziemka? he? dobrześmy padli?...

Hatton ramionami ruszył. Milczał długo.

— Miłościwy grafie — rzekł wkońcu — a nie lepsze to, jak los Eryka, Bakki, Hermana, Wiryna i Ezeryna?...

— Pewnie... ależ ci omal Hilliwarda biskupa nie

zabili, przeto ich Otto w Quedlinburgu pościć ka-
zał... a ja?... ja tylko swojego bronilem gardła...

Hatton mrucał.

— Mów, ty mruku, głośniej, chceszli, bym cię zro-
zumiał!—krzyknął Wigman.

— Broniliście, miłościwy panie, gardła, nie trze-
ba było pleców żałować...—odparł giermek.

— Krzyże mam twarde! to nieszczęście moje...—
zawołał Wigman — w żyłach moich krew Ottonów
płynie!...

Hatton skinął głową potakująco. Rozpinał mu
kaftan łuską wyszywany, pod którym drugi skórza-
ny widać było. (Noszono ich po kilka na sobie).

— U nich... u nas... — mówił dalej Wigman —
wszystko pod humor i od fantazyi... Gdybym na
Ottona dobrego trafił, dobrzeby mi było; los mój
chciał, abym na złego padł...

— Pamiętasz, Hattonie—dodał—Gintera ratysboń-
skiego biskupa? I co mu dało biskupią dostojność?...

Hatton milczący głową potakiwał.

— Otto szedł rano na mszę w Ratysbonie do
klasztoru świętego Emmerama. Po drodze powie-
dział sobie: Stolek biskupi wakuje... komu go dać?
komu?... niechaj los wybiera... Pierwszy duchowny,
którego spotkam, biskupem będzie... U furty klasz-
toru ubogi Ginter mu otwiera... Co mi dasz za
biskupią infule? — pyta Otton. — Miłościwy panie —
śmiejąc się odparł biedny księżyna, — nie mam nic
swojego oprócz podartych na nogach chodaków...
I zostałem biskupem...—dorzucił Wigman.— Tak samo
ja w dobrą godzinę mogłem być saskim księciem
w miejsce Hermana...

Hatton ostatni kawał zbroi odczepiał i znowu
mrucał coś niezrozumiałe.

— A coby ci po tem przyszło, miłościwy pa-
nie—rzekł chmurno.— Albo w łaskach będący Her-
man nie wywołał na się gniewu cesarskiego za to,
że go w Magdeburgu przy biciu w dzwony i oświe-
conym kościele przyjmowano, że śmiał tam spać

w łóżku cesarskiem i u cesarskiego siedzieć stoł? Albo go nie wyklął biskup Bruno, tego szczęśliwego Hermana, któremu zazdrościcie...

— Wolałbym być jednak wyklętym przez Bru-
nona — zawołał Wigman, — niż odepchniętym przez
cesarza... Ale łaska familii niestała rzeczą... Wolał-
bym być jego bękartem, niż krewniakiem...

Hatton rękami poruszył, jakby zaprzeczał tym
rozpacziwym oświadczeniom!

— Pewnie — potwierdził Wigman, wdychając. —
Alboż nie wiesz, że bękartą swojego z niewolnicy,
ze Słowianki, z prostej dziewczki narodzonego, Wil-
helma, uczynił Otto arcybiskupem moguncim?...
Jego synom, jego córkom, jego nieprawemu potom-
stwu wszystko było wolno... a nam, biednym, mil-
czeć tylko i cierpieć. Wilhelm został arcybiskupem,
a wdowa po Konradzie frankońskim, choć Konono-
wi potajemnie ślubowała, wyparła się go i Burchard
wystąpił w jej obronie, a rękę mu obciął, co za wy-
soko sięgała!...

Mówił tak Wigman z bólem wielkim, aż zamilkł
wreszcie, głos coraz był smutniejszym i siła a duma
w tej chwili zdawały się złamane. Gdy Hatton mu
zbroję zdjął i odstąpił, Wigman, na stole ujrzawszy
krzyż, kląkł się modlić.

Z pokorą i skrucą załamał dłonie przed Chry-
stusem i na głos począł odmawiać modlitwy; Hat-
ton, który w kącie stał, jakby mimowolnie też ręce
złożył i za panem je powtarzał. Modlił się tak dłu-
go, a wśród szmeru modłów tych dolatywały dzikie
okrzyki Wolińców z obozu, jakby szydziły z ich na-
bożeństwa.

Wigman leżał wreszcie na pościel przygotowaną,
ale do snu mu było daleko — oczy miał otwarte,
sparty na dłoni, dumal może o cesarzu, o sobie
i dziwnych losach swoich.

Zaczynało zmierzchać, gdy dało się słyszeć sy-
kanie przed namiotem. Hatton zerwał się i wyszedł;
Wigman, głowę zwróciwszy, czekał.

Po chwili wprowadził giermek Ziemka.

Szedł on pośpiesznie bardzo i z ożywioną twarzą i wzrokiem.

— O Mieszku wieść przyniesiono—rzekł szybko.

— Rad jej będę... Gdzież on jest?

— Stoi o pół dnia drogi od nas, pewnie się niczego nie spodziewając... co pocniemy? Mamyli czekać na niego, czy następować?

Wigman powstał z łoża i siadł.

— Liczyż ma poczet z sobą?... gdzie się położył?...

Na to Ziemko odpowiedzieć nie umiał. Przywołano tego, który przyszedł z wieścią. Był to stary człek, o kiju, w koszuli, w sakwach przez plecy, bosy, trochę przelekły, a bardzo niespokojny. Ziemko badać go począł. Widział on tylko piechotę w obozie, a zapytany, ręczył, że jej pewnie i połowy nie było tej, jaką Wolińcy mieli. Obóz był na łące, wśród zarośli i gajów, rozłożony bezpiecznie, jakby się sąsiedztwa niczyjego nie spodziewał.

Ziemko patrzył w oczy Niemcowi, który się wahał długo.

— Jeżeli swoim ufacie, czemubysmy naprzeciw nich iść nie mieli? — rzekł Wigman. — Zawsze ten przewagę ma, kto pierwszy naciera...

— Więc ruszmy jutro o świcie...

Comes ani zaprzeczał, ni zachęcał; położył się znów, skinąwszy głową i w myślach swych zatopił.

Nazajutrz jako dzień ruszyło się wszystko z obozowiska, ustawiać poczęło, siedli wodzowie na konie, Wigman, znowu opięty kaftanem łuskowym, wyjechał z Hattonem, który małą tarczę i zapaśny miecz wiozł za nim.

Dzień obiecywał się skwarny.

Oddziały wyruszyły powoli, każdy poprzedzany stanicą swą, na których orły, ptaki i potworne stworzenia grubo były wyrzeżane. Stanica Ziemka wystawiała wołu białego.

Ruszając z noclegu, zanucili pieśń jakąś, dziwnie

brzmiającą w uszach Wigmana, który pocichu modlitwy odmawiał.

W obozie Mieszka on, Sydbor i dwaj czescy dowódcy stali od rana w pogotowiu. Wiedzano tu o Wigmanie i o Wolińcach, o ich sile, i kneź, rano wstawszy, Czechów jazdę z dwu stron na boki wyprawił, poleciwszy jej, by się dopiero na skienienie i hasło ruszyła.

Posadzone na wysokiej sośnie pacholę, czatowało, by dać znak, gdy się Wolińcy spodziewani ukażą. Równy prawie z hasłem przez chłopaka danem, zdala i śpiewy usłyszano. Mieszkowy lud niecierpliwy był, ale mu się ruszać nie kazano. Stać tak mieli, ażby na nich nadszedł nieprzyjaciół.

Gdy się w dali kupy owe ukazały, Mieszko i Sydbor skoczyli na koniach przodem, postali im na widoku trochę i puścili nazad śpiesznie, a nawet i ludziom, niby popłoszonym, zwolna się cofać nakazano.

Ujrzawszy to, Wigman i Ziemko, którzy przodem szli, z okrzykiem gromadom swoim dali znak, aby się na nieprzyjaciela rzucili.

Stał się w obozie Mieszka jakby zamęt i oddziały jego jedne po drugich za gajami znikać poczęły.

W pogoń się puścili Wolińcy, z okrzykiem coraz głośniejszym, z wrzawą i zapalem niezmiernym. Wigman na koniu przed nimi.

Mieszkowi ustępowali, lecz tak zwolna, że się dogonić dali... ustępowali głębiej między gaje, i jakby się ulekli Wolińców, nawet im nie stawili czoła.

Tem silniej nacierali Ziemko i Hłaska, tem gwałtowniej zagrzewać począł Wigman.

Już byli kilkoro staj od nieprzyjaciela, gdy na dany znak piechota Mieszkowa odwróciła się na Wolińców i do bitwy stanęła. Z obu stron rzucono się na siebie z porywcznością wielką.

Zastęp Wolińców bez porządku wysypał się, wyłał, rzucił na Polan; podniesiono tarcze i pałki wa-

lić o nie zaczęły. Świsnęły strzały... posypały się pociski...

W tej chwili, gdy jeszcze Wolińcy pewni byli prawie zwycięstwa, z lewej i prawej strony na tyłach, na odgłos trąbki Sydbora, wystąpiły ukryte w zaroślach dwa czeskiej jazdy oddziały.

Zatętniała ziemia pod kopytami i nim kupy niesforne wycofać się mogły, wzięte były z obu stron jak w kleszcze, między Mieszkową piechotę a konnicę Sławnika; już Czesi im siedzieli na karkach. Z drugiej strony oddział piechoty Sydbora, ludzie dobrani i wprawni do boju, kładł trupem Wolińców, zaczynających się rozsypywać i w ucieczkę szukać ratunku.

Ziemko i Hłaska, widząc się w położeniu rozpaczliwym, poszli naprzód, aby ratować swoich, albo ginąć z nimi. Wigman z konia swego, na wzgórzu stojąc, już widział, że bitwa była przegrana.

Sily piesze Mieszka nie większe były może, niż Wolińców, lecz ujęte w porządniejsze szeregi, jazdy nie mieli prawie sprzymierzeńcy Wigmana, a czeska była wyborna i uzbrojona, jak niemiecka. Chwilę comes patrzył na tę rzeź, z której ratować się już nie było nadziei, wreszcie z pogardą i dumą zawrócił konia i wolnym krokiem ustępować począł. Jedynym ratunkiem była ucieczka...

Serce się krwawiło na myśl sromotnego uchodzenia przed nieprzyjacielem; Wigman nieśpieszył, gdy przypadłszy doń Hatton, zaklinać go zaczął, aby uchodził. Czas jeszcze było się cofnąć i ująć pogoni Czechów, zajętych rozpraszaniem gromady, która po gajach szukała bezpiecznego schronienia.

Wigman już konia miał uderzyć, gdy z najskrzotem oczyma, w porwanej sukni, z krwawą twarzą dopędził go Ziemko i za cugle konia pochwycił. Rozpacz malowała się na jego obliczu.

— Ha,— zawołał — dobrze wam było nas wprowadzić w zasadzkę, oddać na rzeź i zgubę, samemu będąc pewnym, że was dobry koń stąd wyniesie?

Wigman zecerwieniał się od tej wymówki, jak policzek mu ciśniętej; można było sądzić, że mieczem, który trzymał w ręku, przebije zuchwałego śmiałka. Powstrzymał się jednak, drgnął cały i z konia zeskoczył.

Z dobytym mieczem, nie odpowiadając słowa, poszedł, gdzie wrzala bitwa.

Koń rzucony, nie dając się pochwycić Hattonowi, który chciał cugle porwać, spłoszony krzykiem, rzucił się cwałem w pole.

Wigman w ciężkiej zbroi został pieszo. Około niego, łamiąc ręce i przeklinając dzień i godzinę nie-szczęśliwą, szedł Ziemko, ale na przekleństwa i wymówki jego nie odwracał się nawet Wigman. Obskoczyła ich wnet kupa Mieszkowej piechoty. Starszyzna Wolińców i Wigman z nią musieli się cofać, odcinając. Comes milczący szedł, nie okazując wściekłości, ale ilekroć się odwrócił, płatał straszliwie napastników. Od żelaznych łusk jego kaftana odskakiwały miecze, kruszyły się na nim oszczepy. Ziemko i Hłaska bronili się też z rozpaczą ludzi, którzy, wiedząc, że nie obronią życia, drogo je przynajmniej kazali opłacić wrogowi.

W dolinie wkrótce nie było już wojsk walczących z sobą, tylko kupki przeleżących, unoszących życie ludzi, które ścigali zwycięzcy. Tam, gdzie się starły pierwsze szeregi, leżały waleń trupy pobite i przez Czechów posiekane. W krzakach i zaroślach tulili się ranni. Zielona łąka strątowana, skrwawiona, potrząskanemi usypana pociskami, była jakby straszonym śmietnikiem grobowym. W prawo i lewo wśród lasów słyhać było wycie i jęki. Uciekali jedni, gonili drudzy na wszystkie strony.

Jeden oddział z Sydborem puścił się ścigać Wigmana, o którym wiadano, że prowadził Wolińców. Mieszko nie chciał mu dać ujść i byłby go sam pędził, gdyby mu fałszywie innej kupki nie wskazał, w której się miał comes znajdować. Pogoń ta, rozpoczęta około południa, przeciągnęła się do wieczora.

Następowali Polanie na Wigmana i tych, co przy nim byli, ale go ująć, ani zabić nie mogli. Zmniejszała się gromada jego towarzyszków, wołano nań, aby się poddał, krew mu z ran ciekła, lecz krewniak cesarski z dumą swojego rodu ginąć wołał, niż temu tłumowi zdać oręż i życie na łaskę... Krok w krok szli za nim zmęczeni jak on, ale równie chciwi pochwylenia go, jak on ocalenia, napastnicy; lajano się wzajem po słowiańsku i niemiecku... i mrok padał, a końca tej walce upartej nie było. Wigmanowi udało się nieco oddalić od pogoni, pomogły mu gąszcze w lesie, zdawało się, że ujść potrafi. Ziemko już był zginął, Hłaska się odbił w pochodzie, został on sam, a z nim Hatton tylko, który go i tu nie chciał opuścić.

Nadeszła noc i ciemność...

Jeszcze w prawo i w lewo słyszeli przedzierających się tych, co ich ścigali, ale wkrótce ucichły głosy, i Wigman padł na ziemię napół żywy. Ostrza włóczni tkwiły w jego kaftanie i krew się z pod nich sączyła.

Z niecierpliwością wrywać je począł Wigman, choć nowej przyczyniał boleści. Ranny Hatton przywłókł się, chcąc go ratować, lecz siły już sam nie miał, upadł u nóg jego i ducha wyzionął.

Wigman popatrzył nań, jakby na wiernego psa ubitego na łowach, w oku mu się zakręciła łza, rękę drżącą przyłożył do jego czoła. Oblane było potem, ale już zimne, stygło bardziej pod jego dłonią.

Został sam, ranny, z poszczerbionym mieczem, nie wiedząc, gdzie był i co miał począć z sobą. Umierać tak w lesie, na pustkowiu, czy usiłować się jeszcze ocalić? Dokoła cicho było, las tylko szumiał i czasem niezrozumiały krzyk ptaka, jakby czemś zbudzonego, przerywał głuche milczenie.

Wigman pozostał tak długo, patrząc na trupa sługi, rozciągniętego u nóg swoich, to na niebo, które gdzieniegdzie z między gałęzi świeciło gwiazdkami. Sam nie wiedział, jak długo tak leżał, aż gdy

powstać zapragnął, uczuł się złamanym i bezsilnym. Uśmiech wykrzywił mu usta białe; zmógł się na ostatek mocy i poruszył na mieczu. Powolnym krokiem począł się sunąć, nie wiedząc, dokąd go doprowadzi dalsza nocna ucieczka. Bojowe krzyki, hasła, nawoływania, — wszystko ucichło. Las tylko szumiał mu nad głową i wiatr czasami przerzynał się przez gałęzie, jakby duchy w polocie uderzały o nie.

Wigman już nie miał nadziei ocalenia życia, ale cześć swą rycerską ocalił, miecza się pozbył, z ran płynęła krew, lecz do niewoli się nie dostał... Chciał pomodlić się i skonać gdzieś spokojnie, chciał... sam już nie wiedział czego. Instynkt jakiś kazał mu szukać przytułku. Włókł się więc lasem, trzymając skraju jego, podpierając na skrwawionym mieczu, myśląc o Hattonie, którego ciało zostało bez chrześcijańskiego pogrzebu.

Myśliwy i wojak trochę, znał niebo i gwiazdy, bo się po nocach nieraz przez puszcze przedzierał. Na niebie wóz północny wskazywał mu zbliżanie się poranku, ku wschodowi biała luna, poprzedzająca dzień, się zarysowała. Nie wiedząc, dokąd, szedł dalej Wigman, niekiedy odpoczywając przy drzewach, gdy w dali na wybrzeżu lasu zdało mu się, że ujrzał zagrodę. Zbliżając się, rozpoznał wistocie wysokie ostrokoły, które ją otaczały, dach okryty dranicami, drewniany dymnik i żóraw studni.

Pragnienie go paliło.

Okolo chaty cisza panowała i nierychło, gdy się ku niej zbliżał, psy ujadać zaczęły. Głos ten był mu prawie miłym, zwiastował ludzi... mógł się znaleźć ktoś liitościwy.

Wigman stanął u wrót zamkniętych, z których drugiej strony zebrane psy wrzawę nań ogromną podniosły. Skrzypnęły drzwi chaty i wyszedł człowiek. Dniało już, mógł więc dojrzeć tę postać olbrzymią, która się wnijszcia dopraszała, mileć.

Była to chata słowiańskiego ubogiego ziemiani-
na, jak wszystkie stojąca otworem dla każdego pro-

szącego o schronienie. Gościnność była u Słowian prawem, z którego i wroga nie wyjmowano.

Z siermięgą narzuconą na plecy wyszedł milczący gospodarz otworzyć wrota. Spojrzał na okrwawionego rycerza, poznał w nim Niemca i nie mówiąc, poprowadził za sobą. Psy, zdala idąc za nim, ujadaly i wyły.

Ślaniając się, przywłókł Wigman do wnętrza chaty, gdzie już od węgli w ognisku zapalono łuczywo; obejrzał się tylko i rzucił na ławę. Krew po nim ciekła, wyglądał straszno i gospodarz, ujrawszy go, ręce załamał.

Podparty na stole Niemiec spoczywał, ręką tylko wskazał, że ma pragnienie. Przyniesiono mu wody.

Gdy się to działo w chacie, a psy się jeszcze uspokoić nie mogły, na podwórku wrzawa powstała.

Wigman, usłyszawszy ją, słabą ręką porwał za miecz, który przy sobie postawił; chciał wstać, ale sił już nie miał.

Wtem w progu chaty zjawili się ścigający niedobitków po lesie Mieszkowi ludzie, kilku prostych ciurów. Od progu też dał się słyszeć krzyk radosny; mieli go nakoniec w ręku.

Z podniesionymi pałkami i oszczepami poczęli się cisnąć, otaczając Wigmana, który, miecz podniósłszy z za stołu, groził im jeszcze.

Naczelnik wołał, aby się poddał.

— Ja? wam?... nigdy!... niech tu przyjdzie wasz kneź sam, tylko jemu jednemu miecz oddam... a nie, bronić się będę do ostatniego tchu i kropli krwi... Precz, hałastro!...

Na chwilę wstrzymali się ludzie, lecz wnet poczęli znowu naciskać, i jeden z nich pałką się na Wigmana zamierzył, który oburącz miecz chwyciwszy i pałkę odbił i miecz zakrwawił.

Ta rozpaczliwa obrona wstrzymała napaść. Nie było potrzeby nieszczęśliwego dobijać, kiedy cały krwią był okryty i chwiał się na nogach; poczęto szukać starszego i ślać za Sydborem, który był blisko.

Mieszkowi żołnierze zostali tak w pewnem oddaleniu, szanując nieszczęście w człowieku, którego chwile były policzone.

Wigman słabł widocznie, lecz oczy mu jeszcze świeciły groźnie i twarzą zdawał się napastnikom uragać.

Trwało to chwilę, gdy Sydbor nadbiegł śpiesznie, przebił się przez kupkę ludzi i stanął naprzeciw Wigmana.

— Poddaj się, lub zginiesz!..

— Ktoś ty?—zapytał comes.

— Brat Mieszka.

Nastąpiło milczenie. Wigman popatrzył na swój miecz obłany krwią, chwycił go za ostrze i rękojeścią wyciągnął do Sydbora. Oczy mu znowu zapalały dziko i wargi się trzęsły.

— Oddaj ten miecz zwyciężonego Wigmana panu swojemu—rzekł—i powiedz mu, niech go odeśle przyjacielowi swojemu cesarzowi, Otto wdzięcznemu mu będzie za to... i wynagrodzi go pewnie.

Gdy Sydbor, wpatrując się w niego ciekawie, stał, miecz biorąc, Wigman szepnął:

— Dajże mi umrzeć spokojnie..

I jak stał za stołem, posunawszy się jeszcze, padł na kolana na ziemię, złożył ręce i głośno po niemiecku modlić się zaczął.

W tej przedśmiertnej modlitwie było coś tak przejmującego, że ludzie wszyscy ustąpili się z trwożą i poszanowaniem od niego. On nie widział już ich i nikogo, modlił się gorąco... Ze krwią razem płynęły mu łzy, a z ust dobywały się niezrozumiałe wyrazy i głębokie westchnienia; kilkakroć dłonią okrwawioną uderzył się w piersi, poczem czoło sparł na skrzyżowanych dłoniach, zasłonił oczy, jak ci rzymscy gladyatorowie, co rzucali na twarz kraj szaty, aby się nie wydać z bólu wyrazem... nie wiadać było nic, tylko drżące dłonie i zbielełe czoło. Zsunął się powoli na ławę i skonał.

Tam, gdzie siedział i klęczał, stała kałuża krwi skrzepłej.

Sydbor i wszyscy świadkowie tej śmierci długo stali, wpatrując się w nieszczęśliwego. Dzień się robił coraz jaśniejszy i do chaty zaglądał już, gdy zatętniło i kneź Mieszko z drużyną podjechał pod zagrodę. Wybiegł Sydbor, miecz Wigmana niosąc i winszując mu zwycięstwa.

Wolińcy byli na głowę pobici, poszli w rozsypkę i mnogim trupem usłali pobojowisko — najniebezpieczniejszy z nieprzyjaciół Wigman nie żył.

Mieszko wszedł spojrzeć tylko na trupa, zmierzyl oczyma tę dumną, nawet w chwili zgonu postać i nie rzekłszy słowa, chatę opuścił, nakazując pogrzeb przystojny nieprzyjacielowi.

Wkrótce około zagrody zbierać się zaczęły rozproszone oddziały, które przez noc całą ścigały uchodzących. Ziemko i Hłaska polegli oba, zwycięstwo było zupełne i na długo trwogą napęlić mogło nadodrzańców.

Czesi i Polany zebrali się tu znowu, znosząc łupy i obliczając straty, które bardzo szczupłe były. Zdobyczy nie wzięto wielkiej, oprócz silnego niewolnika i niewiele wartego uzbrojenia.

Odpocząwszy nieco, kneź zdał dowództwo Sydborowi, napowrót ciągnąć mu kazać do Poznania, a sam w kilkanaście koni tylko puścił się przodem, zabrawszy z sobą Wigmanów miecz, jako zwycięstwa swojego pamiątkę.

Tak skończył niespokojny ów warchoł, który z Geronem razem napadł naprzód Polan, potem na nich wiódł Wolińców, wojował za cesarza i przeciw niemu, ze Słowian i za Słowian... i nigdzie nie znalazłszy spokoju, musiał umrzeć, aby przestać mącić go drugim.

Naprzeciw zagrody słowiańskiej usypano mogiłę comesowi, na której krzyża nie było komu postawić.

Cesarz, dowiedziawszy się o tem z pogranicza, nie rzekł nic, żal mu go było może...

Nazajutrz w Regensburgu uroczyste za duszę grafa odprawiono nabożeństwo.

X.

Jak niegdyś ojciec Własta przyjmował na Krasnejgórce swych powinowatych i sąsiadów, gdy mu syn powrócił, tak teraz jesienią o. Matja na dzień Wszystkich Świętych zaprosił chrześcijan nawróconych do siebie, aby z nimi razem nabożeństwo i skromną odprawili biesiadę. Nie potrzebował się on tać ze swą wiarą, która codziennie jawniej po całym kraju występowała, ustały nawet nadzwyczajne ostrożności, gdyż nie zdawało się, ażeby gorliwsi bałwochwaltwa wyznawcy śmieli się porwać na chrześcijan, do których kniahinie, znaczną część dworu jawnie, a kneź też, choć nie ogłaszając się z tem, należał.

Bałwochwaltwo ustępowało milczące, strwożone, ale się tuliło uparte tam, gdzie je dosięgnąć było najtrudniej... w lasy i niedostępne uroczyska.

Tu, kto z nowych apostołów śmiał się puścić, niosąc krzyż i ewangelję, znajdował opór tak groźny, iż życie unosząc, uchodzić musiał. Gdy w pobliżu grodów już wszystkie na drogach bałwany, oznaki pogaństwa, poobalano — dalej w lasach strzeżone były pilnie i żadna ich ręka nie tknęła.

Gromady starców, bab, parobków w pałki po-uzbrajanych, obsiadały brzegi świętych strumieni, rozdroża, dęby, i przystępu do nich broniły.

W lasach między Gnieznem a Poznaniem — na miejscu wywróconych bogów, kryjomo stawiano krzyże, ale nazajutrz znajdowano je połamane i popalone.

Nigdzie do tej walki nie występowano jawnie, a jednak nie ustawała ona, ciągnąc się nieprzerwanie... Chrześcijaństwo zyskiwało wyznawców — bałwochwalczy coraz się do rozpaczliwszej pobudzali obrony...

Dom Własta, do którego oprócz nowych chrześcijan, nikt prawie nie zaglądał, przybrał postać nową i miał wszystkie oznaki, jakie mieszkania chrześcijan na zachodzie odróżniały.

Znikły dawne uzbrojenia, rynsztunki, luki i tarcze, które Jarmierz pochował do komór. Ojciec Matja uczynił klasztor niemal ze swojego dworu. Sam teraz przywdział ciemną suknię, podobną do tych, które nosili synowie Św. Benedykta na Monte Cassino, u których czas jakiś przebywał — a izby przybrał jak cele klasztorne w wizerunki Zbawiciela, w bizantyjskie obrazki Matki Jego, w krzyże i godła wiary swojej. U każdych drzwi wisiała przybita kropielnica... a kaplica, coraz nowemi z bogactwa nabytkami, świeciła kosztownym sprzętem i bogatemi aparatami. Ołtarz umajały kwiaty, zmieniane codziennie. Przed nim ojciec Matja modlił się za duszę ojca i za nawrócenie kraju, którego miłość była dlań pobudką nieustannego apostołstwa.

On i ks. Jordan, kilku Czechów, którzy im pomagali, nauczali codziennie gromady tych, co już chrzest przyjąwszy, napół jeszcze bałwochwalcami pozostali. Wielu tu wiarę, jak szatę nową wdziewało obojętnie, a żyli starym obyczajem, usiłując z sobą pogodzić nieodżałowaną przeszłość z nieuniknioną przyszłością.

Hoża już także z rąk brata przyjęła chrzest i zwała się Hanną, Jarmierz wziął imię Andrzeja, ślub połączył tę parę, którą Włast uczynił u siebie gospodarzami, lecz i z tymi najbliższymi też same miał ojciec Matja trudności co z obcymi. Powoli krzewiła się wiara, niełatwo przyswajano jej obowiązki.

Jesień już późna na uroczysty ten dzień Wszystkich Świętych obdarzyła niezwykłym ciepłem i po-

godą. Pajęczyny jedwabne rozścielały się po polach, na drzewach ostatki liści pożółkłych jeszcze się trzymały, zasiane żyta już zdawały się wiosny obietnicą, tak zieleniały bujno.

Lekki przymrozek posrebrzył je tego rana.

We dworze już przed brzaskiem wszystko było w ruchu, pieczono i warzono dla gości, ustawiano stoły po izbach i w szopce... bo się spodziewano wielu. Włast z dawnych tradycji, które się dobrze godziły z chrześcijańską nauką, zachował gościnność polańską dla wszystkich. Każdy, kto do drzwi jego zapukał, przyjętym był, choćby i do chrześcijan nie należał. Jajmużnę rozdawano obficie.

Rano, razem z gośćmi dalszymi, przybył z zamku ks. Jordan i dwaj czescy kapłani... przysposobiano się do mszy, a tymczasem coraz ktoś nadciągał nowy. Byli to po większej części nawróceni żupani i kmiecie, ale i uboższego ludu przychodziły nieśmiałe gromadki. Większa część, przybywszy, jako znak na piersiach, zawieszała krzyżyk przy chrzcie dany, który najczęściej jedyną był w nich chrześcijaństwa cechą.

Mała kapliczka nie mogła pomieścić przychodzących, lecz ołtarz stał naprzeciw otwartego okna, tak, że z podwórza przy nim widzieć było można kapłana, i tu ustawiały się też szeregi. Tymczasem Jarmierz ze służbą przysposobił stoły, chleb i przyjaciele.

Chrześcijańska ta nowa społeczność powierzchownie się jeszcze nie różniła niczem od dawnej pogańskiej; szaty, oręż, wszystko zostało toż samo, tylko łagodniejsze już widać było oblicza, i ciszej sprawiali się zbrojni goście.

Przed południem, gdy już i podwórko i izby pełne były samych prawie mężczyzn, ks. Jordan z dwoma duchownymi wyszedł przed ołtarz ubogi ze Mszą świętą. Ciska uroczysta zalegała dokoła. Większa część tych chrześcijan niewiele modlitw umiała... modlono się duchem tylko; dopiero gdy po Ofierze

rozpoczęto litanię, cała gromadka powtarzać zaczęła głośno — zmiłuj się i módl się za nami!

Może, jak opowiada o innych Słowianach Dittmar, że kyrie eleysson — przez nieświadomość przekraczali na Ukra oleza (u krzaku olszyna), tak i tu niejeden słów nie rozumiał, lub odmieniał, lecz sama chęt starczyła ubogim na duchu za modlitwę.

Nabożeństwo odbyło się poważnie wśród cisy i musiało radować apostołów, widzących już owoce swojego trudu. Z promieniającą twarzą, pomodlwszy się u ołtarza, ojciec Matja zdejmował białą komżę i miał śpieszyć do gości, gdy Jarmierz wpadł, dając mu znać, że od Poznania widać ciągnący orszak, w którym się domyślano knezia...

Wyszedłszy przed wrota, wistocie ujrzał Włast kilkanaście koni, które się zwolna ku dworowi zbliżały, a na ich czele mężczyznę i dorodną niewiastę... Za nimi szły psy, a chłopak niósł na rękę sokoła.

Wyjechali więc na łowy, a Krasnogóra znalazła się na drodze wypadkiem, czy do niej zboczyli umyślnie? Włast został przy wrotach, aby na wypadek odwiedzin pańskich powitać go czolobitnością należną.

Gdy się jadący zbliżyli, łatwo już było rozpoznać wesołe knezia oblicze i swobodną zawsze twarz Dubrawki, która dotąd wianka dziewiczego zrzucić nie chciała, i teraz też w nim jechała, uśmiechając się to mężowi, to wesołej okolicy. Zdala już kneź skinął na Włastą i podjechawszy do wrót, stanął.

— Dziwne sprawy — zawołał — u was zawsze widzę gody! Zastałem wie niegdyś tu u ojca waszego, a oto i syn także biesiaduje i gości ściaga.

Kneź popatrzał na stojących w podwórzu, którzy mu się nisko kłaniali. Dubrawka, rozglądając się też, dostrzegła przez otwarte okno ołtarz i krzyż, i przeżegnała się pokornie.

— Co tu u was dziś, — wesele czy urodziny? — spytał kneź.

— Święto — odparł duchowny ks. Jordan — pa-

niątka tych wszystkich, co za wiarę cierpieli i co się dla niej zasłużyli — a jutro obchodzić będziemy dzień zmarłych.

Kneź głową pokiwał tylko, jakby unikał o tem nowy, był bowiem niebardzo jeszcze świadom obyczaju nowego i z ks. Jordanem często miewał o to spory... bo mu się trafiały dziwne sądy i pytania. Przy ludziach więc Mieszko wołał nie mówić, aby się na poprawki nieubłaganego kapłana nie narażał.

Włast ośmielił się poprosić, aby kneź i kniahini siedli i odpoczęli.

— Nie mam ja czasu — rzekł kneź. — Ze psy i sokoły jedziemy do Gniezna. Zamiast tu pozostać, ja gości jeszcze zabiorę... Ks. Jordan mi potrzebny, pojedzie ze mną; ale kubek miodu mi dajcie — wypiję.

I tak na koniu siedząc, Mieszko, rozglądając się ciągle, miód podany wychylił; — kniahini drugi przysiesiono — nie odtrąciła go. Śmiejąc się, przyłożyła do ust rumianych.

Tymczasem już dla ks. Jordana konia wyprowadzono, i cały ten orszak, jak przybył zwolna, tak odciągnął, nie śpiesząc, ku lasom. Ludzie, stojąc, długo za nim patrzali.

Ks. Jordan w orszaku pańskim jechał milczący, modlił się, nie wiedząc spełna, na co był w podróży do Gniezna potrzebny; lecz wiedział, że wszędzie zawsze miał wiele do czynienia. Parę razy puszczoł psy, raz czy dwa razy sokół się zerwał, ale łowy nie szły, co ks. Jordan świętecznemu dniowi przypisywał, ale dla nowonawróconych w wielu rzeczach trzeba było być pobłażającym.

Przez cały dzień przeciągnęła się podróż polami i lasami i już dobrze zmierzchało, gdy się ukazała łąka nad jeziorem z grodem na Lechowej górze. Znaczłą przestrzeń zalegało miasteczko nad brzegiem, z drzewa pobudowane całe, ale czyste i za-nożne. Dworki świeciły ścianami malowanymi i wyznanami słupkami. Rzemieślników tu było prawie

tylu, co w Poznaniu i tyleż wojska, — w części na grodzie, w części w chatach około niego pomieszczonego. Na górze opasany wałem, a z jednej strony wodą oblany, stał gród książęcy stary, drewniany jak wszystkie ówczesne słowiańskie, jak większa część budowli w Niemczech nawet. Wśród niego widać było starą, na wysokich słupach stojącą kontynę po-gańską, z dachem czerwono malowanym. Na najwyższym jej szczycie, wycięty z drzewa potwór jakiś się unosił.

Tuż były obszerne domostwa książęce, podobne do tych, co stały nad Cybiną, starsze od nich może, lecz w ten sam sposób przyozdobione. Ale tu krasne malowania i dawne barwy wypełzły i słupy a ściany jednak szaro wyglądały a posępnie.

Sydbor wyszedł pieszo do bramy naprzeciw brata, ciesząc się z jego przybycia. Musiał się go spodziewać, bo nietylko stoły czekały nakryte, ale gromadka ziemian stała w podwórzu z odkrytymi głowy. Pomiędzy dworem a kontyną leżały stosy kamieni zwiezionych świeżo. Za starszyzną u ściany widać było ludzi obcych twarzy, którzy też zdawali się tu oczekiwać na Mieszka, i ciekawie mu się przypatrywali.

I on i Dubrawka zsiadli z koni pokłonami witani aż do ziemi, lecz zamiast iść do dworu, Mieszko poszedł z ks. Jordanem ku kontynie, dokoła ją okrążył, obejrzał się po dworcach, nic nie rzekł, i zawrócił do izby biesiadnej.

Mieszkanie to było niskie, okopcone, proste i niczem nieozdobne, tak jak z Piastowych czasów zostało... Ławy dokoła, stoły na krzyżowych podporach, podłoga z opólków, zielonym kosaćcem posypana. Przez pootwierane drzwi widać było izby dalsze, do pierwszej podobne.

Mieszko się obejrzał z pewnem uszanowaniem po dworze. U głównego stołu stały już gotowe dwa siedzenia, a przed nimi naczynia srebrne... i misy; lecz kneź nie siadł jeszcze i rzekł do żony:

— Pokłonić się nam trzeba wprzód duchowi tego gospodarza, co tu pierwszy ze krwi naszej gościł.

I szedł potem, prowadząc żonę, a Sydbor, jakby domyśliwszy się, poprzedał ich przez izby i komory. I obeszli tak całą jedną połać grodu aż do drzwi, które stały zaparte. Sydbor je otworzył...

Komora była niewielka, podobna do świetlicy w ubogiej chacie. Ława i stół w niej tylko!... Naprzeciw wnijścia na ścianie, oponą bogatą, jak królewska szata, wisiało coś osłoniętego.

Mieszko widocznie wzruszony, zdjął kołpak z głowy, a Sydbor na dany znak, przystąpiwszy do ściany, oponę zwolna odgarnął.

Spodziewała się może kniahini ujrzeć jakieś bogactwa, lub coś nadzwyczajnego... U ściany wisiała prosta szara siermięga, lipowe kutrze i kobiałka, a pod niemi stał ul pusty...

— Miłościwa pani — odezwał się Mieszko — Piastowa to pradiadowna kmiecia odzież, od której go wzięto na stolicę... Nam ją wnukom zostawił, abysmy nasz początek i wyjście pomnieli.

To mówiąc, kneź ujął w ręce kraj starej szaty i pocałował ją, a za nim Sydbor; — Dubrawka stała nieco opodal.

— Nie zachowali my na Hradzynie Przemysławowego pługa, miły panie, ale Piastowa siermięga i ul na równi z nim w pamięci wnuków zostaną!

Sydbor zasłone ściągnął, Mieszko wyszedł smutny. To wspomnienie przeszłości było dlań może wyrzutem w chwili, gdy mu się zdawało, że ją zdradził i że się jej wyrzekał. Zawahał się, czując chwilę stanowczą nadchodzącą.

Dubrawka zdawała się myśli jego odgadywać, i gdy dochodzili do izby, w której starszyzna czekała, zaledwie mruczając pocichu, — odezwała się do knezia...

— Szkoda, żeście z sobą do tej komory nie wzięli

ks. Jordana;—niechby ową siermięgę święconą wodą pokropił—a lżejby na sercu wam było...

Wchodzili już do izby, witani znowu pokłonami niskimi... a że mrok był, pacholeta wniesli pochodnie i uczała się rozpoczęła.

Nie było niewiasty nad Dubrawkę milszej, gdy gośćmi otoczona, wesele w nich i dobrą myśl dostrzegła. Naówczas śmiały się jej usta i oczy, i pobudzała drugich, wyzywała a ochoty dodawała. Nikt u niej nie widział czoła pochmurnego, ani ponurej twarzy, przez co i drudzy się też ożywiali i ośmielali.

Umiał kto pieśni, — kazała śpiewać; proszono ją, chętnie nuciła swoje czeskie stare, w których ludzie jakby zapomniane swoje własne znajdowali. Czyniły one takie wrażenie u Polan, — jak gdyby je kiedyś w dzieciństwie, czy na drugim świecie jakimś słyszeli... a teraz je dopiero sobie przypominali. Gdy nad Woltawą pieśń przezimowała ciężkie lata i z wiosną się obudziła — tu — nad Wartą i Wisłą, zmroził ją jakiś podmuch — czy wyzęgła wojna.

W wielkiej izbie wesoło było dziwnie... ale Mieszko siedział smutny... czy mu na oczach stała Piastowa siermięga, czy śmierć Wigmanowa — czy to, co jutro przyjsz miało...

Przez otwarte okna coraz to się dawał słyszeć trzask jakiś dziwny, na który nikt może nie zważał, oprócz Mieszka. Ile razy doszedł uszu jego, kneź się wstrząsnął, popijał i wodził oczyma jakby przestraszonymi.

Gdy tu biesiadowano wesoło, w podwórzu działo się coś, na co ludzie, stojący na wałach dokoła, z przerażeniem patrzali.

Kupka obcych jakichś, którą kneź wysłał przodem, przystąpiła do starej kontyny. We drzwiach jej stało dwu dziadów na kijach opartych. Starszyznę jakiś odezwał się do nich:

— Idźcie sobie, starzy, nie macie tu już co robić, ni czego strzedz. Skarb wzięty na dworzec, a chramowi przysła ostatnia godzina.

Dwaj dziadowie słuchali, jakby nie rozumieli, spojrzeli potem po sobie, i milcząc, weszli do środka. Za zasłonami stał stary drewniany kłoc, podobny do jakiejś nieforemnej człowieczej postaci, obwieszony blachami i kawałkami zbroi. Z jednej strony przyimocowana była dzida, z drugiej tarcza bogata. U nóg posagu stały ofiarne naczynia.

Dziadowie przyszli do stóp posagu i posiadali na ziemi.

Człowiek, który kazał im ustąpić, poszedł powoli za nimi.

— Ustąpić! — zawołał. — Rozkaz knezia! idźcie stąd, nie macie tu już nic do roboty!

Starcy ze spuszczonej głowy nie odezwali się ani słowa. Ten, co ich chciał wygnać stąd, poczekawszy nieco, zniecierpliwiony, jednego z nich za ramię chwycił i szarpnął. Dziad się pochylił, starał oprzeć, obalił, podniósł i siadł znowu. Łajanie, groźby, nic nie pomagało.

Musiał wyjść i zawołać ludzi, którzy, do starych się zbliżywszy, gdy inaczej wyprzeć ich stąd nie było podobna, musieli za bary pochwycić i mimo oporu wyrzucić za drzwi kontyny. Lecz zaledwie wypchnięci, oba wrócili i pokładli się przy posagu, wyciągnięto ich raz jeszcze i związanych zaprowadzono gdzieś na dworzec.

Na wałach jak mur stali ludzie milejący: patrzali mimo ciemnej nocy i kłoby mógł usłyszeć głosy, co stamtąd płynąc, z wrzawą biesiadną się mieszały, rozeznałby w nich jęki i płacze, ale ciche i stłumione...

Co się działo wewnątrz kontyny, nie widział nikt; wynoszono z niej, wytaczano, zabierano sprzętu resztę. Słyszeć było, jak się dały zasłony i stanęły nagie słupy, a na przestrzał pod dachem szopa pusta. Wtem głucho uderzenia siekier dały się słyszeć, a każde z nich odezwało się w sercach tych, co tam na wałach stali. I były siekiery długo, podrębywały dokoła, a czarny dach chramu, zdało się, zadrżał,

chylił, chwał — potem odskoczyli ludzie, cała stara budowla z traskiem wielkim runęła na ziemię. Głośniejszy jeszcze od niego był jęk, który przebiegł po wałach: świat się to walił stary! Ludzie oczy zakrywali i płakali.

Ze dworca, mimo łomu tego i wrzawy, nikt nie wyszedł; pacholkiwie z zewnątrz zasuwali okiennice. Została kupa rumowiska, w której gdzieś jeszcze coś chrupnęło, obsunęło się głębiej i zapadło.

Ludzie długo nie przystępowali do tej ruiny; dopiero gdy starszy wskazał, rozpoczęła się szybka robota. Chwytano i wyciągano belki, rozrąbywano krokwie, wleczono słupy, oczyszczano miejsce, na którym stała kontyna. Parobcy zwołani dzwigali to i składali na kupę pod wałami, które gromady ludu zalegały. Nie ruszał się nikt zrazu, potem w mroku jak mrówki zaczęli się tłumem spuszczać ludzie z okopów i unosić te szczątki. Ledwie się to rozpoczęło, w mgnieniu oka posypali się z innych stron drudzy, i belki, słupy, resztki dachu, wszystko, co zostało, — znikło! Tysiące rąk podawało sobie te pokruszone części chramu, które gdzieś w ciemnościach nocy tonęły.

Tylko na wałach, w cichych gromadach ruch się wziął jakiś, pośpieszny, gorączkowy, nieustanny. Jedni na dół się spuszczały, drudzy pędzili do góry, mijając się w milczeniu. Straż i ci, co znosili drzewo, chcieli się opierać tej kradzieży. Tłum milczący nacisnął ich, otoczył, skupił się, objął tak, że z trudnością wyzwolić się potrafili. Z wałów stoczyli się ci niemi ludzie ku rumowisku i wprost z niego chwytały, unosząc, co leżało jeszcze. Ci, którzy obalili chram, musieli milczący i bezczynni pozostać na boku, nie śmiejąc się już ruszyć. Z rąk im wrywano drzewo; krzyżeć i wołać pomocy nie chcieli. Ustąpili więc, czekając, aż rabunek się skończy.

Stos się zmniejszał w mgnieniu oka; najcięższe kłody wysuwały się gdzieś w ciemności i przepadały

weszło wszystko. Do niego się oni schodzą, z nim radzą... Ale drugi raz nie wezmą mnie już... bo mnie tu nie będzie.

Nikt na tę pogrozkę nie odpowiedział, a Warga też nie zdawał się dbać wiele o to, mruczał sam do siebie mówiąc, z oczyma wlepionymi w ziemię, miotał się, krzychał to głośnie, to ciszej i długo nie mógł się uspokoić.

Z nikogo jednak nie wywołał potakiwania, nikt mu się w pomoc nie ofiarował; owszem, Drzewica się odezwał, że kneź miał słusność, że nikt nikomu nigdy nie bronił boga sobie wybierać jakiego chciał, — że chrześcijanie oddawna się pokazywali tu i owdzie, a nikt ich nie prześladował i za ojca kneziowego i za dziada.

Drudzy też, dla miłego spokoju może, staremu choć głowami potakiwali; Warga zmilkł i długo siedział zadumany, wstał potem, nie obejrzawszy się na nikogo, nie rzekłszy nic i poszedł przez pole bez drogi, gdzie go oczy niosły. Nikt go nie zawrócił i nie strzymał. Niektórzy gorliwsi byli tego zdania, że i Biela i słup na Dąbrowach należało postawić na nowo. Na to się godzili wszyscy i gorąco zaraz rozebrali między siebie robotę.

Tegoż wieczora wiedziano o tem na Krasnejgórze, przybiegł ktoś z grodu i doniósł o skardze gromady, o danej jej odpowiedzi, a nawet o Wargi odgrózkach. Jarmierz nie powiedział nic Włastowi, ale strażę około dworu ustawił i przez całą noc czuwać im kazał.

Mieszko tymczasem, zamiast ociągania się i obawy, tegoż dnia pilnie zajął się przygotowaniami do publicznego przyjęcia chrześcijańskiej wiary...

Wysłano do Czech po kilku duchownych w pomoc ks. Jordanowi, żądając też od Bolka, aby dał ludzi, coby z kamienia budować umieli kościoły, wedle obyczaju chrześcijańskiego, i wszelkiego rzemieślnika do przygotowania sprzętu, jaki był do ofiar i urządzania nowych świątyń potrzebnym.

Znowu w tę podróż musiał być wyprawionym Włast, który służył chętnie we wszystkim, co nawrócenie zupełne przyspieszyć mogło. Tymczasem, nie objawiając na co, wozić kazano kamień na zamki w Gnieźnie i Poznaniu.

Wielkie przygotowania działy się po grodach, choć o ich celu nie ogłaszano ludowi... Ks. Jordan tylko chodził, przysposabiając, kogo mógł do przyjęcia chrztu, zarazem objawiając o wielkich darach, jakie kneź miał dla chętnych czynić... Białe szaty z płótna i sukna szyto secinami na zamku u Górki i Dubrawki i składano je stosami.

Jordan, opowiadając ewangelię, zwiastował zarazem, że ona wszystkich uczyni braćmi w Chrystusie, połączy i porówna, że kneź stanie się dla nowonawróconych ojcem a zarazem i bratem.

Pomimo wzburzenia umysłów, jakie obalenie Biele i słupa na Dąbrowach wywołało, — nie było prawie nocy, aby gdzieś posąg na rozdrożu lub uroczysku nie upadł i nie został zniszczony. Zdawało się, że je niewidzialna jakaś ręka wywraca, bo nigdzie sprawcy ani nawet śladu dojść było podobna...

Czekano kary bogów napróżno — nie broniły się już stare bogi.

Resztę ich, które stały po domach i zapadłych kątach, chowali pobożni i kryć się zaczęli z niemi.

Warga, który usiłował do czynnego i rozpaczliwego skłonić oporu, zaledwie nieznaczoną garstkę wkoło siebie zgromadził i ukrywać się z nią musiał. Smutek padł na kraj cały...

Nigdy bez bólu nawet do lepszego stanu nie przechodzi człowiek, a stokroć trudniejszym jest odrodzenie się społeczeństwa, które, zwichnięte w biegu, niełatwo odzyskuje ruch bezpieczny i stały. Chwile przesilenia i gorączki są zawsze dołą nieladu i rozprężenia. Zli korzystają ze swobody, jaką daje nieposzanowanie praw, które się walą, uwalniając zarazem od poszanowania tych, których znać jeszcze nie mogą. Toż co zawsze i wszędzie, obja-

127
w nich. Została kupka kamieni tylko i te potoczyły się ku wałom, tylko poruszona ziemia, węgle i trzaski okrywały plac i tłum z wałów odpływać począł. Zdala widać było gdzieś małe kupki, potem nikogo więcej. Stary chram zniknął bez śladu.

Gdy po długiej uczcie wyszła starszyzna z dworca, rozgrzana miodem i rozradowana przyjęciem, wszyscy stanęli i oniemieli na widok pustej przestrzeni, gdzie przed niewiele jeszcze godzinami stał chram stary. Spojrzeli po sobie długo, milcząc o cicho rozchodząc się zaczęli.

Po wałach czuwały zbrojne straże i wszystkich lud wojenny gotowy był, jakby nazajutrz wybierano się na wyprawę. Noc przeszła na czuwaniu w grodzie i mieście; tylko Mieszko legł spać, nie troszcząc się o nic. Dodnia już był na nogach. Ze dworca wychodził on, Dubrawka, Sydbor i ks. Jordan w białej sukience, włożonej na czarną, którą zwykle nosił. Za nim chłopak dźwigał spiżowe naczynie z wodą.

Mieszko wyszedł z dworca, oczyma potoczył dokoła. Świątyni dawnej nie było ani szczątka, znikło nawet to, z czego była zbudowana. Noc, jakby cudem, uprzątnęła miejsce, zmiotła okrucy nawet, tylko świeżo ruszona ziemia znaczyła plac, gdzie niegdys stał chram Jessego.

Wolnym krokiem zbliżyli się wszyscy ku miejscu, które już ks. Jordan, przodem pośpieszając, kropił wodą święconą. Kneź się obejrzał dokoła: na grodzie nie było nikogo, prócz zbrojnych ludzi i dworu.

Obey człek z odkrytą głową zbliżył się pokornie, w rękę trzymając miarę; za nim postępowało kilku pomocników. Razem z księdzem Jordanem poszli odmierzać plac i zakreślili na nim wielki krzyż, który białemi kolkami wytknięty, zdala był widoczny. Godło zbawienia leżało w rozmiarach olbrzymich na poświęconem miejscu, a Dubrawka, przeżegnawszy się, wskazała środek krzyża.

— Tu będzie mój grób! — rzekła.

Mieszko mileżał.

Gdy odstąpili, wracając ku dworowi, do knezia zbliżył się jeden z jego komorników.

— Miłościwy panie — odezwał się cicho. — Dwaj starzy od chramu leżą powiązani, co zrobić każecie z nimi? Wczoraj bronili przystępu, nie można było ich odegnąć.

Kneź myślał, zniżył głos, obejrzał się ku księdzu i żonie, jakby się lękał, aby go nie posłyszeli..

Weźmijcie ich na wóz, nakryjcie słomą, wywieźcie gdzie do lasu na uroczysko i wyrzucie — rzekł i odwrócił się szybko; niewesoło mu z oczów patrzyło.

Dubrawka przysła i rękę położyła mu na ramieniu.

— Panie mój miłościwy! radować się i cieszyć macie, boście wielkiego dokonali dzieła.

— Nie dokonaliśmy go jeszcze — szepnął Mieszek, — nie dokonali, a już boli; cóż będzie, gdy się spełni?

— Wówczas boleć przestanie — dodała Dubrawka śmiało, — a im prędzej to uczynicie, będzie lepiej.

Kneź swoim zwyczajem, nie odpowiadając nic, na Sydbora spojrzął, który także stał pół wystraszony, pół smutny i weszli obaj do dworca.

Na owym rozpiętym krzyżu, który wodą pokropił święconą, klęczał ks. Jordan i modlił się. Nie obchodziło go to wcale, iż ludzie, poganie w wielkiej części, patrzali nań z podziwem i zabobonną trwogą. Ta modlitwa dziękczynna była potrzebną jego duszy, powstrzymać się od niej nie mógł. Z rękami zaciśniętymi, oczyma wlepionymi w ziemię, na której klęczał, modlił się płacząc, jakby chciał wszelkie nieszczęścia od tego poświęconego przez się miejsca odegnąć i sprowadzić nań błogosławieństwo Boże po wiek wieków.

Tymczasem obcy ludzie, co mierzyli i wytykali, jakby zagrzani jakimś zapalem, ruszyli się ku sto-

som przygotowanych kamieni; drudzy już z łopatami stali, gotowi kopać. Ks. Jordan klęczał jeszcze. Gdy wstał i pobłogosławił na cztery strony plac, dano znać i dookoła posypała się ziemia. Mieszko i Dubrawka już odjeżdżali, ks. Jordan z nimi, — Sydbor przeprowadzał brata.

XI.

Tak się przygotowywało wprowadzenie wiary chrześcijańskiej do kraju i Dubrawka co chwila się spodziewała, że nareszcie krzyż zatknięty zostanie na dachu pierwszego kościoła. Im bardziej jednak zbliżała się ta chwila, tem Mieszko dziwniej ociągał się i odkładał krok stanowczy. Ile razy wyruszył na łowy, spotkał w drodze lud, popatrzał na chmurne twarze, pomówił z ziemianami, którzy od wpływu dworu byli dalecy, wracał jakby niepewny i wahał się znowu, a gdy kniahini pytała go o ów zapowiedziany chrzest uroczysty, — nie odpowiedział jej nic.

Ks. Jordan, wzywany do narady, radził czekać, nie nalegać; — zdało mu się, że sama potrzeba zaślony się od Niemiec i przymierza z cesarzem musi do chrztu i otwartego krzewienia wiary.

Wprawdzie nie ukrywano się z nią, opiekowano nawróconymi, odprowadzano nabożeństwa, ale sam kneź nie był już ani poganinem, ani chrześcijaninem jeszcze. Wielu rzeczonemu się opierał, a bardzo wielu rozumieć i słuchać nie chciał. Samowola, do której nawykł przez całe życie, poddanie się prawu czyniła dlań nieznosnem. W duszy może nieraz lepiej rozumiał opór ludu, dla którego był pobłażającym, niż przymus, jaki nań wywierano.

Ks. Jordan był cierpliwy. Dubrawka, mimo potanowienia, coraz się więcej zżymała na męża, zwłaszcza, że z Czech szły ciągle zapytania o chrzest

i ślub uroczysty, o ogłoszenie chrześcijańskiej wiary głośne i jawne, na które nie wiedziała już, co odpowiadać. Tymczasem jej staraniem nawróconą została Górka, a za nią poszedł niemal cały dwór jej, oprócz starej Srokichy, która uciekła naprzód na Krasnogórę do wychowanka, a tam znalazłszy wszystko do niepoznania zmienionem, płacząc, schroniła się gdzieś do lasu. Napróżno Włast usiłował ją wstrzymać, wyrwała mu się jednego ranka i więcej już nie powróciła.

Przez całą zimę trwało to naleganie ze strony kniahini i milczenie uparte samego pana. Dubrawka, niecierpliwa i żywa, z trudnością znosiła upór mężowski, nie mogąc nawet odgadnąć jego myśli. Nie przeciwił się nawracaniu, czasem karał tych, co chrześcijanom krzywdy wyrządzali, lecz niekiedy broił naglonych do przyjęcia chrztu i nie podzielał wcale gorliwości córki Bolesława, która w tym pogąńskim jeszcze świecie nieustannie myślała tylko, aby wszystko dawne obalić. Gdy Mieszko obojętnie jakoś czekał i przeciągał, jej wysłańcy pokryjomu obalali posągi, palili kontyny i po nocach zatykali krzyże—lecz napróżno.

Po nowym roku raz jeszcze kniahini poczęła prosić męża, aby dotrzymał słowa. Mieszko znowu zmilczał, a gdy naciskać zaczęła nań, wyszedł, nie nie przyrzekłszy.

Kneź był dobrym mężem, ale niewieście nie przyznawał prawa rozporządzania się w domu. Gdy go nagliła bardzo, miał zwyczaj żartobliwie odsyłać ją do wrzeciona i krosien.

Zima była ostra w tym roku, dzień po dniu jednak jeżdżono na łowy. Mieszko wyruszał często przededniem, bawił długo i ledwie wróciwszy, wybierał się znowu.

Raz, gdy z takich łowów wrócił na zamek późną nocą, a kilkoro sań przywiozło za nim zwierzyne, w komorze, do której wszedł, znalazł na sobie oczekującego Dobrosława.

Zaczął mu opowiadać o łowach i ostatnim dziku, którego ludzie żywcem wzięli, gdy spojrzawszy w twarz swojemu słudze, postrzegł na nim oznaki jakiegoś niepokoju. Nienawykły do milczenia, spytał zaraz,—czy się co we dworze nie stało?

Dobrosław zwlekał z odpowiedzią.

— Miłościwy kneziu—rzekł wreszcie—skinąwszy wprzód na komorników, aby odeszli—nasza kniahini wybiera się w drogę...

— Dokąd? kiedy?—spytał kneź.

— Przyjechał z Pragi poseł... nie wiem, co przywiózł z sobą, — kazano wszystko do podróży spsobić...

Ponieważ noc była późna, Mieszko, nie pytając ani dowiadując się więcej, leżał na spoczynek.

Nazajutrz ranej niż zwykle był na nogach. Wistocie w dworcu Dubrawki ładowano juki i skrzynie i wynoszono je w podwórze; widać było ludzi śpiesznie się uwijających i ruch niezwykle. Posłał Mieszko natychmiast po Różanę.

Zdaje się, że stara pani już się tego spodziewała, bo mimo rannej pory weszła ubrana starannie we wszystkie błyskotki, które lubiła.

— Co się u was dzieje?—zapytał kneź.

— A! miłościwy panie! miłościwy panie... — do nóg się kłaniając i przystępując blisko, jak do poufnego zwierzenia Różana—co się u nas dzieje?... tracę głowę! sama nie wiem... Zamęt... Wczoraj przybyli Czechy do miłościwej pani, mówiła z nimi długo na osobności. Nie mam tego zwyczaju, żebym podслуchiwała... nie wiem nawet, co mówili... Ale szep-tano długo, długo, a potem miłościwa pani wyszła i kazała wszystko swoje, co przywiozła z Pragi, ładować i wiązać wszystko... wszystko... Kneź może zgadnąć, co to znaczy? Ja stoję i patrzę... kniahini ma swoje niewiasty czeskie, którym się zwierza... na mnie ledwie rzuci okiem... Nigdy nic nie wiem!...

Różana załamała ręce.

Mieszko popatrzał na nią i skinieniem ją odprawił.

Czekał na to, aby mu Dubrawka sama przyszła wytłumaczyć, co znaczył ten wybór w drogę; godzina upłynęła jeszcze. Naostatek weszła Dubrawka, ale nie jak zwykle z twarzą wesołą i obliczem rozpromienionem — niespokojna, smutna i widocznie poruszona.

Mieszko ręką jej wskazał w podwórze, jakby pytywał—co to jest?

Dubrawka patrzała nań.

— Posłałam do Pragi, aby po mnie ojcowscy ludzie przybyli... wróć do rodzicielskiego domu. Dłużej tu nie mogę zostać...

Strzymała się nieco i ciągnęła dalej, patrząc na męża:

— Wstyd mi... widzicie, że noszę wianek dziewiczy na głowie, bo uroczystego chrztu i zaślubin nie było. Nie mogę powiedzieć, żem żoną twoją... Wobec chrześcijan córka Bolesława jest tylko twoją ulubienicą, jak te dawne Lilje i Luby... a córka Bolesława Lutego, wnuczka Przemysławów, nie może nią być i nie będzie! Wolę powrócić do domu, niż dłużej tu cierpieć i sromać się przed moimi poganstwem a takiego życia. Pojadę do domu! — powtórzyła.

Stał Mieszko zdziwiony i niemy—Dubrawka prawie płakała... ale nie chciała dać poznać po sobie, że na lzy się jej zbierało.

— Nie pojedziecie!—odparł Mieszko.— Musieliby po was całe czeskie wojsko przysłać, inaczej ja nie puszcze!

— Ucieknę,—a tak w grzechu i wstydzie żyć nie będę!—dodała Dubrawka.

Kneź, ramionami ruszywszy, siadł na łożu i zadumał się.

— Słowo dałem i strzymam; — odezwał się. — Wiem co czynię.

— Miłościwy panie, i ja wiem, czego żądam... czekałam z pokorą... czas albo mnie nazwać żoną, lub opuścić ze wstydem.

Wstał kneź z wolna, zadumał się — przystąpił do placzącej i rzekł:

— Gdy pierwszy skowronek zaśpiewa, upadnie reszta chrząmów i w Gnieźnie krzyż zatknem. Gdy pierwszy skowronek zaśpiewa—powtórzył.

Dubrawka plasnęła w ręce i oczy jej zaświeciły...

— Na nowego Boga twojego, na Chrystusa, który wiarołomnych karze, przysięgnij mi — zawołała — i z szyi zdejmując krzyżyk, podała mu go: — przysięgnij!

— Przysięgam—rzekł Mieszko.

Dubrawka rzuciła mu się dziękować; kneź siadł chmurny, nie mówiąc więcej.

Od tego dnia rozpoczęły się jawne przygotowania do większej uroczystości.

Posłowie czescy, odprowadzeni nazad do Pragi, mieli jeszcze raz przybyć ze skowronkiem razem... wioząc ze sobą świątobliwego kapłana Bohowida, który chrzest uroczysty Mieszka miał dopełnić.

W Gnieźnie, nad częścią już wznoszącego się nowego kościoła, naprędce kazano dach ukończyć, aby w tej pierwszej świątyni odbyć się mógł obrzęd chrztu. Ks. Jordan, ojciec Matja i inni duchowni zbierali tymczasem przygotowujących się neofitów, ażeby razem z knieziem jak największa ich liczba do chrztu stanąć mogła.

Na zamek gnieźnieński wieziono białe szaty i wszystko, co do świetnej uroczystości tej było potrzebnem. W tym samym dniu po całej ziemi oznaki bałwochwalstwa, posągi, słupy, kamienie wywrócone i zniszczone być miały.

Na grodziskim, gdzie dawno już stary chrząm stał pustkami, obalono go jednego dnia, wobec wszystkich, nie znajdując żadnego oporu, bo dwór i wojsko już wcześniej całe prawie do przyjęcia chrztu było przygotowane.

Tegoż dnia poświęcił ks. Jordan pierwszy kamień kościoła, który miał się wznieść na jego miejscu. Działo się to jawnie, bezkarnie, o starych wróżbi-

tach i gęslarzach słyhać nawet nie było; znikli gdzieś i nie pokazywali się więcej. Kraj był spokojny, lud milczący... księża przebiegali go bezpiecznie, ale u możniejszych tylko znajdowali gościny i posłuch chętny — osadnicy ubożsi milcząc i obojętnie dawali im mówić, nie odpowiadając wcale; pomiędzy nimi nawrócenia były rzadkie.

Z pierwszym skowronkiem, po roztopach wiosennych przybyło czeskie poselstwo i Bohowid staruszek, który dawne czasy pamiętał.

Dubrawka wyszła pieszo przeciwko niemu. Mieszko przyjął go ze czcią należną. Dwór, wojsko, co było chrześcijan i tych, którzy nimi zostać mieli, wszystko pierwszych dni marca pociągnęło do Gniezna.

Pochód był uroczysty, powolny i wspaniały, lecz drogi, któremi ciągnął — puste. Gdziekolwiek został jeszcze ślad pogaństwa, zatykano krzyże białe po drodze, które księża poświęcali.

Na wszystkich rozstajach, u źródeł, gdzie dawniej składano ofiary, wznoszono znamiona wiary. Nigdzie i nikt nie śmiał stanąć w obronie dawnych bogów. Na widok tego orszaku, któremu towarzyszyły czeskie poczty, — ludzie z pól uciekali i kryli się po lasach, gdzie milczenie szło za nim.

Na zamku w Gnieźnie wały i dworce pomieścić nie mogły natłoku. Tu zbiegło się wszystko, co pragnęło pod nową zaciągnąć się chorągiew, ziemianie, władcy i żupanowie, wojsko całe, wreszcie namówieni i zjednani z ludu. Tym oddawna rozdawano szaty białe poszyte umyślnie, które kładli jako oznakę odrodzenia i oczyszczenia.

Gromadami stojących dokoła grodu kropili kapłani wodą i dawali imiona nowe. Dostojniejszych Czesi i Dubrawka we dworcu do chrztu trzymali. Naostatek przed świeżo wzniesionym ołtarzem z nowej jeszcze i nieskończonej świątyni, dla której relikwie z Pragi przywiózł Bohowid... Mieszko ochrzczonym został przez niego i pobłogosławionym wraz

z Dubrawką... Sydbor i Górka przyjęli chrzest razem z nimi. Wspaniała uczta zakończyła ten dzień wielki, a nad dachem świątyni nowej jaśniał wysoko wzniesiony krzyż, który odąd dziejom tej ziemi miał przyświecać.

Zdawać się mogło obcym, patrzącym na ten spokój i ciszę, wśród których się odbył chrzest całego narodu, że nigdy może z większą uległością nie zmieniła się wiara od wieków wszczepiona na nową i nieznaną. Cieszyli się czescy kapłani i prorokowali przyszłość szczęśliwą, jeden Mieszko tylko wiedział, co znaczyło milczenie, to zaparcie tchu i zbieganie osadników w niedostępne lasy.

Ponieważ w głąb kraju dosięgnąć dla obalenia kontyn po lasach i bałwanów na polach a wzgórzach niełatwo było, nazajutrz zaraz wyznaczono oddziały zbrojne, które z duchownymi i przygotowanymi krzyżami wyruszyć miały, dotrzeć do znanych zakątków i tam wzniesić godła wiary.

Włast z chęcią ofiarował się do jednej z tych apostołskich wycieczek za przewodnika. Pragnąc się na nią wybrać, natychmiast z Gniezna wyjechał do Krasnejgóry, dokąd po niego przybyć mieli ci, którym tu towarzyszyć kazano.

Przed wieczorem jeszcze, przebiegłszy całą przestrzeń, którą wczoraj pochód książy przybrał w krzyże nowe, ojciec Matja ze smutkiem mógł się przekonać, co znaczyło owo pokorne tłumów milczenie. Wszystkie krzyże leżały podruzgotane, popalone i zbezczeszczone; nie został żaden na swoim miejscu. Ludzie się nie pokazywali nigdzie.

Z bolesnem wrażeniem w duszy przybył Włast do dworu.

Wieczór był chłodny wiosenny; w progu domostwa zastał siedzących Hannę i Andrzeja.

Wyszli oboje na jego spotkanie, dowiadując się, co się w Gnieźnie odbyło i jak. Włast smutnie napół, wpół radośnie zaczął im opowiadać, jak świetnie chrzest się spełnił, jak mnogo ludu wdziało białe

le szaty, a jak podstępnie potem i sprośnie krzyż wystawione porzucano i zbezczeszczono w nocy.

— Ojcie mój — odezwał się nawykły tem imieniem go nazywać Jarmierz, — początek to dopiero... wszystkiego się jeszcze spodziewać można, i nie dziś tylko, ale przez długie lata... Kto wie, co nas wszystkich czeka..

Ojciec Matja chwycił go za ręce.

— A! nie!...—zawołał.—Teraz, gdy mamy prawo do tego, pojedziemy nauczać, objaśniać, nawracać. Ludziom się serca i oczy otworzyć muszą, tak jak się one wam otwarły na światło...

Jarmierz spuścił głowę i nie już nie odpowiedział.

Weszli do dworu, ojciec Matja naprzód do ołtarza śpieszył, aby się przy nim pomodlić. Hanna zastawiała skromną wieczerzę. Zasiedli do niej właśnie, gdy Jarmierz wstał jeszcze, aby pójść obejrzeć wkoło dwór i zobaczyć, gdzie byli parobcy i stróże.

Obchodził je tak zwykle co wieczora.

Tym razem dłużej go nie było z powrotem i Hanna poszła zobaczyć, gdzie się zabawiał tak długo.

Włast pozostał sam. Weszli nareszcie z powrotem, ale bledzi i strwożeni tak, że podniósłszy na nich oczy, brat spytał, co ich tak niepokoiło?

Jarmierz, odzyskawszy przytomność, zawołał tylko

— Uciekaj!...

Nie zrozumiał tego zrazu Włast.

— Dwór otaczają ogromne gromady ludzi, które z lasu ciągną w milczeniu.. Parobcy uszli wszyscy, niema nikogo do obrony... Uchodzić trzeba, jeśli można..

Przeżegnawszy się, spokojnie ojciec Matja wstał z za stołu i wyszedł razem z Jarmierzem na podwórze.

Stąd już widać było od strony lasu i od pola jak mur w milczeniu stojące tłumy ludu, w którego pierwszych szeregach rozeznac mogli starych dzia-
dów. W jednej gromadzie dowodził Warga.

Ucieczka była już niepodobieństwem. Z tyłu, z przodu i po bokach, wszędzie opasywały ich te zastępy, o których złej woli wątpić nie było można.

Włast uściśnął siostrę i Jarmierza.

— Uchodźcie — wyrzekł, — ratujcie się, wam przebaczą i nie uczynią nic... Mnie, co ma spotkać z woli Bożej, przyjmę jako nagrodę. Idźcie...

Hanna płakała. Jarmierz zaklął się, iż nie odstąpi brata.

Gluchy szmer, jakby warczenie dalekiej burzy, dochodziły ich uszów. Stali w przedsieni naprzeciwko wrót, na których oparty pokazał się Warga z rozczochranym włosiem. Zobaczywszy go, Jarmierz podbiegł ku niemu, lecz nim się zbliżył, starzec podniósł kij i krzyknął:

— Ubiję...

Pomimo groźby zbliżył się do niego nieustraszony człowiek.

— Czego chcecie?—zawołał.

— Przyszliśmy na wasze nabożeństwo!—zaryczał stary, — a że ciemno, my wam do niego poświęcimy...

To mówiąc, odstąpił od wrót.

Hanna jak obłąkana wpadła w głąb dworu, chcąc ratować brata i ciągnąć go z sobą. Na przestrzał przebiegli sieni domostwa. Z drugiej strony stał taki sam tłum gęsto zbity. Od lasu roilo się ciżbą. Jarmierz próbował się wydobyć przebojem, aby uciekłszy, sprowadzić pomoc, ludzie go pałkami wpędzili nazad na podwórze.

— Zniszczyć to gniazdo!...

— Z dymem ich puścić!...

Ojciec Matja postął chwilę, posłuchał, jeszcze raz uściśnął siostrę i poszedł do kaplicy. Tu klął przed ołtarzem, czekając śmierci. Jarmierz błagał jeszcze, próbując, ażali mu się wykupić lub wyprosić nie uda ludzi, lecz odpychano go wszędzie, mówić nawet nie dając.

Niedługo potem z kilku stron dworu błysnął ogień i dym czuć było w powietrzu.

Podpalone dachy, popodkładane głównie pod ścianą gorzały coraz większym płomieniem.

W chwili tej, gdy już żadnego nie było ratunku, Jarmierz przypomniał sobie jamę, w której niegdyś ojciec trzymał nieszczęśliwego Własta. Została ona przy odbudowaniu dworu pokryta dachem i mało komu była znana. Zdawało mu się, że do niej schroniwszy się, mogą ująć płomieni i śmierci, bo nawet gdyby lekki daszek zgorzawszy padł na nią, mogli się w wyłobieniu pod ścianą przechować, pókiby tłuszcz nie odciągnęła, a ci, co na ich życie czyhali, sądzić mogli, że zginęli w płomieniach. Z tą myślą biegł do Własta.

Trudno było modlącego się oderwać od miejsca, na którym chciał zginąć, aby dać wierze swej świadectwo. Nareszcie zaklęcia i prośby wymogły na Włście, że się dał odciągnąć i uprowadzić.

Wszystko więc troje, niepostrzeżeni, bo lud nie napadł dworu, nic z niego tknąć nie chcąc, tylko żywcem spalić swe ofiary, spuścili się z wolna do tej kryjówki, tak Włstowi pamiętnej.

Los jego prowadził go znowu w to samo miejsce, na śmierć czy ocalenie... któż mógł przewidzieć?

Gdy Jarmierz, narzuciwszy mokrej słomy i mierzwy na wrota, zapuścił je na jamę, starając się ją ukryć przed oczyma napastników, — w ciemności i zamknięciu zrazu nie słyszeli, nie widzieli nic... wpadli jakby w grób...

Włst do modlitwy zachęcał. Klękli wszyscy, powtarzali za nim wyrazy, które wymawiał powoli.

Napróżno było nasłuchiwanie; głos żaden nie dochodził tutaj.

Zdawało się im, że wiek trwało to okropne milczenie śmierci, gdy nareszcie szelest jakiś i jakby szum dobiegł ich uszu.

Jarmierz poznał głos ognia, który się zbliżał. Gorzały dachy.

Ile razy, ciesząc się swem łatwem zwycięstwem, tłum ogromnym dzikim odezwał się krzykiem, echo jego głucho odbijało się pod ziemią. Gdy belki padać zaczęły z góry, — ziemia się kilkakrotnie wstrząsła. Zatętniało potem, jakby ciżba wpadła na pogorzeliśko. Na wrota jamy, które tylko zgorzały, dach mógł ocalić, okrywając je, jeszcze się nic nie zważyło.

Powietrze robiło się duszne i ciężkie; Hanna z płaczu i trwogi mdlała, ale trwoga jej napowrót przytomność wracała. Włst się modlił. Jarmierz do wrót się przyczepił, starał się śledzić postęp pożaru. Przez szpary przeciskało się światło i dym wlokący po ziemi dusić zaczynał.

Śmierć szybko zmienili tylko na powolną męczarnię. Włst myślał o duszy już, nie o ocaleniu, rozgrzeszał siostrę, brata i modlił się za nich i za siebie.

Jak deszcz ognisty naprzód z dachu posypały się iskry, potem kilka krokwi przepalonych upadło na wrota, wreszcie część dachu, pod którą się znajdowały, runęła z łoskotem i przysypała je ognistymi węglami.

Śmierć zdawała się nieuchronną, gdyż oddychać już nie mieli czem... powietrza ubywało... gorąco dało się czuć strasliwie...

Zdała słyszeć było walenie się ostatnich belek i kawałów pokrycia, a każdemu runięciu towarzyszyły okrzyki.

Włst z czołem opartem o ziemię stracił wreszcie przytomność. Hanna leżała bez zmysłów.

Zrozpaczony Jarmierz barkami podniósł nieco wrota, aby wpuścić powietrze. Zamiast niego wpadł gryzący dym do jamy.

Trzymając tak ten ciężar nad sobą, Jarmierz mógł się przysłuchiwać.

Krzyki zdawały się oddalać.

Nie chciał zrazu uszom wierzyć... czekał jeszcze.

Głosu żadnego nie słyszał już, oprócz trzaskania dopalających się belek i szumiącego wiatru, w którym deszcz razem rześisty rozpoznać było można. Dym rozszedł się nieco, powietrze weszło do lochu, aby ocucić pomdłonych.

Jarmierz odważył się, odsunawszy nieco wrota, napół wydobyć z ukrycia. Noc była czarna, czerwona luna pożaru świeciła tylko, nikogo dokoła nie dojrzał, pusto było i cicho...

Dwór cały leżał w węglach, gdzieś tam tlił słup, którego płomień deszcz przygaszał... Jarmierz wyskoczył całkiem nad loch i pełzając, starał się rozpatrzeć dokoła. Tłumy rozbiegły się po lasach, pewne, że zamknięci we dworze zginąć musieli w płomieniach.

Męczennicy cudem istotnym zostali ocaleni. Lecz mogliż się uważać już za bezpiecznych?

Na pogorzelisko łatwo ludzie powrócić mogli, uchodzić z niego do lasu groziło dostaniem się w ich ręce.

Wstawszy z ziemi, nie widząc nikogo dokoła, Jarmierz wahał się, czy ma wydobyć Własta i żonę, czy dłużej zostawić ich w tej kryjówce. Pełznąć, aby nie być postrzeżonym, jeśli by kto jeszcze stał na straży, dostał się do studni w podwórku, przy której znalazł wiadro wody pełne. Z niem nazad pośpieszył do Hanny i Własta. Ale ci już byli powrócili do życia, gdy wrota dopuściły świeże powietrze.

Włast odmawiał stojąc hymn dziękczynny ze złożonymi rękami, z głową podniesioną i wołał:

— Cud uczyniłeś, Panie, abyś nawrócił niewiernych, abyś zawstydził złych... Cud uczyniłeś, Panie, nie dla niegodnych cudu, ale dla wielkiego imienia Twojego...

I Hanna widziała w tem cud, i Jarmierz, który drżał z radości, chociaż na myśl o tych tłumach, gdzieś w pobliżu będących, nowa go trwoga ogarniała.

Nie wiedział jeszcze, co począć, gdy z ogromnym tętentem i wrzawą przypadła gromada jeźdźców i u pogorzeliska stanęła.

Nie wiedząc, kto przybywał, Jarmierz padł zrazu na ziemię, lecz wkrótce z mowy, która go dochodziła, poznał oddział ludzi z grodu nad Cybiną wysłany, gdy luna pożar zwiastowała. Co prędzej więc powstawszy, począł biedz ku nim. Na widok jego rzucili się, aby go pochwycić... i nierychło mógł się im dać poznać. Ludzie, zsiadłszy zaraz z koni, pomogli mu do wydobycia Własta i Hanny napół żywych, lecz ocalonych.

Deszcz ustawał, resztki stosu tego ofiarnego gorejąc oświecały rumowisko. Jakież było podziwienie Własta i wszystkich, gdy otoczony główniami gorejącymi dokoła, ujrzeli ołtarz kapliczny cały i na nim krzyż nieobalony, świecący zdaleka... Zaiste był to cud równie wielki, jak ocalenie tych ludzi, skazanych na śmierć w płomieniach.

Własta żadna siła powstrzymać nie mogła, aby nie pobięgl ukleknąć przed tym ołtarzem, do którego z sobą pociągnął siostrę i brata równie jak on tym cudem przejętych. Gromadka ludzi z zamku przybyłych, świeżo nawróconych, także kłękła, zdjęta trwogą i modliła się razem z nimi.

Widok tego znamienia nowej wiary, ocalonego z płomieni, przejmował wszystkich, jako dowód potęgi nowego Boga.

Po skończonej modlitwie, ujawszy z ołtarza krzyż i resztę kościelnego sprzętu, okrytą węglami a niezgorzałą, Włast musiał razem z ludźmi, co go ocaili, udać się na zamek pod Cybiną.

Dniało już, gdy w las wjechali wszyscy. Włast na danym mu koniu przodem ze świecącym krzyżem w dłoni, za nim Jarmierz i Hanna.

Zaledwie stai parę oddaliwszy się od pogorzeliska, z przestrachem i zdziwieniem postrzegli koczującą w lesie, na ziemi rozłożoną gromadę ludzi, któ-

ra się schroniła tu przed ulewą po pożarze, którego pilnowała.

Na widok jadących, popodnosili głowy; Warga postrzegł pierwszy i poznał ocalonego Własta, z krzyżem w rękę. Stary wróźbiła oniemiał z przerażenia. Był pewnym jego śmierci... strzeżono dokoła dworu, aby się nikt z niego wymknąć nie mógł. Jak na widok upiora wstającego z grobu, starzec krzyknął i dłońmi zakrywszy sobie oczy, porwał się natychmiast z ziemi, pędem uciekając w las, za nim tłum co prędzej zaczął się zrywać i uciekać z wrzaskiem... Ludzie padali na ziemię przestraszeni. Orszak wiodący ojca Matję przeciągnął powoli w milczeniu i znikł na drodze do grodu.

XII.

E P I L O G.

W roku 973, w lat kilka po opisanych wypadkach, cesarz Otto z cesarzową Adelaidą — opowiadają współczesne kroniki — z Włoch znowu dążąc na święta Wielkanocne do Quedlinburga, gdzie w niedawno założonym klasztorze córka jego księżną była — na Kwietnią niedzielę stanął w Magdeburgu.

Pan to był wielce pobożny, więc jak skoro ujrzał krzyże kościelne a posłyszał dzwony *) witające go wesołemi odgłosy, zsiadł z konia natychmiast.

Naprzeciw niego szło z zapalonymi świecami i pochodniami duchowieństwo, arcybiskup Geron i Adalbert, prałaci, zakonnicy, niosący relikwiarze, krzyże, obrazy i kadzielnice... Zatrzymawszy się, cesarz ucałował podaną mu ewangelię i relikwie — i przy odgłosie pieśni szedł dalej na czele duchowieństwa do

*) Dzwony w Magdeburgu wspomina już Ditmar. Były one zapewne kute z blach spiżowych lub żelaznych.

kościół, w którym drogie, niedawno otrzymane relikwie św. Maurycego złożone były.

Nazajutrz, opisują ci kronikarze, cesarz niezmiernymi darami ubogacił kościół, biskupstwo, księży i samo miasto.

Między innemi były tam księgi naówczas rzadkie, przedziwnie pisane i malowane, jakimi niewiele świątyń pochlubić się mogło.

W tym samym czasie Mieszko także w poczcie wspaniałym zdążył do Quedlinburga, dla powitania sprzymierzeńca swego cesarza, niosąc mu bogate dary.

Wśród orszaku książęcego, obudzającego po drodze podziw ludzi i zdumienie, szedł ogromny wielbłąd czerwoną kapą okryty, przeznaczony w ofierze dla Ottona. Tym razem zmieniło się zupełnie położenie Mieszka, stosunki jego, siła i przeznaczenie. Pomiedzy nim a szwagrem Bolesławem panowała niechęć i wojna o Śląsk i Chrobacę, którą oba posiadać chcieli... Mieczysław pochlebiał sobie, że zawładnie Słowiańszczyzną całą, tą samą myślą żył Bolko... Oba szukali przymierza z cesarstwem dla tego tylko, aby módz całą siłę na zwiększenie państwa swojego obrócić — oba rozumieli to, że kraje jednej mowy musiały albo się znaleźć w jednym ręku, lub stać się łupem cesarskich markgrafów.

Lecz Otto starzał, myślą i sercem mieszkiał za Alpami, — tu chciał czemkolwiekbądź okupionego pokój...

W tym roku zjazd do Quedlinburga był liczniejszy daleko, niż lat dawnych, przybywali posłowie upokorzonych Greków, co się niedawno z potęgą Ottona naśmiewali, posła jego lekceważąc w Byzancium, szli posłowie Benewentu, jechali wysłańcy Ghezy księcia Ugrów, Bulgarowie, Duńczycy i liczni kneziowie słowiańscy, na których czele Mieszko polański i Bolko czeski.

Dwór Mieszków świetniejszym był nad wszystkie, a kneź ochrzczony stał tuż na równi z najdo-

— 155 —
stojniejszych dukami, kłaniał się jeszcze potężde cesarskiej, ale dlatego tylko, aby się od niej i wszelkiej innej wyzwolić. Na obliczu też jego widać było ufność w swą siłę i spokój, — które, choć się okrywały pokorą, tryskały z pod niej jak rumieniec z bladości policzków, gdy je duma grzeje lub gniew...

Przodem przed panem poszły do Quedlinburga obozy, ludzie i konie, zajęły miejsce najlepsze, a kneź znalazł namiot rozbity i dwór gotowy na przyjęcie. Tłumy skupiały się około wysoko nad ludzi i konie podnoszącego głowę potworną wielbłąda.

Zaledwie przybył Mieszko... przyszedł mu się pokłonić słowiańscy wodzowie... czuli w nim pana, a szanowali wojownika, który nigdy oręża nie składał i nieustannie był czynnym.

Gdy drugiego dnia świąt Wielkanocnych miał Mieszko otrzymać posłuchanie, jechał na nie z całym orszakiem swym, przypasawszy miecz niegdyś przez Ottona mu dany. Za nim strojni z włóczniami do turniejów wojownicy, pachołeta, niosący tarcze i miecze, konie powodne...

Na grzbiecie wielbłąda sznurami purpurowymi związane, suknem fryzyskiem okryte, jechały dary dla Ottona.

Kilka lat walk i życia posrebrzyły włosy i broda cesarza, poorały mu twarz, smutkiem jakimś, jakby przecuciem grobowym okryły czoło. Zdawał się przewidywać, że ciężkie berło, które w dłoni dźwigał, rychło mu śmierć wydrze.

Gdy z pokłonem wszedł Mieszko... Otto go jak znajomego powitał mile — i do tronu, na którym siedział, ręką bliżej zaweszał.

— Wiele się zmieniło w krótkim czasie przeciągu — rzekł, patrząc nań. — Wyście, dzięki Bogu, i samą prawdziwą wiarę przyjęli, i kraj swój do Kościoła przyłączyli... szczęściło się wam z nieprzyjaciół, błogosławieństwa doświadczyliście mnogiego, a ufam, i ono was nie odstąpi.

Tu westchnął.

O brzasku trzeciego dnia, jeszcze dąb okryty był poranną rosą jesienną, lśniąca, jakby już mróz niosła z sobą, gdy z głębi lasu pierwszy przywłókl się Warga. Obejrzał się dokoła, rozsluchiwał i siadł na jednym z kamieni. W lesie słychać było dziecięcia, który kuł drzewo i zdala krakanie wron, ulatujących nad lasem.

Głos ich nieprzyjemnie rozbudził starca, któremu się usta krzywiły. Podniósł głowę; ponad nią leciało stado czarne, zniżając się, jakby chciało usiąść na starym dębie, zakreśliło się nad nim i puściło dalej, krzycząc długo.

Z krzewów wyszedł stary Luboń, odziany w prostą sukmanę, z twarzą posępną. Pozdrowili się po cichu. Nim mieli czas zacząć rozmowę, ze wszelich stron zjawiać się zaczęli, jakby z ziemi wyrastający starzy ludzie, w tak prostej ubogiej odzieży jak Luboń.

Szli mileczący i stawali kołem u kamieni pod dębem, na swych kijach pospierani. Luboń ich naliczył wkrótce kilkunastu. Starsi zaczęli siadać na ziemi, niektórzy z zanadru wyjąwszy mieszki, przed sobą je stawili. Milczenie panowało uroczyste. Na wszystkich tych powiedłych twarzach jeden wyraz smutku i gniewu się piętnował.

Gdy starcy zajmowali miejsce obok Wargi, innych kilku butniejszych twarzy, choć odzianych w sukmany, przysunęło się do Lubonia. Widocznem już było, że z dwu jakichś żywiołów miało się składać to zebranie.

Dzień był mglisty, ale słońce zaczynało z za gęstych opon wyzierać; promień jego zaświecił na górnych dębu gałęziach. Wietrzyk je poruszył i drzewo jakby obudzone, zaszumiało poważnie. Nie drgnęła jednak żadna z jego gałęzi, liście tylko drżały i kołysały się. Kilka ptaków wypędzonych z gniazd uleciało w powietrze.

Wtem siedzący za dębem starcy zaczęli nucić pieśń cichą. Wyrazy jej nie dochodziły do uszów tych, co stali na przedzie; nuta była tęskna, żalonna,

100
a głosy szły jakby z piersi rozbitych,—ponure i stłumione. Po każdej zwrotce pojedynczy głos powtarzał coś o Lelu i zdawał wzywać bóstwa pomocy.

Warga nie śpiewał: słuchał zadumany i czoło marszczył. Śpiew też trwał bardzo krótko i obumarał z ostatnim wykrzyknikiem. Westchnienia słyhać tylko było.

Okolo Lubonia zgromadzili się ziemianie, za nimi kołem stali i siedzieli wróżbici, gęślarze i ludzie od kontyn i chramów: jedni spoglądali na drugich, jakby się pytali: Co począć? Wtem z gąszczy Wojsław się zjawiał, spojrział na zgromadzonych i wystąpił przed nich.

— Co będziecie czynili? — spytał półgłosem. — Na naszą starą wiarę idzie zguba z góry... wytępią ją... Żadna się kontyna nie ostanie... żaden kamień święty... żadnej uroczystości po staremu obchodzić nie będzie wolno... żadnemu gęślarzowi śpiewać, żadnemu staremu powróżyć,—popędzą nas jak bydło w niewolę... Co czynić? co czynić?...

Warga nań patrzył.

— W jaki sposób jeden człowiek może tyle narodu zmusić?—zapytał. — Jak nagniem karku, jarzmo włożą...

— Nie jeden—odparł Wojsław,—jest ich wielu... a broń mają w rękę i siłę... Porywać się na nich?—wyginiemy i z nami wiara nasza.

— Głupi się tylko rwie, gdy nie pora—odezwwał się Warga. — Milczeć trzeba, przypaść, czekać... Znajdzie się chwila, gdy albo knezie się z sobą zajedzą, albo wróg ich przydusi. Czekać trzeba!...

— A tymczasem kontyny wywróć!—rzekł Wojsław.

— Albo drzewa niema, by drugie wystawić? — począł Warga. — Niech lepiej ściany giną, niż ludzie. Przyjdzie pora, gdy będzie siła... Pójdziemy w lasy na uroczyska, będziemy po nocach święta obchodzili i ofiary składali... Puszczę nas nie zdradzą... Czekać trzeba...

— Inaczej mówiliście niedawno... — odezwał się Luboń.

— Bom nie wiedział, co się dzieje... Kneź ma dużo zbrojnego ludu... Czechy mu w pomoc przyjdą, a i Niemcy... Naco ma się krew przelewać, kiedy wiarę potajemnie chować można!...

Wojśław ręką zamachnął w powietrzu.

— Tak tchórze gadają!—rzekł.—Ulegniemy dziś, jutro nie pora będzie... Za rok, za dwa w każdej chacie znajdzie się chrześcijanin... Dosyć ich jest i tak... ale dziś się oni tają przed nami, jutro my będziemy musieli przed nimi... Zguba i zatracenie...

Warga wstał z ziemi z oczyma zaognionemi.

— Wyście mnie nazwali tchórzem, a ja was nazwę gębaczem...—rzekł.—Słowa nie kupić... a o ręce trudno...

— A po osadach, po chałupach, po dworach nie możecie iść i ludzi ściągać? — zawołał Wojśław. — Nie możecie zebrać tysięcy i z nimi prosto na gród iść a śmiało rzec: nie chcemy nowej wiary! nie chcemy odstać od ojców i obyczajów!...

— Pójdziecie z nami? — spytał Warga.

— O jednego człowieka nie idzie — przerwał Wojśław, — jak tysiące będą, znajdę się i ja...

Starzy poglądali po sobie.

Odezwał się któryś mrukliwie:

— Nie te to czasy, gdy na wiece ojcowie zwoływali i ogniste palono wici! Popatrzcie u chramów,—mało kto idzie, mało kto pyta... Nowa wiara ciśnie się wszędzie, a my ze starą... w puszcze i lasy chyba!...

— Wojaki kneziowskie żadnej wiary nie mają — wtrącił inny. — Na święto idą dla piwa, dla miodu i dziewcząt, a żaden starej pieśni nie umie!

— Nie, nie.. — przerwał drugi, — nie, Drohoto, nie! Wy koło grodów się kręcicie i nad granicą, gdzie śmiecie spływają... Pójdźcie do lasów, w głąb, hen, dalej, za Wartą ku Wiśle... tam nasze bogi stoją całe i lud czołem im bije, ofiary niesie, pieś-

ni nie zabył, obyczaj chowa.. A trzeba będzie stać zań, pójdzie wszystek...

Rozśmiał się Drohota a Warga niedowierzająco ramionami ruszył. Pomiedzy starcami jedni trzymali z nimi, drudzy z Czarnym Buranem.

Wojśław podniósł głos.

— Niech ino kneź zobaczy, że lud stoi przy swych bogach, niech głos posłyszysz, nie będzie śmiał...

— Co nie będzie śmiał? — przerwał Warga. — Silniejszy on od was i chytrzejszy. Inna moja rada... zmilczeć i ugiąć się... a wiernie swego trzymać i czekać... przyjdzie pora. Albo to czas teraz?

— A kiedy będzie czas? — zapytał Wojśław.

— Gdy my wam powiemy!... — odezwał się Warga. — Co wy znacie, dworacy? co wy wiecie, Wojśławie? Chowaliście się na dworze, nie znacie narodu. Mocny on może być, gdy przecierpi, gdy zaboleje, gdy mu do serca ściagną dłoń. Dziś my jej jeszcze nie poczuli... darmo wołać... Zbierz się kup pa pijanych, zahucz, — rozpędzą ją i strach padnie na wieki na wszystkich... Tegoby jemu trzeba, żeby mocniejszym się stał, — ale my tego uczynić nie damy!...

Drohota powtórzył:

— Nie damy!...

Inni starcy, nie sprzeciwiając się, zamilkli.

Warga widocznie ich zmógł i przekonał.

— Wywróć kontyny? — jest w lasach miejsca do syć! Każą się kłaniać nowemu Bogu? — pokłonim się... Było ich dosyć... niech będzie jeden więcej!... Dla tego naszych starych nie opuścim... Nasza dola czaić się, cierpieć i czekać... przyjdzie nasz czas, przyjdzie nasza godzina... wybiją na wojnie starszyznę, dwory zostaną puste...

Warga nie dokończył. Luboń ze swymi poglądali po sobie, nie mówiąc nic.

— Pocóż nas i wołać było? — odezwał się gniewnie Wojśław. — Nie mamy tu czego słuchać. Że cierpieć trzeba, tośmy wiedzieli i bez was...

— Nie bojujcie tu, a nie walczeć z sobą — ani z moimi... Wiele bez tego do czynienia macie. Pogan zostało mnogo, kościołów jest mało — duchowieństwa wam braknie... chrzcić i nawracać, a chrztem podbijać możecie ludów wiele. Wy, Bolko i markgrafowie idźcie razem na wytepienie pogaństwa.

Westchnął Otto, — a Mieszko odrzekł, iż rad był żyć ze wszystkimi w pokoju, ale swych ziem, do których ma słuszne prawa, nikomu sobie wydrzeć nie dozwoli.

Nie na to nie rzekł Otto, a po chwili znowu pokoju z Czechami życzył. Mieszko zamilkł ostrożnie.

Święta to były pamiętne z wielu różnych obrzędów i wypadków.

Dnia 1 Kwietnia nagle zmarł Herman, książę saski, którego ciało cesarz uczcił, gdy je syn wyprowadzał do rodzinnego grobu do Lunenburga, którego niegdy Wigman pokonany przez Mieszka tak mu zazdrościł.

Za życia jeszcze Herman poważniejszy się z Brunonem, biskupem ferdeńskim, wyklętym był przez niego.

Gdy zwłoki prowadzono, syn Bernard zaklinał mściwego nieprzyjaciela, aby z nieboszczyka przy najmniej zdjął kłatwę i dozwolił go w poświęconej ziemi pochować. Bruno był nieubłagany.

Mieszko obdarzony nawzajem przez cesarza, powrócił już był do domu, sposobiąc się do nowej walki z bratem żony, gdy cesarz, który na Wniebowstąpienie znajdował się w Merseburgu, wyjechawszy stąd we wtorek przed Zielonemi Świątkami, spoczął w Miminlewie. Tu siadł jeszcze wesół do stołu — rozmawiał z przybocznymi, ale w czasie niesporów nagle słabnąć począł... Pochwycono go i przeniesiono na łożo — otoczyło duchowieństwo, modląc się... Nazajutrz cesarz Otto nie żył. Następca już koronowany obejmował po nim rządy.

W tych samych stosunkach ostrożnego sprzymierzenia i warunkowej przyjaźni, która napadać na

granice i ścierać się często nie przeszkadzała, pozostał polański książę z Ottonem drugim. Sascy cesarze nadto marzyli o Włochach i Rzymie, aby spokoju granic swych, choćby ofiarami nie okupywali. Czescy i polańscy książęta temu może byli winni, że gdzieindziej odwrócona potęga cesarstwa, im rosnąc, skupiać się i zagarniać kraje słowiańskie pod panowanie swe dozwalała.

Spytacie może o losy ojca Matji, czyli Własta syna Lubonia? Milczą o nich dzieje nasze. Pierwszy kapłan i apostoł nie dobijał się żadnego stanowiska w hierarchii kościelnej, ani sławy i rozgłosu pomiędzy ludźmi: — cicho przeszedł po świecie tym, kryjąc się z sobą i okrywając pokorą. Imienia jego nie wzmiankują kroniki, nie zapisują rocznikarze, nie znają martyrologi.

Całą majątność swoją rozległą oddawszy siostrze i jej mężowi, Włast wymówił sobie to miejsce, na którem stał dom ojcowski, aby na niem wystawić kościół... Miał myśl też zakonników z Monte Cassino, u których przebył lat parę, sprowadzić i klasztor im pobudować. Trudności, jakie naówczas przedstawiały podróże, zajęcia apostołskie u boku pierwszego biskupa poznańskiego Jordana, nie dozwoliły mu do Włoch się udać i dawnych braci tu sprowadzić.

Ks. Jordan, on, kapłani czescy i kilku Włochów wiele mieli u Polan do czynienia. Kraj milczał i ścierpiał w pierwszej chwili narzuconą sobie wiarę, ale wytrwał tajemnie przy dawnej. Przez długie wieki pozostały jej ślady i szczątki w pieśniach, obrzędach, w kryjomo obchodzonych świętach i mnóstwie zwyczajów, które niezrozumiałe już były pokoleniom następnym, ale im do serca przyrosły.

Mieszko i jego poddani, co się ochrzczili nawet, długo bardzo nie mogli nawyknąć do nowych obo-

wiązków. Dubrawka przez lat kilka nie zachowywała sama postu, aby zwolna do poszanowania go męża naklonić. Później już przez żonę pokonany, Mieszko z surowością sobie zwyczajną, kazał nieszanującym postów — jak piszą, zęby wybijać...

Tak samo zakazywano śpiewać stare pieśni, zbierać się na Kupalę, nocne odbywać płasy i zabobonne gusła, zabraniano grzebać ciała po rozdźwiękach i uroczyskach, jak to dawniej bywało we zwyczajach z tryznami, objatami, stypami trwającymi po dni kilka. Ludzie przywiązani do odwiecznych tych obrzędów, uciekali w głąb lasów, kryli się, ale przez długie wieki pamięć wiary przechować umieli.

Nie było sposobu od tych strumieni, kamieni, słupów, dębów i gajów ich odzwyczaić, i duchowieństwo stawilo na nich krzyże. Z dawnych imion bóstw czyniono świętych, dni uroczyste u pogan zastosowywano do obchodów i pamiątek kościelnych.

Tak te resztki wiekowej spuścizny zmieszały się, zlały, dziwnie częstokroć z legendami chrześcijańskimi.

Dzień 7 marca, który był naznaczonym do zburzenia wszędzie, gdziekolwiek się znajdowały, resztek pogańskich bałwanów, na długo został pamiętnym. Długosz powiada, że w niektórych wioskach w Polsce, w czwartą niedzielę postu, zatykano na długich żerdziach (stanice dawne) wizerunki Dziewanny i Marzanny, a potem je rzucano i topiono w bagnach.

Pobożny ojciec Matja, przeżywszy panowanie Mieszka, które było jakby wstępną pieśnią bohaterskiego poematu Bolesława Wielkiego, pozostał przy kościele głównym w Poznaniu, skąd mu łatwiej było i swój nowo-założony odwiedzać.

Nieopodal od niego stał nowy dwór Hanny i Andrzeja w miejscu, które się pono nazwało później Głuszynem (tak jak bardzo być może, iż z Krasnejgóry Górczyn mógł powstać). Tu ojciec Matja przybywał błogosławić małym dziatkom siostry swej

i w młodociane główki wpajać pierwsze, mające w nich się krzewić pojęcia. Tu on, otoczony tą gromadką, napół dzikich, ledwie odzianych, puszcanych swobodnie, wedle dawnego obyczaju dzieci, stawał się dla nich sam dzieckiem prawie i wedle nauki Chrystusa przywabił je do siebie.

Wiele lat upłynęło od opisanych wypadków; potęga Mieska wzrosła, państwo rozszerzyło granice, kościoły stawały liczne po całej ziemi Polan, przebiegali ją kapłani dla połowu dusz zbłąkanych. Ojciec Matja był wszędzie z nimi, gdziekolwiek groziło niebezpieczeństwo, były trudności do przełamania, a językiem rodzonym i sercem bohaterskiem przemówić było trzeba do ludu.

Z uśmiechem, gdy mu kto chciał wrazić obawę, mawiał, że się po dwu w życiu niebezpieczeństwach, z jakich go Bóg ocalił, już żadnego nie lęka. Znano go, i najzapaleńsi nawet starowierycy szanowali w nim nieustraszone męstwo i niezmogoną niczem cierpliwość a niewyczerpaną dobroczynność.

W ubogiej swej sukni czarnej, z kijem w rękę mógł bezpiecznie przebiegać najodleglejsze, najzapadłejsze kraju zakątki, gdzie się nikt inny dojść nie ważył.

W rękę przy lasce, na której się podpierał, miał zwykle siekierkę małą, nie dla obrony od napaści, ale by móżd naprędcę wyciosać krzyż i postawić go wszędzie, gdziekolwiek znalazł jakiś znak dawnego bałwochwalstwa. Nie zrażało go to, gdy drugi raz na to miejsce przychodząc, pierwszej swej pracy nie znalazł śladu. Siadał ciosać krzyż swój na nowo i wbijał go w ten samem miejscu. Czasem po dwa i trzy razy musiał podnosić to znamię, nim się ono nareszcie ostało. Zabobonny lud przypisywał cudowi to powracanie krzyża, a cudem była tylko święta cierpliwość nieznużonego apostoła.

W miejscu, gdzie był dwór i kaplica spalona, ojciec Matja pobudował mały kościółek, a tam gdzie była owa jama, w której naprzód ojciec go więził,

później czasu pożaru Jarmierz zdołał go ukrytego ocalić, wymurował sobie za życia grób, do którego często zaglądał.

Do tego kościoła chodził z Poznania pieszo, często w nim długie spędzając godziny. Stroił go, ubierał, zbogacił, opatrywał we wszystko, jak najulubieńsze dzieło swoje. Często, gdy go nie znajdowano w Poznaniu u Św. Jana Jerozolimskiego, wiedziano, gdzie go szukać. Trwał na modlitwie w swoim kościółku, albo z miotłą w rękę oczyszczał go, obmywał i utrzymywał w nim porządek. Obcej ręce nie dawał się tu prawie dotknąć niczego.

Jednego wiosennego dnia około Wniebowstąpienia, gdy słowiki śpiewały najgłośniejsze a czeremchy rozkwitwały wonią napelniając powietrze, szukano namiętnie ojca Matji w Poznaniu. Izdebka jego, którą zawsze zostawiał otworem, stała pustką, nie było go dni kilka. Ponieważ przy szczupłej liczbie ówczesnego duchowieństwa, był pilno biskupowi Jordanowi potrzebnym, wysłano za nim do siostry do Głuszyna, ale stąd wrócił posłany oznajmując, iż go tu także od kilku już tygodni nie widziano. Bardzo być mogło, iż wyszedł na jedną z pielgrzymek swych, które często pieszo odbywał. Lecz zbliżało się Wniebowstąpienie, a na wielkie uroczystości wracał zwykle do Poznania. W wigilię tego dnia, gdy po raz wtóry nadbiegł posłaniec do Głuszyna, trochę niespokojny Jarmierz z Hanną udali się do kościółka na Krasnejgórce, bo im przyszło na myśl a raczej przeczucie jakieś mieli, iż tam go znaleźć mogą.

Wistocie, zbliżywszy się do kościółka, znaleźli drzwi niezamknięte, a uchyliwszy je, spostrzegli brata krzyżem leżącego przed ołtarzem, na którym świece się dawno powypalały. Wszedłszy, pokłękli, zaraz oczekując, ażali modlitwy skończywszy, ojciec Matja nie wstanie ku nim.

Upłynął jednak czas dość długi, a modlący nie poruszył się wcale.

Gdy już zmierzchało, Hanna podeszła ku niemu

...pokładłszy w rękę go cielecia pocałować, ad-
dać znać o sobie.

Ręka była jak kamień zimna: ojciec Matja nie żył.

Skończył życie wśród modlitwy, leżąc krzyżem
właśnie na tym kamieniu, który pokrywał wnijście
zamurowanego grobu.

Na krzyk bolesny Hanny nadbiegł Jarmierz, pod-
niesiono ciało już zupełnie ostygłe, bo nieboszczyk
od dwóch pewno dni już żyć przestał. Na twarzy
jego bladej panował wyraz słodkiego uszczęśliwienia,
usta zamknięte uśmiechały się spokojem.

Wielki był żal wszystkich po człowieku poboż-
nym, cichym a tak potrzebnym Kościołowi kapłanie,
którego nikt nie mógł zastąpić.

Dano zaraz znać do Poznania, naznaczono dzień
pogrzebu i przy wielkim nacisku pobożnych, na trze-
ci dzień w prostej trumience, jak przykazał, złożono
ciało jego w grobowcu pod ołtarzem.

Cóż dziwnego, że potem w kilkanaście, kilkadzie-
siąt lat nikt już imienia pobożnego kapłana nie pa-
miętał, że w sto lat nie było śladu kościoła i gro-
bowca, a we dwieście miejsce zmieniło imię i ro-
dzina wygasła. Tak wszystko na ziemi przemija
i ginie...



1244